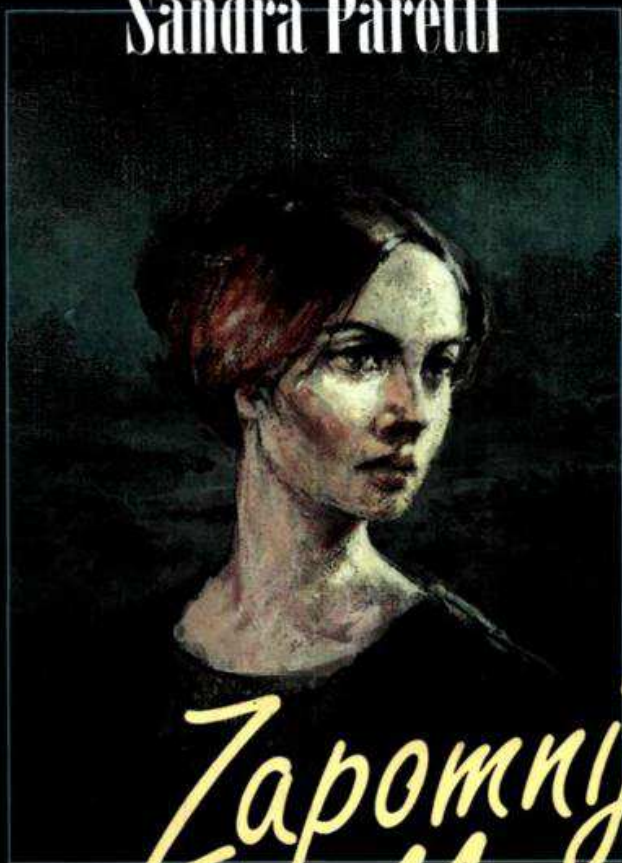


Sandra Piretti



Zapomnij,  
Mario

„Książnica“

Historia kobiety, która na półmetku życia odwaga się na to, co niejedna  
chciałaby zrobić: zaczyna wszystko od nowa.

Ucieka z małżeństwa,

bo stało się dla niej więzieniem,

ucieka też z Berlina, gdzie nigdy nie czuła się dobrze,

i wraca do rodzinnego Rzymu.

Szukając szczęścia w czasach, w których nie ma miejsca na szczęście,  
spotyka Maria ludzi, jakich dotąd nie знаła.

Fascynuje ją Marco walczący o sprawę tak ważną,

że kładzie na szalę swe życie;

fascynuje nieodgadniony radca ambasady Winter, fascynuje wreszcie  
stary lekarz i archeolog,

dla którego Maria staje się ostatnią wielką miłością.



ISBN 83 85348 70-0

**Sandra Paretti**

**Zapomnij,  
Mario**

**Przełożyła**

**Maria Gołębiewska-Bijak**

*Wydawnictwo „Książnica”*

Tytuł oryginału *Maria Canossa*

Opracowanie graficzne

*Marek J. Piwko*

Ilustracja na obwolucie

*Antoni Cygan*

© Droemer Knaur Verlag Schoeller &Co.,

Locamo 1979

For the Polish edition

© by Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 1996

ISBN 83-85348-70-0

Wydawnictwo „Książnica”, sp, z 0.0.

Katowice 1996

Wydanie pierwsze

Skład i łamanie:

Z.U. „Studio P”, Katowice

Druk:

Ośrodek Wydawniczy „Augustana”

Oprawa:

Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza

Jakoż cię schwytać, wymarzone Jutro?  
Oto z nadzieją ścigamy cię wszyscy,  
W łachman odziani czy w bogate filtro,  
Starzy i młodzi, wysocy i niscy –  
Ale znajdujem miast twych złudnych lśnień  
To, przed czym pierzchliśmy: dzisiejszy dzień.

Percy Bysshe Shelley  
(przeł. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski)

Pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Rzymu, w Górach Tyburtyńskich, leży miejscowość Saracinesco. Nieliczne domy i kościół wyrastają tam bezpośrednio z jasnej skamieniałej lawy. W dole, na równinie, płyną Aniene i Fiumicino, użyźniając glebę. W Saracinesco jest tylko kamień, rozległy widok, wiatr, który rzadko cichnie, i niebo, bardzo bliskie. Mieszkańcy nie mają ani miejsca, ani ziemi, by grzebać swoich zmarłych.

Cmentarz znajduje się poniżej wioski, przy drodze – czy raczej perci – wijącej się po zboczu góry. Kilka skarłatych drzew oliwkowych i wybujała winorośl daje cień. W górnym rzędzie stoi nagrobek z wulkanicznego tufu. Widnieje na nim zwietrzały już napis: MARCO VARELLI, NATUS 1900 – OBIIT 1943.

Prawie zawsze leżą tam świeże kwiaty. I mało kto wie, że grób w białej skale jest pusty.

Powieść opisuje zdarzenia, które miały  
miejsce latem 1943 roku w Rzymie.  
Nazwiska bohaterów zostały zmienione  
ze względu na żyjące jeszcze osoby.

# CZEŚĆ PIERWSZA

## 1.

Zapiski doktora Lennarta Larssona  
*Rzym, Villa Kristina, 22 kwietnia 1943*

Dzień się kończy. Jest jeszcze dość jasno, by pisać bez zapalania światła, ale powietrze zabarwia się już stopniowo na niebiesko. Siedzę w gabinecie przy biurku, drzwi na taras są otwarte. Czekam na nadejście wieczoru. Wieje lekki wiaterek, który ucichnie o zachodzie słońca. Niekiedy poruszają się zaciemniające zasłony, a do pokoju dociera słodka woń, wypierając zapach anestetyków; na tarasie kwitną właśnie mimozy i oleandry.

Przez czterdzieści lat – odkąd jestem w Rzymie – nie było tu takiej wiosny. Jak gdyby przyroda chciała wynagrodzić mieszkańcom wszystkie cierpienia. Nie muszę wstawać, żeby wszystko widzieć. Miasto leży u moich stóp. Na wschodzie San Carlo al Corso, na południu pomnik Wiktora Emanuela II, a pomiędzy nimi kopuły Panteonu i San Andrea della Valle.

*Roma aeterna*, pełna słońca, znów jednak zatriumfowała. To miasto jest właśnie takie – zaprawione w upadkach i wzlotach.

Mimo to przyjaciele mnie ostrzegają. Zwycięzcy są wspaniałomyślni, ale co będzie, gdy zaczną ponosić porażki? Odwiedził mnie dzisiaj szwedzki charge d'affaires – Teresa,

wiecznie gromadząca zapasy żywności, ceni jego wizyty z powodu kawy, którą regularnie przynosi – i znów nakłania mnie do opuszczenia kraju. Kapitulacja w Afryce Północnej jest według niego jedynie kwestią dni. Wtedy droga do Włoch stanie przed aliantami otworem. Czy oszczędzą Rzym? Mieszkańcy miasta są przekonani, że obroni ich obecność papieża.

Wysłuchałem cierpliwie tego, co miał do powiedzenia, ale wiem, że jestem za stary, aby stąd odejść. Moja biblioteka, wykopaliska; bez pacjentów mógłbym żyć, ale bez Włoch – nie. Tu jest moja ojczyzna. Zostanę i przyjmę, co przyniesie los. No i jeszcze coś; utrzymuję to w tajemnicy nawet przed samym sobą – Maria.

Druga młodość starszego pana? Iluzja? Cokolwiek to jest, daje mi poczucie, że jestem młody, ostatni raz młody i ostatni raz szczęśliwy... Zawsze miałem taką teorię: złudzenia są analgetykami, uśmierzają ból.

*później*

Trzy tygodnie temu byłem u doktora Hartmanna w związku z oczami. Jest on tym, kim ja byłem niegdyś – i chyba dotąd jestem – modnym lekarzem. Poczekalnia jego gabinetu przy Via Po była przepelniona; te same damy z rzymskiego towarzystwa, które przedtem przychodziły do mnie i których stopniowo się pozbywałem. Hartmann przyjął mnie natychmiast. Jego garnitur z surowego jedwabiu przypomniał mi, że dawniej na domowe wizyty u pewnych pacjentów przypinałem do klapy biały goździk...

Hartmann nie żałował czasu. Pogorszył się jednoznacznie stan obojga oczu, zwłaszcza prawego. Mimo to: ciśnienie w oku normalne, żadnych oznak jaskry – nic, co wymagałoby operacji. Przyczyna nie w oku, lecz gdzieś w układzie nerwowym.



– Przypadek dla cudotwórcy, panie kolego, nie dla mnie!

Jego rada: oszczędzać się. Możliwie mało czytać, i to tylko przy świetle dziennym, a jeszcze lepiej znaleźć kogoś, kto by mi czytał na głos. Do pisania używać maszyny. Poza tym uznał moją fizyczną konstytucję za „godną pozazdroszczenia”, jak na sześćdziesięcioczerolatka. Jakbym sam siebie słyszał!

Jeszcze tego samego dnia wyciągnąłem moją starą szwedzką maszynę do pisania. Z początku musiałem szukać każdej litery, teraz idzie już płynniej. Poza tym – mam Marię do czytania na głos; co wieczór, z wyjątkiem sobót i niedziel, przychodzi do mnie na dwie – trzy godziny. Teraz właśnie czekam na nią.

*jeszcze później*

Dlaczego jeszcze jej nie ma? Już pora, żeby przyszła.

Zapisuję, co mi przyjdzie na myśl. Robię długie przerwy, błędę wzrokiem po przedmiotach leżących na biurku: czaszka, stetoskop, bloczek recept. Nie wiem, czemu je wyliczam. Przez całe życie niewiele pisałem. Kartoniki z opisem moich zbiorów archeologicznych, notatki do wydania dzieł Shelleya – i naturalnie recepty. A teraz siedzę tutaj i próbuję uporządkować myśli, ubrać je w słowa. Co z tego będzie? Moja historia? Historia Marii Canossy?

Iluzja jest analgetykiem. Czy to dlatego? Czy po tylu tysiącach recept dla innych piszę teraz kolejną – dla siebie? Receptę na samotność, na wspomnienia, sięgające daleko w głąb czasu, a mimo to wciąż jeszcze bolesne? A więc terapia. Sposób na zabicie czasu i terapia dla mężczyzny, który jest za stary na... Dlaczego tak trudno mi napisać: za stary na miłość?

Toksyny i antytoksyny. To absurdalne, żeby lekarze nie umieli sami sobie pomóc.

A niech tam, będę pisał dalej. Wprawki starszego pana,

który nie ma nic do roboty i nie może w nocy spać.

*Insomnia.* O tym z doktorem Hartmannem nie rozmawiałem. Nie łudzę się, że on o tym nie wie. Dobry lekarz po prostu to widzi. Bezsenność. Miałem wielu podopiecznych, którzy na nią cierpieli, mam ich dotąd. *Insomnia* jest bardzo rozpowszechniona wśród moich niemieckich pacjentów. Nie jest to choroba, na którą się umiera. Ale może człowieka doprowadzić nawet do samobójstwa. W ciągu dnia głowa jest pusta, niezdolna do koncentracji. Nocą zaczyna pracować, nieustannie piętrzy góry myśli. Diagnoza jest jasna. Ale terapia? Maria.

Wkrótce przyjdzie. Usłyszę jej kroki już na dworze, gdy będzie pokonywała kamienne schody Rampa Mignanelli. Zabrzmi dzwonek, Teresa otworzy drzwi. Potem Maria pójdzie do biblioteki leżącej pod moim gabinetem. Na moment zapadnie cisza; będzie się zastanawiała, którą z książek przygotowanych przeze mnie wybrać do czytania.

Usłyszę jej głos. Zamknę oczy i będę jej słuchał, nie zważając na słowa...

Wiatr ucichł. Zasłony już się nie poruszają. Niedługo słońce nad miastem zgaśnie.

Teresa idzie przez pokoje. Opuszcza zaciemniające rolety; odgłosy zdradzają, że czyni to z niechęcią. Często też zapomina o którymś z okien i potem z ulicy dobiega krzyk: „Zgasić światło!”

Teresa pochodzi z Abruzji, gdzie niespecjalnie przejmują się zaciemnieniem. Poza tym jest bogobojną duszyczką i mocno wierzy, że *il papa* uchroni Rzym od wszelkich nieszczęść, a więc także od bomb i samolotów. Teresa ma na każdy problem jakiegoś niebieskiego orędownika. W sprawie moich oczu kompetentna jest, jej zdaniem, święta Łucja. Od kiedy Teresa jest u mnie, próbuje nawrócić niewiernego Szweda, jak mnie za plecami nazywa. Na próżno. Więc funduje co tydzień

jedną świecę, aby święta Łucja pomogła *suedese, chi non crede niente*. To znaczy, przekazuje pieniądze na świece proboszczowi Santa Lucia degli Abruzzi. Wydawałoby się, że wśród ponad czterystu rzymskich kościołów znalazłby się niejeden, gdzie można zapalić świece świętej Łucji, ale Teresa wie chyba najlepiej, co trzeba robić, kiedy od świętego oczekuje się cudu. Jako lekarz przez całe życie zabraniałem sobie wiary w cuda.

Czy teraz mam nadzieję, że cud się zdarzy?

Taki piękny dzień. Tak, z dniami sobie poradzę.

Maria.

Nie zostawiaj mnie samego w ciemności! Daj mi usłyszeć swój głos! Przyjdź i zostań ze mną przez chwilkę!

## 2.

Junkers Lufthansy miał na pokładzie tylko siedmiu pasażerów: sześciu mężczyzn i kobietę. Mężczyźni siedzieli z przodu, pięciu w mundurach, jeden po cywilnemu. Co jakiś czas pojawiał się drugi pilot i zapewniał, że z lądowaniem w Rzymie nie będzie kłopotów, co pasażerowie kwitowali sceptycznym milczeniem. Zbyt długo już kluczyli, wielokrotnie zmieniając ustalony kurs, aby umknąć wrogim myśliwcom.

W samolocie było ciemno, jeśli nie liczyć słabej poświaty z kabiny pilotów. Dochodziła jedenasta wieczór. Lot Berlin – Rzym trwał już dziewięć godzin. Podczas między lądowania w Wenecji trzech pasażerów opuściło pokład samolotu. Nikt nie doszedł.

Kobieta siedziała całkiem z tyłu, w ostatnim rzędzie. Na lotnisku Tempelhof wybrała to miejsce zupełnie instynktownie

i dopiero później uświadomiła sobie, że tym samym posłuchała rady Gianniego. Mawiał, że jeśli się przeżywało zestrzelenie w dużym, ciężkim Ju-52, to raczej siedząc w ogonie.

To, że Lufthansa teraz, w kwietniu 1943, wciąż jeszcze utrzymywała regularne loty do Rzymu, graniczyło z cudem. Kiedy z kliniki zatelefonowała do biura Lufthansy, dzwoniła w ciemno. Jak tonący, który wyciąga rękę...

Lot do Rzymu? W jedną stronę? Na 15 kwietnia? W porządku. To i telegram Gianniego były jak znak. Rzym. Matematyczny punkt przecięcia. Pierwszy promyk nadziei.

Była blondynką. Aż do Wenecji miała na głowie włożony na bakier kapelusik z woalką i rajserem. Kiedy go w końcu zdjęła, widok jej włosów zaskoczył mężczyzn na pokładzie. Blond o miedzianym połysku – *sanguigno*, powiedzieliby Włosi. Jej cera, choć nieomal chorobliwie blada, pozwalała się domyślić, że na słońcu szybko przybrałaby złotawy odcień. Oczy pod nie uregulowanymi brwiami były ciemne, uderzająco wielkie i uderzająco poważne. Usta były piękne, być może najpiękniejsze w niej; stworzone do rozmowy, do uśmiechu. Teraz jednak wargi mocno zaciskały się w napięciu.

Szary, szyty na miarę kostium w prążki i srebrny lis na ramię podkreślały pełną napięcia pozycję. Ciekawe, czy choć raz poruszyła się w fotelu, zastanawiał się drugi pilot. Czy założyła nogę na nogę? Czy choć raz zdjęła z kolan ręce w szarych zamszowych rękawiczkach? Na fotelu obok leżał popelinowy płaszcz – w Berlinie padało i była burza – i szara torebka. Pod jej fotelem stała torba podróżna. Więcej bagażu nie miała.

Sądząc z nazwiska na liście pasażerów, była Niemką. Ale drugiego pilota nie wprowadziło to w błąd. W Wenecji, podczas między lądowania, zaprosił ją na kawę – taki przywilej pilotów. Odmówiła, po włosku.

Nie chciała także kawy zbożowej oferowanej pasażerom ani kanapek. Spacerowała tylko niespokojnie tam i z powrotem. Zniknęła na chwilę w toalecie, wróciła świeżo uczesana i przypudrowana, a potem podjęła na nowo swoją wędrówkę. Podeszła do okienka informacji: kiedy lot będzie kontynuowany? Kiedy znajdą się w Rzymie? Czy o opóźnieniu samolotu poinformuje się osoby oczekujące? *Si, signora!* Poza tym każdy się upewnia wyruszając na lotnisko. W dzisiejszych czasach nikt nie liczy na to, że samolot wylądaje zgodnie z rozkładem.

Czy mógłby pan przekazać wiadomość do biura Lufthansy w Rzymie? Proszę, dla kogo? Gianni Canossa. *Canossa?* Tak. Drugi pilot ponowił swoje zaproszenie, na próżno. Zdeenerwowana, spięta, z kapeluszem w rękę chodziła z jednego końca sali w drugi: od okienka informacji do przeszklonego wyjścia na płytę lotniska. Kiedy wreszcie odlatywali, znów siedziała na swym miejscu w tyle samolotu...

– W Rzymie wszystko w porządku! Za kwadrans będziemy na ziemi. Pogoda wspaniała. Temperatura w południe: dwadzieścia dwa stopnie. – Twarz drugiego pilota w otwartych drzwiach kabiny nosiła ślady zmęczenia. – Tylko dwie i pół godziny opóźnienia. Panowie, starczy czasu na upojną rzymską noc... – Żart nie chwycił, być może dlatego, że w jego głosie, ochryłym po wielu rozmowach ze stacjami naziemnymi, słychać było wielkie zmęczenie.

Samolot skręcił w prawo, zatoczył wielki łuk i zszedł w dół. Kobieta po raz pierwszy zmieniła pozycję. Pochyliła się do przodu, na ile pozwalały pasy, i wyjrzała przez okno. Poza konturami skrzydeł nie mogła w tej ciemności zobaczyć nic. Wiedziała, że teraz muszą być nad morzem. Przez pierwsze godziny lotu wyobrażała sobie tę chwilę wciąż na nowo: rozbłyskująca powierzchnia *Mare Tirreno*. Oślepiająca jasność, gorąca fala światła, która ją ogarnie, wymazując wszystko

– chłód, strach, wszystko, przed czym uciekła. I oto nie było morza. Połyskujące metalem skrzydło. Grające klapki trymerów. Poza tym – ciemność. Przez chwilę nie była nawet pewna, czy to miasto, Rzym, naprawdę istnieje.

*Roma. Roma cara.*

Odżyły wspomnienia. Pomyślała: kiedyś byłam tu szczęśliwa! Chciała zatrzymać tę myśl, ale nie zdołała. Tylko Berlin, tylko to istniało. Noc sprzed czterech dni.

Karetka pędząca z nią do kliniki mimo alarmu i pierwszych bomb. I ona, wijąca się z bólu, gardło palące żywym ogniem od wypitej jodyny. Co ją obchodzą bomby! Marzyła jedynie, by dali jej umrzeć. Klinika. Ręce, które ją trzymają. Gładki czerwony wąż zbliżający się do ust... A potem z wypłukanym żołądkiem, przywiązana do noszy w przeciągach piwnicznego korytarza. Migotliwe światło lampek obrony przeciwlotniczej i eksplodujące na zewnątrz bomby...

Ale kiedyś była szczęśliwa. Próbowwała na powrót wyczarować tę myśl. To szczęście być młodą, mieć jeszcze wszystko przed sobą. Co się stało z dziewczyną, którą kiedyś była? Czy w ogóle jeszcze istniała gdzieś pod gruzami trwającego dziewięć lat małżeństwa? Czy ta pospieszna ucieczka miała jeszcze jakiś sens? A może powracała do Rzymu tylko do popiołów...

Jeszcze raz być szczęśliwą, przez jedną, jedyną chwilę! Dłonią poszukała medalika, który nosiła na delikatnym złotym łańcuszku na szyi. Maryjo z Aracoeli, jutro przyjdę do ciebie. Dam ci świeczkę, dziesięć świeczek, sto – nie, za każdy dzień do końca tego roku jedną świeczkę... to będzie chyba dwieście sześćdziesiąt. Niedużo w zamian za cud...

Gwałtowny zwrot maszyny i medalik wyślizgnął się jej z rąk. Pojawiły się światła – pas do lądowania? – i natychmiast zgasły, gdy tylko koła dotknęły ziemi.

Wibracja była silniejsza niż w powietrzu. Kiedy samolot schodził do lądowania, wtłoczyło ją w fotel. Zastygła w bezruchu, nawet nie odpięła pasów. Dopiero co złożyła Matce Boskiej obietnicę, ale teraz nie potrafiła jej już sobie przypomnieć, zaprzątnięta faktem, że naprawdę wylądowali w Rzymie.

Samolot zatrzymał się gwałtownie. Zamigotało światło, silniki ucichły. Chwila ciszy, a potem głosy mężczyzn, hałaśliwe, nagle radosne po długim intensywnym milczeniu. Sięgali po bagaż podręczny, ciężkie aktówki, kapelusze, płaszcze i wychodzili z samolotu.

Kiedy piloci opuszczali kabinę, kobieta siedziała jeszcze na swoim miejscu. Drugi pilot, zdziwiony, podszedł do niej.

– Mam nadzieję, że nie było aż tak źle? – Włożył już marynarkę, zarzucił jedwabny szalik. Na jego czapce lśnił ptak w locie. Na twarzy pojawił się ciemny cień zarostu.

– Pomogę pani. – Wyjął jej podrózną torbę spod fotela. – Wycieczka wielkanocna?

Przyglądała mu się, jakby odpowiedź wymagała namysłu. Na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech i uczynił ją piękną mimo bladości i napięcia.

– Rzym jest moim domem.

Próbował ocenić jej wiek. Teraz, gdy się uśmiechnęła, pomyślał, że ma około trzydziestki. Zarzuciła prochowiec na ramię. Wskazał na kapelusz, który wciąż jeszcze leżał na siedzeniu. Pokręciła głową i uśmiech powrócił.

– Już dawno miałam zamiar gdzieś go zostawić.

Wzrok pilota powędrował ku jej prawej ręce. Przez rękawiczkę nie mógł dostrzec, czy nosiła obrączkę. Miał słabość do blond Włosek i obrączka by mu nie przeszkadzała. Wręcz przeciwnie. Z mężatkami było dużo mniej komplikacji.

– Czy ktoś po panią wyjdzie? – Od początku rozmawiał z nią po włosku.

– Tak.

– Szkoda.

Podeszli do podłużnego budynku portu. Noc była jasna i ciepła. Spojrzała w niebo i zobaczyła księżyc jak ogromny bladoczerwony mak, przezroczysty, nieważki. Już dawno nie widziała takiego księżycyca...

Dopiero potem zauważyła czołgi, uzbrojonych wartowników, zamaskowane sieciami samoloty, a w oddali sylwetki dział przeciwlotniczych z długimi lufami.

– Ostrożnie! – Gdy wchodzili do budynku, drugi pilot wziął ją na chwilę pod rękę. Na zewnątrz było jaśniej niż tutaj. Ciemnozielone abażury lamp prawie nie przepuszczały światła. Okna były zalepione czarnym papierem.

Weszli do sali odprawy celnej i paszportowej: panująca tam jasność w pierwszej chwili oślepiła. Pasażerowie samolotu Lufthansy byli już odprawieni, tylko cywil wyklócał się jeszcze z włoskim celnikiem.

Drugi pilot postawił na ziemi torbę podróżną, przyłożył szybko rękę do daszka.

– Może innym razem! *Tanti auguri!*

Położyła płaszcz na torbie i wyjęła z torebki paszport w skórzanej okładce. Urzędnik przyjął paszport z pełnym dobrej woli skinieniem głowy, ale gdy go otworzył, twarz mu się zachmurzyła. Kartkował go w tę i z powrotem.

– Nie widzę wizy.

– Ależ musi być.

– Nieaktualna. Nieważna od roku. – Człowiek od kontroli celnej skończył z cywilem. Podszedł do kolegi i wspólnie studiowali dokument. Celnik wskazał palcem na jakieś miejsce, potem podniósł wzrok na kobietę.

– Canossa?

Przytaknęła, nie wiedząc, co jej panięńskie nazwisko ma do rzeczy.



– Niezbyt często spotykane nazwisko. – Celnik badał jej twarz. – Enrico Canossa, lotnik, czy pani jest może z nim spokrewniona?

– To mój ojciec. – Za skórzaną okładką paszportu tkwiła poźółkła fotografia: lotnisko w La Spezii. Dwupłatowiec. Wysoki mężczyzna w lotniczym kombinezonie z długim szalem, w ręku skórzana pilotka i wielkie okulary. Obok niego stoi dziewczynka, nie więcej niż dziesięcioletnia, spogląda ku niemu – to ona sama.

– Pani ojciec, wielki Enrico Canossa!

Sprawiłaby temu człowiekowi radość, pokazując to stare zdjęcie, ale skinęła tylko głową.

– Tak.

– *Il comandante!* Widziałem go, kiedy jeszcze latał. We wrześniu 1920 roku, w Wenecji... Niech pani poczeka... Lecił na SI AI Savoia S 12... z czterołopatowym śmigłem. To był wyścig wokół dwóch balonów. Wygrał te zawody...

Przerwał i szepnął coś koledze. Zobaczyła, że urzędnik zamyka paszport. Zwrócił go jej.

– Musi się pani postarać o wizę.

Schowała paszport i chciała otworzyć torbę. Celnik machnął ręką. Poczula się lżej. W torbie niewiele było rzeczy wartościowych, może poza odziedziczoną biżuterią. Typowa zawartość; każdy w Berlinie miał w pogotowiu taką torbę, którą mógł w jednej chwili chwycić, gdy zaczynały wyć syreny i trzeba było zbiegać do piwnicy: dokumenty, kartki żywnościowe, pieniądze, biżuteria, rzeczy, do których było się przywiązanim. W jej wypadku była to paczka listów od brata, Gianniego – koperty związane wstążeczką, listy na szarym papierze poczty polowej, pomięte i rozpadające się od częstego czytania. To były jej zebrane wspomnienia o Berlinie. Pamiątki dziewięciu lat życia.

Jej mąż wcisnął jeszcze nocną koszulę, parę kapci i saszetkę z przyborami toaletowymi. Dopiero na drugi dzień w

klinice zwróciła uwagę, że dał tę torbę ludziom z Czerwonego Krzyża. Sam wtedy z nią nie pojechał, oczywiście że nie. Nie zadzwonił także do kliniki. W każdym razie nikt jej o tym nie wspomniał. To właśnie ta torba otworzyła jej nagle szansę ucieczki, dawno planowanej, ale wciąż udaremnianej. Torba i wezwanie Gianniego. Nie wróciła już do domu w Spandau... Będzie musiała sobie sprawić nowe ubrania...

Celnik podjął swój hymn na cześć wielkiego lotnika Enrica Canossy. Rekordy szybkości, przeloty na długich trasach, typy samolotów. Towarzyszył jej aż do wahadłowych drzwi. Hala przylotów była jak wymarła... Wyciągnął rękę.

– To zaszczyt dla mnie, poznać córkę *comandante Canossy*.

Z torbą podróżną w lewej ręce i płaszczem przerzuconym przez prawe ramię rozglądała się wokół. Nie zobaczyła niktogo. Okienka Lufthansy i obu linii włoskich, ALI i LATI, były zamknięte. Nad okienkiem informacji paliło się przyćmione światelko, które wkrótce także zgasło. Siwowłosa mężczyzna wyszedł zza kontuaru i skierował się do wyjścia.

Zawołała go. Zatrzymał się; mężczyzna po skończonej służbie wracający do domu.

– O co chodzi?

– Czy nikt tu nie czekał?

Przeczący ruch głową.

– Muszę zdążyć na autobus.

– Miałam być odebrana z lotniska.

– Nikogo tu nie było.

– Czy będzie jeszcze jakiś lot?

– Na pewno nie!

– Czy może ktoś zostawił wiadomość? Wiadomość dla...

– zastanowiła się. – ...dla Marii Canossy.

– Nic nie wiem o żadnej wiadomości. – Jego wzrok powędrował ku zegarowi ściennemu. Wskazywał wpół do

dwunastej. – Jedzie pani do miasta? To ostatni autobus.

– Ależ musiała być jakaś wiadomość.

– Przykro mi...

– Mogę zadzwonić?

– *Signora*, autobus nie będzie czekał! A kiedy pojedzie, ugrzęzną tu na całą noc. I pani także.

– Mogłabym tu dostać taksówkę?

Potrząsnął głową i pospieszył do wyjścia.

Zwlekała jeszcze, ale w końcu poszła za nim. Podróżna torba wydała się jej nagle bardzo ciężka... Płaszcz zsunął się z ramienia, upadł na podłogę. Schyliła się po niego. Kiedy się wyprostowała, kolana jej drżały. Całe dziewięć godzin nie jadła nic, poza odrobiną czekolady, i nie piła nic, poza łykiem wody. Zaszło jej w gardle, czuła się, jakby miała gorączkę. Rozpięta żakiet kostiumu. Nagle zaczął jej przeszkadzać zapach własnego ciała.

Na zewnątrz było jeszcze gorzej. W ciepłym powietrzu zapach stał się nieznośny. Była to jej własna woda kolońska. Za pasek miała zatkniętą skropioną nią chusteczkę. Od lat używała tej wody; zawsze do niej pasowała. Teraz wyciągnęła chusteczkę zza paska spódnicy i wyrzuciła ją.

Muszę sobie dobrać coś nowego, pomyślała, zaraz jutro. Zaskakująca myśl. Jutro. Nowy zapach. Ten pomysł dobrze jej zrobił.

### 3.

Drzwi szarozielonego autobusu już się zamknęły. Zaczęła biec. Nie widziała pasażerów, jedynie ciemne, błyszczące szyby. Pojazd ruszył, a Maria zatrzymała się. Machała ręką, dawała znaki – i stanął znowu. Biały kłęb spalin pojawił się nad kominem wytwornicy gazu drzewnego.

Otworzyły się przednie drzwi i jakaś ręka wyciągnęła się w jej stronę. Spojrzała w uśmiechniętą twarz drugiego pilota; robił wrażenie świeżego i wypoczętego. Widocznie znalazł czas na ogolenie się w jednej z lotniskowych toalet.

- Miło mi panią znowu widzieć!
- Dziękuję.

Szukała w torebce drobnych na bilet, ale był szybszy.

– *Stazione aerea Roma?* – Przytaknęła, a on zapłacił kierowcy. Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że nie ma przy sobie w ogóle włoskich drobnych, jedynie duże nominały w bocznej kieszeni torebki.

Autobus był tak samo pusty jak przedtem samolot. Tylko dwaj piloci Lufthansy, jeden pasażer w cywilu z Berlina, siwowłosa mężczyzna z okienka informacji i dwie kobiety. Celnicy i urzędnicy kontroli paszportowej mieszkali przypuszczalnie w pobliżu lotniska.

Wybrała miejsce za kierowcą i położyła torbę z płaszczem na sąsiednim siedzeniu. Drugi pilot zrozumiał to właściwie. Usiadł w drugim rzędzie, tak że dzieliło ich przejście. Czuła, że ją obserwuje, ale nie reagowała.

W autobusie było gorąco, ale inaczej niż w samolocie. Być może to wpływ słońca, na którym stał przez cały dzień. W Berlinie było mokro i zimno; na lotnisku szalała burza. Musiała z całej siły przytrzymać swój kapelusik i wsiadała do samolotu zziębnięta. Do tego lęk, że w ostatniej chwili coś mogłoby pokrzyżować jej plany...

Kierowca nucił jakąś melodię. Był to prosty, melancholijny, powtarzający się szereg dźwięków. Przywołał inne wspomnienie: ojciec – we fraku jeszcze wyższy niż zwykle – i ona w białej sukience z falbankami w łoży, spoza której obrzeża prawie nic nie widzi. Kochał operę, zwłaszcza Verdiego... To, co nucił kierowca, pochodziło z jakiejś opery Verdiego. „Otello”. Przypomniała sobie też słowa:

*Egli era nato per la sua gloria, io per amar.* „On zrodzony jest do sławy, ja, by kochać go...”

Pochyliła się ku oknu, osłoniła oczy dłonią, aby lepiej widzieć. Jechali w zupełnej ciemności, w zupełnej pustce – jedyny pojazd na szosie. Później na skraju drogi zobaczyła parasolowate kształty pini. Od dzieciństwa były to jej ulubione drzewa. Właściwie dlaczego? Czy z powodu osobliwej formy, szerokiego, osłaniającego dachu, jaki tworzyły ich gałęzie?

Stopniowo ulica ożywała. Odkryła inne samochody. W większości były to pojazdy wojskowe, a tylko z rzadka przełykały osobowe; niemal wyłącznie czarne limuzyny-mercedesy. Raz wyprzedził ich mały, dwuosobowy fiat.

W końcu zobaczyła rozciągające się miasto, a może raczej domyśliła się go w świetle księżyca. Posuwali się wzdłuż rzeki, przejechali przez jakiś most. Wynurzyły się zarysy Kolumneum, Kapitol. Rozpoznawała okolicę! Nie na próżno przez rok oprowadzała obcokrajowców po Rzymie. W bladym świetle księżyca ruiny Forum wydawały się dziwnie ożywione. Chociaż urodziła się w północnych Włoszech, czuła się w pełni rzymianką, a plac rozciągający się w dole był dla niej miejscem, gdzie niegdyś rozstrzygały się losy świata.

– Przepraszam panią... – Drugi pilot zmienił miejsce i usiadł za nią. – Minęła się pani z przyjacielem? Może mógłbym w czymś pomóc? – Wprawdzie powiedziała, że czuje się w Rzymie jak w domu, ale teraz w to powątpiewał. – Hotele będą pewnie przepełnione tuż przed Wielkanocą.

To, że Gianni nie odebrał jej z lotniska, nie wzbudziło niepokoju. Telegram był nadany w Tunisie. Kto wie, czy jej odpowiedź go tam jeszcze zastała. Była wojna, a na wojnie telegramy ginęły, nie było w tym nic szczególnego. Znała adres jego nowego mieszkania; zaproponował, żeby z niego skorzystała, jak długo będzie w Rzymie. Ale nie miała kluczy, w

telegramie nie było o nich mowy. Być może jednak będzie musiała tą pierwszą noc spędzić w hotelu. Drugi pilot zdawał się czytać w jej myślach.

– My, piloci, nocujemy w Grand Hotelu. Wierne, porządne pudło, jak nasz junkers. Dzielnie się dotąd opierał wojnie. Świetny bar, zawsze dla nas otwarty, dobra orkiestra. Włosi – rzewni, ale dobrzy. – Nie dał się zwieść jej milczeniu. – No i co? Gdyby pani miała ochotę, moglibyśmy coś wypić, zatańczyć. O ile sprawiłoby to pani przyjemność...

Święta Mario z Aracoeli! – pomyślała. Czy na taką wyglądam? Taką, którą można łatwo mieć? Odwróciła się na siedzeniu i spróbowała się uśmiechnąć, tylko po to, żeby nie zauważył, co czuje naprawdę.

– Nie, dziękuję. Dam sobie radę. – Zawsze istniała możliwość, że Gianni czeka na nią przy terminalu na Via Giovanni Giolitti, bo zabrakło czasu, aby wyjechać na lotnisko. Ciekawe, czy miał jeszcze swojego fiata topolino?

– ...po dziewięciogodzinnym locie i tak nie można od razu zasnąć... Tak tylko zapytałem. Chyba mnie pani źle nie zrozumiała?

– Nie, nie. Wcale nie. – Stawiała sobie pytanie, czy tak będzie wyglądało jej życie w przyszłości: przypadkowe znajomości, na jedną lub dwie noce, na czas urlopu; krótkie, przelotne wojenne miłości.

No cóż – była już raz taka dziwna, zaledwie rozkwitła, a już zakończona wojenna przygoda. Jedyne błęd w jej małżeństwie... Czy to właśnie ją czekało? Wciąż od nowa? Czy tego właśnie potrzebowała – przygody? Nie, życzyła sobie tylko jednego: chciała być sama! Tylko tego potrzebowała – samotności i snu. Snu bez weronału, który miała przy sobie w torebce, snu bez marzeń – i bez lęków.

Zauważyła, że byli już na Piazza del Cinquecento, wielkim placu przed Stazione Termini. Ale czy był to rzeczywiście ten

sam plac? We wspomnieniach zachowała piekielny kocioł panujący tu za dnia i miogtliwą karuzelę samochodów wieczorem. Teraz to miejsce było ciche, ciemne, wymarłe. Nie plac, a błada, ostygła planeta.

Gdzie się podziiali ludzie, którzy o tej porze wychodzili z pobliskiej opery i z restauracji, pary w eleganckich wieczorowych strojach? Gdzie chłopcy, urządzający na rowerach szaleńcze wyścigi wokół placu? Pojedyncze postacie, obciążone ciężkim bagażem, spieszące ku głównemu wejściu na dworzec, pogłębiały jeszcze wrażenie opuszczenia. Kiedy po raz pierwszy przyjechała do Rzymu, dworzec ją rozczarował; wyglądał tak prowincjonalnie. Teraz, z potężnymi kamiennymi kolumnami przy bocznych frontonach, które kazał dodać Mussolini, podobał się jej jeszcze mniej.

Autobus skręcił w ulicę na prawo od Stazione Termini. Przy terminalu nikt na nią nie czekał. Stał tam rząd zaparkowanych na noc autobusów. Jak okiem sięgnąć żadnej taksówki, ale w pobliżu usłyszała stukot kopyt: Gianni pisał w ostatnim liście z Rzymu, że wprawdzie brak taksówek, ale za to pojawia się coraz więcej konnych dorożek. Dziwiła się wtedy: czyżby łatwiej było o paszę dla koni niż o benzynę?

– No, co? Może jednak pójdzie pani z nami? – Obaj piloci stali obok niej na chodniku z małymi neserami w ręku. Kapitan był starszy, około pięćdziesiątki, z twarzą zamkniętą i surową. Jeśli już, to właśnie on bardziej by się jej podobał, ale zdawał się być myślami daleko stąd.

– W Grandzie znajdzie się zawsze jakiś pokój, jak ładnie poprosimy. Jesteśmy stałymi gośćmi, zostawiamy tam masę lirów.

Był naprawdę uparty. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że się uśmiecha.

– Pan jest naprawdę uparty. – Skinęła na dorożkę skręcającą w Via Giovanni Giolitti.

– Nie potrzebuje pani dorożki. – Wskazał w kierunku Piazza Esedra. – Do Grandu stąd tylko parę kroków.

Sylwetka Fontanny Najad w świetle księżyca. Ale gdzie się podziały drzewa?

Dopiero teraz przypomniała sobie, że prawie wszystkie drzewa przed Termami Dioklecjana ścięto i spalono. O tym także doniósł Gianni w jednym ze swoich listów. Długo nie było jej w Rzymie, za długo.

Stukot kopyt przybliżył się. Koń był niemiłosiernie chudy, podobnie jak mężczyzna na koźle. Zobaczywszy obu pilotów w stalowych mundurach, potrząsnął głową.

– Skończyłem na dzisiaj. – Dla niego w Rzymie było stanowczo za dużo Niemców, we wszelkich możliwych mundurach.

– Ale chyba nie dla mnie? – Maria odezwała się szerokim dialektem robotniczej dzielnicy San Lorenzo.

– Nie, dla pani nie. Dokąd jedziemy?

Drugi pilot wreszcie się poddał. Życzył jej dobrej nocy i poszedł za kapitanem, który ruszył wcześniej. Woźnica popatrzył w ślad za nimi.

– Niemcy. – Nie powiedział nic więcej. Wsiadła do dorożki.

– Piloci. Lufthansa.

Potrząsnął głową.

– Bez różnicy. To dokąd, *signora*?

Przyszła jej na myśl Briga; Briga, która pochodziła z San Lorenzo i która dla żartu mówiła dialektem swej młodości. Ale Brigę straciła z oczu. Jak wszystkich. Pensjonat, w którym mieszkała razem z Giannim po przyjeździe do Rzymu? Powyżej Trinità dei Monti, ze wspaniałym widokiem na miasto. Ale nie mogła sobie przypomnieć ani nazwy pensjonatu, ani ulicy. Straciła z oczu Rzym.

Woźnica czekał. Wyjęła z torebki telegram Gianniego i podała adres:

– Via dei Soldati.



#### 4.

Była to wąska, kręta uliczka w jednej z najstarszych dzielnic Rzymu. Leżała tuż nad Tybrem, tam gdzie rzeka zatacza dużą pętlę, a po drugiej stronie wznosi się zamek Świętego Anioła.

Nigdy przedtem nie była na tej ulicy; w każdym razie nie mogła sobie tego przypomnieć. Piazza Navona stanowił zawsze granicę.

Ileż lemoniad tam wypita! Przygotowywał je osobiście właściciel jej ulubionej kawiarenki, dodając odrobinę więcej cytryny i nieco więcej cukru niż dostawali zwykli klienci.

Woźnica starał się utrzymać swój zaprzęg pośrodku między starymi, wysokimi domami. Kiedy w końcu ściągnął cugle, niemal nie było miejsca na otwarcie drzwiczek.

Spojrzał najpierw na dom, potem na nią.

– To chyba tu?

– Dwadzieścia dziewięć. – W ciemności nie mogła dojrzeć tablicy z numerem domu. Woźnica namacał latarkę leżącą obok na koźle. Niewiele to pomogło; bateria była chyba prawie całkiem zużyta, a resztę światła i tak pochłaniał niebieski filtr zaciemniający.

Na ścianie domu widniały dwa numery: dwadzieścia dziewięć i trzydzieści. Tynk był brudny i w wielu miejscach odpadł. Nie mieściło jej się w głowie, że Gianni mieszka w takim budynku. Gianni, który tak dużą wagę przywiązywał do wyglądu zewnętrznego! On, który jak na mężczyznę był wręcz nadmiernie próżny. Jakże często wyśmiewała jego szyte na miarę mundury lotnika i spinki do mankietów, z szarą perłą w otoczeniu raucików noszone do galowego uniformu.

– Mógłby pan poczekać? – Przepisnęła się przez półotwarte drzwiczki. Pod cienkimi podeszwami butów czuła kocie łby. Na końcu uliczki, zaledwie kilka domów dalej, były schodki prowadzące na Lungotevere Marzio, nadtybrzański bulwar. Wzięła torbę podróżną i płaszcz. – Być może będziemy musieli pojechać dalej. Czy mogę zapłacić później?

– A jak pani po prostu zniknie?

– Jakżebym mogła?

– Z tymi domami nigdy nic nie wiadomo.

– Więc zostawię torbę.

– Nie myślałem tego poważnie. – Podniósł rękę z latarką, aby jej poświecić. W niebieskawej poświacie, w łuku nad drzwiami wejściowymi ukazała się krata z herbem przedstawiającym słońce. W niepewnym świetle blacha połyskiwała starym złotem, można też było wyraźnie rozpoznać ludzkie rysy wyżłobione w metalu. Była to zagniewana twarz mężczyzny. Krata i herb były z pewnością równie stare jak dom, o ile nie dużo starsze.

Powietrze w sieni miało ostry zapach starych lochów. Kamienne schody wiodły w górę. Maria odnalazła wyłącznik. W skąpym świetle samotnej żarówki odkryła skrzynki na listy, cały rząd. Na jednej z nich widniało nazwisko G. CANOSSA. Była pusta.

W domu panowała cisza. Wydawał się nie zamieszkanym, mimo skrzynek na listy. Inne domy, które mijali na Via dei Soldati, robiły tak samo wymarłe wrażenie. Spuszczone zardzewiałe żelazne żaluzje, małe warsztaty rzemieślnicze, składki wina, wody mineralnej, oleju z oliwek. Czy otwierano je w dzień? Na początku ulicy widziała kino, teraz zamknięte, ale oklejone plakatami jakiegoś starego niemieckiego filmu.

Kiedy wchodziła na schody, wokół panowała cisza. Jedy-  
nym odgłosem były jej własne kroki. Nie wiedziała, na którym piętrze znajduje się mieszkanie Gianniego, więc czytała

nazwiska na drzwiach. Światło na schodach zgasło. Dalszą drogę pokonywała po omacku. Nagle poczuła pod stopami coś miękkiego zamiast kamiennej posadzki. Poszukała kontaktu.

Stała na najwyższym piętrze. Podłoga wyłożona była dywanem, a ściany świeżo otynkowane. Znajdowały się tu tylko jedne drzwi – pomalowane na ciemnozielono, z nową, mosiężną klamką i okuciem wokół zamka. Na lśniącej mosiądzu tabliczce wygrawerowane było nazwisko Gianniego. Zamiast dzwonka wisiała kołatka w kształcie miniaturowej ręki z brązu.

Za drzwiami słyszała męskie głosy. Uderzyła kołatką o drzwi. Światło znowu zgasło. Głosy zamilkły.

Stała w ciemnościach i czekała. Za drzwiami nie było słychać żadnego ruchu. Chciała ponownie unieść kołatkę, gdy nagle usłyszała szmer za drzwiami, a potem pytanie: – Kto tam?

Nie był to głos Gianniego, mimo to odpowiedziała, jakby to on stał po drugiej stronie.

– To ja, Maria!

– Kto?

– Maria. Maria... – zająknęła się. Czy rzeczywiście chciała powiedzieć Maria Canossa? Od dziewięciu lat nosiła inne nazwisko, nosiłaby je też po rozwodzie. Muszę to zmienić, pomyślała. Od razu jutro się tym zajmę. Maria Canossa – to było właściwe dla niej nazwisko, to była ona. Nigdy go już nie oddam, nigdy...

Drzwi się otworzyły. Oślepiło ją jasne światło. Przed nią stał obcy mężczyzna, wyższy od Gianniego. W rękę trzymał papierosa. Wydawał się tak samo zaskoczony, jak ona.

– Gdzie jest Gianni?

– Pani wybacz. – Przeniósł papierosa do drugiej ręki. – Marco Varelli. – Jego głos był ciemniejszy niż Gianniego, lekko ochrypły.

- Gianniego nie ma?
  - Niech pani wejdzie... Proszę mi dać torbę!
- Zwlekąca jeszcze.
- Przyjechałam dorożką. Muszę zapłacić dorożkarzowi.
  - Proszę najpierw wejść! Załatwię to za panią. Ma pani jeszcze jakiś bagaż?

Potrząsnęła głową.

- Gianni nie miał czasu mnie odebrać?
- Zaraz wracam.

Rozejrzała się po pokoju, do którego została wprowadzona. Wszędzie paliły się lampy. Największa jasność była jednak od gąbłoty na końcu pokoju. Sięgała od podłogi do sufitu. Na szklanych półkach, oświetlone z boku, znajdowały się małe przedmioty. Podłogę pokrywał jasny dywan. Meble były po części nowoczesne, po części stare, ale wyłącznie drogie. Najpierw zaskoczył ją stan budynku, w tej chwili luksus mieszkania.

Gdy wrócił, stała wciąż w tym samym miejscu na środku pokoju. Dopiero teraz przyjrzała mu się dokładniej. Jego twarz była ogorzala, włosy ciemne, zaczesane do tyłu gładko, bez przedziałka. Czy rzeczywiście słyszała przedtem dwa męskie głosy? Była zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać. Zbyt zmęczona, by zapytać tego obcego, dlaczego on tu jest, a Gianniego nie ma.

– Mogę umyć ręce? – Ściągała rękawiczki z palców. Nie nosiła już obrączki, a mimo to wydawało jej się, że wciąż jeszcze jest na swoim miejscu, widoczna dla każdego.

– Tam. Pokażę pani. – Wziął torbę podróżną i płaszcz.

Musieli przejść obok oświetlonej szklanej gąbłoty; małe przedmioty okazały się modelami samolotów. Otworzył drzwi, których przedtem nie zauważyła. Wszedł pierwszy i zapalił lampy po obu stronach łóżka. Otworzył drzwi do łazienki i tam także zapalił światło.

- Może zrobić pani kawy?
- Poproszę... i jeśli mogłabym dostać coś do jedzenia?

Gdy została sama, ogarnęło ją nagle poczucie nierealności sytuacji. Dwa lakierowane na czerwono abażury na chińskich wazach obok szerokiego łóżka; brązowa podłoga, tapety z brązowego materiału, zasłony w tym samym kolorze. Jej oczy rejestrowały to wszystko, ale nie wiedziała, co począć z tymi wrażeniami. Wszystko było obce, sama sobie wydawała się obca. Na krześle leżała jej torba i jej płaszcz. Ale dlaczego się tutaj znajdowała?

Otworzyła szafę w ścianie. Dwa jasne garnitury, smoking z białą marynarką, mundur. Szaroniebieska barwa włoskiego lotnictwa.

Odsunęła pozostałe wieszaki i ujrzała na marynarce szeroki pas baretek. Gianni zgromadził prawie wszystkie odznaczenia, jakie były dostępne dla lotnika. Pisały o nim gazety, a opinii publicznej był tak samo znany, jak niegdyś ojciec. Czasami bała się, że również zginie jak ojciec. Strach, który ją przesła-dował nawet w snach, w złych snach: Gianni spadający z pre-stworzy, Gianni w płonącej maszynie...

Zdjęła zakiet od kostiumu, otworzyła torbę. Weszła do łazienki i wtedy, przed lustrem, nagle znalazła się u kresu sił. Musiała oburącz chwycić umywalkę, żeby się utrzymać na nogach. Od piętnastu godzin była w podróży. Dwa dni leżała w szpitalu, no a przed trzema dniami omal nie umarła.

Odkręciła wodę, ale nie była w stanie umyć rąk, czy choćby przełknąć łyk. W nogach czuła taką słabość, jakby całą tę drogę do Rzymu przebyła pieszo. Ta myśl przywróciła jej po części opanowanie.

Umyła ręce, twarz, wypila łyk zimnej wody. Wzięła puderniczkę, otworzyła ją i pomyślała: beznadziejnie!

To było naprawdę najgorsze – twarz kobiety, która patrzyła na nią z lusterka. Nie mogła znieść tych nieszczęśliwych oczu;

przypomniały jej wszystko, o czym chciała zapomnieć.

Zapomnieć. Zasnąć. Puderniczka wyslizgnęła się jej z rąk, lusterko rozbiło o kamienną posadzkę. Ale ona nie słyszała już dźwięku rozpryskującego się szkła.

## 5.

Kawa dobrze jej zrobiła. A co jeszcze bardziej zdumiewające, jadła z prawdziwie wilczym apetytem. Przez ostatnie tygodnie tak naprawdę nie chciało jej się jeść. Najdziwniejsze jednak było to, że siedziała naprzeciw obcego mężczyzny, a mimo to czuła się zupełnie swobodnie.

Zrobiło się jej ciemno przed oczyma, zasłabła. Tak ją zastał; w stanie, w jakim żadna kobieta nie chciałaby być oglądana przez mężczyznę. A jednak nie czuła się w jego obecności spięta, jakby istniała między nimi jakaś tajemnicza zażyłość. A może to tylko ten pokój? Albo fakt, że w końcu naprawdę znalazła się w Rzymie?

– Jeszcze kawy?

– Poproszę. – Lekarz powiedział: nic gorącego. Żadnej kawy, żadnego alkoholu przez osiem dni. Spalone gardło bolało, ale piła mimo to. Siedziała na miękkiej sofie. Gablota z modelami samolotów nie była już oświetlona. Pokój robił wrażenie mniejszego i przytulniejszego.

– Lepiej się pani czuje?

– Tak. – Upiła łyk kawy. Nie włożyła z powrotem żakietu, miała na sobie tylko fioletową jedwabną bluzkę. Oba górne guziki były odpięte i kiedy pochylała się do przodu, łańcuszek z medalikiem wysuwał się spod bluzki. Za każdym razem wkładała go z powrotem, nie uświadamiając sobie, co robi. On jednak to zauważał.

– Pani ręce były lodowate.

– Nie miał pan okazji dotykać ich w Berlinie! – Czy to ona tak odpowiadała, czy to ona się śmiała? – Już nie wiem, kiedy ostatnio piłam tak dobrą kawę. To znaczy, kawę po włosku. – Nawet w ambasadzie włoskiej w Berlinie nie była tak dobra. A i tak zapraszano ich tam tylko dwa razy do roku: na obchody urodzin Mussoliniego i w październiku, w rocznicę „marszu na Rzym”. Ale o tym nie chciała myśleć, a co dopiero mówić.

Popatrzyła na niego ponad niskim marmurowym stolikiem.

– Nazwisko, które pan poprzednio wymienił...

– Marco Varelli.

Mgliste wspomnienie przemknęło jej przez głowę – jakiś park, jasny dźwięk uderzających o siebie kul do krokieta. Ale nie potrafiła połączyć tego wspomnienia z obcym mężczyzną.

– Czy powinnam pana pamiętać?

– Prawdopodobnie minęło zbyt dużo czasu.

– Jak dużo?

– Wieczność.

– Naprawdę tak długo?

– W każdym razie wieki. – Zapalił nowego papierosa. Popielniczka przed nim była pełna. Maria nie paliła od czasu ciąży. Dziwne, że dym jej nie przeszkadzał. Był słodkawy.

– To dobrze znać kogoś całe wieki.

Nie odpowiedział i miała wrażenie, że jego twarz stała się jeszcze bardziej zamknięta, o ile to w ogóle było możliwe. Obserwowała go poprzez dym z papierosa.

Miał jedną z tych rzymskich męskich twarzy, które właściwie zawsze ją irytowały. Stwarzały pozory otwartości, ale w istocie były całkowicie zamknięte. Nie oferowały patrzącemu nic poza powierzchnią, gładką, chłodną fasadą. Kiedy się uśmiechały, dystans jeszcze się zwiększał. Dystans ćwiczony przez wiele pokoleń, pielęgnowany przywilejem arystokratów. Jego uczuć nie zdradzały nawet ciemne, prawie czarne, oczy o gęstych rzęsach.

- A Gianni – jego też zna pan od wieków?
- Musiał być starszy od Gianniego. Jej brat miał trzydzieści osiem lat, prawie o pięć więcej niż ona.
- Tak, można to tak ująć. Lataliśmy kiedyś razem.
- Zawody?
- Poczta. W Afryce Północnej.
- Więc znacie się już tak dawno? – Wróciło zmęczenie, ale innego rodzaju. Najchętniej zsunęłaby buty, wyciągnęła się wygodnie na sofie – z poduszką pod głową – i rozmawiałaby z nim bez końca o dobrych, szczęśliwych czasach.
- Wciąż jeszcze lata pan z pocztą? – Pomyślała o tym z powodu jego ubrania. Do arystokratycznej twarzy pasowałby ciemny wieczorowy garnitur, a nosił wygniecione bawełniane spodnie z szarzielonego diagonalu i rozpiętą koszulę tego samego koloru.
- O, nie!
- To mieszkanie... – Rozejrzała się po pokoju. Dwa, trzy meble pochodziły z mieszkania rodziców. Reszta była nowa, kosztowna. Pomyślała o łazience wyłożonej różowawym marmurem. – Czy podpułkownik włoskiego lotnictwa może sobie pozwolić na coś takiego?
- Niech pani posłucha...
- Czy Gianni sam je urządził? Wie pan, jak wyglądało jego poprzednie mieszkanie? Po trzech latach wciąż było prowizorką. Tutaj wszystko jest takie... perfekcyjne.
- Zdjąłem z niego część pracy, zaangażowałem rzemieślników, zadbałem o meble.
- Tym się pan zajmuje? Projektowaniem wnętrz?
- Nie. W każdym razie nie profesjonalnie. – Uśmiechnął się, ale jego ciemne oczy nie brały w tym udziału.
- Nie całkiem prawdziwy lotnik, nieprawdziwy projektant. W ogóle nie jestem prawdziwy, proszę pani. Jestem



Varelli. Może mi to wystarczy.

- Mogę obejrzeć mieszkanie? – Wstała.
- Właściwie wszystko już pani widziała.

Wstał ociągając się. Po raz pierwszy zauważyła, że coś jest nie w porządku z jego lewą nogą. Nie rzucało się to w oczy, jedynie pewna sztywność, jakby nie mógł porządnie zginać kolana. Czy dlatego nie był w wojsku? Dziwny człowiek, pomyślała, inny niż mężczyźni, których знаła dotychczas.

W gruncie rzeczy naprawdę wszystko już obejrzała – sypialnię Gianniego, łazienkę, salon. Była jeszcze kuchnia, także całkiem nowa. Korytarz obok kuchni kończył się na jakichś drzwiach.

- A to?
- Drugie mieszkanie, takie samo jak to, tylko nie urządzone.

Pomyślała o uwadze dorożkarza.

- Z osobnym wejściem?

Nie odpowiadając podszedł do drzwi. Teraz wyraźnie było widać, jak powłóczy lewą nogą. Rozsunął do połowy zasłonę zakrywającą drzwi i otworzył je, zapalił światło i zobaczyła puste pomieszczenie o nie otynkowanych ścianach.

- Wystarczy?

Tym razem nie odpowiedziała ona, zirytowana jego tonem, w którym nagle zaczęła pobrzmiwać wrogość. Wrócili do salonu. Usiadła na powrót na sofie. On stał.

– Pani brat wynajął dodatkowo te pomieszczenia, żeby z czasem powiększyć mieszkanie. Miał plany... – Wyjął przedtem klucz z zamka, a teraz upuścił go na płaską ceramiczną miseczkę stojącą na stole. Oczekiwała twardego stuknięcia, ale prawie nic nie usłyszała – dopiero teraz to zauważyła – miska wypełniona była nie otwartymi listami.

Wtedy powiedział bez żadnego ostrzeżenia:

– Gianni nie żyje. – I jakby chcąc się jeszcze upewnić, że go zrozumiała, powtórzył:

– Pani brat, Gianni, nie żyje. – Być może czekał z tym zbyt długo, za bardzo zwlekał z tą wiadomością, więc teraz mógł to powiedzieć tylko tak brutalnie.

Ale czy ona go w ogóle pojęła? Wpatrywała się w miszkę z pocztą. Medalik leżał na bluzce. Widział go i widział też zarys jej zaskakująco pełnych piersi. Absurdalna wrogość, jaką wobec niej odczuwał, jeszcze się pogłębiła. Opróżnił dzisiaj skrzynkę na listy należącą do Gianniego i znalazł tam także list od niej sprzed dziesięciu dni, z Berlina. Szary papier, fioletowy atrament, zamaszyste pismo. Dlaczego nic nie mówiła? Po co w ogóle tu przyjechała! Zaraz podniesie na niego wzrok...

– Gianni... Co się stało? Jak to – nie żyje?

– Mężczyźni giną na wojnie.

Wpatrywała się w niego. Nie znajdowała w jego twarzy żadnej pociechy, nawet współczucia, tylko chłód i wrogość. A może ta twarda linia wokół ust była jednak uśmiechem? To niemożliwe. Może to wszystko nieprawda? Nie wie, co mówi. Chce ją zranić. Mężczyźni zawsze chcieli ją ranić, ale nie Gianni. Zawsze był na jej skinienie, zawsze mogła się do niego zwrócić. Mogła się wtulić w jego ramiona, wypłakać, wyzalić, a potem było już dobrze. Potrzebowała Gianniego, potrzebowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek... A może to jeden z tych złych snów? Długi lot do Rzymu, Via dei Soldati, ten mężczyzna. To wszystko jest tylko snem. Była jeszcze w Berlinie, w szpitalu. Podróż miała jeszcze przed sobą...

Przysunęła do siebie torebkę. Wyjęła z niej telegram przysłany przez Gianniego z Tunisu.

– Miał mnie odebrać z lotniska. – Łzy stanęły jej w oczach.

Oczekiwał łez, ale nie takich. Płakała bezgłośnie, nawet bez stłumionego łkania. Jak gdyby nie oddychała. Tylko mężczyźni tak płaczą; z kamienną twarzą. Mężczyźni na dnie

rozpaczy, na granicy życia i śmierci, albo z bezsilnej nienawiści – jak on sam dziś rano, gdy stał w Ciampino nad zwłokami Gianniego.

Byłoby mu lżej, gdyby płakała jak kobieta – rozpaczliwie, histerycznie, po prostu byłaby to naturalna reakcja; nie musiałby wówczas więcej o niej myśleć.

Teraz zaś stał tutaj i obserwował ją z góry. Było w tym coś niedozwolonego, a jednak nie mógł się powstrzymać. Coś go fascynowało w tej milczącej postaci.

Gianni często o niej mówił. Znał ją ze zdjęć: na żadnym się nie śmiała. Piękne oczy, w ogóle piękna kobieta, ale zbyt poważna. Nie interesowały go takie kobiety, teraz jeszcze mniej niż dawniej. Piękna kobieta, która nie potrafi się śmiać – to go do niej uprzedziło. To i oczywiście fakt, że wyszła za Niemca.

A jednak była inna, niż sobie wyobrażał. Spoglądał na jej pochyloną głowę i czuł się jak wtedy, przed wielu laty w parku u rodziców, gdy złotowłosa dziewczynka przyniosła mu kulę do krokiet. Nie słyszał kroków. Nagle stanęła koło jego wózka i wyciągnęła rękę z kulą. Podziękował i spytał, jak się nazywa. Maria Canossa. Chciał ją pogłaskać po złotych lokach, ale w tej samej chwili odbiegła...

Podszedł do niej od tyłu, położył rękę na ramieniu. Poczuł jedwab bluzki – a może to jej skóra była taka gładka?

Zamarła w bezruchu. Mijały tak sekundy, minuty. Może teraz się rozpłacze? Jego ręka trafiła w próżnię, gdy nagle wstała. Podeszła do gabloty i poszukała przełącznika. Rozbłysło światło. Stanęła, oślepiona jasnością.

– Kiedy to się stało? – Spokojnie, trzeźwo skierowała na niego wzrok.

– Wczoraj.

– Wczoraj? – Dlaczego tego nie przeczuła? Zawsze wierzyła, że będzie wiedziała, kiedy Gianniemu coś się stanie,

niezależnie od tego, jak daleko będą od siebie. Ale nawet tu, w tym mieszkaniu, niczego nie odczuwała.

– Wczoraj późnym popołudniem miał wylądować w Ciampino. Umówiliśmy się...

– Niech mi pan po prostu powie, jak to się stało?

– Lecieli z Tunisu, w trzy samoloty. Przed Pantelleria – to takie miejsce na Morzu Śródziemnym, szczególnie niebezpieczne z powodu bliskości...

– Proszę.

– Tuż przed Pantelleria, nad morzem, zostali zaatakowani, Gianniego zestrzelili. Mieli przeciw sobie sześć samolotów wroga.

– Zestrzelili? Gianniego? – Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. – Czy to na pewno był jego samolot? – Podeszła do niego przez całą długość pokoju.

– Na pewno. Mógł jeszcze wyskoczyć, ale był zbyt ciężko ranny. Kiedy go wyciągali z wody, już nie żył. Trałowiec, który na szczęście operował w pobliżu miejsca zatonięcia...

– Na szczęście?

– No, nie... Zawieźli go na Pantellerię. Stamtąd samolotem do Ciampino. To było dziś rano. To znaczy, jego ciało.

– Pan tam był. Widział pan Gianniego?

– Tak, byłem. Pogrzeb odbędzie się pojutrze. Wojskowy, z... – znów mu przerwała.

– Pogrzeb wojskowy? – Kiedy Gianni rozmawiał o śmierci, jeszcze przed wojną, podkreślał zawsze: Pamiętaj, Mario, gdyby mi się coś stało, to chciałbym, żeby było jak z ojcem! – Prochy ojca rozsypali nad Zatoką Genueską koło La Spezii, a Gianni życzył sobie, żeby jego rozsypać nad Rzymem.

– Gianni chciał, żeby jego prochy rozsypano nad Rzymem.

– Na to się nie zgodzą.

Machnęła gwałtownie rękami.

– Ale żeby zginął, na to się zgodzili! Nawet umarłemu nie mogą spełnić życzenia? Zawsze myślałam, że przynajmniej po śmierci spełnią się nasze życzenia. Za życia – to byłoby zbyt wiele, prawda? Od życia nie należy oczekiwać zbyt wiele. Ale jak się już umrze – jakie są wtedy powody, żeby odmówić spełnienia życzeń?

Zastanawiał się, czy ona jeszcze mówi o Giannim.

– Podpułkownik Gianni Cannosa był bohaterem, lotnikiem z dwudziestoma trzema zestrzeleniami. Chcą go pochować jak bohatera. Potrzebują bohaterów, bardziej niż kiedykolwiek... Napije się pani czegoś?

Poszedł do kuchni, nie czekając na odpowiedź. Sam potrzebował czegoś mocniejszego. Nalał dwa kieliszki. Stock boleśnie palił ją w gardle. Potrząsnęła głową, gdy chciał ponownie napełnić jej kieliszek. Źle znosiła połączenie alkoholu z weronalem. A będzie musiała go zażyć, chociaż obiecała sobie skończyć z tym w Rzymie.

Śmierć Gianniego stopniowo zaczynała do niej docierać. Jeszcze się broniła, nie chciała tak po prostu w to uwierzyć, ale prawda była silniejsza. Chciała być sama, gdy zjawi się ból.

– Gianni – czy jego ciało jest w Ciampino? – Znała to lotnisko. Była tam parę razy na początku wojny w Afryce.

– Niech pani posłucha, jeśli pani chce, żebym...

– Gdzie odbędzie się pogrzeb?

– W pobliżu Frattocchie. Zawiadomią panią. Podobnie jak pani matkę.

O tym do tej pory w ogóle nie pomyślała. Będzie musiała do niej zadzwonić. Ale nie dzisiaj, nie, już nie dzisiaj. Może udałoby się jej uporać z własnym bólem, ale na pewno nie z reakcją matki, hałaśliwą i niepohamowaną...

– Jest tam nowy cmentarz, powyżej Via Appia...

Nie słuchała go.

Czuła na sobie jego wzrok. Nieustannie ją obserwował. Zawsze była dumna ze swej umiejętności skrywania uczuć. Śmierć Gianniego zaskoczyła ją, kiedy była zupełnie bezbronna. A może nigdy nie umiałaby grać komedii wobec tego mężczyzny? Marco Varelli. Dlaczego Gianni nigdy nie wspomniał tego nazwiska? Poza nim znała wszystkich jego przyjaciół. Oczy powędrowały po salonie i już wiedziała, o co go chciała zapytać. Ale uprzedził ją:

– Dziwi się pani, dlaczego tu jestem?

– Skoro pan wiedział, że Gianni chciał mnie odebrać z lotniska... Tak pan przecież powiedział, prawda?

Wziął kolejnego papierosa, obracał go w palcach, potem włożył z powrotem do paczki.

– Tak, wiedziałem, że pani ma przyjechać dziś wieczorem. Ale, prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że pani tutaj trafi.

– Jak to – nie spodziewał się pan? – Kiedy wypowiadała te słowa, zdawało się jej, że wie, o co mu chodzi.

– Myślał pan, że pod nieobecność Gianniego, bez kluczy, pójde do hotelu. Wiedział pan, że nie mam kluczy?

– Właśnie. Myślałem, że zostanie mi dość czasu, żeby zniknąć. – Nagle jego głos ponownie stwardniał.

– A jak dowiedziałabym się o śmierci Gianniego?

– Gazety zamieszczają codziennie listy poległych.

– Jego twarz nie zdradzała niczego, była jak maska, jak głaz.

– Pan to mówi poważnie?

– A cóż to za różnica? Czy byłoby to dla pani mniej tragiczne?

– Może i ma pan rację.

– Poza tym, jak mówiłem, zawiadomiono by panią... Czas już na mnie.

Odruchowo chciał wynieść tacę z naczyniami i brandy, ale mu przeszkodziła:

– Niech pan zostawi. Zrobię to potem. – Przypuszczała, że jest kawalerem albo przynajmniej mieszka samotnie; inaczej nie pomyślałby o sprzątaniu ze stołu.

– W kuchni znajdzie pani dość zapasów na pierwsze dni... łącznie z kawą.

– Dziękuję.

Wskazał na okna.

– Jak pani będzie wietrzyła, proszę uważać na światło.

– Przyjechałam z Berlina.

– Zostanie pani w Rzymie dłużej?

Co miała na to odpowiedzieć, teraz, kiedy śmierć Gianniego zmieniła wszystko. Powrót do Rzymu od lat był jej celem, jej nadzieją... Teraz trzeba było najpierw przetrwać tę noc. Ale odpowiedziała:

– Zostaję na zawsze.

– Ach tak. – Wyszedł do przedpokoju. Na podłodze stała stara, odrapana fibrowa walizka. Na wieszaku wisiała jego kurtka. Z kieszeni wyjął klucz na kółku.

– Są trzy klucze do tego mieszkania. Jeden jest w drzwiach, to jest drugi. Gianni miał trzeci. Przypuszczalnie będzie jego rzeczach.

Cały czas czekała na chwilę, gdy będzie sama, teraz jednak bała się pustki tego mieszkania.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie – skąd się pan tu wziął.

– Mieliśmy taką umowę. Gianni i ja. Kiedy go nie było, mogłem korzystać z mieszkania. Czy mam ten klucz zostawić tutaj? – Wskazał na mały, podręczny stolik. Leżało tam już kilka innych kluczy i jakaś żółta książka.

– Te tutaj to kluczyki do topolina Gianniego.

– Wiem. – Zauważyła, że zabrał żółtą książkę. Był to nieduży tomik, który mieścił się w bocznej kieszeni jego kurtki. Zanim zdążyła odczytać tytuł, schował książkę.

– Samochód stoi w garażu Fiata na Lungotevere Marzio, zaraz za rogiem. Gianni miał specjalne zezwolenie, nie wiem,

czy będzie pani mogła z niego korzystać.

Włożył kurtkę. Ledwo się powstrzymała, by mu nie poprawić kołnierza. Nie zrobiła tego z obawy, że mógłby ją źle zrozumieć. Objął ją ramieniem – taki przelotny, naturalny gest między mężczyznami; jeśli miał wyrazić współczucie, to bardzo zdawkowe – przynajmniej tak go odebrała. Zrozumiała, że jest to mężczyzna, który nikomu nie ułatwia dostępu do siebie. Był samotny, czuła to, ale w przeciwieństwie do niej prawdopodobnie właśnie stąd czerpał siłę.

– Zobaczymy się jeszcze?

– Oczywiście, będziemy w kontakcie. – Podniósł walizkę. Musiała być ciężka, zauważyła to po sposobie, w jaki ją trzymał. Zapaliła mu światło na schodach. Przyszło jej na myśl, że nie zna nawet jego adresu, ale zanim zdążyła go o to spytać, zszedł na dół. Nie obejrzał się. Gdy stąpił piętro niżej po kamiennej posadzce, usłyszała, że jego kroki były trochę nierówne.

Ledwie zdążyła zamknąć drzwi, gdy pojawiły się łyzy. Nie broniała się przed nimi. Była to reakcja nerwów i przyniosła jej pewną ulgę. Zająła się drobiazgami, które trzeba było zrobić. Sprzątnęła naczynia, opróżniła popielniczkę, powiesiła swoją skromną garderobę w szafie, rozebrała się. Być może przydał się długi trening z czasów jej małżeństwa; te lata nauczyły ją funkcjonować niezależnie od stanu, w jakim się znajdowała.

Znalazła jakiś szlafrok Gianniego, ciemnoniebieski z wyhaftowanym monogramem. Był trochę za mały i miał za krótkie rękawy. Sama nieco wyższa, przypomniała sobie, że między szesnastym a osiemnastym rokiem życia jej brat robił wszystko, żeby dorównać wzrostem ojcu.

Wróciła do salonu i stanęła przed gablotą. Oglądała przedmiot po przedmiocie. Na dolnych półkach były puchary, nagrody, suweniry, książki pokładowe, papierońnice z wygrawerowanymi dedykacjami. Na wysokości oczu stały rzędami



małe modele samolotów, głównie dwupłatowce. Niektóre były bardzo stare, z *papier mâché*, lakier zmatowiał, klej wyschł; przypuszczalnie robił je sam Gianni. Zdawało się jej, że ma go przed oczyma, w jego pokoju w domu w Portovenere, wśród akcesoriów majsterkowicza, klejów, farb, papieru, nożyczek... I słyszy głos z dołu:

– Odrabiasz lekcje? – I Gianni odpowiada, mrugając do niej porozumiewawczo: – Oczywiście, a cóż by innego?

– Nigdy go nie wydała...

Odsunęła jedną z szyb. To ten samolot, o którym wspomniał celnik. SIAI-SAVOIA S 12, głosił odręczny napis na kadłubie. Był tu także ENCA III – od Enrica Canossy – hydroplan, dwupłat na pływakach. To był najbardziej udany samolot z fabryki ojca w La Spezii... Tuż obok nowa wersja ENCA III, maszyny, na jakiej doszło do wypadku, który kosztował życie jej ojca.

Miała wtedy trzynaście lat, Gianni osiemnaście. Mocne więzy między nimi liczą się właśnie od tego dnia. Odkąd matka po roku żałoby wyszła powtórnie za męża – miała już tylko Gianniego. Zastępował jej ojca i matkę. Zabrał ją ze sobą do Rzymu, płacił za jej szkołę.

Tak jak ojciec miał bzika na punkcie latania. Krótki czas studiował w Rzymie inżynierię ze specjalnością aeronautyka. Pieniądze na to zarabiał na zawodach samolotowych. Zawody o puchar Baracca, nagroda Gabriela d'Annuzia – 20 000 lirów dla dwudziestotrzylatka! Czasami chodziła z nim na te zawody. Raz czy dwa razy przeleciała się z nim, ciężko przestraszona. Zawsze miała nadzieję, że któregoś dnia przestanie. On zaś tylko się śmiał.

– Przestać latać, to byłoby gorsze niż śmierć.

Jedynie to ich dzieliło – jej lęk i jego śmiech. Teraz też go takiego miała przed oczami: uśmiechnięta, usmarowana

olejem twarz, gdy wysiadał z samolotu i biegł ku niej przez płytę lotniska, śmiejąc się ze szczęścia i wołając:

– Znów mi się udało. Wszystkich ich zostawiłem za sobą, Mario, wszystkich!

Zamknęła gablotę i zgasiła światło. Pozostałe lampy wyłączyła już wcześniej. Właściwie to dziwne, że podczas sprzątania w mieszkaniu nie znalazła niczego, co by wskazywało, że Marco Varelli mieszkał tu przez ostatnie dni. Tylko dym z jego słodkawych papierosów wisiał jeszcze w powietrzu.

W sypialni odrzuciła kołdrę. Jakże ja będę spać w tym łóżku, pomyślała. Jednak wiedziała, że to zrobi. Zaśnie w nim i w nim się obudzi, i zajmie się wszystkim, co będzie niezbędne. Zadzwoić do matki, kupić sobie czarną sukienkę na pogrzeb, zatroszczyć się o wizę, o pracę – rzeczy tym ważniejsze, im mniej dla kogoś znaczą. Funkcjonować – przynajmniej tyle.

Zdjąć zegarek. Nakręcić. Położyć na stoliku – nie widziała w mieszkaniu żadnego zegara – zmyć makijaż. Wykąpać się. Umyć zęby. Wy szczotkować włosy.

Powiesiła szlafrok na wieszaku. Obejrzała się nago we wbudowanym lustrze. Jak na swój wiek, trzydzieści trzy lata i dwa miesiące, wyglądała dobrze: płaski brzuch, pełne piersi... Mimo to nagość wywołała w tym momencie zgoła niewesołe myśli: jakie zmarnowane życie, jakie zmarnowane ciało.

Nalała wody do szklanki. Wysypała na dłoń tabletkę weronalu z fiołki, potem drugą. Ale nie zażyła środka nasennego. Postawiła na nocnym stoliku szklankę i położyła obok proszki na wypadek, gdyby ich potrzebowała.

Zgasiła światło i wsunęła się pod kołdrę. Nie włożyła nocnej koszuli. Miała ją na sobie w klinice i myśl o jej założeniu budziła w niej wstręt. Nie chciała również użyć żadnej z piżam Gianniego. W chłodnej pościeli czuła żar swego ciała.

Spodziewała się, że nie będzie mogła spać, ale zasnęła

prawie natychmiast. Oczekiwała koszmarów sennych, ale gdy się obudziła następnego ranka, niczego sobie nie przypominała.

## 6.

Suknia w witrynie była czarna. Jedyny eksponat na wystawie, żadnego szala, żadnej biżuterii. Ale u Antonelli nigdy nie było inaczej. Ubierał od ponad dwudziestu lat, w dość dyktatorski sposób, kapryśne, bogate damy rzymskiej socjety. Nicola Zecca na aroganckiej Via Vittorio Veneto i Emilio Schuberth na Via Frattina mieli może wśród klientów więcej arystokracji i gwiazd filmowych; Rossano Antonella miał za to więcej bogaczy.

Czarna suknia była typowym modelem Antonelli: bardzo prosty krój, bardzo elegancka i z bardzo drogiego materiału. Na pewno o wiele za droga dla niej. Nie zauważyła metki, ale to również należało do zwyczaju.

Sklep znajdował się na Via Borgognona, jednej z bocznych uliczek między Via del Corso i Via del Babuino. Przyszła tu pieszo. Dzień był piękny, słoneczny i ciepły. Zdawało jej się, że jest lato i zostawiła w domu popelinowy płaszcz. Po drodze zaczęła wątpić, czy Antonella w ogóle jeszcze istnieje. Może z braku materiałów pozamykano salony mody? Jednak cała dzielnica robiła wrażenie nietkniętej. Tylko małe kafejki nie były tak zatłoczone jak dawniej, chociaż wciąż jeszcze dość wielu mężczyzn stało przy barze pijąc espresso. Nad obiema wystawami Antonelli opuszczono białe markizy, a obok wejścia stały dwa przyszyżone w szpic drzewka wawrzynu. Druga witryna była pusta: najwidoczniej właśnie zdjęto wystawianą sukienkę, bowiem aksamitna zasłona była odsunięta.

Jeden z syjamskich kotów Antonelli, srebrnoszary i nieruchomy, spał w oknie; można było się zastanawiać, czy to żywe zwierzę, czy rzeźba.

Na wąskiej ulicy parkował samochód, czarny mercedes. Nie dało się go nie zauważyć. Tablica rejestracyjna nic jej nie mówiła.

Weszła do sklepu. Tu także nic się nie zmieniło: biała posadzka, lakierowane na biało szafy na ubrania, łukowate schody wiodące na górę. Na najniższym stopniu leżał śpiący następny syjamczyk, trochę ciemniejszy, również kompletnie nieruchomy. Młoda dziewczyna schodząca właśnie po schodach przypominała Marii ją samą z czasów, kiedy tu pracowała. Ile to już lat minęło? Dwanaście – naprawdę tak wiele?

– Witam szanowną panią. Czym mogę służyć?

Dziewczyna powiedziała to po niemiecku i niemiecki oficer stojący przed jedną z przymierzalni spojrzął na Marię z nagłym zainteresowaniem. Pod pachą trzymał czapkę, ręce bawiły się szarymi rękawiczkami.

– Proszę pani?

O ile za pierwszym razem brzmiało to raczej niepewnie, to teraz w głosie słychać było ton lekkiej arogancji. Ta dziewczyna mówiła do niej! Maria zdała sobie sprawę z tego, co miała na sobie – ten sam kostium, w którym przyleciała, tyle że bez lisa. Po drodze udało się jej pozbyć wszystkich myśli poza jedną: jestem w Rzymie, uratowana! Wydawało jej się, że przeszłość już nie jest groźna. Ale teraz znowu poczuła się osaczona. Berlin, lot, jazda do miasta, obcy mężczyzna, wiadomość o śmierci Gianniego – przeszłość ciągle miała nad nią władzę. Najchętniej wy szłaby ze sklepu, ale nawet to wydawało jej się wysiłkiem ponad miarę.

– Chciałabym mówić z Brigą Molinari. Czy tu pracuje?

Dziewczyna zastanowiła się. Potem zniknęła pomiędzy lustrami. Wokół wąskiego i ciemnego korytarza na zapleczu znajdowały się pokoiki krój czyni i szwaczek – niskie i nieznośnie gorące, zimą czy latem. Praca tam była torturą. Mimo to w minionych latach często tęskniła za nią i sama sobie zadawała pytanie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby postuchała Brigi.

Czekała. Oficer zamarkował ukłon. Wydawało się, że czuje się tu równie nie na miejscu jak ona. Uderzył rękawiczkami o spodnie. Zauważyła karminowe lampasy. A więc człowiek ze sztabu generalnego. Druga sprzedawczyni i klientka wyszły z przymierzalni. Klientka była bez pantofli i miała na sobie zieloną, głęboko wyciętą sukienkę. Włosy ufarbowane na blond, twarz upudrowana na cukierkowy róż. Uśmiechała się promiennie do swojego oficera. Kręciła się wokół niego, prezentowała sukienkę ze wszystkich stron, zagadywała po włosku.

Maria odwróciła się i podeszła do wystawy, na której leżała mała czarna. Rozmiar chyba się zgadzał. Jakież proste wydawało się to rano: kup czarną sukienkę! Od tego możesz zacząć. I oto stała tutaj z poczuciem, że już nigdy nic nie będzie dla niej proste.

– Maria! To naprawdę Maria!

Był to jasny głos Brigi. I kiedy Maria się odwróciła, zobaczyła to, czego oczekiwała: lawendową sukienkę, dużo białej skóry i jasnorude włosy. Briga zawsze była pulchna, a teraz zrobiła się jeszcze okrąglejsza. Metalowa obręcz z poduszczyką na szpilki na lewym przedramieniu wcinała się w białe ciało jeszcze głębiej niż dawniej. Natomiast twarz miała całkiem gładką, nie wyglądała na swoje czterdzieści lat.

– Od kiedy jesteś w Rzymie?

– Od wczoraj wieczór.

– Zostaniesz dłużej? – Z tyłu zaszeleściły banknoty. Niemiecki oficer znowu zamarkował ukłon przechodząc koło

Marii. Dziewczyna wisiła u jego ramienia. Jej wzrok zdawał się mówić: i co, zgrabnie to zrobiłam?

– Przyjechałaś sama?

– Tak.

– To jeszcze lepiej! Gdzie mieszkasz? Chyba nie w jakimś hotelu? Możesz przenieść się do mnie. Mam teraz fantastyczne mieszkanie. Na Awentynie, w najlepszej dzielnicy. Piąte piętro z loggią – i nareszcie tyle miejsca, ile zawsze chciałam. Musisz u mnie zamieszkać!

Odżyło wspomnienie: malutkie mieszkanko Brigi w San Lorenzo i bałagan, jaki tam wiecznie panował. Wszędzie walały się ubrania – na sofie, na krzesłach, na łóżku. No i ten hałas: dwa radioodbiorniki, włączone bez przerwy, jeden w kuchni, drugi w salonie-sypialni. Do tego jeszcze gramofon i sama Briga w białym lawendowego koloru, swoim głośnym śpiewem uzupełniająca rozgardiasz.

– Wywrócimy Rzym do góry nogami, jak dawniej...

– Briga...

– O co chodzi?

Po drodze, w kafejce, Maria przejrzała gazety. Odnalazła listy poległych. Były długie, dłuższe niż ostatnim razem. Nie znalazła nazwiska Gianniego; dopiero później zorientowała się, że listy pochodziły sprzed ośmiu dni. Skąd Briga miałaby więc wiedzieć o śmierci Gianniego? Ona sama nie mogła o tym mówić, nie teraz, nie tutaj.

Maria wskazała sukienkę na wystawie.

– Najprawdopodobniej nie mogę sobie na nią pozwolić. Ale... ile kosztuje?

– Ta? To nie dla ciebie. Zbyt mało wydekoltowana. I dlaczego czarna? Czarna bielizna, i owszem. Niektórzy mężczyźni to lubią. – Zaśmiała się jasnym, prawie ptasim trylem. – Jest wiosna, jesteś w Rzymie... Mam śliczną białą, całkiem prostą. Biały len i czerwony lakierowany pasek... – Jej lawendowe oczy rzuciły profesjonalne spojrzenie na kostium Marii. – A to skąd wytrzasnęłaś?

– Nie patrz tak na mnie! To model od Antonelli, co prawda z trzydziestego ósmego roku.

– Trzydziesty ósmy – mój Boże! Ale jeszcze to zmienimy.

– Briga.

– Tak?

– Czy możemy gdzieś porozmawiać?

– Odeszłaś od męża?

– Czy to możliwe... to znaczy, czy możemy gdzieś w spokoju pogadać?

Briga musiała się opanować, żeby nie pytać dalej.

– Pewnie... Czekał... Muszę jeszcze skroić jedną sukienkę... Powiedzmy, za pół godziny?

– Ale gdzie?

– U dawnego Fielda... No, chyba pamiętasz jeszcze Fielda... Więc naprawdę koniec między wami? Ostatecznie? Nie tak jak do tej pory? Dobra, za pół godziny jestem. Umrę z ciekawości, zanim się wszystkiego od ciebie dowiem.

To było tylko kilka ulic dalej, ale teraz wołałaby, żeby Briga nie zaproponowała akurat dawnego Fielda. Ociągała się przed drewnianymi brązowymi drzwiami z ozdobną szybą. Field był angielską herbaciarnią, bardzo angielską, z otwartym kominkiem, naturalnie sztucznie ogrzewanym, z wieloma gatunkami herbaty, z angielskimi sandwiczami. Oaza Anglików w samym środku najbardziej rzymskiego Rzymu. W pobliżu, na Via del Babuino, był anglikański kościół i biuro podróży Cooka, a lokal Fielda stanowił punkt zbiórki angielskich wycieczek, które oprowadzała po Rzymie.

Dawniej lokal szumiał odgłosami angielszczyzny, teraz panowała tu cisza. Nie było już w Rzymie angielskich turystów. Na stoliku brakowało też angielskich gazet. Nie licząc dwóch męzczyzn przy barze i dwóch starszych par małżeńskich, lokal był pusty.

Stolik pod półką ze starymi blaszanymi puszkami po herbacie był wolny, ale dziś wybrała inny i dodatkowo usiadła tak, żeby tamtego nie widzieć. To właśnie tam Falkenrehde jej się oświadczył... Ta myśl wywołała automatycznie wspomnienie ostatnich dni w Berlinie. Ostatniej kłótni z mężem. Jego głosu, narastającego, by w końcu przejść w ryk:

– Wychodź stamtąd! Natychmiast! Masz stamtąd natychmiast wyjść... To by ci pasowało... Kto to jest? Kto to jest tym razem? Naprawdę sądzisz, że będę się spokojnie przyglądała... Znowu któryś z tych – Włochów, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko nadskakiwać kobietom! Gdzie to było? Wychodź i spójrz mi w oczy, tylko nie waż mi się kłamać... Albo skończ ze sobą... Zrób to! Zabij się... inaczej ja sam to zrobię!

Kelnerka podeszła do stołu. Maria widziała tylko biały, nakrochmalony fartuszek. Nie miała dość siły, by podnieść głowę.

– Czekam jeszcze na kogoś.

Biały fartuszek się oddalił. Maria wstała i poszła do toalety. Puściła strumień zimnej wody na przeguby, upudrowała się na nowo. Kiedy wróciła, Briga już była i rozmawiała, śmiejąc się, z mężczyznami przy barze. Potem podeszła do niej; przy każdym jej kroku pobrzękiwały liczne cienkie bransoletki na lewej ręce, tam gdzie zazwyczaj znajdowała się obręcz z poduszeczką na szpilki. Briga spojrzała na Marię ze znaczącym uśmiechem.

– Teraz rozumiem! To dlatego chcesz mieć tę czarną sukienkę. Kiedy kobieta wreszcie pozbedzie się męża, musi po prostu zrobić coś takiego, jak kupienie za niewyobrażalną cenę sukienki Antonelli. – Stłumiony jasny, wibrujący śmiech. – Gdzie siadamy? Tu? Czego się napijesz? Herbaty?

– A jest jeszcze prawdziwa herbata?

– Z panią dyrektora od Antonelli każdy na ogół woli żyć



dobrze. Tu w Rzymie jest wszystko, o ile odpowiednio zapłacisz. No, ale zawsze tak było, nie? No więc, naprawdę się go pozbyłaś? – Chwyliła rękę Marii, by przekonać się, że nie ma obrączki. – Że też nosiłaś tę obrączkę, nigdy tego nie rozumiałam.

Maria oddała swoją złotą obrączkę w czasie zbiórki na wojnę abisyńską. Była wtedy od dwóch lat mężatką i spędzała z mężem urlop we Włoszech.

– Wtedy po raz pierwszy strasznie się pokłóciliśmy. On uważał tę wojnę za farsę... za wojnę operetkową... Podczas kronik filmowych śmiał się głośno z bersalierów z pióropuszcami i z ich „Biegiem marsz!”... Od tego czasu obarczał Włochów winą za wszystko. – Niepostrzeżenie zaczęła mówić o sobie. Miała powiedzieć Bridze o tym, że Gianni poległ. Ale z Brigą zawsze tak było. W jej obecności rzeczy się zmieniały. Nic nie było na tyle poważne, żeby Briga nie odkryła w tym lżejszej, radośniejszej strony. To była jej słabość, ale i siła. Maria czasami zadawała sobie pytanie, jaką cenę Briga za to płaci.

– Rozwiodłaś się?

– Jeszcze nie. Ale zakładam...

– Potrzebujesz adwokata? Znam jednego, który mu autentycznie zależy za skórę. Niemiec. Potrzebujesz Niemca, prawda?

– Proszę, Brigo. Ja...

– Ależ, Mario! To nie jest żadna tragedia. To się zdarza codziennie.

– ...trzy dni temu usiłowałam odebrać sobie życie.

Briga wpatrywała się w Marię ponad stołem. Siedziały przy oknie i światło nie było tu tak łaskawe, jak w salonie przy Via Borgognona. Zdradzało, że Briga używa więcej pudru i różu niż dawniej.

– Mój Boże! To straszne. Jak do tego doszło?

Obsługa już dawno podała herbatę. Maria upiła łyk. Herbatą była wciąż jeszcze gorąca i znów pojawił się palący ból w ustach i gardle.

– Właśnie porozumieliśmy się co do rozwodu. Wszystko było omówione i ustalone. Potrzebowałam tylko jeszcze paru podkładek z naszej ambasady, świadectwa ślubu i tak dalej. Byłam umówiona na czwartą, jednak musiałam poczekać dłużej. Potem nie mogłam znaleźć taksówki. Kiedy wreszcie dotarłam do domu, była siódma – i przyjął mnie napadem szału. Ta jego szaleńcza zazdrość zawsze była najgorsza. Wystarczyło, że poszłam do pobliskiego kina i wróciłam kwadrans później, niż tego oczekiwał. „W ogóle nie poszłaś do kina! Gdzie byłaś naprawdę? Kłamiesz!” Potem już nie wiedział, co robi. To było piekło. Powinna była odejść, kiedy to się zdarzyło pierwszy raz. Ale wydawało mi się, że mogę go wyleczyć. Nie wiedziałam, że zazdrość jest chorobą, która może się jedynie pogłębiać...

– Miał powody?

Jeden. Tylko jeden. To stało się w poczuciu kompletnej bezradności, po latach nieuzasadnionych podejrzeń. Dwa lata temu. W Berlinie miewała czasami służbę na dworcu w ramach Czerwonego Krzyża. Właśnie tam spotkała pewnego Włocha, młodego człowieka z Prato, o osiem lat młodszego od niej. Zasiał się w Berlinie po drodze do Rosji. Widzieli się tylko kilka razy. Ostatnim razem, na dwie godziny przed odjazdem jego pociągu, zrobili to. W ponurym, małym pensjonacie na tyłach Dworca Anhaltskiego. Kiedy po kilku tygodniach zorientowała się, że będzie miała z nim dziecko, już nie żył. Początkowo uważała, że to niemożliwe. Przez siedem lat małżeństwa nie zaszła w ciążę! Ale to był fakt...

Nie donosiła tego dziecka. Znalazła lekarza – Gianni go dla niej znalazł... Ale jakież sens miało opowiadanie o tym teraz.

Nikt by jej nie zrozumiał. Sama już tego nie rozumiała. Potrząsnęła głową.

– Nie, nie miał powodów. Tego ostatniego wieczora tak samo jak i przedtem... Wiesz, kiedy już zaczął, to mógł tak godzinami. Czasami się wydawało, że już kończy. A w następnej chwili zaczynał od nowa, tyle że wyglądało to jeszcze gorzej. Tak samo było ostatnim razem. Zaczął mnie bić, więc uciekłam do łazienki. Łazienka była jedynym pomieszczeniem w domu, gdzie czułam się bezpiecznie, to znaczy tam mogłam się zamknąć na klucz... No więc zamknęłam się w łazience... Ale on... on stanął pod drzwiami, zaczął walić w nie pięściami i wrzeszczał. Łomotał, krzyczał i wymyślał. Już nawet tego nie słuchałam. Otworzyłam szafkę z lekarstwami i zobaczyłam jodynę. Przypomniałam sobie przypadek dziewczyny, która odebrała sobie życie za pomocą jodyny. Nagle pomyślałam, że to jest wyjście. Wypić zawartość tej butelki i po wszystkim. Wtedy nareszcie będę miała spokój...

Zamilkła, wypita łyk herbaty. Miała mdły smak. Lepiej zrobiłaby jej kawa. Nic już jednak nie powiedziała. Opowiadanie ją wyczerpało, ale też przyniosło ulgę. Opanowanie, dyscyplina, nigdy się nie zagalopować – tak wychował ją ojciec. Jakże był dumny z tego, że nie przypominała innych dziewczynek, że potrafiła milczeć, nie płakała przy byle okazji. Lata spędzone w Niemczech uczyniły ją jeszcze bardziej zamkniętą w sobie. W Berlinie nie miała komu się zwierzyć. W listach do Gianniego także trzymała się rzeczy powierzchownych, by go nie smucić. A poza tym – on ją rozumiał bez zbędnych słów. Ale Gianni nie żył...

– Nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego wtedy wyszłaś za męża, tak z dnia na dzień. Co było powodem? Prawdziwym powodem?

– Myślę, że to miało związek z moim ojcem. Z jego śmiercią i z tym, że odtąd nie miałam już domu. Moja matka wyszła powtórnie za męża, a Gianni miał w głowie tylko to swoje latanie. Gdyby jemu coś się stało, została bym całkiem

sama...

– Ale przecież twój mąż też jest lotnikiem!

– Och nie, inżynierem. Buduje silniki samolotowe; specjalista od układów napędowych, „znakomitość w swojej dziedzinie”, jak to się mówi w Niemczech. W każdym razie tak ważny, że dostał „u.k.”, to znaczy, że nie musiał iść do wojska. Ani dnia nie był na wojnie.

– Miałaś wtedy tylu wielbicieli! Nawet Rossano Antonella byłby dla ciebie zrezygnował ze swoich młodych przyjaciół, chyba wiesz o tym? Dlaczego właśnie on? Dlaczego ten Niemiec? Czym cię zdobył?

Maria spojrzała na stół pod półką. Wtedy jeszcze nie знаła Falkenrehdego długo, niecałe trzy tygodnie. Widywali się prawie codziennie, ale nie sypiali ze sobą. Nawet nie pocałował jej ani razu porządnie, nie licząc całusów w policzek na dobranoc, gdy odprowadzał ją do pensjonatu.

– Dla nas wszystkich było to wtedy zagadką.

– Wiesz, że tutaj mi się oświadczył?

– Tu?

– To było takie zwykłe spotkanie w przerwie obiadowej. Przyszłam tu z Via Borgognona. Przez dwa dni był w Turynie, oglądał silniki u Fiata, robił próbne jazdy na mirafiori. O tym mi właśnie opowiadał. Powiedziałam akurat, że muszę już iść, a on na to: „Dlaczego pani nie zrezygnuje z tej pracy!” Wciąż jeszcze byliśmy na pan – pani. Spojrzałam na niego jak na wariata. I wtedy się wydało: był w La Spezii, u mojej matki.

– Pojechał tam i poprosił o twoją rękę, a ty o tym nic nie wiedziałaś?

– Naturalnie, że nie wiedziałam. Przecież mnie nie pytał; nigdy między nami do niczego nie doszło. Nie pytał też, czy go kocham. Nie powiedział mi nawet, że mnie kocha. Nie sądzę, żeby użył tego słowa. Po prostu, decyzja zapadła. Moja matka się zgodziła, jego rodzice się zgodzą. Jesteśmy już umówieni na wizytę u nich. Będziemy mieszkać tam i tam! Wszystko zaplanował.

- Bez twojej wiedzy!
- Nasz pociąg odchodził za trzy dni. Trzy dni – tyle chyba starczy, żebym pożegnała się ze swymi przyjaciółmi. I mam zabrać tylko jedną walizkę. „Resztę kupimy w Berlinie! Berlin jest bardziej szykowny niż Rzym.” Ach tak, na koniec dał mi kartkę, „ściągawkę”, na której zapisał, co mam jeszcze załatwić, poczynając od dokumentów...
- A więc tak to się odbyło... nie miałam o tym pojęcia. Ale dlaczego, u Boga Ojca, powiedziałaś „tak”?
- Nie rozumiesz?! Ci liczni wielbiciele, o których wspominałaś – wszyscy mówili o miłości. Wszyscy przysięgali – na chwilę. I nagle zjawił się ktoś, kto powiedział: wezmę cię, ubiorę, zatroszczę się o ciebie przez resztę życia. Od śmierci ojca brakowało mi poczucia bezpieczeństwa, a oto pojawił się mężczyzna, który mi je chciał dać.
- A ja zawsze miałam cię za romantyczkę.
- Po prostu był inny niż tamci. Obcy, porywający dziewczynę do nieznanego kraju, w nieznanym życiu – wówczas wydawało mi się to bardzo romantyczne. Druga strona medalu wyszła na jaw dopiero później. On patrzył na to oczywiście zupełnie inaczej: przywiózł sobie do domu pięknego, egzotycznego ptaka. I tak właśnie mnie traktował. Wsadził mnie do złotej klatki, karmił z ręki. W określonych godzinach miałam nawet prawo trochę polatać – po pokoju, przy zamkniętych oknach i wyłącznie dla jego przyjemności. Czasami wystawiał mnie na pokaz, ale biada, gdyby ktoś inny zechciał mi się bliżej przyjrzeć... Jak myślisz, można tu dostać kawy?
- Na pewno.
- Co było potem – tego się nie da opowiedzieć. Suma bardzo wielu drobnostek. Nie dawał mi po prostu dość powietrza, żebym mogła swobodnie oddychać. – Popatrzyła na Brigę. – Czasami sama siebie pytam, jak to jest z tym szczęściem.

Nie wiadomo, kiedy się zaczyna i nie wiadomo, dlaczego pewnego dnia się kończy. A może tylko z nami, kobietami, tak się dzieje?

– Po prostu za wcześniej wyszłaś za mąż. I za nieodpowiedniego mężczyznę. Gdybym ja wydała się za mąż w twoim wieku, też by z tego nic nie wyszło. Ciesz się, że możesz się rozwieść. Wzięliście chyba ślub protestancki?

– Tak. – Przyniesiono kawę, więc ją wypła. Była słabiutka, pomyślała o tej, którą poprzedniego wieczoru zrobił Marco Varelli. Czy Briga знаła Marca Varellego? Przedtem musiała jej jednak powiedzieć o Giannim. Gianni i Briga byli przez lata parą. Kiedyś nawet była mowa o małżeństwie i dzieciach, na które miał jakoby przyjść najwyższy czas. Potem, z dnia na dzień, rozstali się. To było mniej więcej rok temu...

Briga położyła rękę na ramieniu Marii.

– Wyobrażam sobie, jak się czujesz. Też znam te nastroje. Wydaje ci się wtedy, że na świecie jest tylko jeden mężczyzna i właśnie zabrała ci go inna. Ale to nieprawda. Świat jest pełen mężczyzn.

– Briga!

– Nawet nie masz pojęcia, ilu ich jest. A już nigdzie indziej tak wielu jak w Rzymie. Wyłowię dla ciebie najlepszych. Zostaw to mnie. Dla Brigi Molinari to dziecinna zabawka. A...

Oczy obu kobiet spotkały się i Maria miała wrażenie, że Briga przeczuwa, co nastąpi. Jednak nie wiedziała, jak ma jej to powiedzieć, chyba że zrobi to metodą Varellego.

– Brigo, Gianni nie żyje.

Powieki na niebieskich oczach Brigi uniosły się, rozwarły szeroko i tak już pozostały; wielkie, otwarte oczy lalki.

– Gianni? – Karminowe usta zamknęły się, zacisnęły, a w kącikach pojawiły się zmarszczki. – Niech ich wszystkich Pan Bóg pokarze. – Słowa były ledwo słyszalne.

A potem: – Jak to się stało? – I zanim mogła paść jakakolwiek odpowiedź, uniosła obronnym gestem obie dłonie. – Nie! Nie mów! Nie chcę tego wiedzieć... To dlatego potrzebujesz czarnej sukienki!

– Tak.

Białe dłonie o karminowych paznokciach otworzyły zamek czarnej, lakierowanej torebki. Wyjęła banknot. Pofrunął na stół.

– Chodźmy. Muszę wrócić do sklepu.

Na placu Hiszpańskim, u stóp słynnych schodów, tam gdzie dawniej sprzedawano kwiaty, stała ciężarówka z warzywami. Kłębowisko kobiet otaczało samochód; wysoko uniesionymi rękami przywoływały sprzedawcę, wprost wrywały mu towar z ręki.

Maria i Briga stanęły. Maria zaczęła opowiadać o Giannini, a Briga przysłuchiwała się w milczeniu. Wokół rozbrzmiewały głosy kobiet. Samochód szybko się opróżnił. Z pełnymi torbami i koszami przechodziły obok nich, pospiesznie się oddalając, jakby w strachu, że ktoś mógłby je pozbawić łupu. W końcu Briga się odezwała.

– Mieszkasz w jego garsonierze?

– Tak.

– Nigdy tam nie byłam. Mieszkanie było gotowe dopiero po tym, jak się rozstaliśmy.

– Właściwie dlaczego zerwaliście?

– Ta przekłeta wojna! To był powód. Nie chciałam, żeby mi pewnego dnia przynieśli Gianniego w trumnie. Już raz to kiedyś przeżyłam, przed wielu laty. Nie chciałam przeżywać tego po raz drugi, po prostu, zupełnie egoistycznie. Nie mogłam znieść tej myśli, a Gianni nie potrafił zrezygnować z latania. Dlatego się rozstaliśmy. Rozmawialiśmy o tym szczerze. Gianni... sądzę, że on rozumiał. Chyba wiedział, że zginie.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, powiedział: „Prawdopodobnie zginę kiedyś tak samo jak mój ojciec, wcale nie po bohatersku, tylko w jakimś absurdalnym wypadku.” Nie, nie czuł się przygnębiony. Poszliśmy do restauracji, jedzenie było smaczne, potem postanowiliśmy jeszcze potańczyć. Byliśmy w wyśmienitych humorach. I właśnie wtedy w tańcu powiedział, uśmiechając się, jakby mu się akurat przypomniało coś śmiesznego: „Życie jest absurdalne, Brigo, czemu więc śmierć nie miałaby być równie bezsensowna...” I tak też się stało.

Poszły dalej. Skręciły w Via Borgognona.

– Zaprosiłam na jutro wieczór kilka osób. Może przyjdiesz?

– Jutro jest pogrzeb.

– Może właśnie będzie dobrze, gdy zobaczysz się z ludźmi, zajmiesz się czymś innym. Gianni by tak uważał.

– Będzie moja matka.

– Chyba nie oczekujesz, że przyjdę na pogrzeb?

– Nie.

– Nie pójdę. Bo mu powiedziałam, że nie pójdę. Przyrzekłam, że wydam przyjęcie tego dnia, jemu na złość... Przepraszam. Ale nienawidzę ich, nienawidzę wszystkich, którzy mają do czynienia z tą wojną. A mogę im to okazać tylko na swój sposób. „Skoro wlałeś między wrony, musisz krakać jak i one”, to powiedzenie mojej matki. Tylko tyle dała mi w posagu... To jutrzejsze przyjęcie jest zaplanowane od tygodnia.

– Naturalnie. Nie musisz się usprawiedliwiać... Znałaś chyba większość przyjaciół Gianniego. Mówi ci coś nazwisko Varelli? Marco Varelli.

– Lotnik?

– Kiedyś tam.

– Nie. Nie przypominam sobie, żeby Gianni wymieniał to nazwisko.

– Dziwne. To mężczyzna z Via dei Soldati.



– Varelli... A wiek?  
– Starszy od Gianniego. Około czterdziestki.  
– Czekaj! Jest jeden baron, Umberto Varelli. Był ambasadorem, chyba w Anglii albo Francji. Żona ma sklep, rzadkie książki, zaraz tutaj, na Via del Babuino, vis-à-vis kościoła anglikańskiego... Tak, przypuszczam, że był ambasadorem w Anglii, dopóki nie pojawiły się kłopoty z faszystami. Mieli jednego syna... Marco, mówisz? To mógłby być on. Dowiem się.

– To nie jest takie ważne.

Doszły do sklepu. Biała markiza dawała jedyne w swoim rodzaju mleczne oświetlenie, w którym twarz Brigi robiła wrażenie buzi porcelanowej lalki. Czarna sukienka leżała jeszcze na wystawie. Srebrnoszara satyna, którą wyłożono witrynę, lśniła metalicznie i Maria pomyślała o poszyciu samolotu. Briga wskazała na suknię.

– Dopiero od dzisiejszego ranka jest na wystawie. Antonella sam tak zdecydował. Protestowałam: „Co za pomysł, teraz, kiedy wreszcie nadeszła wiosna!” Uśmiechnął się tylko i powiedział: „O co się założymy, że do obiadu zostanie sprzedana?”

– No i – założyłaś się?

Nie był to uśmiech, zniknęła tylko surowa zmarszczka wokół ust Brigi.

– Nie. Nie lubię przegrywać zakładów. Jasne, że racja będzie po jego stronie. Naprawdę chcesz ją mieć?

– Jeśli nie jest za droga...

– Mogę ci opuścić dwadzieścia procent. I tak będzie przepłacona. Ale jest jeszcze jedna możliwość... mogę ją dla ciebie skopiować.

– Potrzebuję jej na jutro.

– Wyjdzie mi na dobre, jeśli dzisiaj będę miała tyle roboty, żeby nie myśleć. Skroję ją i zatrzymam wieczorem dwie dziewczyny. Do północy będzie gotowa. Zapłacisz za materiał

i nadgodziny dziewczyn, to wszystko. Dam ci nawet metkę Antonelli, będziesz ją mogła wszyć.

– Wiesz, potrzebuję masę rzeczy. Praktycznie wszystkiego. Nic nie wzięłam z Berlina. Jak tu właściwie jest – macie kartki na ubrania?

– Widać, że długo cię nie było. Naturalnie, że ubrania są na kartki, ale jesteś w Rzymie, a tu chodzi przede wszystkim o to, żeby znać właściwych ludzi. Ty robisz listę rzeczy, których potrzebujesz, ja dzwonię do kilku osób. Najlepiej chodź ze mną od razu... Zdobycie tych rzeczy to program działań; powinien być możliwie obszerny... Jak długo masz co robić, nie zaczynasz się zastanawiać...

Weszły do sklepu. Syjamczyk na schodach otworzył oczy. Podniósł głowę, ziewnął i znowu zasnął.

## 7.

Lekki wiaterek poruszał rozpostartą na trumnie flagą. Fallowanie materiału było jedyną rzeczą, którą w tym momencie świadomie rejestrowała. Może jeszcze światło odbite od szpad czterech oficerów lotnictwa, którzy stali nieruchomo po obu stronach trumny. Piąty trzymał aksamitną czerwoną poduszkę z orderami i odznaczeniami zmarłego. Słońce stało już wysoko, zaczynał się upał. Wszystko wydawało się zastygłe w oślepiającej jasności.

Dobiegał ją jakiś dźwięk, ale tłumiło go łkanie matki. Płakała głośno i niepohamowanie; była to niemal demonstracja, że oto jest tu jedyną osobą mającą prawo do łez. Marię przepełniało inne uczucie; właściwie nie miało ono nic wspólnego ze zmarłym i z ceremonią, która się tu odbywała. Był to smutek dużo dawniejszy, ból zbyt głęboki, aby mogły go złagodzić

lzy: piękno tego miejsca i tego dnia sprawiały, że cierpiała.

Wystarczyło tylko podnieść wzrok – co właśnie uczyniła – i miała przed oczami równinę Lacjum, tonącą w czerwieni i zieleni, aż ku ujściu Tybru. Na lewo lśniło morze, a w dali, u kresu równiny – był Rzym. Kopuły, dachy, wieże jak fatamorgana w rozedrganym powietrzu. Nawet domy nowych dzielnic na obrzeżach miasta, z bliska paskudne cementowe bryły, przypominały pałace ze srebra i szkła. Dlaczego świat był taki piękny, skoro ludzie stworzeni zostali tylko po to, by umierać? Dlaczego trzeba było zakładać coraz to nowe cmentarze, jak ten tutaj, zajmujący obszar wielkości małego miasta? Dlaczego wybierano na nie miejsca zbyt piękne na groby? Wzrok powędrował ku zagajnikowi ciemnych dębów korkowych u podnóża pagórka wznoszącego się po drugiej stronie grobu Gianniego. Na drzewach siedziały ptaki – to był ten inny dźwięk obok głosu duchownego i płaczu matki: ptaki śpiewały...

Potrzebowali ponad godziny, by tu dojechać. Ponieważ pociąg przyjeżdżał późno, wyszła po matkę i ojczyma na stację Trastevere. Ku jej zaskoczeniu był tam włoski generał lotnictwa, przyjaciel ojca. Służbowy proporczyk ozdabiał jego samochód, a za kierownicą siedział szofer, miejsca jednak było w tej starej lancii niewiele, zaś twarde resory dały jej odczuć każdą kamienną płytę Via Appia Antica.

Najpierw pojechali na lutnistko Ciampino; stał tam samochód z trumną i pięć czy sześć innych pojazdów. Czekano tylko na nich, aby wspólnie pokonać drogę na cmentarz we Frattocchie. Teren cmentarza był tak rozległy, że sami chyba nie trafiliby do grobu. Długie aleje, po części jeszcze nie ukończone, nie były oznakowane, a chmury białego pyłu unoszące się spod kół zasłaniały widok. Grobów było niewiele, tylko tu i ówdzie leżała kupka zwiędłych kwiatów i wieńców,

ale najwyraźniej cmentarz miał pomieścić wiele mogił w przyszłości...

Duchowny wciąż jeszcze przemawiał. Maria zastanawiała się, kto udzielał mu informacji o Giannim. Ona nie, a zapewne także nie matka. Daty i fakty zgadzały się. Zresztą tylko o tym mówił. Nie o Giannim, którego znała. Wreszcie głos księdza zamilkł, łkanie matki także stało się cichsze – oboje spełnili swój obowiązek. To była gorzka myśl. Ale pojawiła się – podobnie jak poczucie bezsensownego piękna tego dnia...

Czterej oficerowie prezentowali broń. Czterej inni chwycili taśmy i podnieśli trumnę tak, by zawisała nad grobem. Flaga zsunęła się z wieka, ale jakaś ręka zdołała ją pochwycić. Ukażała się trumna z prostego świerkowego drewna.

Nie wybierała jej – nawet nie spytano Marii o zdanie – a jednak była pewna, że matka będzie później miała o to do niej pretensję. Prawdziwy cud, że ten moment w Ciampino, kiedy samochód z trumną Gianniego wyjeżdżał z hangaru, przeszedł bez zakłóceń. Na pogrzebie ojca matka uparła się, żeby jeszcze raz otworzyć trumnę. Maria była wtedy dzieckiem, ale czuła przerażenie obecnych. Wszyscy wiedzieli, jak zginął Enrico Canossa: że śmigło samolotu zmiażdżyło mu czaszkę. I nikt nie był pewien, na ile dobrze ludzie z zakładu pogrzebowego wykonali swoją robotę. Ale czy kobieta, która się wówczas rzuciła na otwartą trumnę, w ogóle to zauważyła, całkowicie skoncentrowana na odegraniu swego bólu?

Dziś nic takiego się nie stało. A jednak, gdy teraz przyglądała się z boku matce, owej drobnej, spowitej w kir kobiecie, widziała tę samą osobę co wówczas, mimo że dzieliło je ponad dwadzieścia lat. Pod kapeluszem i sięgającą prawie pasa woalką nie było widać twarzy. Czy to ta sama co wtedy suknia z czarnego jedwabiu w delikatne, lśniące paski? Te same pantofle z klamrami ozdobionymi brylancikami ze strasu, te same

ażurowe rękawiczki? Czyżby czas zatrzymał się dla niej przed dwudziestoma dwoma laty? Czy nie miały one znaczenia...?

Głuche odgłosy strzałów przecięły ciszę. Ptaki z dębów poderwały się do lotu; całe chmury. Kolejne strzały, suche, następujące szybko po sobie. Dopiero gdy ujrzała, że mężczyźni poluzowali taśmy i trumna osuwa się do dołu, pojęła, że była to salwa honorowa. Znow rozległ się głos duchownego. Jego łacina pobrzmiwała rzymskim dialektem.

Odwróciła wzrok; nie mogła patrzeć, jak trumna pogrążyła się w ziemi. Szukała czegoś, na czym mogłaby skupić uwagę. Nigdzie nie mogła dojrzeć strzelców. Musieli być rozmieszczeni gdzieś w tyle. Za to całkiem blisko, tylko o rząd grobów dalej, stała grupka gapiów, przyglądając się z ciekawością. Niektórzy nawet wspinali się na palce. Ludzie, którzy znali Gianniego? Przypadkowi widzowie? Wtem, trochę na uboczu, spostrzegła samotną sylwetkę. Ogorzała od słońca twarz, ciemne, gładko zaczesane włosy – Marco Varelli.

Oczywiście zadawała sobie pytanie, czy przyjdzie. Właściwie było to samo przez się zrozumiałe, ale mimo wszystko nie była pewna. Czemu stał tam jak jakiś obojętny obserwator? Musiał ją widzieć, tak jak ona jego. Przez chwilę walczyła z pokusą, by mu dać znak, że go rozpoznaje...

Przebrzmiała ostatnia salwa. Ptaki, zrazu pojedynczo, powracały, opadając na konary dębów. Duchowny pokropił grób święconą wodą. Schylił się po łopatkę osadzoną na długim trzonku, która tkwiła w wyrzuconej z grobu ziemi. Potem do grobu podeszła matka z mężem z jednej i generałem z drugiej strony. Obaj mężczyźni wspierali ją i podtrzymywali, jak gdyby bez ich pomocy nie mogła utrzymać się na nogach. Ojczym, mimo gorąca, miał na sobie gruby płaszcz. W samochodzie nie zdjął kapelusza, więc dopiero teraz zauważyła, że

wyłysiał; twarz miał czerwoną od słońca i podenerwowania. Był rówieśnikiem matki, ale wyglądał na dużo od niej starszego.

Matka cofnęła się od grobu. Nie miała już w ręku białych róż, przywiedłych po długiej podróży koleją z La Spezii. Ktoś dotknął ramienia Marii, popchnął ją naprzód, w stronę otwartego grobu.

„Zadbasz o to, żeby moje prochy rozsypano nad miastem, nad Rzymem, prawda? Któryś ze starych pilotów się pewnie znajdzie, proszę, Mario!”

Na dworcu Trastevere kupiła bukiet żółtych mimoz, od dwóch chłopaczków, którym najwyraźniej spieszo było pozbyć się towaru skradzionego gdzieś w parku czy prywatnym ogrodzie. Mimozy były ulubionymi kwiatami Gianniego. Często je razem zrywali na Forum, w na pół zdziczałych ogrodach cesarskich willi. Mimozy... Czy to późno, czy wcześniej jak na mimozy? Rzeczywiście, zbyt długo nie była w Rzymie.

– Ziemia, Mario!

Pouczejący, potępiający szept. „Ziemia. Ziemia.” Odwróciła się i spojrzała w purpurową twarz tego obcego mężczyzny, którego poślubiła jej matka. Generał, którego nazwisko brzmiało Melzi, przyszedł jej z pomocą. Przedstawiał składających kondolencje, którzy właśnie zaczęli przed nimi defilować. Uścisk dłoni, wymamrotana formułka. Najpierw matka, potem ojczym, w końcu ona.

Generał przytłumionym głosem podawał nazwiska i stopnie. Dla Marii były to tylko mundury. Ona także miała czarną woalkę, ale bez kapelusza, zarzuconą tylko na głowę.

– ...attaché lotniczy z ambasady niemieckiej. – Nazwiska nie dosłyszała. Zobaczyła pusty rękaw munduru przypięty do boku, a potem bardzo młodą, niemal amorkowatą twarz. Z komentarza, podanego półgłosem przez Melziego, pojęła, że

Niemcy przyznali Gianniemu pośmiertnie jakieś wysokie odznaczenie.

Szereg składających kondolencje zbliżał się ku końcowi. Wciąż jeszcze czekała na jedną konkretną osobę, o opalonej twarzy i gładko do tyłu zaczesanych włosach. Rzuciła okiem na grupę gapiów. Właśnie się rozchodzili, kierując się ku innej części cmentarza, aby odgrywać rolę publiczności przy innym grobie. Nigdzie nie mogła dostrzec Marca Varellego. A przecież to, żeby z nim porozmawiać, było ważne, może najważniejsze.

W torebce miała list. Przeżyła szok, kiedy go dziś rano znalazła w skrzynce na Via dei Soldati: list od Gianniego! Nie wierzyła własnym oczom: jej nazwisko na kopercie, czyste, proste pismo Gianniego, którym prowadził również swoje książki pokładowe. Nigdy dotąd nie odczuła tak wyraźnie absurdalności życia – zwłoki Gianniego dotarły tu szybciej niż jego list. Napisał go jeszcze w Tunisie, na lotnisku, na krótko przed startem... Nie całkiem rozumiała jego treść. Tylko jedna osoba mogła jej na ten temat udzielić wyjaśnień...

- Mario, proszę cię, chodź już. – To był głos matki.
- Tak, mammo.
- Kwiaty. Nie wrzucisz ich do grobu?

W rękę wciąż jeszcze trzymała mimozy. Podeszła do grobu. Grabarze układali właśnie wieńce.

- Mario, spóźnimy się na pociąg.

Upuściła mimozy.

- Naprawdę musisz dziś wracać do La Spezii?

– Twój ojciec... To znaczy, Gaspare, mógł wziąć wolne tylko na dzisiaj.

Lancia czekała na podjeździe przed kaplicą cmentarną. Generał Melzi miał ich zawieźć na Stazione Termini. Ani śladu Marca Varellego. Opuściła szybę w oknie, rozejrzała się. Może się jeszcze pojawi...

- Czy mogłabyś zamknąć okno, Mario... – Matka wyjęła

coś z torebki i włożyła do ust nie odchylając woalki Rozszedł się zapach mięty.

Pozostałe samochody były znów przed nimi, chmury pyłu kłębiły się jak gęsta mgła. Dopiero na Via Appia Nuova trochę się poprawiło. Za to dostali się w kolumnę pojazdów wojskowych i posuwali się do przodu w iście ślimaczym tempie. Raz musieli zjechać na bok i odczekać, przepuszczając wąż ciężkich „tygrysów”; hałas silników i grzechot gąsienic uniemożliwiały wszelką rozmowę.

Później, akurat gdy przejeżdżali obok lotniska Ciampino, startowały trzy myśliwce. Przeleciały z hukiem bardzo nisko nad nimi i zniknęły nad morzem...

Pospieszny do Genui był już podstawiony. Miał wagon restauracyjny, więc matka odmówiła wypicia na dworcu proponowanej przez Marię kawy. Poza tym do odjazdu pozostawało zaledwie piętnaście minut.

Stały przed wagonem drugiej klasy; matka wysłała męża przodem, żeby zajął miejsca. Wciąż jeszcze miała zasłaniającą twarz długą woalkę, lecz wyjmowała już szpilki, którymi była przymocowana. Opadła, ale twarz pozostała w cieniu czarnego kapelusza i Maria znów miała uczucie, jakby od pogrzebu ojca czas stanął w miejscu, w każdym razie dla matki. Na cmentarzu łązy, teraz ciche skupienie. Błada cera, błyszczące oczy, czerwone usta, jak zwykle trochę niedomalowane – przyciągała uwagę ludzi. Omiatały ją pełne współczucia spojrzenia i wydawało się, że żadne z nich nie uchodzi jej uwagi.

– No więc, co sądzisz o pogrzebie? – Matka przewiesiła woalkę przez ramię. – Muszę przyznać, że urządzili to bardzo wzruszająco...

Co miała powiedzieć, żeby podtrzymać rozmowę? Od śmierci ojca niewiele miały sobie do powiedzenia. Drugie małżeństwo matki – wybór, jakiego dokonała i pośpiech, z jakim się to stało – oddaliło je od siebie. Widywały się



coraz rzadziej.

- To ty ją wybrałaś?
- Przepraszam – co masz na myśli?
- Tę świerkową trumnę.
- Nie pytano mnie.
- Jak to się stało, że jesteś w Rzymie?
- Czysty przypadek.
- Zostaniesz dłużej?
- Tak.
- A twój mąż?

Nie było sensu uczciwie odpowiadać. Prawda wywołałaby jedynie pełne wyrzutu spojrzenie. Matka nigdy nie chciała się zajmować problemami swoich dzieci. Jej myśli i emocje krążyły wyłącznie wokół własnej osoby. Potwierdziła to jej następna uwaga.

– Znam to. Twój ojciec też mnie zawsze zostawiał samą, kiedy go najbardziej potrzebowałam. Gaspare jest inny. Ani dnia nie byłam sama, ani dnia. I zawsze taki wzruszająco troskliwy...

Miało w tym zabrzmieć szczęście, ale nie sposób było nie dosłyszeć rozczarowania. Czym? Przyglądała się matce myśląc: Dlaczego my, kobiety, zawsze poślubiamy nieodpowiednich mężczyzn? Do poziomu pierwszego męża matka nie dorosła, nad drugim dominowała. I w obu wypadkach czuła się nieszczęśliwa.

– Zajmiesz się pomnikiem? Z La Spezii będzie to trudne...  
– Oczywiście.  
– Mieszkaś w mieszkaniu Gianniego?  
– Tak.  
– Zawsze miał straszny bałagan...  
– Nie znałaś go. Mnie też nigdy nie znałaś. Zawsze byliśmy dla ciebie obcy.

- Chciałam jedynie, żeby moje dzieci miały więcej szczęścia w życiu niż ja.
- Nie mówmy już o tym.
- Nie rozumiem, gdzie się podziewa Gaspare. – Spojrzała na zegar na peronie. – Zostawił testament?
- Gianni?
- Och, nie patrz tak na mnie!

Maria pomyślała o liście w torebce.

- Tak, sądzę, że żaden Canossa nic po sobie nie zostawia... W każdym razie twój ojciec nie pozostawił mi w spadku nic poza długami... o ile sobie przypominasz.

Jej ojciec nie umiał się obchodzić z pieniędzmi. Bywały lata, gdy miał ich wiele i wtedy rodzina żyła na wysokiej stopie: kupiono nowy dom i urządzono go od nowa, kupowano drogie samochody, zamawiano futra, biżuterię. Jedno zamówienie na pięćdziesiąt hydroplanów dla Marynarki Królewskiej – i pieniądze rozplywały się w powietrzu, zanim jeszcze zostały zarobione. Potem znów miał nowy pomysł: projekt samolotu, nowe hale fabryczne; pomysł był nietrafiony, skończył się bankrutem. Dom sprzedano, samochody zniknęły, biżuteria powędrowała z powrotem do jubilera. Ale jakoś się ułożyło. Ojciec w ogóle miał szczęście i w końcu wszystko obracało się na dobre. Czasem zastanawiała się, czy jego śmierć też nie była takim szczęśliwym zrzędzeniem losu? Przynajmniej dla niego.

Wtedy akurat znów zanosilo się na złe czasy; Enrico Canossa znalazł się w obliczu ruiny. Tak, jego śmierć była związana z próbą odsunięcia nieszczęścia: stracił życie przez nowy samolot, z którym wiązał tak wielkie nadzieje! Amerykański kupiec specjalnie osobiście przyjechał do La Spezii! W grę wchodził kontrakt na dwadzieścia maszyn nowego typu! Nigdy nie zostały zbudowane. Debety na kontaktach, długi. Stracili wtedy nawet dom w Portovenere, dom jej dzieciństwa...

Gaspare pojawił się w drzwiach.

- Powinnaś już wsiadać. Pociąg jest dość pełny.
- Mam nadzieję, że zająłeś miejsce w kierunku jazdy.
- Tak, oczywiście.

– I nie do strony słońca?

– Wszystko jest w porządku. – Spojrzał na Marię. – Twoja matka jest już tak długo na nogach. Stanie szczególnie ją mężczy. Powinnaś się już pożegnać.

– No to do widzenia, *cara!* – Matka objęła ją i pocałowała. Potem wsiadła do pociągu, wsparta na ramieniu męża. Z peronu Maria obserwowała, jak ojczym prowadzi matkę wzdłuż korytarza, otwiera drzwi do przedziału. Reszta pasażerów przyglądała się jej z ciekawością. Najwyraźniej wystąpiły małe kontrowersje z powodu miejsca dla niej. Robiła wrażenie niezadowolonej z wyboru dokonanego przez męża. Jakiś inny pasażer podniósł się i zamienił z nią miejscem. Wskazała na okno i mąż je dla niej otworzył.

– Zdaje się, że pociąg odjedzie z opóźnieniem. – Uśmiechnęła się z góry do Marii. – Nie musisz czekać. Wszystko w porządku... Masz ładną sukienkę.

- Dziękuję, mamu.
- Na pewno nie była tania.
- Ujdzie.
- Co jest między tobą i twoim mężem?
- Rozstaliśmy się.

Oto ono, zaskoczone spojrzenie, jakby to jej sprawiono ból.

- Daje ci pieniądze?
- Radzę sobie.
- Ja ci nic nie mogę dać. To znaczy, pensja Gaspare...
- O nic cię nie prosiłam.
- Zobaczymy się kiedyś w La Spezii?
- Nie wiem.
- Pewnie nic cię nie ciągnie z powrotem?

Pociąg nagle ruszył. Wyciągnęła rękę przez okno. Przedtem zdjęła rękawiczki. Na białej wąskiej dłoni tkwiły obie obrączki pod pierścionkiem z błękitnym szafirem. Czyżby naprawdę nosiła jeszcze obrączki z pierwszego małżeństwa? Było już za późno, żeby o to spytać, a pociąg zbytnio przyspieszył, aby pochwycić dłoń...

## 8.

W wielkim salonie dzwoni telefon, przez otwarte drzwi na taras słychać go aż w ogrodzie. Dzwoni głośno i uparcie, aż rozlega się niecierpliwy głos matki:

– Maria! Gdzie się znowu podziewasz? Dlaczego nikt nie podchodzi do telefonu? Maria! – Ale wtedy, na szczęście, telefon milknie.

Czy to było wtedy? W tym dniu, który zmienił całe jej życie? W dniu kiedy po raz ostatni była naprawdę szczęśliwa. I po raz pierwszy naprawdę nieszczęśliwa.

Siedzi na stopniach wiodących z tarasu do ogrodu. Obserwuje jaszczurki wygrzewające się w słońcu na kamieniach. Jest sierpień, wakacje, letni dzień, upał jak w łaźni. Willa pośrodku przeredzonego piniowego lasu leży prawie bezpośrednio nad wodą. Znikąd nawet powiewu. Morze jest spokojne i nieruchome, a leniwe fale przy boju nie czynią więcej hałasu niż umykające jaszczurki.

Matka źle znosi upał. Odpoczywa na leżaku pod żółtym parasolem. Ubrana jest w jednoczęściowy czarny kostium kąpielowy. Jej jasna skóra lśni od olejku, na grzbiecie nosa ma przylepiony listek, chociaż nie dociera do niej ani jeden promyk słońca. Dokoła leżą porozrzucane gazety i magazyny. W karafce z lemoniadą topi się lód.

Jest niedziela. Ojciec spędził z nimi koniec tygodnia, co się ostatnio nieczęsto zdarza. Razem z nim przybył z Genui nowy jacht, a wczoraj on i Gianni wyprawili mu chrzest. Stoi teraz w zatoce przy boi. To duża łódź, szkuner o wielu żaglach. Chciała pójść razem z nimi na jacht, ale ojciec pogładził ją ręką po włosach i powiedział:

– Łap lepiej swoje motyle!

Tym samym gestem i prawie tymi samymi słowami pożegnał się z nią dzisiaj po posiłku. Przyjechał po niego samochód. Przejechała się nim aż do bramy, wielkiej bramy z kutego żelaza z ornamentem w kształcie pawia. Od niego udekorowana stiukami i pomalowana na jedyny w swoim rodzaju niebieski kolor willa wzięła nazwę: Villa Pavone.

– To dobry dzień na motyle. Mam nadzieję, że złapiesz kilka ładnych... Obejrzymy je sobie wspólnie, jak wrócę.

Kocha ten gest, tę dłoń spoczywającą łagodnie na włosach. Czuje się wtedy otoczona opieką, bezpieczna. I kocha ten głos.

Jest szczęśliwa. Ma na sobie białą, lnianą sukienkę, którą lubi, białe sandały. Zielona puszka na motyle wisi na szyi. W rękę trzyma białą siatkę na długim kijku. Ze szkoły przyniosła dobre stopnie, najlepsze świadectwo w klasie. Natomiast świadectwo Gianniego jest katastrofalne i dlatego musi teraz dzień w dzień siedzieć na pierwszym piętrze willi, w bibliotece, nad książkami. Nawet dzisiaj, w niedzielę, jest tu ten korepetytor o cienkich jasnych włosach, który jak matka nie znosi słońca i marnuje Gianniemu popołudnie.

Ale ona jest szczęśliwa. Ma trzynaście lat i cieszy się ze wszystkiego i z niczego.

Z domu rozciąga się widok na całą zatokę koło La Spezii. Stoi tam wiele okrętów wojennych, długie, szare sylwetki. Gianni zna każdy typ. Oczywiście zna się też na samolotach. Czy słyszy w bibliotece samotny, krążący po niebie samolot?

Nauczyciel po przyjściu zamyka zawsze okna. Samolot buja w błękitnych przestworzach jak wielki, srebrny motyl. Czas wracać do ogrodu. Na szczęście telefon umilkł...

Wstaje ze stopni tarasu. Matka leży z zamkniętymi oczami w cieniu żółtego parasola.

– Mario, włóż sandałki! Podrapiesz sobie nogi igłami pi-nii.

Jak matka to robi? Skąd wie, że zrzuciła sandałki? Ale Maria z kolei wie, że matka nie uniesie powiek, więc biegnie do ogrodu bez sandałków.

Puszka na okazy obija się w biegu o brzuch. Jest szczęśliwa, szczęśliwa. Z boku domu znajduje się zagon słoneczników; tam teraz biegnie łapać motyle, które wieczorem pokaże ojcu. Nie zbiera ich. Gianni, który kolekcjonuje wszystko, namawiał ją na to, ale ona woli wypuszczać wszystkie na wolność. Gonić i chwycić, zarzucać w odpowiedniej chwili sieć – to jest piękne. Ale biorąc motyle do ręki i wkładając je do puszek musi się zawsze trochę przemóc: uderzenia skrzydełek o dłonie napawają ją lękiem...

Ojciec miał rację. To dobry dzień na łapanie motyli, bo z powodu upału są sennie. Wkrótce ma już pierwsze w zielonej puszczy i słyszy, jak biją skrzydełkami o cienką blachę. A tam – ten jest wyjątkowo piękny. Trzepocze przed oczami, wabi ją do siebie. Takiego gatunku jeszcze dotąd nie widziała: żółto-jasnobrązowy z kolorowymi plamami obramowanymi cieniutkimi czarnymi obwódkami, jak oprawne w ołów szyby okien na klatce schodowej willi. Na końcach skrzydełek ma czarne i białe punkciki. Właściwie jest za piękny, by go złowić. Siadł na okwitłej róży, skrzydełka postawił pionowo i złączył. Drżą leciutko, jakby wiedział, że go złapie. Zbliży się doń ostrożnie, unosi siatkę i zarzuca ją szybko... w tej samej chwili rozlega się znowu dzwonek telefonu.

– Maria! Gdzie się podziewasz? Czy nikt nie podejździe do telefonu? Maria!

Zostawia owada złapanego w białą sieć i biegnie do domu. Matka woła za nią:

– Ktokolwiek to jest, mnie nie ma. Powiedz, że właśnie poszłam pływać. Powiedz cokolwiek, bądź dobrym dzieckiem.

Jest w wielkim salonie z kolorową terakotą na podłodze i licznymi kanapami. Telefon dzwoni głośno, ale nie może go nigdzie znaleźć; matka ma zwyczaj nosić ze sobą aparat podczas rozmowy, a potem stawiać go gdziekolwiek.

Znajduje go na podłodze przy kominku. Czarny przedmiot z długim czarnym sznurem nie przestaje dzwonić. Świdrujący dźwięk ma w sobie coś groźnego. Dlaczego dorośli używają takich aparatów? O ileż piękniej jest łowić motyle. Jakże szczęśliwa była na dworze, w ogrodzie... Podniesie po prostu słuchawkę i położy obok na podłodze. Matce powie, że nikt się nie odezwał – i ucieknie z powrotem do ogrodu...

Ale głos się odzywa, jakaś panienka z poczty, potem inny, głośno i z irytacją:

– Dlaczego nikt nie podchodzi do telefonu?

A potem złość znika, a głos staje się tylko natarczywy i niepewny:

– Kto mówi?

Musi się przemóc, by po prostu nie odłożyć na powrót słuchawki.

– To ja.

– Maria? Ty jesteś Maria? Proszę, poproś mamę do telefonu!

– Ona nie może przyjść.

– Musi przyjść... Mówi Pinelli... Wiesz kim jestem?

– Oczywiście. – Zna to nazwisko. To ktoś z tatusiowej fabryki samolotów w La Spezii. Jeden z tych panów, którzy przeprowadzają próbne loty na nowych samolotach. Wyglądają

wszyscy tak samo w tych swoich skórzanych czapkach i wielkich okularach.

– Zawołaj mamę! Szybciutko biegnij i przyprowadź ją! To pilne... Coś się stało.

Coś w jego głosie wprawia ją w lęk. Czuje, że zaraz ten głos sprawi, iż nigdy już nie będzie tak szczęśliwa jak przed chwilą w ogrodzie. Ma przed oczami motyla, jego drżące skrzydełka. To samo drżenie ogarnia nagle i ją.

– Moja mama poszła pływać.

– Czy nie ma nikogo więcej?

– Tylko Gianni i jego korepetytor.

– To zawołaj Gianniego!

– Nie mogę im przeszkadzać. – Przez moment ma nadzieję, że głos się podda. Zaraz będzie mogła odłożyć słuchawkę i pobiec do ogrodu, do swego motyla. Nic i nikt jej nie zasmuci...

– Poczekaj, Mario... jesteś już dużą dziewczynką, prawda? Prawie całkiem dorosłą. Twój tatuś jest... twój tatuś był z ciebie zawsze bardzo dumny, wyjątkowo dumny... Zdarzył się wypadek, Mario, twój tatuś nie żyje... Rozumiesz, co mówię...

Słyszy te słowa, ale ich nie pojmuje, nie w tej chwili. Nie pojmie też nic z tego, co się będzie działo przez następne dni. Tego, że nagle na obrazach i nad drzwiami zawisnie kir; że dom zapełni się kwiatami; że nagle przyjdzie tyle ludzi i będą ją obcałowywać. Nienawidzi tego całowania przez obcych. A potem pogrzeb. Długa droga z fabryki na cmentarz w palącym słońcu. Tysiące ludzi na ulicach wzdłuż trasy. I ona za trumną; ona, Gianni, matka i korepetytor Gianniego – dlaczego on?

Minie wiele czasu, zanim to zrozumie. Teraz, w tej chwili, czuje tylko chłód kamiennej posadzki pod bosymi stopami. Wisząca na szyi puszka na okazy staje się stupudowym ciężarem, słyszy uderzenia skrzydełek, mocne, rozpaczliwe. Później, przy wyprowadzce, natrafi na puszkę, otworzy ją i



znajdzie na dnie tylko resztki, bezbarwne korpusy, czułki, pył...

Upuściła słuchawkę i wybiegła na taras. Matka wyciągnięta na leżaku, na jej skórze, błyszczącej od olejku, zbierają się drobniutkie kropelki potu.

– Kto to był, *cara*? – Jej głos jest senny, nasycony słownictwem.

Wypowiada słowa, które usłyszała i których nie pojmuje:

– Tatuś nie żyje.

Z ust matki wydobywa się dziwny dźwięk, z trudem chwytta powietrze. Unosi się na leżaku, listek spada z nosa i trzepoce w drodze ku ziemi. Jej oczy, wielkie ciemne oczy, które przekazała córce, płoną dziko.

– Nie mów tak! Nigdy więcej nie mów czegoś takiego! Ale ona powtarza:

– Tatuś nie żyje... Był wypadek.

Cisza, upał i cisza, nie słychać jaszczurek, od plaży nie dochodzi odgłos fal, igły z piniń spadają bezszelestnie. I wtedy matka zaczyna krzyczeć. Wstaje, wlepia wzrok w dziecko i krzyczy. Później przychodzą słowa, przerywane krzykiem i płaczem:

– Kłamiesz... ja ci pokażę... okłamywać mnie... Dlaczego mnie okłamujesz...

Podnosi rękę i uderza, przerażona porywa dziecko w ramiona, obejmuje je, całuje i łka:

– Powiedz! że kłamałaś... o, *cara*, powiedz, że to nieprawda!

Krzyczy tak głośno, że z domu wybiegają Gianni z korepetytorem. Gianni szuka wzroku siostry. To nauczyciel obejmuje ramieniem łkającą i drżącą kobietę, mówiąc:

– Proszę, *signora* Canossa, proszę! Niech się pani uspokoi. Co się tu dzieje? Co się stało?

Matka nie odpowiada. Palcem wskazuje na Marię.

Teraz już wszyscy patrzą na nią. Czego oczekują? Nie może dłużej znieść tego wpatrywania się. Ucieka, boso, igły pinii kłują w stopy; biegnie do ogrodu, tam gdzie zostawiła pięknego motyla, uwięzionego w białej sieci...

## 9.

Siadła na łóżku, wyrwana ze snu. Było ciemno i w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest, ani która może być godzina, a nawet czy to dzień, czy noc. Dzwonił telefon; to on ją obudził. Poszukała kontaktu, nie znalazła. Poszła kierując się dźwiękiem i, wciąż półprzytomna, zdjęła aparat ze stołu, położyła go na sofie i przykryła poduszką. Niepotrzebnie, bo dzwonek tymczasem zamilkł.

Zapaliła światło i wróciła do sypialni. Czarna sukienka, którą miała na sobie podczas pogrzebu, wisiała na oparciu krzesła. Sama była wciąż w halce i pończochach; po powrocie z dworca chciała się tylko na chwilę położyć, ale tymczasem głęboko zasnęła. Nie miała pojęcia, jak długo spała. Jej zegarek stanął, więc włączyła radio. Dotąd go nie używała, zaskoczyło ją, że nie było nastawione na Rzym, lecz na jedną ze stacji alianckich. Jeszcze z Berlina pozostał jej ten odruch, że natychmiast ściszyła.

Powiesiła czarną sukienkę w szafie i włożyła szlafrok Gianniego. W południe nic nie jadła i nagle poczuła się głodna. Poszła do kuchni i podczas gdy kawa parzyła się w ekspresie, przygotowała sobie kanapkę. Postawiła wszystko na tacy i zaniósła do pokoju.

Jak pierwszego dnia, dom pogrążony był w zupełnej ciszy, jak nie zamieszkanym. Zdjęła poduszkę z telefonu; głupio, że nie odebrała! Teraz marzyła, żeby się odezwał tylko po to, aby przerwać tę ciszę, to milczenie.

Czy od tej chwili taki już będzie jej los? Ta cisza, ta samotność, to milczenie? Musiała coś zrobić, zbudować sobie nowe życie. Drobiazgi: poszukać pracy, uporządkować sprawę dokumentów, znaleźć w sąsiedztwie sklepy, gdzie mogłaby robić zakupy, kino, do którego mogłaby pójść sama, bez towarzysza... Plakaty przy kinie, które odkryła pierwszego wieczora, zapowiadały „Un grande amore” z Sarą Leander. Leander po włosku? Pójść? Czy lepiej wrócić do łóżka?

Wielkie łoże Gianniego... Czy bywały tu kobiety? W szafach i w łazience nic na to nie wskazywało... Na pewno nie będzie mogła spać. Jak to już dawno – rok, dwa lata?

Od jak dawna nie leżała w ramionach mężczyzny? Mały pensjonat w pobliżu Dworca Anhaltskiego w Berlinie; wąskie, mosiężne łóżko... od tamtego czasu tylko dręczące sny, wizje...

Skoro nikt do niej nie dzwonił, to może był ktoś, do kogo ona mogłaby zadzwonić. Ale kto? Jej matka na pewno już wróciła do La Spezii i przez sekundę kusiło ją, by wykręcić numer. „Jak minęła podróż, mamo?” Ale przypuszczalnie to nie ona podejździe do aparatu, lecz ojczym; od tamtego czasu matka niechętnie odbiera telefony...

Jej wzrok padł na list leżący na stole. Wyjęła go z torebki, gdy weszła do domu. Nie musiała go brać do ręki i czytać. Zrobiła to już tyle razy, że znała na pamięć każde słowo Gianniego, miała przed oczami litery:

„Kochana Mario,

nigdy nie mieliśmy czasu o tym porozmawiać. I być może nigdy nie będziemy go mieli. Mam takie dziwne uczucie przed tym lotem. Ale ponieważ tyle razy je miałem, może to nic nie znaczy. Mimo to próbuję do Ciebie pisać, podczas gdy start się opóźnia...”

W tym miejscu list się urywa, w każdym razie normalne pismo. Dalej jest jeszcze tylko dopisek ołówkiem, nabazgrany

pospiesznie:

„Możemy startować. Jeśli coś się stanie, porozmawiaj z Markiem!

Ucałowania,  
Gianni.”

Briga powiedziała, że zawsze liczył się z tym, że zginie. Czy naprawdę miał przecucie, że stanie się to podczas tego lotu? A czy inaczej pisałby ten list? O co mu chodziło? Cóż to były za rzeczy, o których nigdy z nią nie rozmawiał? Co wiedział Marco Varelli? I co znaczyło to drugie mieszkanie na końcu korytarza? Obejrzała sobie tamte pokoje i stwierdziła, że nie były tak puste, na jakie wyglądały pierwszego wieczora.

Aparat zadzwieczał. Natychmiast podniosła słuchawkę, ale nie był to Marco Varelli – dlaczego transmisja myśli nie jest możliwa? – lecz Briga.

– ...już kilka razy próbowałam się do ciebie dodzwonić. Wszystko w porządku? – W tle brzmiał szlagier.

– Widocznie zasnęłam... tutejszy klimat, muszę się do niego na nowo przyzwycząić.

– Naprawdę wszystko w porządku, Mario? Czy matka jest jeszcze u ciebie?

– Zaraz po pogrzebie wróciła do La Spezii.

Muzyka w tle ucichła, ale zaraz rozległa się znowu. Muzyka z gramofonu. Widocznie ktoś zmieniał płytę.

– Jak matka to przyjęła?

– Nie wiem. Między nami nie układa się najlepiej. Po prostu nie mamy sobie nic do powiedzenia, chociaż się staramy. Wprawdzie to moja matka, ale jest mi obca. Myślisz, że choć raz zapytała o Gianniego, to znaczy o to, jak zginął?

– Ja też o to nie pytałam.

– Może jej zresztą powiedzieli. Jestem dla niej niesprawiedliwa. Chyba zawsze byłam. A teraz już za późno. Pómnówmy o czymś innym. Podobała się jej czarna sukienka.

Na takie rzeczy zwraca uwagę.

Obok muzyki w tle pojawiły się teraz głosy, śmiech.

– Pytałaś mnie o Marca Varellego. Coś niecoś znalazłam. Chcesz posłuchać?

W książce telefonicznej Maria go nie znalazła. Varellego, owszem, ale nie Marca.

– Ma czterdzieści trzy lata, od około dziesięciu lat żyje w separacji z żoną, ma szesnastoletnią córkę, która mieszka razem z matką. Sprawa znajduje się w watykańskiej komisji do spraw rozwodów, ale wydaje się bez szans...

– Nie o tym myślałam...

Marię interesowało raczej jego dziwne zachowanie na cmentarzu. Dlaczego zadał sobie trud pojechania aż do Fratocchie, a potem nie zamienił z nią ani słowa? Dlaczego zachowywał się jak obcy?

– ...stara rzymska arystokracja. Ojciec, Umberto, jest prawdziwym *conte*, żaden tam baron, matkę – zgadza się, ma ten sklep na Via del Babuino – tylko nazywają *contessa*. Mają wielką posiadłość. Znasz ogrody i parki przy Via di Porta Latina? To tam. Tam mieszkają, chociaż to właściwie przekracza ich możliwości...

– Briga...

– Ojciec był ambasadorem Włoch w Londynie. Wywalili go faszyci.

– Jesteś pewna, że mówimy o tym samym człowieku?

– Tak, o Marcu Varellim. Nie używa tytułu. Studiował w Anglii. Potem wrócił razem z rodzicami. Latał z Giannim na liniach kurierskich, na trasie Neapol-Palermo-Trypolis i też miał potem kłopoty z faszystami. Nie całkiem jasne. Jedni mówią, że z powodu antyfaszystowskich wypowiedzi i obrazy jednego z urzędujących ministrów, inni, że po prostu miał romans z żoną tego ministra. Raczej to drugie, tak sądzę. Przypisuje mu się całą masę podobnych sprawek... Faktem

jest, że komisja rozjemcza skazała go na pięć lat zesłania na Lipari. Darowali mu rok, od 1937 roku jest z powrotem w Rzymie.

– Jak się tego wszystkiego dowiedziałaś w jeden dzień?

Briga roześmiała się. Można było poznać, że cieszy ją zmiana tematu i to, że nie musi już mówić o Giannim i pogrzebie.

– Popytasz paru ludzi, oni z kolei popytają paru innych. Oczywiście właściwych ludzi. I tak w dwadzieścia cztery godziny dowiesz się w Rzymie wszystkiego, co chcesz wiedzieć.

– A numer telefonu?

– Pod Varelli Umberto conte, Villa Tusculo. Mieszka z rodzicami.

– Która jest właściwie godzina? – Usłyszała inny głos, szept, potem stłumiony śmiech i znowu odezwała się Briga:

– Przepraszam... Po dziesiątej. No to co, wpadniesz na chwilkę? Nie chcę cię zmuszać, ale dobrze by ci to zrobiło.

Briga dała jej czas do namysłu, nie nalegała. Ma iść? Na kino było za późno. Na powrót do łóżka – za wcześnie. Nie zasnęłaby na nowo. Inni, radośni ludzie, tego także oczekiwała od Rzymu.

– Są sami swoi. Tylko paru przyjaciół. Chodź, zberz się w sobie.

– A jaki jest twój dokładny adres?

– To nie takie proste. Czekał... – Znowu pojawiło się tło dźwiękowe, muzyka, głosy, śmiech. Potem Briga: – Poślemy po ciebie samochód... Naturalnie. Ile czasu potrzebujesz? Pół godziny. Dobrze, już wyjeżdża. Zobaczysz, na pewno ci to dobrze zrobi. A Gianni – nie uważasz, że on uznałby to za słuszne?

Dopiła kawę. Czy o tej porze mogła jeszcze zadzwonić do Varellich? Przyniosła książkę telefoniczną i wyszukała numer.

Odezwał się męski głos, chłodny, formalny.

– Nie można rozmawiać z Markiem Varellim. Nie, nie ma go w Rzymie. Nie, jest nieosiągalny. Rodzice? Niemożliwe, *conte* i *contessa* nie życzą sobie, by ich niepokojono o tej porze.

Podczas tej rozmowy Maria wyobraziła sobie wielki, wiejący chłodem dom. Ale inny obraz był jeszcze wyraźniejszy. Widziała park z setkami starych drzew. Lipy, wiązy, kasztanowce, sosny, cedry, a nawet palmy i eukaliptus. Była dzieckiem i biegła za czerwoną drewnianą kulą. W fotelu na kółkach siedział młody mężczyzna. Nazywał się Varelli. Był tam też jej ojciec. Obok niego stała kobieta, bardzo piękna kobieta. Dziecko obserwowało ojca z tą panią – i poczuło zazdrość, po raz pierwszy w życiu poczuło zazdrość...

Może zechce przekazać wiadomość, spytał głos. Tak, gdyby Marco Varelli był łaskaw oddzwonić do siostry Gianniego Canossy. Głos stał się o stopień cieplejszy: informacja zostanie przekazana, jak tylko *signor* Marco się pojawi. Niestety, trudno powiedzieć, kiedy to się stanie...

Maria zaniósła naczynia do kuchni; chleba nie ruszyła. Wzrok padł na zasłonę odgradzającą drzwi do drugiego mieszkania. Pokój zaraz za drzwiami, odpowiadający mniej więcej salonowi, wydawał się na pierwszy rzut oka rzeczywiście pusty i nie zamieszkanym. Żadnych firanek. Ale szyby zalapiono czarnym papierem. Prosty stół, cztery proste krzesła, kilka blaszanych popielniczek i radio, ten sam typ, co w mieszkaniu Gianniego.

Jeszcze więcej do myślenia dało jej drugie pomieszczenie: stały tam cztery metalowe łóżka polowe, połączone po dwa; sienniki, pościel w kratę, cztery wełniane koce porządnie złożone w nogach łóżek. I ta szafa! Była wypełniona ubraniami; żadnych garniturów, tylko ubrania robocze, spodnie i kurtki,

koszule w różnych rozmiarach... Szyby w oknach również zaklejone czarnym papierem. Po co to wszystko? Tylko Marco Varelli mógł odpowiedzieć na to pytanie...

Weszła do łazienki i zaczęła się szykować. Nie spieszyła się przy czesaniu i malowaniu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu robiła to chętnie, niespiesznie, bez oporu.

Przed szafą zaczęła się zastanawiać. Ta biała sukienka od Antonelli z czerwonym paskiem – kupienie jej było szaleństwem. Ale po prostu musiała ją mieć. Briga próbowała jej przemówić do rozsądku, jednak nie chciała być rozsądna. Gianniego wysoka cena nigdy nie powstrzymywała od zakupu. Ten jeden raz chciała być, jak on, ekstrawagancka.

Latami nosiła ubrania, które podobały się mężowi, nie jej. Upierał się, by niczego nie kupowała bez niego. Z podróży do okupowanych krajów powracał z najróżniejszymi rzeczami: pończochami, rękawiczkami, bluzkami, spódnicami. Dostawała je na urodziny i na Boże Narodzenie. A wszystko takie porządne, że zadawała sobie pytanie: czy on mnie rzeczywiście tak widzi? Czy też tylko chce, abym się innym nie podobała? Najgorzej było z butami; pół numeru za duże i zawsze na płaskim obcasie. Dla niego było najważniejsze, żeby były wygodne i – Bóg świadkiem – nie miała odcisków! Ale jakże chętnie by pocierpiała w eleganckich, za małych butach.

Włożyła białą sukienkę i sandałki z czerwonych pasków na wysokich obcasach, które do niej kupiła. Wyłączyła radio.

W salonie wzięła ze stołu list; zastanowiła się i włożyła go do torebki. Tak, Gianni uważałby za słuszne, że wychodzi tego wieczoru. Właściwie nie miało to znaczenia. Ważne było, że wkrótce będzie mogła porozmawiać o Giannini z Markiem Varellem...



## 10.

Dwa drzewka wawrzynu dekorowały drzwi, dokładnie tak jak przy sklepie na Via Borgognona. Mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze lekko podniszczonej, ale wciąż jeszcze wspaniałej kamienicy na rogu Piazza del Tempio di Diana, w centrum Dzielnicy Awentyńskiej, i za dnia widok na miasto musiał być wspaniały. Maria wjechała na górę starą okratowaną windą. Klatka schodowa z marmurową posadzką pogrążona była w półmroku, ale przytłumiona muzyka i drzewka wawrzynu wskazały drogę.

Kiedy otworzyły się drzwi, muzyka buchnęła na cały głos. Stał przed nią jakiś mężczyzna, nie Briga. Był przysadzisty, niemal korpulentny, miał na sobie dwurzędówkę z jasnoszarej flaneli; pełna, mięsista twarz przywodziła na myśl rzymskokatolickiego prałata, szczególnie wtedy, gdy się do niej uśmiechał zza szkieł dużych, okrągłych okularów. Nie powiedział nic, jedynie wskazał dłonią, by weszła. Na palcu błysnął sygnet.

Maria zwlekała.

– Jestem przyjaciółką Brigi. – Z przedpokoju mogła rzucić okiem do wielkiego salonu. W niepewnym świetle świec i kilku przysłoniętych lampek zobaczyła co najmniej tuzin ludzi, kobiet i mężczyzn, pijących, śmiejących się, rozmawiających. „Tylko kilkoro przyjaciół”, powiedziała Briga...

– Ależ oczywiście, oczywiście. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi Brigi. Proszę wejść.

Łagodny, śpiewny akcent pasował do twarzy prałata odprawiającego mszę. Może po prostu za dużo wypił. Jego włoski był bez zarzutu, a jednak instynkt jej podpowiadał, że to nie rodowity Włoch.

– Pierwszy raz tutaj?

Oczy za szklami okularów stały się czujne, badawcze. Było to spojrzenie mierzące ją z góry do dołu, tak śmiałe, pełne tak profesjonalnego zainteresowania, jak gdyby był właścicielem nocnego klubu i testował dziewczynę chcącą się u niego zatrudnić.

– Przyrowadzę Brigę. Proszę, niech się pani tymczasem rozbierze. – W tym momencie pojawiła się Briga. Jej czółenka stuknęła o marmurową posadzkę. Sukienka z fioletowego jedwabiu miała głęboki dekolt i dość swobodnie odsłaniała stonkowo mały biust. W rękę trzymała kieliszek szampana.

– O, Maria! Wchodź! Zamknij drzwi... Poznaliście się już? To Winter. Jest... – Przyjrzała mu się z uśmiechem, objęła ramieniem. – Kim jesteś, Fritz? Moim kochankiem, moim dostawcą szampana, moim obrońcą? Może samym Bogiem Ojcem! Tak, myślę, że ta rola mu się najbardziej podoba, prawda, Fritz? Bóg Ojciec! A to jest Maria! Jest nie tylko moją przyjaciółką, jest moją najlepszą przyjaciółką. Bądź dla niej szczególnie miły. – Wetknęła mu w rękę pusty kieliszek. – Dolejesz mi?

Briga ruszyła przodem do pokoju po lewej stronie korytarza. Być może był to na co dzień pokój gościnny, teraz leżały tam w poprzek łóżka płaszcze. Drzwi do łazienki stały otworem, widać było jasno oświetloną ścianę luster, stolik z kosmetykami, stos kolorowych ręczników dla gości.

– No, dalej, zdejmij płaszcz. Czekać, potrzymam ci torebkę... Po prostu rzuć go na inne... Fajnie, że się jednak zdecydowałaś. Biała sukienka! Rzeczywiście, jak dla ciebie szyta! Mimo to mów co chcesz, dla mnie to sukienka, której się sobie samemu nie kupuje. Antonella kalkuluje swoje ceny tak, że ciuchy można tylko dostać w prezencie...

Roześmiała się i pociągnęła Marię dalej. Wypiła więcej, niż można to było po niej poznać przez telefon. Balansowała na swoich wysokich obcasach, jakby się miała za chwilę przewrócić.

Wielki salon był taki jak wszystkie poprzednie pokoje, w których mieszkała Briga. Pewnie, wszystko było większe, wytworniejsze, droższe, ale panował tu ten sam bałagan. Ludzi było więcej, niż Maria zauważyła na pierwszy rzut oka. Pary tańczące, pary w ciemnych kątach na niskich kanapkach. Inne nie znalazły wolnych krzeseł, siedziały więc na podłodze. A wszędzie porzucane były szmaciane lalki, które zbierała Briga. Gramofon grał bardzo głośno. Jasny męski głos śpiewał: *Let's do the breakaway, get hot and shake away...* Muzyka przypomniwała Marii angielskie big-bandy, których słuchała czasem w Berlinie w latach trzydziestych, a które obecnie były zakazane.

Mężczyzna, którego Briga przedstawiła jako Wintera, napełniał właśnie szampanem kieliszki gości. Briga wyszeptwała do ucha Marii:

– Nie widać może tego po nim, ale jest fantastycznym kochankiem. To znaczy, naprawdę do brym. – Zaśmiała się znowu. – Gdzieś kiedyś czytałam, że Rzymianki szalały za germańskimi niewolnikami. Mężowie nie mogli im przywieźć lepszego prezentu z Germanii... Teraz to rozumiem. Ma ponad pięćdziesiątkę, ale oddałabym za niego każdego młodego Adonisa.

– Jest Niemcem?

– Jest ważnym człowiekiem w Rzymie.

– Ale jest Niemcem... – Maria słyszała teraz wyraźnie dźwięki niemieckiej mowy także wśród gości. Nagle pożałowała, że nie została w domu. Nie po to wróciła do Rzymu, żeby dać się wozić mercedesem z tablicą rejestracyjną korpusu dyplomatycznego i pić konfiskowanego przez Niemców szampana...

– Po pierwsze, jest Austriakiem, wiedeńczykiem. Nie wiem, czy to jest jakaś różnica, on jednak twierdzi, że tak, i to duża. Po drugie, jest w połowie rzymianinem, zbiegłym

wychowankiem jezuitów... Poważnie, był alumnem w Collegium Germanicum, chciał zostać księdzem. Po trzecie...

– Nie wiedziałam, że Niemcy są tutaj tak lubiani.

Briga chciała odpowiedzieć, ale Winter podszedł do nich z dwoma kieliszkami napełnionymi szampanem. Zdjął okulary, co go odmłodziło, a jego spojrzeniu przymrużonych oczu krótkowidza nadało wyraz czujności. Maria zwlekała z wzięciem kieliszka.

– Może go pani spokojnie pić. To dobry szampan. Gwarantuję: żadnego bólu głowy.

Briga wzięła swój kieliszek z uśmiechem i wypła. Wskażała palcem na pokój.

– Poszukaj sobie kogoś. Wygląda, jakby były tu wyłącznie pary, ale dwie godziny temu niewiele osób się znało. Fritz i ja... jesteśmy tutaj jedyną prawdziwą parą.

Winter odciągnął Brige. Tańczyli na środku pokoju, prawie w miejscu.

Maria stała z pełnym kieliszkiem w ręku. Wypiła łyk, potem drugi. Szampan był dobry i dobrze na nią działał.

Rozluźniła się, muzyka nie wydawała jej się już taka głośna, ludzie tacy obcy. Jakiś mężczyzna podszedł i wyjął jej z ręki pusty kieliszek.

– Kogóż my tu mamy? Damę w bieli? Chodźmy zatańczyć!

Pociągnął ją za sobą, ale muzyka umilkła, jak tylko przetańczyli kilka taktów. Miał na sobie białą kurtkę mundurową z baretkami i czarną muszkę.

– Pierwszy raz u Brigi?

– Czy nie robi panu różnicy, jeśli będziemy mówić po włosku? – Wiedziała, że jest niegrzeczna, ale zaczął rozmowę po niemiecku, z tym samym berlińskim akcentem, który miał jej mąż – no i nie przedstawił się jej.

– Mnie? Zupełnie nie, o ile pani zniesie mój włoski. Pani jest Włoszką?

- Przeszkadza to panu?
- Ależ skądże! W końcu jesteśmy sojusznikami, prawda?
- Roześmiał się. – A może już nie jesteśmy? Już po wszystkim? Przeszliście już na drugą stronę? Chodźmy, zatańczmy, póki jeszcze jesteśmy sojusznikami.

Ktoś nałożył nową płytę. Znów angielski big-band; saksofon, jasny męski głos: *She's got eyes of blue...* Maria lubiła tańczyć. W rzymskich przedmałżeńskich latach zdarzało jej się często przetańczyć całą noc. Zapomnieć o wszystkim, być tylko rytmem, tylko ruchem, oddać się tańcowi całą swą istotą. Lubiła tańczyć partnerami, którzy robili to tak samo dobrze i chętnie jak ona, nie zaś z mężczyznami, dla których taniec był jedynie wstępem do pójścia z kobietą jak najszybciej do łóżka. Ten zaś należał do owej drugiej kategorii: jego ręka wędrowała wzdłuż jej pleców, jego usta od ramion do karku...

– *Permesso!* – Przerwała taniec i zostawiła go na parkiecie. Dlaczego każda drobnostka wyprowadza ją z równowagi? Powinna była jednak zostać w domu. Poszukała łazienki, umyła ręce, wypła łyk wody. Pukanie do drzwi. Briga wsadziła głowę do środka.

- Co się dzieje?
- Nic, nic. Po prostu jeszcze nie dojrzałam do tego, żeby się bawić. A może to dlatego, że od rana nic nie jadłam... Słuchaj, sprowadzisz mi taksówkę?

Briga weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi na zasuwę.

- Maria, posłuchaj mnie!
- Nie przejmuj się mną, naprawdę!
- Posłuchasz mnie wreszcie? – Briga usiadła na klozecie i zrzuciła buty. Jej twarz w jasnym świetle wydała się nagle zmęczona – twarz lalki, którą zbyt długo się bawiono – a jednocześnie zdecydowana. Robiła wrażenie absolutnie trzeźwej.
- *Va bene, Maria.* Chcesz wyjaśnienia, oto ono. Facet, z którym właśnie tańczyłaś, jest – przypadkiem – odpowiedzialny

za wszystkie rezerwy benzynowe w regionie. Może to i nieważne, ale znam wielu, bardzo wielu Włochów, patriotów włoskich, którzy uważają to za bardzo istotne. Winter – jest taki, jak ci go przedstawiłam: może dziać rzeczy, o których ci się nie śniło. Dla mnie, dla moich przyjaciół. Dlaczego? Wszyscy są żonaci, mają swoje Trudchen i dzieci. Chcą się z kimś przespać – czemu nie, dopóki nam się to podoba. Więc dlaczego to robią? Mogę się tylko domyślać. Wojna wojną, rozkazy rozkazami – pamiętaj, że tu, co podkreślają gazety, rozkazują Niemcy – ale jesteśmy we Włoszech, w Rzymie. Tutaj czas płynie inaczej, nawet dla Niemców. A każda wojna kiedyś się kończy. Może Winter myśli także o tym. Może widzi, że czasy się zmieniają, także dla niego. Może będzie potrzebował włoskich przyjaciół... Cokolwiek się za tym kryje, ja nie decyduję o biegu historii, decyduję tylko o moim życiu i powiadam: najpierw rozsądek.

Pochyliła się i potarła obolałe stopy. Gest był tak naturalny, że słowa stały się bez znaczenia, liczyły się tylko jej bolące nogi. To była po prostu Briga, kobieta mająca za sobą długą drogę do punktu, w którym się teraz znajdowała, i zdecydowana iść dalej.

Maria przyglądała się, jak Briga masuje stopy, i nagle nie mogła powstrzymać śmiechu. I oto śmiały się obie, jak dawniej, kiedy razem chodziły się zabawić i w hotelowych toaletach filozofowały na temat mężczyzn.

– Za ile benzyny mam się z nim wobec tego przespać?

Śmiały się i poprawiały makijaż, aż rozległo się pukanie do drzwi. Był to Winter, poważny, zaniepokojony. Briga śmiała się z jego miny, pokazywała go palcem, ze śmiechu prawie nie mogąc wydusić z siebie słowa:

– Czy nie słodko wygląda mój *Dickerchen*? – Użyła niemieckiego słowa zamiast „grubasek”. – Jak gruby, tłusty bobas!

- Możecie mi powiedzieć, co was tak bawi, oprócz mojej twarzy? – Robił wrażenie człowieka znajdującego się na żartach.
- Zgłębiłyśmy tajemnicę Rzymu.
- I zdradzicie mi ją?
- Jest przeznaczona tylko dla rzymian. Tylko dla rzymianek. Znasz powiedzenie: Już starożytni Rzymianie...? Ale poważnie, Fritz. Daj Marii coś do jedzenia. Zaraz padnie z głodu. Proszę cię, dobrze?

Siedzieli w kuchni przy stole, i nawet teraz, po półgodzinie spędzonej z nim sam na sam, Maria nie mogła sobie wyrobić zdecydowanego zdania o Winterze. Jowialny mężczyzna napełniający kieliszki, który na skinienie wyczarowywał jedzenie, to była tylko jego cząstka. *Dickerchen* był tylko fasadą, ale co kryło się za nią?

- Smakowało?

Na stole stała duża, niebieska, teraz pusta puszka kawioru. Najpierw chciał jej zrobić talerz zimnych zakąsek, ale kiedy mu powiedziała, że wolałaby coś na ciepło, usmażył naleśnik z mąki gryczanej, śmietany i jajek i obficie posmarował go kawiozem.

Maria odsunęła talerz.

- Dziękuję, było bardzo dobre. Że też w ogóle jeszcze jest kawior...

– Irański. Rzeczywiście bardzo dobry. – Dolał jej białego wina.

Ręce Wintera były wypielęgowane, paznokcie błyszcząły jak na woskowane.

- U pana codziennie jest kawior?

– Nasz ambasador jest starszym panem z kłopotami żołądkowymi. I te kłopoty się nie zmniejszają. Jest wiele rzeczy, które mu szkodzą na żołądek... Poza tym w naszej stołówce panują bardzo niemieckie i bardzo spartańskie zwyczaje. Raz

w tygodniu jest nawet *Eintopf*. I biada, jeśli ktoś zechce się wymigać!

Zdjął okulary i położył obok siebie. Ręce bawiły się pła-  
skim, niebieskim pudełkiem papierosów. Był to ten sam au-  
striacki gatunek, który palił jej mąż.

– Pozwoli pani, że zapalę?

– Proszę. – Przypomniała sobie samochód z rejestracją  
korpusu dyplomatycznego. – Pracuje pan w ambasadzie?

– Na szczęście. Rzym jest moim miastem. Potrzebowałem  
dużo czasu, aby się tu zadomowić, ale kiedy to się już stało – z  
trudem przyszłoby mi żyć gdzie indziej.

– A czym się pan zajmuje w ambasadzie?

Popatrzył na nią i uśmiechnął się. Może wiedział, że jego  
okrągła twarz z podwójnym podbródkiem wydaje się bardziej  
jowialna, bardziej niefrasobliwa, kiedy się uśmiecha?

– Tak, czym się tam zajmuję? Wyłącznie nieważnymi  
sprawami, jak mi się czasem zdaje. Meldują mi, kto z persone-  
lu nie uczestniczył w jednodaniowym obiedzie; uchodzi to za  
świadczenie dużej zmienności przekonań, tak, jest nawet po-  
dejrzane. Ta osoba jest sprawdzana... Takimi rzeczami się  
zajmuję.

– I dlatego jeździ pan wielkim mercedesem z szoferem?

– Dobre pytanie.

– A można na nie otrzymać odpowiedź?

– Naturalnie. Ambasador...

– ...ma kłopoty żołądkowe.

– Tak mniej więcej. Przebywa na kuracji za granicą i nie  
potrzebuje samochodu.

– I kawioru. Powinnam się postarać o zatrudnienie u pana.

– Dlaczego pani tego nie zrobi?

– A byłaby taka możliwość? – Nie mówiła tego całkiem  
serio, ale coś ją w tym człowieku kusilo do podjęcia gry.



– Na pewno dałoby się to urządzić.  
– W Rzymie wszystko da się urządzić?  
– Większość rzeczy. Ma pani opanowane oba języki. Nasz wydział kultury... Opieka nad gośćmi, czytanie gazet, słuchanie audycji radiowych, robienie tłumaczeń... Może coś z tego? Pani ma niemieckie obywatelstwo?

– Tak... – Przez małżeństwo, chciała dodać, ale miała wrażenie, że i bez tego wiedział. – W tej chwili jestem między młotem a kowadłem. W Niemczech, w Berlinie, byłam Włoszką, mimo niemieckiego paszportu. Kiedyś chciałam odwiedzić męża w fabryce silników samolotowych w Spandau. Myśli pan, że mi to umożliwiono? Uwaga, wróg podsłuchuje! Jeśli Niemcy przegrają wojnę, to tylko przez nas, Włochów... Tak było w Berlinie. Tutaj być może będzie podobnie. Dla Włochów jestem Niemką.

- Zostaje pani na stałe w Rzymie?
- Tak.
- Długo pani nie było?
- Dziewięć lat.
- Zna pani tu chyba jeszcze wiele osób?
- Tylko kilkoro. Dziewięć lat to dużo.
- Przyjaciele pani brata?

Zaskoczona podniosła wzrok, ale Winter był zajęty czyszczeniem okularów białą chusteczką wyjętą z kieszonki dwurzędówki. Czyżby informacje, które Briga miała o Marcu Varelhim, pochodziły od Wintera?

– Przy okazji – wyrazi współczucia z powodu śmierci brata. – Winter włożył okulary na nos.

- Dziękuję.
- Gianni Canossa – Włoch, bohater. Także od nas, Niemców, dostał pośmiertnie odznaczenie. Nasz attaché lotniczy, Gottfried von Boldt, był na pogrzebie. To się nieczęsto

zdarza... Byliście sobie bardzo bliscy, prawda? Często go pani widywała?

- Zbyt rzadko.
- W minionym roku?
- Tylko dwa, trzy razy.
- W Rzymie?
- Raz w Rzymie, raz w Berlinie...
- ...raz w Madrycie.

Znów popatrzyła na niego zaskoczona, ale tym razem ich spojrzenia się spotkały. Oczy spoza okularów patrzyły na nią badawczo i zadawała sobie pytanie, jak mu się udało, całkowicie niezauważalnie, odwrócić rozmowę od siebie i skoncentrować na jej osobie.

- Co to ma być, przesłuchanie?
- Rozmowa między przyjaciółmi, mam taką nadzieję. W każdym razie to pani proponuję, moją przyjaźń.

– Skąd pan wie o Madrycie? To był przypadek, nie umówione spotkanie, podczas podróży z mężem. Ponad rok temu. Gianni pokazał się nagle, widzieliśmy się tylko jednego wieczora, zjedliśmy razem kolację... A może i to pan wie. Ale skąd? Dlaczego to pana interesuje?

Potrząsnął głową z powagą i zadumą.

- Nie powinienem był o tym mówić.
- Ale dlaczego? – Pomyślała o liście. Odruchowo sięgnęła po torebkę, którą położyła na stole.

– Pani brat nie żyje. Zmarłym oddajemy cześć. Niech pani jutro przeczyta gazety, pośmiertne wspomnienia, które się ukazą w czarnych ramkach z jego zdjęciem – bohater. I niech już tak zostanie.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli.
- Tym lepiej. Proszę, niech pani zapomni o tej rozmowie.
- Chcę wiedzieć...

Znów potrząsnął głową.

- Powinniśmy dołączyć do reszty. – Wstał.

Czy to był przypadek, że Briga zostawiła ich samych? Na pewno nie.

– Czy Briga o tym wie?

– Niech pani posłucha: nie ma o czym wiedzieć! A Briga, nie, Briga nawet nie chciałaby wiedzieć... Zaopatruję ją obficie w szampana, żeby mogła wydawać te swoje przyjątki. Mogę robić różne uprzejmości dla jej przyjaciół... Briga jest satysfakcjonująco nieskomplikowana. Chodźmy, żeby pani mogła choć trochę skorzystać z tego wieczoru.

Maria pozostała przy stole. Nie miała najmniejszej ochoty wracać do tego hałasu, może jeszcze tańczyć z facetem wyobrażającym sobie, że kobieta prześpi się z nim za miesięczny przydział benzyny. Albo za mniej. Miała dość takich facetów. Miała dość mężczyzn w ogóle. Nie chciała już więcej być zależna od łaskawości mężczyzny, od dobrego słowa, które jej – być może – rzuci.

– To miłe z pana strony. Ale nie chcę zostać. Proszę, niech pan zrozumie. – Oczekiwała sprzeciwu, ale tylko skinął głową.

– Oczywiście. Kierowca zawiezie panią do domu.

– Wołałabym taksówkę.

– Mercedes pani przeszkadza... nie, nie, ma pani rację; on rzeczywiście rzuca się w oczy, prowokuje. Za każdym razem postanawiam, że przestanę go używać, a jednak robię to, przez wygodnictwo! Na zamówioną taksówkę można czekać i godzinę, a jak się ma pecha, to nie przyjedzie w ogóle... Może jednak skorzysta pani z mojego samochodu ostatni raz?

– Dobrze, ostatni raz. Mogę tak po prostu zniknąć?

– Naturalnie. Kuchnia ma drugie wyjście, bezpośrednio na klatkę schodową. Przyniosę tylko pani płaszcz.

Wyszedł z nią na schody, zapalił światło.

– Proszę po prostu powiedzieć kierowcy, dokąd ma panią zawieźć.

– Może jednak byłoby dobrze, gdyby mi pan powiedział, o co chodzi z moim bratem.

– Nie. Nie powinienem być od tego zaczynać. Poza tym to są przypuszczenia, nic więcej, nie udowodnione podejrzenia. Stosunki Niemcy – Włosi są skomplikowane. Dużo plotek, wiele podejrzeń, brak zaufania po obu stronach. Największy problem stanowi porozumienie. Mentalność obu narodów jest zbyt odmienna. Zrozumieć Włochy, zrozumieć Rzym – tu niemiecki rozsądek na nic się nie przyda. Ale większość ludzi nie chce tego dostrzec.

Przyjechała winda i Winter przytrzymał jej drzwi.

– Zostaniemy przy tym? Na razie? I jeśli kiedykolwiek będzie pani miała problemy, niech się pani nie waha zadzwonić do mnie. Do ambasady, do mojego hotelu, do „Excelsiora”, albo – jeśli pani woli – Briga zawsze wie, jak mnie znaleźć.

Ujął jej dłoń. Z uśmiechem, jakby sam z siebie kpił, udał, że składa na niej pocałunek.

Kazała się wysadzić na Piazza Navona. Wielki plac – stadion z czasów cesarstwa rzymskiego mieszczący trzydzieści tysięcy widzów – pogrążony był w ciemności. Nie paliła się żadna latarnia, nie świeciło się w żadnym oknie, ani żywej duszy jak okiem sięgnąć. Grupę nedorostków, która przypnęła na schodach kościoła Sant'Agnese i obserwowała jej przyjazd mercedesem, zauważyła dopiero później.

Niebo się zachmurzyło, ale było jeszcze ciepło. Za dnia, kiedy plac tętnił życiem, prawie nie było słyszano się wodotrysków Fontana dei Fiumi, ale teraz, w ciszy, szmer brzmiał wyraźnie. Stanęła przy fontannie i przysłuchiwała się dźwiękowi spadającej wody.

Kiedyś, przed wielu laty, stała tutaj otoczona turystami i wyjaśniała im znaczenie czterech rzeźb przedstawiających cztery rzeki i cztery części świata: Rio de la Plata, Ganges, Nil i Dunaj...

Po pewnych trudnościach na początku stała się dobrą przewodniczką, lepszą od wielu, które od wieków mieszkały w Rzymie. Może wynikało to stąd, że łączyła ją z tym miastem miłość od pierwszego wejrzenia. Byli dla siebie stworzeni. Uświadomiła to sobie jednak dopiero wtedy, kiedy już tu nie mieszkała. Teraz wróciła. Czy będzie tak samo jak kiedyś? A może tych, którzy choć raz opuścili raj, czekała kara na wieki?

Wzrok powędrował ku kościołowi Sant'Agnese. We wgłębieniu nad wejściem paliła się wieczna lampka z czerwonym kloszem.

Przypomniało jej to obietnicę złożoną tego wieczora, kiedy przyjechała, o świecach ofiarowanych za każdy dzień do końca tego roku. Wiedziała, że się na tym skończy. Nie była już młodą dziewczyną, która zapalała świece przed ołtarzem Matki Boskiej w kościele Santa Maria z Aracoeli. Już nie wierzyła w takie rzeczy. W co w ogóle jeszcze wierzyła?

Dopiero kiedy ruszyła naprzód, zauważyła grupkę niedorostków siedzących na schodach kościoła. Patrzyli na nią w milczeniu i miała wrażenie, że ich spojrzenia jej towarzyszyły.

A może były to kroki? Potem usłyszała słowa, niegłośnie, raczej syk: *Putaña tedesca* – szwabska kurwa!

Odwróciła się, popatrzyła na nich, wytrącona z równowagi. Grupka cofnęła się, ale za to powtórzyli swoje wyzwiska głośnie.

Zmusiła się, by nie uciec, i całkiem spokojnie, w tym samym tempie co przedtem, stawiać krok za krokiem. Przycisnęła do siebie torebkę. Przez cienką skórę wyczuła klucze do mieszkania. Mieszkania Gianniego. Miejsca, gdzie będzie mogła zostać sama. Do drzwi, które będzie mogła zatrzaskać i zaryglować za sobą. Zostać sama – nie mogła sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek jeszcze mogła mieć jakieś inne marzenie.

## 11.

Ponieważ korzystała z topolina Gianniego, dotarła do celu o wiele za wcześnie. Czekanie jej nie przeszkadzało. Miejsce, które Marco Varelli zaproponował na spotkanie, było małym parkiem zaraz przy Porta San Sebastiano. Zbliżała się pora obiadu i słońce stało niemal w zenicie. Siedziała na kamiennej ławce pod wawrzynem; było to stare drzewo z małą ilością liści, a jego cienkie gałęzie rzucały wzory ze światła i cieni na czerwonałą ziemię. Z jednej strony park był ograniczony wysokim murem z cegły – pozostałością starych murów miejskich z czasów cesarza Aureliana, zamykających centrum od południowego wschodu; z drugiej rozciągały się opadające dość stromo ogrody. Po przeciwległej stronie widać było potężne ruiny Term Karakalli.

Maria nie miała pojęcia o istnieniu tego parku i bez dokładnego opisu, który jej podał Marco Varelli, na pewno by go nie znalazła. Przed żelazną bramą na Via di Porta San Sebastiano zastanawiała się jeszcze, niepewna, czy nie wchodzi na teren prywatny.

Czy to z powodu pory park był tak pusty? Czy też znali go tylko nieliczni? Stary zasuszony mężczyzna z równie zaszonym osiołkiem zaprzężonym do małego wózka oczekiwał na klientelę.

Pojawiła się tylko jedna kobieta z dwójką dzieci. Osiołek pociągnął wózek w kółko kilka razy, smętnie, z opuszczonym łbem i kłapkami na oczach. Nawet dzieciom ta rozrywka nie wydała się zbyt radosna; w każdym razie Maria nie słyszała, żeby się śmiały.

Kobieta z dziećmi zniknęła. Mężczyzna spał z kapeluszem na twarzy, oparty o drzewo. Osiołek stał obok mieląc w pysku

kilka liści, które oberwał z dolnych gałęzi wawrzynu.

Maria odwróciła się. Ktoś nadchodził wijącą się ścieżką. Zobaczyła najpierw głowę, potem ramiona i w końcu całą sylwetkę mężczyzny, która w następnej chwili zniknęła wśród zieleni. A więc oprócz bramy od Via di Porta San Sebastiano było jeszcze jakieś inne wejście do parku.

Telefon od Varellego tego ranka był dla niej zaskoczeniem. Przez minione cztery dni jeszcze dwa razy pytała o niego w willi Tusculo. Głos był ten sam co za pierwszym razem i odpowiedź ta sama: signor Marco jeszcze nie wrócił, nie umiem powiedzieć, kiedy będzie. Ostatni raz zadzwoniła wczoraj wieczorem. A potem, przed godziną, odezwał się on sam, bezosobowo, opryskliwie:

- Pani dzwoniła?
  - Muszę się z panem zobaczyć, z powodu Giannięgo!
- Cisza, a potem propozycja, by się tu spotkać...

Teraz znów go ujrzała. Miał na sobie jasny garnitur i ciemną, rozpiętą pod szyją koszulę. Był z nim pies, szczupłe zwierzę o białej sierści. Kiedy do niej podchodził, ponownie zauważyła, że nie zgina normalnie lewego kolana.

Usiadł obok bez powitania. Jego twarz była bez wyrazu, jedynie wokół oczu i ust pojawiło się pewne znużenie, które łagodziło rysy. Spuścił psa ze smyczy, ale zwierzę nie oddaliło się, tylko legło u jego stóp. Nie znała tej rasy. Odruchowo położył rękę na jego głowie, a Marii zdawało się, że człowiek i pies są ze sobą bardzo długo, że wiąże ich coś, czego ktoś z zewnątrz nie jest w stanie zrozumieć. Poczuli się odepchnięta, zwłaszcza że dotąd się nie odezwał. W końcu ona przerwała milczenie:

- To piękne miejsce. Często pan tu przychodzi?

Obejrzał się, zwlekając z odpowiedzią. Potem rzekł wskazując na psa:

- Nie dość często. Musi się wybiegać.

– Co to za rasa?

– Nie jestem pewien, czy to w ogóle jest rasa. Tam, skąd pochodzi, nie znają takiego pojęcia. To są psy pasterskie, bardzo dobre. Dwa takie upilnują stado złożone z pięciuset owiec. Czasem mi się wydaje, że nie powinienem był zabierać go ze sobą do miasta...

Przypomniało jej się opowiadanie Brigi o wygnaniu Varellego. Czy pies pochodził z wyspy, z Lipari? Ale nie odważyła się o to spytać. Znużenie malujące się na jego twarzy odbijało się w całej postawie, nawet w głosie.

– Chciała pani ze mną rozmawiać?

Zabrzmiało to prawie jak wyrzut. Maria otworzyła torebkę i wyjęła list Gianniego. Podała mu kopertę. Do parku weszła kobieta z trojgiem dzieci. Staruszek przygotował osła.

– To list Gianniego napisany przed śmiercią.

Zmusił ją do powiedzenia tego, bo wciąż się ociążał z wzięciem do ręki listu nakładającego nań odpowiedzialność, od której by się chętnie odzegnał. No, ale wtedy nie wolno by mu się było z nią w ogóle spotykać. Ulegając impulsowi, zadzwonił z rana i umówił się. Rzadko kierował się po prostu impulsem: zbyt dobrze wiedział, jak brzemienne skutki mogą mieć najbardziej niepozorne błędy w życiu mężczyzny...

W końcu wziął kopertę. Spojrzał na stempel i dopiero potem wyjął z niej list. Maria obserwowała go, gdy czytał tych kilka linijek. Sama nie wiedziała, czego się spodziewa, na pewno jednak nie tego, że treść, która nią tak wstrząsnęła, jego zupełnie nie poruszy. Włożył kartkę do koperty, ale nie oddał jej listu, trzymał go w ręku.

– Proszę powiedzieć, co to wszystko znaczy?

Podniósł wzrok i powiódł oczami za osłim zaprzęgiem. Dwoje dzieci rozsiadło się w wózku, trzecie, chłopczyk, siedziało na grzbiecie osiołka. Tak odbywały swoją rundkę, przy czym staruszek trzymał osiołka za uzdę. Uprząż i wózek



kiedyś musiały być czerwone.

– Proszę, niech mi pan powie prawdę.

– Prawdę, mój Boże! – Po jego długim milczeniu zabrzmiało to jak wybuch. Zapalił papierosa. – Pani dobrze знаła brata, prawda?

– Tak mi się zdaje. Tak. A dlaczego pan pyta?

– Pamięta pani te czasy, kiedy startował w zawodach samolotowych?

– Naturalnie. Często mnie ze sobą zabierał. – Do czego on zmierza?

– Bała się pani? Pamięta pani, czy sposób, w jaki Gianni latał, budził w pani strach?

– Pewnie, że się bałam. Od śmierci ojca...

– ...bała się pani, bo brat był tak podobny do ojca; ta sama szaleńczo odważna i beztroska forma igrania z życiem, jakby nie miało ono żadnego znaczenia.

– Co to ma wspólnego z listem?

Dym z jego papierosa wił się niebieską smugą w promieniach słońca.

– Bardzo podziwiałem pani ojca. Był moim idolem. Później był nim Gianni. Podziwiałem właśnie ich szaleńczą odwagę, bezwzględność, z jaką narażali się na niebezpieczeństwo, a nawet go szukali; może dlatego że mnie samemu tych cech brakowało. Dzisiaj patrzę na to trochę inaczej. Dziś myślę, że to im czegoś brakowało, powiedzmy, instynktu samozachowawczego. I zastanawiam się – spojrzał na nią – zastanawiam się, czy pani nie jest w tym do nich podobna.

– A jeśli tak?

– Wtedy Gianni nie powinien był wysyłać do pani tego listu. To zapewne szlachetny gest, cały Gianni. Szlachetny i nierozważny.

– O co tu chodzi? Tak naprawdę? Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

– Tym lepiej.

Czy Winter nie użył tych samych słów?

– Nie ufa mi pan?

– To nie jest kwestia zaufania. To kwestia instynktu samozachowawczego. Mówiłem już, jestem – w przeciwieństwie do Gianniego – człowiekiem ostrożnym. – I dalej, już bardziej sam do siebie: – Nie zawsze taki byłem. Trochę to trwało, ale w końcu się nauczyłem.

Miała wrażenie, że może za chwilę wstać i odejść, tak jak przyszedł. Ale też czuła, że gdyby zdołała znaleźć odpowiednie słowa, mógłby jej zaufać. Bardzo tego chciała. Oczywiście było to związane z Giannini i jego listem. Ale chodziło o coś więcej, o coś, co miało znaczenie tylko dla niej: jedynie wtedy, gdy jej zaufa, będzie go mogła jeszcze zobaczyć.

– I tak już za dużo wiem. – Opowiedziała mu o rozmowie z Winterem. Słuchał jej w milczeniu, bez zadawania pytań. – No i jest to drugie mieszkanie na Via dei Soldati. Przyjrzałam się tym pomieszczeniom. Mówił pan, że nie są używane. To po co w takim razie stół i cztery krzesła, na co popielniczki, po co cztery połowe łóżka, radio... Wspominał pan o umowie z Giannini, pamięta pan?

– Niech pani przestanie się nad tym zastanawiać.

– A list Gianniego? On istnieje. Co Niemcy mają z tym wspólnego? Co ma do tego Winter?

– Niech pani przestanie pytać – odpowiedział. – Nie ma pytań, nie ma kłamstw.

Nie wiedziała co dalej. Spotkanie i rozmowa przebiegły zupełnie inaczej, niż sobie to wyobrażała. Jednocześnie odczuwała coś na kształt ulgi, że milczał, że nie wciągał jej w coś, czego prawdopodobnie nie byłaby w stanie zrozumieć: w świat mężczyzn. To mężczyźni rozpętali tę bezsensowną wojnę, mężczyźni w niej walczyli... Gianni nie żył. Nie pojmowała, dlaczego musiał zginąć. I pewnie nigdy nie pojmie.

Wróciła myślą do pogrzebu. Już teraz, po tak krótkim czasie, wydawał się daleką przeszłością. Wciąż żywe było tylko wspomnienie tego dnia, którego piękno z tak bolesną gwałtownością wryło się w jej pamięć. Coś kazało jej o tym mówić.

– Ten dzień, kiedy chowali Gianniego, był przepiękny. Dzień, miejsce, sama ceremonia, flaga na trumnie, błysk prezentowanej broni – to znaczy, to były rzeczy, które mnie poruszyły. Gdybym mogła płakać, płakałabym z tego powodu. Nie z powodu Gianniego... Nie wiem, czy mnie pan rozumie... W Berlinie, podczas nalotów, najpierw były „choinki” – takie piękne słowo na określenie tych strasznych rzeczy – potem długie macki reflektorów przeszukujące niebo, w końcu eksplodujące pociski dział obrony przeciwlotniczej. Wiadomo było, że za chwilę zginą ludzie, że mnie też mogą trafić, a jednak nie chciałam zejść do piwnicy, wolałam zostać na górze i obserwować to wspaniałe widowisko... Czy my, ludzie, potrzebujemy lęku przed śmiercią, aby pojąć, jak piękne jest życie, jak cudowny świat...? Czy jesteśmy aż tak perwersyjni... O co chodzi?

Upuścił nie dopalonego papierosa i spojrzał na nią. Przed chwilą wyraziła dokładnie to, co odczuwał dziś w nocy, kiedy jednosilnikowy westland lysander pojawił się nad zboczem góry i spłynął w wąską dolinę...

Ta chwila była zawsze najbardziej niebezpieczna i najpiękniejsza! To on wyszukał ukryte lądowisko i zameldował o nim. Otrzymał potwierdzenie: *pick up* godzina 0.01. Dokładnie co do sekundy on i obaj jego pomocnicy włączyli świetlne oznakowanie przeszkód wokół lądowiska.

Leżał w trawie na końcu krótkiego pasa do lądowania i wszystko naraz kłębiło mu się w głowie, wywołując na czole krople potu: że ktoś podsłuchał jego rozmowę radiową, że złamali jego szyfr, że w momencie kiedy maszyna siądzie na

ziemi i ludzie zaczęli z niej wyskakiwać, dopadnie ich gdzieś z ukrycia salwa karabinowa... Te jego obawy trwały, dopóki samolot nie wystartował w drogę powrotną, dopóki nie miał tych ludzi w samochodzie, dopóki nie porozmieszczał ich w przygotowanych kryjówkach...

Ale dzisiejszej nocy było inaczej: kiedy rozległ się szum silnika, kiedy samolot z dodatkowym zbiornikiem pojawił się nad szczytami gór, nie myślał o niebezpieczeństwach, tylko zafascynowany wchłaniał piękno widoku: wąska dolina, migotliwe światła pasa do lądowania i opadający na ziemię samolot, który swymi maskującymi barwami w świetle księżycy przypominał przeogromną ćmę...

Popatrzył na kobietę obok siebie. Czuł rosnącą pokusę, by ją we wszystko wtajemniczyć. Jednocześnie wiedział, że tego nie robi. Do milczenia, ostrożności i nieufności człowiek się przyzwyczajał tak jak do zwierzeń.

– Myślę, że panią rozumiem.

Wyciągnęła rękę.

– Mogę dostać z powrotem list Gianniego?

Potrząsnęła głową i wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę.

Maria chciała mu przeszkodzić, ale płomień ogarnął już kopertę.

– Myślę, że źle mnie pan ocenia. – Obserwowała, jak papier zwija się w ogniu. – Nie żyję z głową w chmurach. Być może mam wiele z ojca, ale jestem kobietą, a najważniejszym instynktem kobiety jest instynkt samozachowawczy. – Myśl formowała się w miarę, jak mówiła, była nowa dla niej samej i dodała jej poczucia pewności.

– No to mamy coś wspólnego.

Nie mógł się powstrzymać od patrzenia na nią. Była inna od znanych mu kobiet. Siedziała bardzo spokojnie. Nie zakładała nogi na nogę, nie poprawiała co chwilę fryzury, nie bawiła się chusteczką ani nie wyciągała nagle puderniczki, żeby

zerknąć w lusterko. Nie czyniła najmniejszego wysiłku, aby sprawdzić na nim siłę swych wdzięków, do czego przyzwyczaiły go inne kobiety. A mimo to – albo może właśnie dlatego? – budziła w nim mężczyznę, jak już dawno żadna inna. Myślał nawet: jaka jest, gdy się kocha...

Słyszeli śmiech dzieci. Było ich już więcej, pięcioro czy sześcioro, plus matki. Wózek z osiołkiem robił swoją rundkę. Korzenie drzew wystawały częściowo ponad powierzchnię czerwonawej, ubitej ziemi. Koła wózka podskakiwały na nich i wtedy dzieci się śmiały.

– Ta umowa z Giannini o mieszkanie – niech zostanie, jak jest. Wydaje mi się, że Gianni by sobie tego życzył. Pan spełni jego życzenie, a ja nie będę stawiała żadnych pytań. Zgoda?

– Zastanowię się.

Rozdeptał resztki popiołu z listu. Biały pies podniósł łeb, gotów się poderwać, gdy tylko jego pan zechce ruszyć. Maria chętnie by mu w tym przeszkodziła. Wziął psa na smycz i wstał.

– Jak się pani zaaklimatyzowała?

– Jak na to, że od powrotu minął zaledwie tydzień – całkiem dobrze.

– Przyjechała pani topolinem Gianniego? – Wybrał górną ścieżkę do wyjścia na Via di Porta San Sebastiano, gdzie zaparkowała samochód.

– Byłam w urzędzie w sprawie zezwolenia. Urzędnik dał mi do zrozumienia, że podanie o przepisanie samochodu na mnie miałoby ten skutek, że zabrano by mi prawo jazdy. Natomiast jeśli będę nim po prostu dalej jeździła, nikogo to nie zainteresuje. Benzyny w baku wystarczyło, żeby tu przyjechać.

– Są sposoby, żeby dostać benzynę.

– Ma pan na myśli: dla kobiety?

Nie odpowiedział. Mijali człowieka z osiołkiem. Znów

opierał się o drzewo. Marco Varelli chyba go znał, bo podszedł do niego i zamienili kilka słów.

– Zawsze jest tutaj?

– Wędruje raz tu, raz tam. – Poszli dalej. – Znalazła już pani pracę?

– Byłam w kilku miejscach. Problem w tym, że mam jeszcze niemieckie obywatelstwo i wszyscy Włosi wykazują dużą rezerwę. Jedyna konkretna rzecz to oferta pracy w ambasadzie niemieckiej, w wydziale prasowym.

Maria była tam, w Villa Wolkonsky, w sprawie wizy. A Winter, na którego się przypadkowo natknęła, jeszcze raz zaproponował jej stanowisko w wydziale prasowym.

– Przyjmie pani?

– A powinnam? – Była zaskoczona; w jakiś sposób odniosła wrażenie, że Varelli nie lubi Niemców.

– Rozwiązałyby to wiele pani problemów – łącznie z benzyną do fiata.

– Dokładnie to samo powiedział Winter.

– Być może ja też bym miał coś dla pani. U doktora Lennarta Larssona, Szweda, który tu mieszka już tak długo, że stał się prawdziwym rzymianinem.

– Lekarz? – Odruchowo pomyślała o Berlinie, o ostatnich dniach spędzonych w klinice. – Nie mogłabym pracować u lekarza.

– A u archeologa?

– To brzmi lepiej.

– Larsson jest jednym i drugim. To znaczy, nie praktykuje już, jedynie w wyjątkowych wypadkach. Archeologia jest jego drugą namiętnością. Przed wielu laty prowadził znaczące wykopaliska, groby etruskie. Chce skatalogować swoje zbiory, zanim je zapisze jakiemuś muzeum. Potrzebuje kogoś do pomocy i może kogoś, kto by mu poczytał; ma kłopoty z oczami.

– I jak często by to było?

– Dwie, trzy godziny, przez pięć dni w tygodniu, późnym popołudniem. Dobrze zapłaci; sądzę, że Lennart Larsson spodoba się pani.

– Pytanie brzmi raczej – czy ja się spodobam jemu?

– Chyba tak. – Uśmiechnął się po raz pierwszy i razem z powagą zniknęło z jego twarzy zmęczenie. – Dla niego liczy się głos. Kiedy o tym rozmawialiśmy, powiedział: „Najważniejszy jest głos, głos przynoszący ulgę”.

– I to się zgadza?

– Jego dom znajdzie pani na górze przy Trinità dei Monti. Villa Kristina. Jest własnością Szwedów, przekazaną mu w dożywotnie użytkowanie. Niech pani po prostu spyta o szwedzkiego doktora i każdy pani powie, gdzie to jest.

– Pójdę tam. – Szwedzki doktor, to było coś akurat dla niej. Przez cały dzień pracowałaby w ambasadzie, a wieczorem u doktora. Im więcej będzie miała pracy, tym mniej czasu pozostanie na myślenie. Trzeba jeszcze tylko zagospodarować długie niedziele. Ale i z tym sobie poradzi.

Doszli do kutej bramy. Jej dwuosobowy topolino stał przy półokrągłych wieżach Porta San Sebastiano. Obok był zaparkowany inny samochód, większy fiat, przerobiony na dostawczy. Skrzynię okrywała plandeka. Kiedy Marco Varelli opuścił tylną klapę, żeby pies mógł wskoczyć do środka, Maria zauważyła kilka starych mebli. Dossier Brigi na temat Marca Varellego było, zda się, naprawdę dokładne.

– Handluje pan antykami?

Nie okazał zaskoczenia, nie zapytał, skąd to wie.

– Przypadkowo trochę się na tym znam. I przypadkowo jest obecnie w Rzymie i wokół miasta wielu ludzi, którzy muszą się pozbyć rzeczy wartościowych. Przypadkowo znam bardzo wielu takich ludzi w ten sposób doszedłem do

tego zawodu. Mówiłem pani przecież, że tak naprawdę nie jestem nikim. – Wyciągnął do niej rękę.

To było więcej niż przy powitaniu.

– Zobaczę pana znowu? – podała mu dłoń. – Pytałam już kiedyś o to, prawda? Jak można się z panem skontaktować?

– Zadzwońię do pani od czasu do czasu, kiedy będę w Rzymie. – Wsiadł do samochodu z zamkniętymi oknami i odjechał, ale może we wstecznym lusterku widział, że machała mu na pożegnanie.

Wracała topolinem do miasta. Stare mury po lewej i prawej stronie wąskiej ulicy były porośnięte mchem. Na końcu ulicy, zanim dotarła do Piazzale Numa Pompilio, musiała się zatrzymać, bo z kościoła San Cesareo wychodził właśnie orszak ślubny lokując się w czekających na ulicy powozach. Dziewczyna w długiej żółtej sukni była bardzo młoda i bardzo blada. Pan młody wystąpił w mundurze.

Maria wyłączyła silnik, by oszczędzić benzynę, i czekała, aż orszak oddali się kawałek.

Kiedyś, pomyślała, wrócę do tego parku, nawet jeśli będę tam sama ze staruszką i jego osiołkiem. Bądź co bądź miała jakieś plany na przyszłość. Kiedy ruszyła i w promieniach słońca zobaczyła przed sobą unoszącą się nad miastem kopułę bazyliki Świętego Piotra, poczuła, że naprawdę wróciła do domu.



# CZEŚĆ DRUGA

## 12.

Zapiski doktora Lennarta Larssona  
*Rzym, Villa Kristina, 11 lipca 1943*

Niedziela wieczór. W soboty i niedziele Maria nie przychodzi. Właśnie wysłuchałem ostatnich wiadomości. Nawet włoskie stacje nie mogą dłużej ukrywać, że inwazja aliantów na Sycylię przebiega pomyślnie. Desant amerykański wylądował za liniami włoskich oddziałów stacjonujących pod Gellą. Brytyjczycy utrzymują przyczółek w Syrakuzach. Marco był dzisiaj u mnie. Rzadko dotąd bywał tak rozmowny: podobno jest jasne, że Niemcy nie będą w stanie długo bronić wyspy.

Kolejny raz zadaję sobie pytanie, jaką grę prowadzi Marco. Jeszcze kilka dni temu kazał mi wierzyć, że alianci na pewno nie wylądują na Sycylii; jeżeli już, to raczej w Grecji bądź w południowej Francji.

Naturalnie Marco nie mówi takich rzeczy wprost. To nie w jego stylu. Tu jakaś uwaga, ówdzie aluzja... Pod tym względem jest zupełnie nietypowym rzymianinem. Znać po nim długi pobyt w Anglii. Także inne cechy są typowo anglosaskie: jego cierpliwość, umiejętność milczenia, dokładność.

I po co to wszystko? Czyżby karmił mnie fałszywymi informacjami, bo wie, że będę o tym rozmawiał z moimi niemieckimi pacjentami? Właściwie przyjmuję tych niemieckich oficerów i dyplomatów tylko ze względu na niego. (Diagnoza brzmi najczęściej: rozstrój żołądka). Zdają się nie ufać własnym lekarzom. Jak tylko się u mnie pojawiają, opowiadają o wszystkim, co się da. Nie wiem, jakie znaczenie ma to, czego się od nich dowiaduję i co przekazuję Marcowi. Albo to, czego oni dowiadują się ode mnie. W konkretnym wypadku Sycylii wygłada, że Niemcy faktycznie dali się zwieść.

Wiem, że mnie wykorzystuje. Przypuszczam, że innych też.

Czy posługuje się także Marią?

Ten handel antykami, który mu stwarza okazję do kontaktów z wieloma ludźmi, z pewnością także pełni jakąś funkcję w jego grze. Nie warto go o to zagadywać. Zaprzeczyłby z uśmiechem. Poza tym mamy umowę: nie ma pytań, nie ma kłamstw.

Sycylia – pole walki. Sycylia – zbiorowa mogiła. Nie, w tych zapiskach nie chcę o tym wspominać.

W zeszłym tygodniu skatalogowaliśmy najpiękniejsze mozaiki (III wiek) z willi Septymusa Sewera. Sceny pasterskie, muzy, głowę kobiecą, ptaki, ryby itp.

*później*

Może powinienem zaznaczyć, że piszę to odręcznie, co jeszcze przed niespełna trzema miesiącami nie byłoby możliwe. Doktor Hartmann ma na to rzeczowe wyjaśnienie: przejściowe wyleczenie siatkówki, w żadnym wypadku nie na stałej prawdopodobnie wkrótce nastąpi pogorszenie. W obecnym dobrym stanie radzi operację. Trzy miesiące temu uważał mój przypadek za nieoperacyjny!

Dla Teresy sprawa jest jasna. Cud. Święta Łucja wysłuchała jej modłów w intencji niewiernego Szweda – że nie

wspomnę o świecach! – i mnie uzdrowiła. Teresa w to wierzy. A ja – w co wierzę?

Te dwa dni, kiedy Maria nie przychodzi, ciągną się bez końca. Myślałem, że już umiem być sam. Przeszłość dawała mi zadowolenie, ten dom jest nią wypełniony po dach. Moja samotność dawała mi zadowolenie – mężczyzna, który przez czterdzieści lat opierał się wszystkim rzymiankom! Czy to tylko rola, którą sobie wybrałem? Tak samo jak odgrywam przed sobą i światem rolę lekarza? Archeologa?

Kiedy przedtem szukałem czegoś do czytania, natrafiłem na mowy mędrca Salomona, wydanie zakupione na ostatniej aukcji. Przy przeglądaniu wpadł mi w oczy jeden fragment:

Uściski mają swój czas, i rozstanie ma swój czas.

Poszukiwanie i utrata ma swój czas.

Milczenie ma swój czas, i przemawianie ma swój czas.

Miłość ma swój czas, i nienawiść ma swój czas.

Wszystko ma swój czas.

I każdy uczynek na ziemi ma odpowiednią chwilę.

Czy tak jest? Czy uściski mają swój ograniczony czas i czy dla mnie ten czas już minął?

Szwed, który przed czterdziestu jeden laty przyjechał do Rzymu, by dokończyć studia. Co zostało w pamięci po tym młodym człowieku? Jedyne, co sobie przypominam, to praktyka, pierwsza praktyka, i obawa, że pacjenci nie dopiszą. Potem wszystko potoczyło się tak szybko. Młody szwedzki lekarz stał się modny. Kolejna praktyka, klinika przy Porta Pia. Wtedy nie wiedziałem, co to znaczy bezsenność. Znałem tylko jedno – pracę. Żadnych przyjaciół, żadnych kobiet, tylko praca.

Naturalnie spotykałem kobiety. To przede wszystkim one, bogate rzymianki, zapełniały poczekalnię mojego gabinetu.

Wszystkie z tą samą dolegliwością, tak łatwą i tak trudną do wyleczenia – nudą.

Nie powinienem być niewdzięczny; te kobiety budowały moją sławę, uczyniły mnie bogatym. Niejedna także chętnie uczyniłaby mnie szczęśliwym. Wszystkie rozczarowałem. Rozczarowałem również tę jedyną, którą sam chciałem uszczęśliwić...

Jej grób znajduje się na cmentarzu w Rzymie. Od lat tam nie byłem, z nikim o tym nie rozmawiam. Nie przyznaję się nawet przed samym sobą; to była moja chwila uścisków. Przegapiłem ją. Skończyła się, zanim się na dobre zaczęła. Gdyby można było wcześniej zrozumieć, że coś się dzieje tylko raz, dzisiaj, teraz, że jutro już będzie przeszłością, że wszystko ma odpowiednią chwilę!

Musiałem się zestarzeć, żeby to zrozumieć. Kiedy Maria jest ze mną, nigdy nie myślę o przeszłości. Głowa młodej kobiety, którą wykopaliliśmy koło Acilii, mogła mnie wprawić w zachwyt. Gdy ją ostatnio miałem w ręku, dyktując dane Marii, nie widziałem kamienia, lecz żywą dziewczynę.

*22 lipca*

Żar upalnych dni. Znoszę ten upał zadziwiająco dobrze, dużo lepiej niż zazwyczaj. Poprawa wzroku także się utrzymuje.

Zwykle był to czas, gdy myślałem tylko o jednym: opuścić Rzym i wyjechać w góry do Tre Torre. Zaczęły się wakacje, wiele rodzin wyjeżdża w tych dniach na wieś. To Marco mnie prosił, żebym na razie pozostał w Rzymie. Ponieważ obecność Marii w ambasadzie wydaje się w tej chwili nieodzowna, mogę się zgodzić.

Rzeczywiście coś się zaczyna. Nic konkretnego w wiadomościach czy gazetach, które wciąż jeszcze wypełnia pierwszy nalot aliantów na Rzym z poniedziałku tego tygodnia.

Bazylika San Lorenzo fuori le mura jest chyba zniszczona. Zszokowani ludzie pytają, czy to była pomyłka, która się więcej nie powtórzy, czy też początek kolejnej plagi, która dotknęła miasto.

Są też inne oznaki, że coś się szykuje. Szwedzki chargé d'affaires znów był z propozycją: luksusowy szwedzki parowiec zawija do Neapolu po szwedzkie rodziny.

Coraz więcej niemieckich mundurów w mieście; oddziały przegrupowywane na południe, dla obrony Sycylii. Moi niemieccy pacjenci są bardzo podenerwowani. Jak zawsze, gdy chodzi o tak niewymierne sprawy jak plotki, Teresa jest najczulszym barometrem.

Do czegoś się przygotowuje, robi z domu twierdzę, przynajmniej w ramach swojego królestwa – kuchni. Zawsze tak było, że biletami na mecze piłki nożnej Romy i Lazio zwabiła do miasta swojego brata Carmela, a on jej za to przywoził walizki wypełnione mąką, smalcem i mięsem.

Teraz jednak przelewa się przez nasz dom istny potok krewnych z Abruzji: bratankowie, siostrzenice, ciotki, stryjowie, a wszyscy obładowani kosztami i torbami. Wpuszczani są do domu możliwie dyskretnie. Nie mogłem sobie wytłumaczyć tej wędrówki, aż ostatnio, późną nocą, zachciało mi się herbaty i zszedłem do kuchni, co się rzadko zdarza, bo jest to królestwo Teresy. W spiżarni znalazłem takie zapasy, że zdawało mi się, iż jestem w delikatesach: kiełbasy, całe szynki, sery, lniane woreczki z mąką na polente, fasolą i soczewicą, suszone owoce, słoiki marynowanych grzybów, kompoty...

Teresa widocznie spodziewa się oblężenia lub czegoś podobnego. Nie mogłem jej nawet pochwalić, bo wtedy musiałbym się przyznać, że znam jej tajemnicę. Za każdym razem, kiedy podaje jedzenie, udaję wielce zdziwionego i pytam, skąd bierze takie frykasy, skoro żywność jest racjonowana.

Patrzy wtedy na mnie z uśmiechem wyrażającym w połowie dumę, a w połowie politowanie i daje mi do zrozumienia, że do przeżycia w takich czasach potrzebne są umiejętności, których mi absolutnie brakuje. (Skąd bierze pieniądze? Od czasu do czasu nie mogę się w bibliotece doliczyć książek, drogich pierwodruków. Takie tylko podejrzenie...)

Prawdopodobnie Teresa ma rację. Po co te wszystkie książki! Gdy dziś tryumfalnie zakomunikowała mi, że na kolację będzie cielęcina, pochwaliłem ją należycie.

Dzisiejsza kolacja będzie szczegółna! Dziś mijają dokładnie trzy miesiące od dnia, gdy Maria po raz pierwszy pojawiła się w Villa Kristina. Siedziałem przy tym stole w bibliotece, otoczony moimi książkami i wykopaliskami w szafach i gablotach.

Biedna Teresa, od trzydziestu lat strażniczka mojej samotności – ten pokój jest dla niej tabu; nigdy nie pozwoliłem wejść tutaj żadnej kobiecie. I oto kazałem prosić tę obcą panią do mojej biblioteki. Już widziałem, jak Teresa, po wprowadzeniu Marii, żegna się znakiem krzyża za drzwiami: i nie wódź nas na pokuszenie...

Kiedy pomyśle, że to Marco ją do mnie przysłał... Jak zwykle, gdy chodzi o niego, nie jestem pewien motywów. Czy rzeczywiście chciał mi wyświadczyć przysługę? A Maria?

Nie wiem i nie chcę się nad tym zastanawiać. Nie mogę tracić z oczu jednego prostego faktu: jestem o dwadzieścia lat starszy od Marca i o trzydzieści od Marii. Ale nie rozmawiam z nią o nim. To, że ja tego unikam, jest naturalne. Ale Maria? Ciekaw jestem, czy i jak często go widuje. Milczy.

Zazdrosny? Ja, stary człowiek, zazdrosny o Marca? Absurd. A jeśli jest powód do zazdrości – na cóż mógłbym jeszcze liczyć?

## 13.

Złożyła dach samochodu. Mimo to dalej było gorąco, bowiem po przelotnym deszczu powietrze stało się wilgotne jak w tropikach. Maria miała na sobie sukienkę bez rękawów^ jej skóra była opalona, paznokcie pomalowane na czerwono. Zadowolona z siebie, położyła ręce z powrotem na kierownicy i uznała, że wreszcie są to naprawdę jej własne ręce.

W ambasadzie byli ludzie, którzy patrzyli na to krzywym okiem, a w Berlinie jej mąż wymagał, żeby paznokcie obcinała krótko i nie lakierowała ich. Przeszłość. Zewnętrzne jej ślady prawie się zatarły, z wewnętrznymi nie pójdzie tak łatwo, ale Rzym to dobre miejsce, by zapomnieć...

Wyszła trochę później niż zwykle. Zatrzymało ją ważne tłumaczenie, ale w ten sposób mogła przeczekać deszcz. Teraz znów świeciło słońce, tylko dachy jeszcze parowały, a na markizach sklepów na Via due Macelli błyszczały pojedyncze krople.

Ulicę miała prawie wyłącznie dla siebie. Na wystawach leżały nieliczne przedmioty, stare i zakurzone, być może tylko atrapy. W dużych ilościach widać było tylko drukowane na tanim papierze książki, a ludzie tłoczyli się przed sklepem z tekturowymi walizkami.

Dojechała do Piazza Mignanelli. Kramy na prostokątnym placu były puste i opuszczone poza jednym, gdzie przedziwnym trafem wystawiono na sprzedaż węgiel drzewny i wiązki chrustu.

Zaparkowała samochód przed restauracją tuż przy szerokich schodach Rampa Mignanelli, prowadzących do Villa Kristina. Dach zostawiła otwarty, a jeden z kelnerów odebrał od niej kluczyki.

– Dobry wieczór, *signora* Canossa! Jak się pani miewa? Nie ma pani chęci na naszą specjalność? Kapusta *alla Romana*?

Był to jego zwykły żarcik, nagradzany zazwyczaj opisem jedzenia w Villa Kristina. Kelner pilnował fiata przez te trzy godziny, od szóstej do dziewiątej, które spędzała u Larssona. Początkowo zostawiała auto na placu przed Trinità dei Monti, ale kiedyś skradziono koło. Dla niej był to wciąż jeszcze samochód Gianniego, chociaż miała już zezwolenie wystawione na swoje nazwisko.

– Nie, dziękuję. Ale poproszę dziś o aperitif.

– Służę, *signora* Canossa. Jakiś szczególny dzień dzisiaj?

– Nie, Giuseppe. Zupełnie zwyczajny. Jak tam w San Lorenzo? Może już pan wrócić do swojego mieszkania? – Giuseppe mieszkał na Via dei Voici, jednej z ulic, które mocno ucierpiały podczas nalotu.

W lokalu siedziało niewiele klientów; było jeszcze wczesnie. Dostała kieliszek białego wina i rozmawiała z kelnerem. On był Giuseppe, ona – *signora* Canossa; jak dobrze tu być. Jak dobrze, że tak uregulowała swoje życie. Także wieczór, który miała przed sobą, mieścił się w tych ramach, wieczory u Larssona zawsze przebiegały w ten sam sposób:

Czekał na nią w bibliotece i przez godzinę lub dwie pracowali nad katalogowaniem wykopanych zabytków. Potem była kolacja, którą Teresa w takie dni jak dzisiejszy podawała na loggii. Przez resztę czasu Maria czytała Larssonowi na głos rzeczy, które przeważnie wcześniej wybrał. Siedział wtedy zawsze w tym samym starym wiklinowym fotelu z wysokim oparciem, ze szklaneczką whisky na stolyczku obok. Kiedy wyjmowała ostatni pasek papieru, z włożonych przezeń jako zakładki, jego szklaneczka była zazwyczaj pusta. Cienie kolumn, na których spoczywał dach loggii, odbywały również zawsze tę samą wędrówkę, od torsu Heraklesa do fresków na



ścianie domu. I kiedy osiągnęły określoną pozycję, mogła być pewna, że zjawi się Teresa, by ją odprowadzić do wyjścia...

– *Ciao, Giuseppe, ciao, Nino. Dzięki za wino.*

Weszła po stopniach Rampa Mignanelli, pewnie jedynej ulicy Rzymu, która składała się wyłącznie ze schodów. Villa Kristina była ostatnim domem po lewej, stała w miejscu, gdzie schody zakreślały łuk, i rozpościerał się z niej wspaniały widok na Piazza di Spagna oraz całe miasto.

Zadzwoiła do drzwi. Mosiężny szyld: DOTT. L. LARSSON ORATORIO D'AMBULATORIO 9–12, 16–19 spowodował, że uśmiechnęła się na wspomnienie pierwszego razu i Teresy, która na jej pytanie o *dottore* Larssona niegrzecznie odrzekła: „Doktor już nie praktykuje!” W pierwszym okresie z Teresą były problemy. *Dottore* był jej własnością i nie życzyła sobie dzielić się nim z inną kobietą.

Maria usłyszała kroki Teresy w głębi domu, jak zawsze pospieszne, mimo jej przyciężkiej figury. „Dobry wieczór, *signora* Canossa!” Miała na sobie długą, szarą kretonową sukienkę. Czarne loki, już lekko przyprószone siwizną, obejmowała delikatna siateczka.

Biblioteka znajdowała się na dolnym poziomie domu zbudowanego na stromym zboczu i Maria skierowała się ku kamiennym schodom z przeszklonymi niszami w murach, w których wystawiono antyczne statuetki, ale Teresa ją zatrzymała.

– *Dottore* Larsson jest na loggii. Oczekuje tam pani.

– Ale...

Teresa uśmiechnęła się z głębi swych brązowych oczu.

– Mamy dziś na kolację cielęcinę. Niech pani to sobie wyobrazi! Cielęcina! Co pani powie na *vitello pizzaiola*? Mam nadzieję, że jest pani wystarczająco głodna.

– Z całą pewnością.

Był to jeden z powodów, dla których lody między nimi wkrótce stopniały; *signora* Canossa lubi zjeść. Dla Teresy świadczyło to o dobrym charakterze. Poza tym apetyt jej doktora znacznie się poprawił, odkąd nie spożywał kolacji sam.

Maria spytała, jak dopiero co Giuseppe:

- Czy dzisiaj jest jakiś szczególny dzień?
- Doktor czeka. Muszę iść do kuchni.
- Naprawdę będzie *vitello pizzaiola*? Używa pani do tego oregano?

- Lubi pani z oregano?

- Z masą oregano.

- Muszę uważać przy doktorze z naszymi włoskimi przyprawami. Szwed pozostanie Szwedem, nawet po czterdziestu latach, przynajmniej jeśli chodzi o podniebienie. Zrobię pani specjalną porcję, z masą oregano.

Maria weszła do salonu; obok mebli z ciemnego drewna tu także stały gabloty wypełnione wykopaliskami doktora: antycznymi szklanymi naczyniami z okolic Neapolu. W przyległej jadalni nakryto do stołu: odświętne białe talerze na srebrnych tacach. Troje dwuskrzydłowych drzwi wiodło na ocienioną dachem loggię. Larsson siedział w swoim wiklinowym fotelu, z oprawnym w jasną skórę zeszytem w rękę i coś notował. Był tak zajęty, że nie od razu ją zauważył.

Miał na sobie jasny garnitur, białą koszulę i muszkę w niebieskie kropki. Nawet kiedy pracowali, nie bywał niestarannie ubrany. I zawsze w kieszonce miał zatkniętą śnieżnobiałą chusteczkę. Kiedy go poznała, nosił krótko przystryżoną hiszpańską brodę łączącą się z wąsem, siwą w rudawe cętki, jak włosy. Ale pewnego dnia broda znikła i odtąd był zawsze tak dobrze ogolony, że podejrzewała, iż robi to dopiero na wieczór przed jej przyjściem.

- Dobry wieczór.

– O, dobry wieczór, Mario. – Zamknął zeszyt i odłożył go, wstając na jej powitanie.

– Nie będziemy dziś pracować? Myślałam, że zabierzemy się za te reliefy dotyczące założenia Rzymu.

– Nie jestem pewien datowania. To były wykopaliska w Ostii, nie prowadziłem ich sam, a opis, który uzyskałem przy zakupie, nie jest dokładny. Znalazłem kogoś, kto był obecny przy odkopywaniu. Na razie więc odłożymy to. A poza tym już dawno zasłużyliśmy na wolny wieczór. W ciągu tych trzech miesięcy posunęliśmy się tak bardzo do przodu, nigdy bym się tego nie spodziewał.

– To już trzy miesiące?

– Co do dnia.

– Czy to dlatego wszystko dzisiaj jest inaczej?

– Tak jakby. Stałem się strasznym niewolnikiem przyzwyczajęń. Tak bywa na starość...

– Ja też jestem niewolnicą przyzwyczajęń! – Roześmiała się. – Denerwuje mnie, że dzisiaj nie będziemy pracować. Villa Kristina jest dla mnie miejscem, gdzie zawsze wszystko jest takie samo; dźwięki, milczenie, zapachy, ubrania Teresy, pańska biała chusteczka w kieszonce – dlatego tak chętnie tu przychodzę. Dom, gdzie się człowiek czuje bezpieczny; jako dziecko mieszkałam w takim domu. – To niezwykle, że tak mówiła, ale ten dzień był po prostu niezwykle. – Czy i swoją whisky wypije pan dziś przed jedzeniem?

– Myślę, że tak. A pani, czego pani nalać?

– Kieliszek białego wina, proszę.

Przyniósł oba trunki na taras. Było gorąco, chociaż siedzieli w cieniu. Odgłosy miasta docierały tu przytłumione; trąbienie jakiegoś auta, stukanie kopyt dorożkarskiego konia.

– Jak minął dzień w ambasadzie?

– Niewiele się różnił od innych. Były kłopoty z powielaczem. Zbierali podpisy pod petycją do ambasadora, żebyśmy

w przerwie obiadowej mogli korzystać z basenu.

– I?

– Prawdopodobnie zostanie załatwiona odmownie przez naszego nowego szefa. Wszyscy są zdenerwowani i rozdrażnieni.

– Jakiś szczególny powód?

– Plotki. O spotkaniu Mussoliniego z Hitlerem na północy Włoch na początku tygodnia.

– I co się mówi?

– Tutejszy rząd nie ma podobno ochoty kontynuować wojny. Z kolei Hitler podobno zażądał od Mussoliniego wyeliminowania włoskiego domu panującego i podporządkowania wszystkich włoskich oddziałów niemieckiemu dowództwu... Co z tego jest prawdą, nie wiem. My w ambasadzie robimy nadgodziny jeszcze z powodu sprawozdań o nalocie na Rzym. W Berlinie wykorzystują to na wszystkie strony...

Takie bywały ich rozmowy, o ile do nich w ogóle dochodziło: o tym, co się działo w ambasadzie, o nowościach dnia, przeczytanych w gazetach. Tematy prywatne poruszali rzadko i jeszcze nigdy nie została w Villa Kristina ponad ustalony czas pracy. Z jadalni dobiegł szum windy kuchennej; kuchnia była położona dwa piętra niżej. W chwilę później zjawiała się Teresa. Podano do stołu.

Larsson poprowadził Marię do pokoju. Odsunął jej krzesło i czekał, aż usiadła. Był człowiekiem o nieskazitelnym manierach, także gdy szło o drobiazgi, i Maria rozkoszowała się tym, ponieważ coraz rzadziej spotykało się takich mężczyzn.

Obok jej miejsca leżała mała paczuszka owinięta w niebieski papier. Ponad stołem spojrzała pytająco na Larssona. Skinięła głową. Miała jasne oczy i cerę, która się nigdy nie opalała.

Na przystawkę były *ravioli*, potem *vitello pizzaiola*. Teresa, która zazwyczaj odchodziła i pozostawiała im samym obsłużenie się, dzisiaj została i podawała dania. Larsson pił wino czerwone, Maria pozostała przy białym. Zorientował się, że Teresa postawiła przed nią coś innego niż przed nim.

- Dlaczego nie dostałem tego samego?
- Jest z oregano. Pan nie lubi oregano.
- Kto tak powiedział?
- Zawsze pan tego unikał.
- Co to znaczy – zawsze! Chcę spróbować... – I potem, po skosztowaniu kawałka: – Z oregano jest dużo lepsze.

Teresa rzuciła Marii wiele mówiące spojrzenie: wszyscy mężczyźni tacy są, prawda? święci pańscy, sprawiła pani cud!

Teresa podała kawę – szwedzki charge d'affaires był kilka dni temu z wizytą – i ciasto z jabłkami według szwedzkiego przepisu. Potem ich opuściła.

– Nieźle pan zaskoczył Teresę tym oregano. – Maria zaśmiała się i jednocześnie z zdziwieniem zauważyła, jak często się śmieje w tym domu.

– Sam byłem pewnie jeszcze bardziej zaskoczony niż Teresa; smakuje rzeczywiście lepiej... – Wskazał palcem na paczuszkę. – Nie zechce pani otworzyć?

Rozwinęła papier. Wyłoniło się niebieskie etui. Spoczywała w nim stara złota moneta.

- To dla mnie? Jest rzymska, prawda? Drugi wiek?
- Jest pani pojętną uczennicą! Sam ją znalazłem przed... będzie już trzydzieści pięć lat temu... Cóż, mam tyle lat, ile mam. To było podczas przebudowy Tre Torre. Musieliśmy naprawić wschodnie fundamenty i natknęliśmy się na szkielet mężczyzny. Tę monetę miał w ustach.

– W ustach?

– Pytałem ekspertów i, jak to z ekspertami bywa, każdy mówił co innego. Wkupne na tamten świat, symbol zdrady, znak rozpoznawczy kogoś, kto sprzedał innego za pieniądze. Jakoś skłaniam się ku tej drugiej teorii. Z pobudek czysto emocjonalnych.

– I chce się pan z tym rozstać?

– Najwyższy czas, żebym się zaczął rozstawać z rzeczami, nie uważa pani?

– I co pan teraz chce usłyszeć? Że jest pan na to o wiele za młody?

– Tak. Chętnie bym usłyszał coś w tym guście.

– Sięgnął za siebie i wziął z kredensu kopertę – Mam coś jeszcze... – Szukał słów, nagle zakłopotany. – Dwa bilety do opery, na sobotę, na „Falstaffa”, a potem rezerwacja u Angela, o którym się mówi, że jest aktualnie tą rzymską restauracją. Naturalnie polegam w tym na opinii innych.

– I to wszystko dlatego, że jestem u pana trzy miesiące?

– Czy jest szansa, że przyjmie pani zaproszenie?

– A jeśli po prostu powiem: tak?

– Wtedy będę miał już tylko jeden problem: jak pozbyć się zapachu naftaliny z mojego smokingu.

– Co na to Teresa?

– Zasięgnie rady jakiegoś świętego – ona na wszystko ma jakiegoś świętego – no i nie znam jeszcze jego odpowiedzi. W tej chwili wydaje się jednak, że mam świętych po swojej stronie.

– Ja chyba też. Z chęcią przyjmę zaproszenie. – Uśmiechnęła się. Dobrze się czuła. To ten dom, ten pokój i naturalnie ten mężczyzna siedzący naprzeciw niej. Stał się częścią jej życia, częścią porządku, który stworzyła. Naprawdę był powód do świętowania dnia, który ją przywiódł w te progi. Popatrzyła na Larssona ponad stołem.

– Musiał pan być dobrym lekarzem.

– Ja? Czasem w to wątpię. Miałem sukcesy, miałem szczęście, ciężko pracowałem i zawsze umiałem słuchać. To mi pomagało unikać błędów. Mimo to popełniałem błędy, straszne błędy, których nie mogę sobie wybaczyć. Najgorsze było, że kiedyś uratowałem życie kobiecie, która chciała umrzeć...

Odłożył serwetkę i podniósł się gwałtownie.

– Proszę wybaczyć, nie o tym chciałem mówić. Wyjdziemy na dwór?

– Czy mam coś poczytać?

– Tak, proszę.

– Wybrał pan coś?

– Nie. Proszę coś wyszukać.

Zeszła do biblioteki. Nie spieszyła się, chciała zostawić Larssonowi czas. Niechcący poruszyła swym pytaniem bolesne wspomnienia.

Biblioteka była dla niej najmiłszym pomieszczeniem w Villa Kristina – podłużna i ciemna, wypełniona zapachem książek i białych goździków cynamonowych, których bukiet stał zawsze na stole.

Larsson rzeczywiście nie przygotował żadnej książki. Duży stół pośrodku pokoju był pusty i posprzątany. Wybrała nieduży żółty tomik z szafy, z literaturą angielską, myślami wciąż przy Larssonie...

Siedział na tarasie w swoim wiklinowym fotelu i zdawało się, że powrócił już do poprzedniego dobrego nastroju. Czasami próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądał, gdy był młody, ale się jej nie udawało. Przypuszczalnie już w wieku czterdziestu lat wyglądał jak teraz, z wyjątkiem siwych włosów.

– I co ładnego pani wybrała?

– Shelley. „Prometheus unbound”.

– Wie pani, że jego część napisał w Rzymie? W ruinach Term Karakalli.

– Nie.  
– Ale zna pani jego grób.  
– O tak, naturalnie! Dawniej oprowadzałam po Rzymie angielskie wycieczki i cmentarz protestancki należał do starych punktów programu. Groby Keatsa, Shelleya. A przy grobie Shelleya padało zawsze to samo pytanie: czy został pochowany razem ze swym sercem? Pan zna oczywiście tę historię, jakoby serce Shelleya podczas kremacji nie chciało się palić! Czy to jest w ogóle możliwe? Z punktu widzenia medycyny?

– Niestety nie. Serce jest mięśniami. Płonie, jak wszystkie mięśnie. Jednak wolę legendę: Shelley, którego serce nie chciało się spopielić!

Maria otworzyła książkę i zaczęła czytać. Ale nie było tak jak zwykle. Nie mogła się skoncentrować. I nagle zrozumiała dlaczego: pierwszy wieczór w Rzymie, Via dei Soldati. Żegnający się Marco Varelli. Nieduży żółty tomik, dokładnie taki jak ten, który wziął ze stolika w przedpokoju i wetknął do kieszeni...

Czytała dalej, ale jej myśli krążyły wokół Marca Varellego: to on zaproponował jej pracę u Larssona. Obaj mężczyźni byli przyjaciółmi. Dlaczego więc Larsson nigdy nie mówił o Varelhim? Dlaczego Marco nigdy nie pojawiał się w Villa Kristina?

I tak nieczęsto go widywała w ciągu minionych trzech miesięcy; pięć czy sześć razy, nie więcej. Zazwyczaj dzwonił do niej zupełnie niespodziewanie, zawsze na Via dei Soldati, nigdy do ambasady. Rozmowy trwały krótko; proponował spotkanie i odkładał słuchawkę, jak tylko wyraziła zgodę.

Jeszcze dwa razy byli w parku przy Porta San Sebastiano, raz oczekiwał jej w pierwszej sali Museo Barracco, raz przy fontannie Cavalli Marini w parku Villa Borghese, raz na torze jeździeckim za Piazza Basile. A raz wyjechała aż na pole golfowe Acquasanta, gdzie w klubie wypili razem herbatę.



Nigdy przy pożegnaniu nie umawiali się na następne spotkanie...

– Myślami jest pani dziś gdzie indziej?

Maria upuściła książkę i spojrzała Larssonowi w oczy. Jak długo się jej przyglądał? Przez chwilę zwlekała, ale pragnienie, by się dowiedzieć czegoś więcej o Marcu Varellem było silniejsze niż zażenowanie.

– Jak dobrze zna pan Marca Varellego?

Odwrócił wzrok i zamknął oczy, jak czynił czasami, gdy mu czytała na głos. Wyjął biały kawałek materiału z kieszeni na piersi, rozłożył go i zgniół w rękach, jakby chciał nim je wytrzeć z potu. Pod dachem loggii było gorąco, powietrze stało.

– Chyba wypiję drugą whisky. – Wstał. Kiedy wrócił, nie usiadł ponownie. – Marca Varellego znam bardzo długo, ale czy znam go rzeczywiście dobrze, to inna sprawa... – Pociągnął łyk ze szklaneczki. Stał, oparty plecami o jedną z kolumn, i przyglądał się jej. – Jak dobrze zna go pani?

– Prawie wcale. Dlatego pytam.

– Jestem zaprzyjaźniony z jego rodzicami. Ojciec Marca był moim pacjentem, tak się poznaliśmy. Ciężki przypadek astmy; do zaleczenia, ale nie do wyleczenia. Był ambasadorem przy brytyjskim dworze królewskim, choroba ujawniła się, gdy został wysłany na zieloną trawkę – tak to się chyba określa. – Larsson rozluźniał się stopniowo. – Marco studiował w Anglii. Niech pani zgadnie co?

– Coś związanego z techniką. Pewnie z samolotami.

– Literaturę. Miał zamiar robić dyplom z Shelleya. Nie wiedziała pani o tym? Myślałem... bo pani wybrała Shelleya.

– Ależ skąd. Nie miałam o tym pojęcia. Wiem tylko, że razem z moim bratem latał na liniach kurierskich.

– Potem zabrał się za politykę. Pisał artykuły, przemawiał na zebraniach przeciwko faszystom. Ostrzegano go

wielokrotnie, nie chciano skandalu z powodu jego rodziny. Ale Marco potrafi być bardzo uparty. W końcu doszło do aresztowania i procesu. Pięć lat zesłania na Lipari. Podarowali mu rok. Ale nawet cztery lata na takiej wyspie jak Lipari były długim okresem dla mężczyzny w jego wieku, wtedy...

Maria pomyślała o białym psie, którego zawsze miał u boku i który ją zawsze trochę irytował. Teraz zdawało jej się, że rozumie: mężczyzna wygnany na cztery lata na samotną wyspę, opuszczona plaża, po której dzień w dzień odmierza kroki z psem, jedynym towarzyszem...

– Kiedy wrócił – czy był zgorzkniały?

Larsson nie spieszył się z odpowiedzią.

– Przerwane studia, cztery lata wygnania, chory ojciec, zrujnowane małżeństwo. Wiedziała pani, że jest żonaty? Żona opuściła go jeszcze podczas procesu. Odebrano mu prawa rodzicielskie do córki. Bardzo go to dotknęło, był bardzo przywiązany do Cateriny...

Córkę raz Maria widziała przy spotkaniu w parku Villa Borghese. Był już tam, kiedy przyszła; stał przy fontannie z młodą dziewczyną. Rozmawiali. Miała jego ciemne włosy, jego sylwetkę. Kiedy całował ją na pożegnanie, Maria odczuła coś na kształt zazdrości...

– Miał dość powodów, by być rozgoryczony – kontynuował Larsson – nie sądzi pani?

Postawił szklaneczkę na balustradzie tarasu, zrobił półobrót i spojrzął na miasto, jak gdyby tam można było znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania. Schody Hiszpańskie lśniły w słońcu, dwa stragany z kwiatami pod wielkimi parasolami obleżone były przez kupujących. Odchodzili z dużymi bukietami białych margerytek.

– Nie zajrzę mu do serca – Larsson odwrócił się do niej – ale wiem jedno: byłoby straszne, gdyby nie istnieli tacy mężczyźni jak Marco. Świat zwariował. Świat musiał zwariować, inaczej nie byłoby wojen. Wirus zniszczenia... Gdyby nie było

kilku mężczyzn odpornych na tę chorobę, nie byłoby też nadziei.

– Czy może mi pan powiedzieć... czym się Marco zajmuje?

– Pytała go pani o to?

– Próbowałam.

– To wie pani, że nie wiem nic więcej.

– A nawet gdyby pan wiedział, milczałby pan.

– Bardzo prawdopodobne.

– A więc wciąż jeszcze mało o nim wiem.

– Niech pani poczeka, coś pani pokażę.

Wszedł do domu. Kiedy wrócił, trzymał w ręku fotografię dużego formatu, z tych, na których uwieczniono każdy egzemplarz z jego zbiorów. Gdy podawał zdjęcie Marii, zauważyła, że włożył nową chusteczkę do kieszonki. Zdjęcie na papierze o wysokim połysku przedstawiało głowę i ramiona młodzieńca: nieomal dziewczęco piękna twarz o pełnych ustach i wiele mówiących oczach.

– To jeden z moich najulubieńszych eksponatów. Pochodzi z willi Nerona w Subiaco, przypuszczalnie wykonano ją według greckiego oryginału z piątego wieku przed naszą erą; arcydzieło. Przez przypadek mogłem to zdobyć przed wielu laty.

– I gdzie jest teraz?

– W Tre Torre, w moim domu na wsi. Jest to rzeźba, z którą nie miałem zamiaru się nigdy rozstać. I któż to pojawia się dziś po południu i proponuje mi sprzedaż? Marco Varelli. Śmieję mu się prosto w nos. Wymienia cenę. Dobrą cenę, na pewno, ale wie naturalnie, że takie dzieło jest bezcenne, bo się go już za żadne pieniądze nie odzyska. Nie rezygnuje. „Muszę go mieć”. Dla kogo, pytam. O nie, nie chce go dla siebie. Potrzebuje go dla kogoś ważnego. A więc w obce ręce...

– Dał się pan przekonać?

– W końcu tak. Proszę zrozumieć – byłem absolutnie pewny, że się nie poddam. Tak pewny, jak można być pewnym siebie samego. I na koniec stało się. Jutro pojedzie do Tre Torre po popiersie... To jest Marco! Doprowadza do tego, że ludzie robią rzeczy, których robić nie chcą... Lepiej pani go nie potrafię opisać...

Wrócił na wiklinowy fotel, a Maria podniosła książkę. Jak większość jego książek na czystej stronie przed kartą tytułową miała ekslibris ukazujący Tre Torre jeszcze z obiema okrągłymi wieżami.

– Prawdziwy zamek... Czy w rzeczywistości też tak wygląda?

– Kiedyś go pani na pewno zobaczy. Tre Torre to jedyna rzecz, z której jestem dumny. Kiedy go kupiłem, był kompletną ruiną. Odbudowałem go, sam przy tym pracowałem, razem z Carmelem, bratem Teresy. Mam nadzieję, że pani tam kiedyś ze mną pojedzie. Chętnie pokazałbym pani Tre Torre.

– Gdzie to jest?

– W Górach Tyburtyńskich. Jedzie się Via Tiburtina; za Vicovaro – tam gdzie Fiumicino wpływa do Aniene – zjeżdża się z szosy i jedzie w góry. Z lewej strony droga wznosi się na tysiąc metrów ku Saracinesco, z prawej odchodzi droga do Sambici. Stamtąd już widać Tre Torre, na zboczu góry. Przed nim długi szereg cyprysów, pod które zwoziliśmy ziemię taczkami, podobnie jak pod grządki róż.

– I kiedy pan tam bywa?

– Co roku od lipca do końca września.

– To znaczy, że wkrótce opuści pan Rzym? To dlatego dzisiaj ta kolacja. I ten prezent, zaproszenie do opery...

Gdy to mówiła, zrozumiała, co oznacza nieobecność Larsona w Rzymie.

– Będzie pani brak wieczorów w Villa Kristina? Nie, niech pani nie odpowiada. Niech mi pani pozwoli wierzyć,

że tak będzie... Ale w tym roku wyjazd się przesuwają. Jeszcze nie jest pewne, kiedy i czy w ogóle pojedą do Tre Torre.

Usiadła z otwartą książką na kolanach.

– Dlaczego w tym roku nie?

Larsson zwlekał z odpowiedzią.

– W tym roku wszystko jest inaczej niż zwykle.

– Tak, będzie mi brakowało wieczorów w Villa Kristina.

Przy jedzeniu powiedziałam, że chętnie tu przychodzę, że lubię naszą pracę – to prawda... Czy mam jeszcze coś poczytać?

Gdzieś w domu słychać było pospieszne kroki Teresy. Z impetem otwarto jakąś okiennicę. Z dachu sąsiedniej willi sfrunęły gołębie. W niebo, które zaczynało wabić barwami wieczoru, wzbijał się samolot, srebrna igła w ciemnoniebieskim jedwabiu.

Czy Larsson odpowiedział? Maria rozpoczęła czytanie od tego miejsca, gdzie przedtem przerwała.

Mężczyzna w wiklinowym fotelu przysłuchiwał się z zamkniętymi oczami.

## 14.

Wkręciła ostatnią stronę w maszynę. Dziś pewnie także się spóźni. Zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić do Villa Kristina. Jednak oczekiwanie na wolną linię kosztowałoby dalszą stratę czasu. Słyszała dźwięk telefonów z innych biur. A teraz jeszcze zaczęła stukać dalekopis za jej plecami.

Kobieta, z którą dzieliła to wąskie pomieszczenie, podniosła się.

– Zobaczę.

Dźwięk dalekopisu mieszał się z szumem wentylatora pod sufitem, dzwonieniem telefonów i stukotem maszyn do pisania dobiegającym zza cienkich ścian.

Od kiedy zaczęło przybywać personelu, wydział prasowy ambasady miał swoje biura w jednym z dwóch drewnianych baraków ustawionych w ogrodzie.

Stukanie dalekopisu ustało.

– Meldunek z Watykanu. Papież udał się do dzielnicy San Lorenzo, aby przekazać dotkniętym nieszczęściem swe błogosławieństwo. „Osservatore Romano” publikuje nowy, drugi protest Piusa XII przeciw alianckim bombardowaniom.

Oderwała papier i bez komentarza położyła go na biurku Marii.

– Co się dziś właściwie dzieje? – Spojrzała przez okno na główny budynek ambasady, noszący wciąż jeszcze – po pierwszej właścicielce, rosyjskiej hrabinie i kochance cara – nazwę Villa Wolkonsky. Na krętym podjeździe stał rząd samochodów, a teraz zajechał jeszcze jeden i zatrzymał się pod wspartym na kolumnach dachem. Zazwyczaj w piątek po południu bywało dokładnie odwrotnie. Wszyscy starali się wyjść punktualnie, wyjechać z miasta – nad morze albo w góry – aby uciec przed skwarem.

Erika von Jagov spojrzała w tym samym kierunku, co Maria.

– Ja kończę. I pani też powinna to zrobić.

Uporządkowała swoje biurko. Część papierów zamknęła na klucz, część wrzuciła do młynka makulaturowego. Taki był przepis, chociaż przez ich biurka nie przechodziło nic, co byłoby godne klauzuli poufności.

Erika von Jagov była kobietą około czterdziestki; jej brązowe włosy już siwiały. Nosiła zawsze, także w upał, sportowe kostiumy z tweedu i solidne buty na płaskim obcasie. Codziennie po pracy jeździła grać w golfa. Golf był też jedynym tematem rozmowy zdolnym ją rozpalić. Przez te trzy miesiące,

które spędziły razem w pokoju, Maria nie dowiedziała się o niej niczego więcej poza tym, że pani von Jagov przybyła do Rzymu trzydzieści pięć lat temu ze swoim ojcem, rzeźbiarzem, i że od czasu jego śmierci mieszka samotnie, a w ambasadzie pracuje już od pięciu lat. Wzięła torebkę, torbę z kijami golfowymi wyciągniętą z kąta przewiesiła sobie przez ramię.

– No to miłej soboty i niedzieli... Zostaje pani w mieście?

– Tak, zostaję. – Maria była zaskoczona, że pani von Jagov w ogóle zadała takie pytanie. Gdyby troszkę o siebie zadbała, byłaby ładną kobietą, ale widocznie nie zależało jej na tym.

– Nie rozumiem, co ludzie mają przeciwko rzymskiemu latu. No to do poniedziałku... – Podchodziła do drzwi, gdy zadzwonił telefon.

– Niech pani już idzie! – Maria położyła rękę na aparacie. – Jeśli to do pani, to właśnie pani wyszła.

Odczekała, aż za Eriką von Jagov zamkną się drzwi i dopiero teraz podniosła słuchawkę.

– Mogę z panią porozmawiać?

– Kto mówi?

– Boldt. Muszę z panią porozmawiać.

Nie rozpoznała jego głosu.

– Właśnie wychodzę...

– Niech pani przyjdzie do południowej części ogrodu. Tam, gdzie spędza pani przerwę obiadową. Jeśli mnie tam jeszcze nie będzie, proszę koniecznie czekać!

Zanim mogła coś odpowiedzieć, odłożył słuchawkę. Dziwne, pomyślała, broniąc się przed uczuciem lęku, które w niej nagle zakiełkowało. Dokończyła swoją pracę, tłumaczenie nie nastęrczało jej trudności, także pisanie na maszynie szło coraz szybciej i coraz bardziej bezbłędnie; paznokcie były odrobinę za długie, ale nie zamierzała ich poświęcać, żeby pisać jeszcze szybciej.

Kolumna samochodów przed ambasadą zaczęła się przeczekać. Dzwonki telefonów w innych pokojach rozlegały się rzadziej. Na koniec zrobił się z tego jednak zupełnie normalny piątek. Wyciągnęła kartkę i dodała ją do pozostałych z teczki. Potem sprzątnęła blat biurka i zebrała swoje rzeczy.

Ta praca w niemieckiej ambasadzie była szczęśliwym zrządzeniem losu. Nie tylko z racji benzyny i specjalnych przydziałów, które czasami trafiały się pracownikom. To bez wątpienia przyjemne, ale ważniejsze było co innego: to stanowisko nie było niczym ostatecznym, wyłącznie stanem przejściowym, tak jak i jej życie osobiste znajdowało się w stanie przejściowym. Nauczyła się tego w ciągu ostatnich tygodni. Nie można jednego dnia zamknąć dawnego życia, a następnego rozpocząć nowe.

Tymczasem otrzymała rozwód. Do odzyskania włoskiego obywatelstwa musi minąć trochę czasu – ale nie zajmowała się teraz tą sprawą zbyt usilnie. W końcu mogłoby to ją kosztować utratę posady w niemieckiej ambasadzie, a kto wie, czy znalazłaby szybko coś innego. Gdyby miała pecha, wysłano by ją do jakiejś fabryki zbrojeniowej. Nie, w tej chwili była zadowolona z tego, co jest...

Wzięła torebkę i niebieską teczkę. Zanim opuściła biuro, wyłączyła wentylator. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak uciążliwe były rzymskie upały dla większości pracowników ambasady. Wydawało się, że w berlińskich latach tylko tego jej brakowało: słońca i ciepła. Była zgłodniała słońca, kochała ten moment, gdy skóra staje się gorąca, a oczy wprost bolą od oślepiającego światła. To ją uspokajało. Było dla niej ważniejsze niż jedzenie, niż sen.

Biuro szefa jej wydziału leżało na końcu korytarza. Zapukała i weszła. Panowie byli w pokoju obok. Przez otwarte drzwi widziała jakieś plecy w czarnej koszuli.



– Kładę streszczenie na stole.

Dwa razy dziennie dostarczali do Berlina, dla ministra spraw zagranicznych, sprawozdanie o nastrojach w Rzymie, opracowane na podstawie artykułów w gazetach i audycji radiowych.

– Dziękuję. Kto ma dyżur w niedzielę? Pani von Jagov czy pani?

– Został przydzielony mnie.

– Dobrze, to do niedzieli. Miłej soboty.

W niedzielę ukazywały się tylko nieliczne rzymskie gazety, więc wystarczyło, żeby pojawiła się w biurze po południu.

Jej fiat stał w cieniu wielkiej akacji, której pień obrośnięty był powojem i kwitnącymi pachnącymi różami. Świeżo umyty samochód lśnił, co oznaczało, że był także tuż po tankowaniu. Dwaj włoscy pracownicy garaży, zatrudnieni w ambasadzie, uważali za punkt honoru rozpieszczanie rodaczki. Odsunęła dach i położyła torebkę na siedzeniu. Kluczyk tkwił w stacyjce. Moza było go zostawić bez wahania; ze wszystkich stron teren ambasady otaczały mury, a przy wejściu – było tylko jedno – dzień i noc stał wartownik.

Powoli ruszyła do ogrodu. Bez przyjemności myślała o spotkaniu z attache Luftwaffe. Sam fakt był niezwykły. „Musię z panią pomówić.” No i sposób, w jaki się z nią umówił. Skąd wiedział, gdzie spędza przerwę obiadową?

Gottfried von Boldt trzymał się z dala od pracowników ambasady. Wśród personelu zdarzała się niejedna afera, a przede wszystkim krążyły plotki. O attache lotniczym nie kursowały żadne pikantne historyjki. Nie uczestniczył w popijawach, które czasami odbywały się w niektórych pokojach. Nigdy nie widywano go z kobietami. Być może było to związane z jego kontuzją; w czasie bitwy o Anglię został zestrzelony nad Kanałem. Uszedł z życiem, ale bez ręki.

Zastanawiała się, czy na pogrzeb Gianniego przyszedł z

poczucia osobistego koleżeństwa czy też tylko służbowo? W każdym razie prawie nie miała z nim kontaktu; nawet wtedy gdy przypadkowo razem pojawili się w stołówce na jednodaniowym obiedzie, nie odezwał się do niej ani słowem, poza grzecznym pozdrowieniem. Okazjonalnie przychodził do jej biura, przynosił paczkę starych angielskich gazet dla Marca Varellego, kładł je bez komentarza na jej biurku i wychodził; jeśli jej pamięć nie myliła, wybierał na to zawsze moment, kiedy pani von Jagov właśnie szła po podpis. Do tej pory nie zastanawiała się nad tym, ale tym razem również tak było i to wydało się jej bardzo osobliwe. Zaczęło się to wszystko od pewnej uwagi Marca Varellego podczas jednego z ich pierwszych spotkań:

- Co się dzieje z angielskimi gazetami w ambasadzie?
- Angielskie gazety?
- Tak. Na pewno tam jakieś są.
- My wykorzystujemy tylko rzymskie. Ale w wydziale politycznym albo u któregoś attache Luftwaffe muszą chyba jakieś być.

- Może pani spyta attache.
- A po co panu angielskie gazety?
- Do czytania – może z czystego sentymentu. Poza tym sprawię ogromną przyjemność mojemu ojcu. On jest bardziej brytyjski niż Brytyjczycy, w dalszym ciągu. Czy uwierzy pani, że on, którego zwykle nie sposób wywabić z domu, podjął się trudów podróży koleją do Mediolanu, bo usłyszał, że tam, w pewnym konkretnym sklepie, można ponoć jeszcze kupić prawdziwe dawsony? Mój ojciec, rzymski *conte*, nosi angielskie buty – czy to można sobie wyobrazić... Spyta pani Gottfrieda von Boldta? Ja tu nie odgrywam żadnej roli. Niech pani po prostu powie, że chciałaby je pani dla siebie...

Wtedy zabrzmiało to tak naturalnie. I von Boldt zareagował na jej prośbę też całkiem normalnie:

– Ależ chętnie, o ile pani nie przeszkodzi, że będą stare i częściowo powycinane. Zazwyczaj biorą je sprzątaczk i sprzedają. W Rzymie jest sporo ludzi, którzy dobrze za nie płacą...

W drodze do parku Maria musiała przejść obok podłużnego budynku zbudowanego, podobnie jak baraki, dopiero po kupieniu Villa Wolkonsky przez Niemców. Żółta kamienna budowla – dawniej były tu zabudowania stażenne – mieściła właściwe biura różnych wydziałów ambasady.

Naprzeciwko znajdowały się, również nowe, dwa korty tenisowe.

Dwaj mężczyźni grali na czerwonej nawierzchni. Nie zważała na nich, odnotowywała tylko uderzenia piłki, myślami nieustannie krążąc wokół zbliżającego się spotkania z attaché Luftwaffe.

– Halo! halo! Co pani tu jeszcze robi?

To był głos Wintera, jego łatwo rozpoznawalny austriacki akcent. Chcąc nie chcąc musiała się zatrzymać, bowiem przerażał grę i podszedł na koniec kortu.

– Muszę powiedzieć, że mieliśmy szczęśliwy pomysł zatrudniając panią. Wzór niemieckiej pilności...

Odłożył raketę na ławkę, wziął ręcznik i wycierał sobie pot z twarzy. Potem nałożył okulary. Szkła zaparowały natychmiast od jego rozgorączkowanej purpurowej twarzy, więc zdjął je na powrót. Między nim i Marią znajdowało się wysokie ogrodzenie z siatki, otaczające cały kort.

– Mój lekarz zaordynował mi tę głupotę. – Położył rękę na brzuchu opiętym białą koszulką tenisową.

– Jeśli to panu pomaga...

– Właśnie że nie. Powinienem sobie, jak sędzę, raczej poszukać innego lekarza... – popatrzył na nią z uśmiechem – na przykład tego pani doktora Larssona.

– On już nie praktykuje – w każdym razie rzadko.

– Ja jestem rzadkim przypadkiem. Mogłaby się pani za mną wstawić...

Maria nigdy nie rozmawiała z Winterem o swojej pracy w Villa Kristina. Nie dziwiło jej, że mimo to o niej wiedział. W przypadku Wintera miało się zawsze uczucie, że wiedział wszystko o wszystkich w ambasadzie; w końcu tutaj leżało to w jego zakresie obowiązków: Fritz Winter, w randze radcy ambasady, nie tylko kierował działem politycznym, lecz równocześnie pełnił funkcję osoby odpowiedzialnej za bezpieczeństwo.

– Chętnie porozmawiam z doktorem Larssonem. – Winter podniósł rakiętę, partner go wołał. – Nie widuje się już pani u Brigi. Szkoda...

To prawda. Spotykała się z Brigą czasami w dawnej herbariarni Fielda, ale już nigdy nie skorzystała z jej zaproszenia do domu.

– Może ma pan rację. Jestem zbyt pilna.

Z Winterem było dziwnie; załatwił jej pracę w ambasadzie, zrobił porządek z dokumentami, poparł starania o zezwolenie na zatrzymanie topolina. Wmieszał się nawet w jej sprawy rozwodowe; przyspieszył otrzymanie rozwodu. Kiedy się spotykali na terenie ambasady, był miły, ale nic więcej; nigdy nie próbował nawiązać do tej poufałości, która pojawiła się między nimi owego pierwszego wieczoru u Brigi. Zachowywał się jak dobry przyjaciel, mimo to nie potrafiłaby odpowiedzieć na pytanie, czy go lubiła, czy uważała za niesympatycznego; czy mu ufała, czy też nie.

Znów zawołał go partner. Winter wzruszył ramionami.

– Zaczyna się mordęga... A tak przy okazji, muszę kiedyś z panią porozmawiać. Nic ważnego, nic służbowego i nie ma pośpiechu... Może ma pani przypadkiem dyżur w niedzielę?

– Tak, wypada na mnie.

– Może zajrzę na chwilę.

- Proszę pozdrowić Brigę.
- Oczywiście, przekażę! Może jednak pojawi się tam pani znowu, byłoby miło...

Wrócił na kort, raz jeszcze pomachał jej rakieta. Była zadowolona, że nie spytał, co tu jeszcze robiła. Czyżby i bez tego wiedział?

Znajdowała się teraz przy wysokim murze dawnego rzymskiego akweduktu, rozdzielającego teren, i przez jedną ze strzelistych arkad weszła do właściwego parku przy Villa Wolkonsky. Dom był podarunkiem cara dla kochanki, która zamieszkała w nim jednak dopiero po jego śmierci, by przeżyć tu trzydzieści ostatnich lat życia. Jej córka sprzedała posiadłość Niemcom w 1922 roku.

Niewiele więcej dowiedziała się Maria o budynku i hrabinie Zinaidzie Wołkońskiej. Sama willa, która teraz ukazała się z prawej strony, była siedzibą ambasadora – klasycy styczna budowla sprawiałaaby wrażenie surowej, gdyby nie stała w tym pięknym parku.

Był tam staw z pluskającą fontanną, palmy, agawy, jaśmin, bez, ścieżynki wiodące do ukrytych altanek, a pomiędzy tym wszystkim co jakiś czas wyrastały wysokie akacje z rozłożystymi koronami i potężne aloesy. Weszła w alejkę przy akwedukcie. Pochodził z czasów Nerona i był częściowo zrujnowany. W górnych fragmentach funkcjonował jeszcze jako wodociąg i stwarzał w tej części parku prawie subtropikalne warunki wegetacji.

Attaché Luftwaffe miał rację: to był ulubiony zakątek Marii i często spędzała tu przerwę obiadową. Gottfrieda von Boldta jeszcze nie było. Maria usiadła na przewróconym grobowcu. Leżały tu także odłamki kolumn i fragmenty rzeźb. Czy przedmioty te wykopano przy budowie domu lub przy zakładaniu parku? Czy hrabina Wołkońska życzyła sobie, by je tak po prostu zostawić, jako cząstkę rzymskiej przeszłości?

Może to także jej ulubiony zakątek. Czy była szczęśliwa? Myśląc o hrabinie, Maria wyobrażała sobie kobietę w swoim wieku, ubraną w białą letnią suknię, z otwartą białą parasolką. Siedzącą tu samotnie, stojącą tam przy krzakach róż i pochylającą się nad pojedynczymi kwiatami. Być może były to jej najszczęśliwsze chwile...

Życie kobiety określała zawsze miłość. Odpowiedni lub nieodpowiedni mężczyzna – to był jej los. Krótkie momenty, w których się wszystko decydowało, a potem wspomnienia. Kobieta mogła uważać się za szczęśliwą, jeśli miała kilka dobrych wspomnień...

Biel, która teraz pojawiła się przy krzakach róż, była bielą letniego munduru attache Luftwaffe. Drobnny żwirek zgrzytał mu pod stopami. Szedł powoli, z ręką założoną na plecy, jak spacerowicz. Na chwilę zatrzymał się przy pawilonie. Nie spojrzął w jej stronę, zlustrował drogę, którą przyszedł. Popołudniowa cisza otulała park. Czasami słychać było szelest umykających jaszczurek wygrzewających się na sarkofagach. Za nią, z muru akweduktu, spadały krople wody.

Gottfried von Boldt wciąż jeszcze stał w cieniu pawilonu jak biała skamieniała postać pomiędzy białymi rzeźbami. Po tem szybko podszedł do niej.

Chciała mu zrobić miejsce na kamieniu, ale nie usiadł, stał z ręką wciąż na plecach. Na białej kurtce miał kolorową baretkę i duży order. Przypomniało jej to nagle mundur w szafie Gianniego.

– Czy ma pani kontakt z Markiem Varellim?

Wpatrywała się w jego twarz. Nie miał jeszcze trzydziestki, a w tej chwili wyglądał, jakby nie skończył nawet dwudziestu lat. Jasne włosy, skręcone na czole i skroniach w loki, duże wymowne oczy, miękkie, prawie dziewczęce usta – przypomniała sobie fotografię, którą pokazał jej poprzedniego wieczora Larsson, głowę greckiego młodzieńca. Podobieństwo

było tak wielkie, jakby von Boldt był modelem dla rzeźbiarza.

– Musi pani dotrzeć do Marca Varellego. Musi mu pani coś przekazać. Jeszcze dzisiaj, natychmiast. Każda chwila się liczy, proszę!

Szelest jaszczurki, pojedyncza kropla wody uderzająca w liść i znów głos mężczyzny:

– Proszę mu to powtórzyć: Kod „Shelley” nie jest już pewny. Musi koniecznie przełożyć swój następny *pick up*. Musi mu to pani powiedzieć jeszcze dzisiaj.

– Chwileczkę!

Odwrócił się już, odchodził. Wykonał pół obrotu. Z kieszeni wysunął się przy tym pusty rękaw munduru. Włożył go niechętnie z powrotem.

– Nie mogę zostać. – Potrząsnął głową. – I tak wystarczająco ryzykuję. Musi pani do niego dotrzeć! Koniecznie!

Patrzyła w ślad za białą postacią, dopóki nie zniknęła w różanym ogrodzie. Wszystko stało się tak szybko. Dopiero teraz, kiedy znowu była sama, zaczynała pojmować. Stopniowo, wbrew swej woli. Spadanie kropel wody za plecami, jaszczurki na marmurowej płycie sarkofagu. Zachowywały się całkiem spokojnie; jedno ze zwierzątek spoglądało na nią z podniesioną głową. Małe czarne oczka błyszczały. Było jak wtedy, na tarasie domu w Portovenere w dniu, w którym straciła ojca...

## 15.

Upał w samochodzie stawał się coraz bardziej nieznośny. Mogłaby znowu otworzyć dach i okna, ale wtedy musiałyby łykać kurz unoszony przez wiatr. Wąska droga, pokryta cienką warstwą szutru, wznosiła się krętymi serpentynami. Zbocza

po prawej i lewej były nagie i kamieniste. Słońce wypaliło tę odrobinę trawy, wysuszyło na wióry niskie krzaki ligustru. Co jakiś czas mijała zagajnik starych powykęcanych drzew oliwkowych. Stożące w pobliżu rozpadające się szopy wskazywały na to, że drzewa niegdyś owocowały, ale musiało to być naprawdę dawno temu. Nieliczne mijane zagrody wydawały się opuszczone; już od kwadransa nie napotkała żywego ducha. Miała wrażenie, że znajduje się w innym kraju. Może jechała złą drogą.

Jeszcze jeden zakręt i stanęła niepewna. Na szczycie góry, tam gdzie prawdopodobnie kończyła się droga, ujrzała kościółek i kilka kamiennych domów, białych i nagich jak skały, z których wyrastały. Nigdzie nie mogła dojrzeć cyprysowej alei.

Wyłączyła silnik i wysiadła z samochodu. W nagłej ciszy usłyszała przenikliwe granie cykad. W ustach jej zaschło, nerwy miała napięte do ostatnich granic, wpadła niemal w panikę, kiedy zobaczyła, że słońce zbliża się już do horyzontu.

Ambasadę opuściła około siódmej. Z budki telefonicznej zadzwoniła do Villa Kristina. Nie musiała długo wyjaśniać, Larsson, zdaje się, od razu pojął, o co chodzi. Potwierdził, że znajdzie M. – tak o nim mówili – w Tre Torre...

– ...to znaczy, nasz dzisiejszy wieczór wypada, a jutrzejszy?

– Dzisiaj tak, ale jutro przyjdę. Wracam jeszcze dziś wieczór. Proszę mi jeszcze raz wytłumaczyć dojazd.

Według opisu Larssona wszystko było bardzo proste.

– Godzina jazdy, nie więcej.

– Dziękuję. Chyba nietrudno będzie to znaleźć.

– Mario...

– Tak?

– Niech pani na siebie uważa. Do jutra...

– Do jutra.



W drodze była już od prawie dwóch godzin. Ta miejscowość na górze, na szczycie, to musiało być Saracinesco. Promienie zachodzącego słońca otulały różowym blaskiem białe domy. Niebo w tle przybrało kolor indygo. Saracinesco... to znaczy, że za mostem na Aniene wybrała złe odgałęzienie!

Zawróciła i pojechała z powrotem szutrową drogą, teraz już z otwartym dachem i oknem. Nie zważała na kurz, zależało jej tylko na tym, by mieć wolny widok na wszystkie strony. Myśli krążyły nieustannie wokół zdarzenia w parku Villa Wolkonsky. Próbowwała zrekonstruować, słowo po słowie, co powiedział jej attaché Luftwaffe, ale nie udawało się.

Tak dojechała do skrzyżowania. Słońce jak ognista kula unosiło się nad horyzontem. Jakże chciałyby móc zatrzymać czas, dopóki nie znajdzie Tre Torre! Trzymała kierownicę jedną ręką, mając głowę do połowy wychyloną przez okno. W końcu rzeczywiście ujrzała długi rząd cyprysów na grzbiecie jednego ze wzgórz po lewej stronie. Stały ciemne i surowe, bardziej podobne do obelisków niż do drzew. Siedemnaście, powiedział Larsson. Zaczęła liczyć, ale ciągle się myliła.

Jechała tak szybko, jak tylko pozwalała na to droga. A stała się coraz bardziej stroma. Czasami traciła cyprysy z oczu, potem pojawiały się znowu tuż przed nią, jeszcze wyższe niż wydawały się z daleka, prawie czarne w niebieskawej poświacie zmierzchu.

Kiedy mijała cyprysy, topolino robił wrażenie małego w porównaniu z nimi. Droga była gładko ubita, oczyszczona z chwastów, od zbocza oddzielał ją mur, przed którym rosły cyprysy. Na końcu widać było żelazną bramę. Za nią ciągnął się brukowany podjazd aż do budynku o czerwonych murach: Tre Torre. Jedna z trzech okrągłych wież

porośnięta była dzikim winem. Na podwórku stała półciężarówka Marca.

Teraz, kiedy była u celu, opadło z niej napięcie. Wysiadła i podeszła do bramy. Zrozumiała dumę i miłość, z jaką Larsson mówił o Tre Torre. „To jest coś, co chciałbym pani pokazać.” Czy doprawdy było to zaledwie wczoraj? I oto przyjechała tu sama. Prawie tego żałowała.

Brama była zamknięta, także boczna furka nie dała się otworzyć. Nie mogła znaleźć dzwonka. Wróciła do samochodu i nacisnęła klakson; raz, drugi i trzeci. Budynek odpowiedział echem.

Czekała przy bramie. Było tu chłodniej, prawie bezwietrznie. Oprócz jasnej lnianej sukienki na sobie nie miała nic do ubrania.

Chciała wrócić do samochodu, żeby raz jeszcze zatrąbię, gdy od strony podwórka nadbiegł biały pies Marca.

Zbliżył się do bramy, zaczął podskakiwać przy kracie, szczekać i ujadać. W mieście nigdy nie wydał z siebie dźwięku i Maria sądziła, że właśnie to ją w tym zwierzaku tak irytowało.

Jakiś mężczyzna wyszedł z domu. Nie był to Marco, zauważyła to mimo dużej odległości. Wyprzedzało go światło latarki. Miał chód i postawę wieśniaka.

– To posiadłość prywatna... – snop światła z latarki odnalazł jej twarz, potem skierował się na topolino. – *Signora* Maria? Pani jest *signora* Maria, prawda?

– A pan jest Carmelo? – Chociaż przyjeżdżał do Rzymu prawie co tydzień z owocami i warzywami do Villa Kristina, nie spotkali się jeszcze osobiście.

– Czy doktor też jest z panią?

– Nie, jestem sama.

– Proszę poczekać, otworzę tylko bramę.

Wsiadła do samochodu i włączyła światła, bowiem nagle zapadły kompletne ciemności. Żelazna brama uchyliła się.

Wolniutko podjechała pod dom. Na dużym wybrukowanym placu stała półciężarówka Marca. Zaparkowała fiata tuż obok. Dopiero wysiadając, zauważyła za sobą dwa garaże.

Carmelo szedł ku niej. Po drodze zdejmował zielony fartuch. Biały pies pozostał przy bramie, wciąż ujadając.

– Jak on się właściwie wabi? – Maria nie mogła sobie przypomnieć, żeby Marco kiedykolwiek używał jego imienia.

– Pies? Chyba nie wiem. *Signor* Varelli nigdy go nie woła. Ma pani bagaż? Nic? Proszę, zaprowadzę panią do domu. Pani przyjechała do *signora* Varellego, jak przypuszczam?

– Tak.

Carmelo nie chodził ani nie mówił tak szybko i gwałtownie jak jego siostra, Teresa. Wystawiał się powoli, z namysłem, jak wieśniak nienawykły do rozmowy.

Dopiero teraz, tuż przy domu, Maria zobaczyła, że jedną z wież porasta nie tylko dzikie wino, ale coś jeszcze, jakaś roślina o fioletowych kwiatach.

– Co to jest? – Wskazała palcem na kwiaty. – Bugenwilla?

Carmelo skinął głową i otworzył drzwi.

– Proszę poczekać, zaraz zapalę światło.

Poszła za nim wąskim korytarzem, potem przez następne drzwi do dużego pokoju. Carmelo zapalił kilka lamp i pomieszczenie okazało się rozległą salą. Jedna ściana, zbudowana z kamienia, była zaokrąglona jak w wieży i miała pośrodku kominek. Po przeciwnej stronie podwójne drzwi wiodły z przybudówki na taras. W domu było chłodniej niż na zewnątrz.

Maria rozglądała się. Wszystko było piękne i harmonijne, proporcje, kolory, meble, a jednak pokój wydawał jej się osobliwy. Nigdzie kwiatka, gazety czy książki, w ogóle znaku życia. Carmelo stał obok z zielonym fartuchem ogrodnika i latarką w ręku.

– Może powiadomi pan *signora* Varellego, że jestem.

Zanim Carmelo zdążył odpowiedzieć, otworzyły się gdzieś drzwi i kobiecy głos zawołał:

– Co się stało, Carmelo? Pan doktor przyjechał?

Na schodach prowadzących na górę ukazała się smukła, wysoka kobieta.

– To nie pan doktor – odpowiedział Carmelo. – To *signora* Canossa.

– A doktora nie ma?

– Nie. *Signora* Canossa przyjechała sama.

– Gdybyśmy mieli telefon, dowiedzielibyśmy się wcześniej i mogłabym przygotować pokój. Doktor od lat obiecuje nam telefon.

– Przecież pokój możesz przygotować od ręki. – Carmelowi najwyraźniej przeszkadzała obecność żony, wydawało się, że chce się jej pozbyć. – Bierz się do roboty, Lucetta. Przygotuj pokój, a potem zatroszcz się o jedzenie. *Signora* Canossa przyjechała z Rzymu i jest na pewno głodna... – Odwrócił się do Marii. – Chyba pani nie wraca zaraz do Rzymu, tak po ciemku. Drogi...

– Co jest z *signorem* Varellim? – Biały pies, półciężarówka – nie miała wątpliwości, że Marco tu jest.

– Nie chłodno pani? Zaraz rozpalę w kominku. Może minąć trochę czasu, zanim *signor* Varelli wróci.

– Nie ma go tutaj?

– Ależ jest. Przyjechał dzisiaj. Ale musiał jeszcze raz wyjść.

Badala twarz tego mężczyzny. Podobieństwo do Teresy było niezaprzeczalne: te same duże, brązowe oczy, te same kręcone włosy, tyle że u Carmela były śnieżnobiałe, podobnie jak broda. Ile wiedział?

– Carmelo, ale ja muszę się z nim widzieć natychmiast, to ważne!

Carmelo ukląkł przed kominkiem i zaczął warstwami układać chrust i drewno.

– Dlaczego jego auto stoi na dworze? Dlaczego pies jest tutaj?

– Drogi tu mamy kiepskie. Wziął motor.

– Dokąd pojechał, kiedy wróci?

– Nie umiem nic powiedzieć, bo nic nie wiem, nic mi nie powiedział. Tyle tylko, że wróci późno i żeby na niego nie czekać. Naprawdę, nic więcej nie wiem.

Drewno szybko się zajęło. Jego trzask wypełnił pokój.

– Żona przyniesie pani coś do jedzenia i pokaże pokój. Da też wszystko, czego będzie pani potrzebowała do przenocowania... oczywiście może też pani zostać tutaj i czekać. Może jednak wróci wcześniej. Zaraz się tu nagrzeje.

– Sam pojechał?

– Nie, nie sam.

Uniósł ręce, jakby prosząc, by nie stawiała więcej pytań, bo i tak nie będzie znał na nie odpowiedzi.

– Ktoś przyjechał z *signorem* Varellim. Nie znam go, jeszcze nigdy tu nie był... Przyjechali i natychmiast poszli do jego pokoju... Minęła się z nim pani tylko o pół godziny...

– Gdzie jest jego pokój?

Jeszcze gorsze od rozczarowania były wyrzuty sumienia. Zawiodła. Gdyby bardziej uważała, nie pojechałaby złą drogą i zdążyłaby do Tre Torre, zanim Marco wyruszył. Usiadła w jednym z foteli przed kominkiem. Była zbyt zmęczona, by stawiać dalsze pytania. Z wdzięcznością poczuła, jak ciepło z kominka zaczyna ją rozgrzewać.

Obudziła się na krzeselku przed kominkiem, zziębnięta i zeszywniała. Zrazu nie wiedziała, gdzie jest i co ją obudziło. Potem zauważyła psa u swoich stóp. Podniósł łeb i skomlał cicho. Chciała położyć mu rękę na łbie, jak to często czynił

Marco, ale nie była pewna, jak zwierzę zareaguje na ten gest z jej strony.

Nie miała pojęcia, która była godzina. W kominku pod kupką popiołu żarzyły się resztki drewna. Nasłuchiwała, ale wokół było cicho, wyjąwszy skomlenie psa. Wstała i dołożyła do kominka parę szczap drewna z pini. Zauważyła, że na sukienkę ma założoną czarną, robioną na drutach, kamizelkę...

Teraz sobie przypominała: Carmelo przekazał ją w ręce żony. Lucetta z tacą pełną jedzenia. Przejście do bocznego skrzydła domu przez korytarz tak zapełniony wykopaliskami – fragmentami kolumn, reliefami, posągami – że prawie nie dało się precyzyjnie. Pokój, cały w bieli, biała kamienna posadzka, białe firanki, biała narzuta na łóżku, biała tapeta w zielone pędy powoju. Nie mogła tam zostać, w tej bieli; nie była w stanie się tam położyć do łóżka. Wróciła do dużego pokoju na parterze wieży. Był tam pies. Widocznie Carmelo go przyprowadził...

Biały pies biegał w tę i z powrotem przed dwudzielnymi drzwiami na taras. W świetle księżyca wydawał się jeszcze chudszy, biała sierść nadawała mu wygląd widma. Maria otworzyła jedno skrzydło drzwi i wyszła na taras. Noc była bezchmurna i chłodna, więc miała rozległy widok na dolinę.

Wydawało jej się, że rozpoznaje drogę, którą przyjechała, a może ta jasna, wijąca się jak wąż linia to Fiumicino?

Pies, który jej do tej pory towarzyszył z postawionymi uszami, wyprysnął nagle do przodu; bezgłośnie przebiegł przez taras i pognął po zboczu w górę. Zaraz też rozległ się w ciszy odgłos motoru.

Nasłuchiwała. Pies nie szczekał. Dźwięk motoru zmienił się i przybliżył. Potem zamarł.

Weszła pospiesznie do domu, poszukała kontaktu, nie znalazła. Chciała właśnie podejść do drzwi, gdy te się otworzyły.

Marco! Imię utkwiło jej w gardle. Mężczyzna, który wszedł do pokoju, mężczyzna, przed którym stała, wydawał się obcy.

Nie chodziło tylko o wygląd zewnętrzny – miał na sobie ubranie wieśniaka wybierającego się na polowanie na zające: wysokie sznurowane buty, zielone spodnie, zielony wełniany kaftan – chodziło o twarz: ubrudzoną, pozbawioną życia maskę.

On także wpatrywał się w Marię i ze zdania, które miał na końcu języka, zdołał wykrztusić tylko pierwsze słowo: „Co...?”

Potem, gdy do niego podeszła, by uściskiem wypowiedzieć to, na co brakło słów, odepchnął ją od siebie. Patrzyła za nim, za tym obcym, jak wbiegał na schody prowadzące na górę.

Mijały sekundy, nie była w stanie o czymkolwiek pomyśleć, czegokolwiek zrobić. Czuła tylko ból w ramieniu, w tym miejscu gdzie ją chwycił i odepchnął od siebie z tak brutalną siłą, o jaką nigdy by go nie podejrzewała.

Jakiś dziwny dźwięk z góry przywrócił jej świadomość; nie kroki, które słyszała na początku – te ucichły. Monotonnie wystukiwany rytm, nie słowa, nie muzyka, raczej bębenek rytualny, uderzany palcami w ekstazie: tattatat-ta-ta-ta, ta-ta, tatta, tattatatta.

Pognała na górę, do pokoju, z którego dobiegał stukot. Siedział tam, z palcami wskazującymi na czarnym przycisku.

– Nie, Marco! Nie! – Chwyciła go za rękę, siłą odciągnęła go od przycisku, objęła go za ramiona i ściągnęła z krzesła. I nagle przypomniała sobie właściwe słowa, jak gdyby w tej chwili usłyszała głos Gottfrieda von Boldta.

– Szyfr nie jest już pewny, Marco. Na Boga Ojca, nie!

## 16.

A więc to tak! Oto wyjaśnienie, nad którym na próżno ła-  
mał sobie głowę... Marco Varelli patrzył w ogień, w pryskają-  
cy iskrami żar, ale widział bluzgające ogniem wyloty pistole-  
tów maszynowych, zwłoki i eksplodujący w powietrzu samo-  
lot...

Stało się dokładnie to, czego się zawsze obawiał: księży-  
cowa noc, oznakowane lądowisko; nowe, odkryte dopiero  
przed kilkoma dniami. Dlatego nie rozumiał, co mogło za-  
wieść. To było dobre miejsce, ustronne, oddalone o wiele ki-  
lometrów od najbliższej wioski. Któż zastanawiałby się nad  
warkotem silników pojedynczego samolotu w nocy?

Westland lysander był punktualny co do minuty. Nie znał  
pilota, ale ci wszyscy Anglicy byli dobrymi lotnikami, szkolo-  
no ich specjalnie do tych lotów. Samolot lądował, z trudem  
udawało mu się powstrzymać mężczyznę u swego boku, by  
nie ruszył przedwcześnie.

Tym razem lysander nikogo nie przywiózł; pilot miał za  
zadanie kogoś zabrać. Dwóch, trzech ludzi opuszczających  
samolot potrzebuje więcej czasu niż jedna wsiadająca osoba.  
Samolot będzie więc na ziemi krótko, może minutę, ale ta  
minuta może się zamienić w sześćdziesiąt nieskończenie dłu-  
gich sekund...

Gdybyż Niemcy – nad tym też się zastanawiał dopiero po  
fakcie – nie byli tak zdyscyplinowani! Gdyby choć jeden z  
nich nie wytrzymał napięcia i wystrzelił wcześniej... Ale im  
pewnie zależało na jednym i na drugim: na samolocie i na  
ludziach go oczekujących...

Kiedy oba koła dotknęły po raz pierwszy nierównego pod-  
łoża z trawy i mchu i lekka maszyna podskoczyła ponownie w  
górę, mężczyzna obok niego ruszył biegiem.



Biegł ciężko i powoli; może dlatego że długo leżał na ziemi, a może z powodu grubej odzieży na sobie – w otwartym lysandrze podczas długiego lotu jest zimno... Samolot ustawił się do startu i mężczyzna już do niego docierał, gdy padły strzały z broni maszynowej. Wydawało się, że zwolnił, stanął, a potem upadł, twarzą ku ziemi, szukając w niej oparcia ramionami.

Marco zarejestrował to zaledwie kątem oka; wzrok miał skierowany na samolot, przez te sekundy, które mu pozostały, aby zdążyć uciec samemu...

Pierwsza wiązka pocisków uderzyła w metalową obudowę maszyny pod drugim, pustym fotelem. Pilot wystartował mimo to. Druga salwa trafiła w stery. Samolot zachybotał się, ale, jakby cudem, wzbił się w powietrze. Już myślał, że pilot ujdzie z życiem, gdy seria pocisków świetlnych – sznurek białych, pękających koralików – uderzyła w ciężkie zapasowe zbiorniki z boku maszyny. Ujrzał jeszcze eksplozję, spadającego w płomieniach ogromnego motyla... po czym ruszył biegiem, bowiem ta chwila była jego jedyną szansą...

Zabitych musiał zostawić. Musiał mieć nadzieję, że obaj, pilot i agent, nie żyją. Prawdopodobnie Niemcy wciąż jeszcze wywracali ich kieszenie. Nic nie znajdują; w każdym razie nie u agenta, którego doprowadził na *pick up*. Nawet metki wszyte w ubranie powiedzą im jedynie, że nosił włoską konfekcję. O to nie musiał się martwić. Martwy Anglik nie różni się wyglądem od martwego Włocha.

Nawet on nie znał jego nazwiska; „Alan”, cóż to znaczy. Tak samo jak dla tego i innych był „Shelleyem”. «Shelley» to był człowiek, który dla „Alanów”, „Johnów” i „Enniów” wyszukiwał ukryte lądowiska, przekazywał pory *pick upów*, który przemycał ludzi w rejon Rzymu. Nic mniej i nic więcej. Ich drogi krzyżowały się na jedną noc. I znów się rozdzielały... W jaki sposób, o tym decydowali inni.

W kominku rozpadła się piniowa szczapa. Posypały się iskry. Pies podniósł łeb, ale Marco nie zareagował. Nie mógł teraz dotknąć zwierzęcia, pogłaskać go. Wręcz przeciwnie, czuł pokusę, by go przegnać, kopnąć, sprawić mu ból.

Zapałił kolejnego papierosa, nie starając się ukryć drżenia rąk. Pomyślał o zabitych na polanie, a potem: ja żyję! Zostawił motor w rozpadającej się szopie pięćset metrów od lądowiska. Lasek piniowy i zagajnik zdziczałych oliwek dawały mu osłone, mimo to wciąż jeszcze był zdumiony, jak łatwo udało mu się umknąć. Prawdopodobnie zawdzięczał życie wyłącznie temu, że Niemcy, zafascynowani, obserwowali spadanie płonącego samolotu... Ale to go nie uspokajało. Wyjaśnienie niepowodzenia *pick upu* także nie dawało odpowiedzi na pytanie: jak Niemcom udało się złamać szyfr? I co będzie dalej?

Odwrócił głowę i spojrzał na siedzącą obok kobietę. Nie był świadom wrogości, jaka malowała się na jego twarzy, chyba zdawał sobie jednak sprawę ze swoich uczuć wobec niej: to wszystko stało się przez nią! Zarzut był absurdalny. Mimo to w tej chwili jedynie na nim mógł się oprzeć. Kobiety! Przynoszą tylko nieszczęście! Jak von Boldt mógł w ogóle zwrócić się z tym do Marii? Przypuszczalnie była to jedyna droga i przypuszczalnie w ten sposób udało się zapobiec jeszcze większemu nieszczęściu – ale po prostu nie potrafił uwolnić się od myśli, że to ona jest winna!

Wstał. Jedzenie przyniesione przez Carmela stało na tacy. On wiedział, że Marco w takie wieczory za każdym razem wraca wściekle głodny. Teraz wszystko stało nietknięte. Marco miał wrażenie, że już nigdy w życiu nie przełknie ani kęsa. Ale dlaczego? Dlaczego ten wieczór był inny niż pozostałe? Z powodu zabitych? Przecież musiał się z tym liczyć. Dość długo mu się szczęściło. Czy naprawdę sądził, że będzie mu się dalej tak wiodło? Jak w grze, niebezpiecznej, ale tak naprawdę

nie na śmierć i życie? Gra – czy to była jego iluzja?

Oparł się o obramowanie kominka.

– Proszę jeszcze raz powtórzyć, co powiedział von Boldt.

– Nic więcej nie mówił.

– Chcę to usłyszeć jeszcze raz! – To nie była prośba. To był rozkaz, i oskarżenie. Do tej pory jego zasadą było nie zastanawiać się, co robi. Im mniej się filozofowało, tym lepiej. Ale teraz musiał się namyślić. Co będzie po tym wieczorze? Chciał o tym porozmawiać z nią; to właśnie miał jej do zarzucenia.

– Von Boldt powiedział: „Szyfr Shelley nie jest już pewny.” I: „Musi koniecznie przesunąć swój następny *pick up*.”

– Mówił o „Shelleyu”?

– Powtórzyłam panu wszystko, słowo w słowo.

– Gdzie się odbywała ta rozmowa? W biurze?

– W parku Villa Wolkonsky.

– Bardzo ryzykowne...

– Ale jak mógłby inaczej... – Zamilkła pod jego spojrzeniem. Marco Varelli zawsze był milczący i zamknięty w sobie, ale ta wrogość to coś innego. Ranił ją w ten sposób i to właśnie go do niej zbliżało. Do tej pory stał zawsze między nimi niewidzialny mur. Teraz go nie było.

– A wszystko z tym związane nie jest ryzykowne? – Ona także odczuwała potrzebę mówienia.

– Jest ryzyko i ryzyko, różnice są duże.

– Czy naprawdę uważa mnie pan za tak naiwną?

– Dlaczego?

– Angielskie gazety.

– Co mają do tego angielskie gazety?

– Za każdym razem, kiedy pan do mnie dzwonił i umawialiśmy się na spotkanie, pan von Boldt przynosił angielskie gazety. Może to przypadek. Ale zdarzał się za każdym razem. Dziś też mógł być przypadek, zwłaszcza jeśli się chce w to

wierzyć. Ale koniec z tym. Cokolwiek panu przekazywałam – także oznaczało ryzyko.

- Na to wygląda. – Wrzucił niedopałek do ognia.
- Dlaczego pan je podjął?
- Po prostu nadarzała się okazja.
- Namówił mnie pan, abym przyjęła posadę w ambasadzie niemieckiej. Czy nie zechciałby mi pan wyjaśnić...

Pokręcił głową. Jak mógłby jej dawać jakiegokolwiek wyjaśnienia, skoro sam ich w tej chwili szukał.

- Jak mnie tu pani w ogóle znalazła?
- Larsson powiedział, że pan tu jest. Żeby zabrać jakieś popiersie.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech; gorzki, ironiczny.

- Kiedy pani przyjechała?
- O zmroku. Minęłam się z panem tylko o pół godziny. Gdybym nie pojechała w złym kierunku... – Zamilkła, bo wy czuła, że jej nie słucha.

Stał ze spuszczoną głową. Nie będzie już mógł korzystać z Tre Torre. Stracił Via dei Soldati, a teraz Tre Torre. W obu wypadkach przypisywał winę jej.

- Już późno. Niech pani spróbuje się przespać, zanim pani ruszy w powrotną drogę.

- Mogę wyjechać natychmiast, jeśli panu na tym zależy.
- Nic takiego nie mówiłem...
- Tak to zabrzmiało... – Ona także się podniosła. Przeszła przez pokój do drzwi na taras. Otworzyła je i wyszła na dwór. Nie mogła dłużej znieść jego wrogości. Z drugiej strony, nie chciała także być sama, lękała się białego pokoju, który dzieliła jej Lucetta.

Księżyc, choć bladawy, był jeszcze wysoko, choć coś na kształt szarego świtu wisiało już w powietrzu. Czy to możliwe, żeby wkrótce miał nastać poranek? Nie czuła upływu czasu. Nie była także zmęczona. Przed jej oczami rozpościerał się

otulony w nocne cienie krajobraz zjawiskowej wprost urody.

Podeszła do skraj tarasu. Poniżej znajdował się różany ogród. W świetle księżyca wszystkie kwiaty zdawały się mieć ten sam kolor zgaszone; bieli. Wdychała słodką woń i nagle wróciło wspomnienie:

Ogród w Portovenere... Kiedy opuszczali willę po śmierci ojca, kwiaty w ogrodzie były w pełni rozkwitu. Zapytała wtedy:

– Co się stanie z tymi wszystkimi różami?

Matka zaś tylko potrząsnęła głową. Jak można w takiej chwili myśleć o różach! W rok później – mieszkali już wtedy w wynajętym mieszkaniu w La Speziii, bez ogrodu – pojechała do Portovenere, do domu. Nie poznała go, nie było też ogrodu. Na miejscu grządek z różami urządzono kort tenisowy, czerwony pył...

Wszedł za nią na taras. Tak chciałaby móc z nim porozmawiać o swoich myślach. Ale nic w jego zachowaniu nie zachęcało do tego. Co mu takiego zrobiła?

– Wolalabym zobaczyć Tre Torre po raz pierwszy przy innej okazji. – Nie oczekiwała odpowiedzi. Ruchem ręki wskazała ogród. – Od kiedy to wszystko istnieje?

– Larsson wszystko pani opowie, kiedy tu oboje przyjdziecie.

Kiedy to będzie? – pomyślała. Czy to się kiedykolwiek stanie? Teraz, skoro pojawiła się tu sama, wszystko się zmieni, i dla niej, i dla Larssona.

– Te róże – kiedy pomyślę o drodze tutaj, tylko piasek i kamienie, a tu kwitnący ogród...

– Istnieją dwie wersje powstania różanego ogrodu – jedna Larssona i druga autorstwa Carmela.

– I jak one brzmią?

– Larsson targał ziemię na górę koszami, jeden za drugim, na własnych plecach. Carmelo mówi to samo o sobie.

– To było wtedy, kiedy Larsson kupił to miejsce?  
– Tak.  
– A co tu było przedtem?  
– Ruina, której nikt nie chciał. Nie wiem, jak Larsson się o niej dowiedział. On ma szósty zmysł, jeśli chodzi o takie miejsca. Kiedy zaczęli kopać, natknęli się na fundamenty warowni z czasów rzymskich, o wiele obszerniejszej niż obecny budynek. Znaleziono mozaiki i ceramika znacznie przewyższająca wartość cenę zakupu.

– A dokładnie, kiedy to było?

Nie patrzył na nią. Na jego twarzy malowała się w dalszym ciągu odpychająca surowość. Ale przynajmniej odpowiadał na pytania.

– Przed trzydziestu laty, albo jeszcze wcześniej.  
– To znaczy, że Larsson miał wtedy około trzydziestki?  
– W tym czasie był już człowiekiem dobrze sytuowanym.  
– Czy przyjeżdża tu zawsze tylko na lato?  
– W zimie jest tu bardzo pusto.  
– I zawsze tu bywał sam?

Zaskoczone spojrzenie.

– Mówił o tym?

– Nie.

– Więc skąd to pytanie?

– Za sprawą Tre Torre – tak tu pięknie, ale nie wiem, czy mogłabym tu długo mieszkać sama, zupełnie sama.

– Larsson nie zawsze bywał tu samotny.

Maria nagle zadrżała, i nie spowodował tego wyłącznie chłód nocy, ale jeszcze coś, co emanowało z tego miejsca... Wróciła do domu, podeszła do kominka.

– Nie chce pani usłyszeć tej historii?

Pomyślała o ostatnim wieczorze u Larssona i o jego dziwnej uwadze: „Największym błędem było, że uratowałem

kiedyś życie kobiecie, która chciała umrzeć.” Nie, Maria nie chciała usłyszeć tej historii. Miała dość smutnych opowiadań. Ale tym razem to on, nieproszony, kontynuował:

– Na imię miała Jill. Irlandka, Jill O'Neill. Mogła wtedy mieć dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat. Nadzwyczajnej piękności, tak w każdym razie twierdziła moja matka, która ją widziała tylko raz, i to tuż przed śmiercią...

Z dworu dobiegi jakiś dźwięk. Brzmiał jak uderzenie skrzydeł, a słyszała go już przedtem na tarasie.

– Co to jest?

– Larsson poznał ją chyba w Ostii. Wiem o tej sprawie tylko dlatego, że moja matka odegrała w niej pewną rolę, ale nie jestem pewny, czy wszystko mi opowiedziała. – To? To sowy. Gnieźdzą się tu w wieży. I o tej porze polują... Larsson trzymał wtedy w Ostii łódź. Przyjechała popływać. Znał ją chyba z widzenia, bo, jak mówiłem, każdemu by wpadła w oko taka piękna, wysoka blondynka. A potem pewnego dnia próbowała sobie odebrać życie. Połknęła tabletki na sen i wypłynęła w morze...

Dlaczego mu nagle tak zależało, żeby jej to opowiedzieć? Można by pomyśleć, że to jego własna historia, a nie Larssona.

– Wyratowano ją, Larsson osobiście wypompowywał jej truciznę z żołądka. W tym czasie prowadził prywatną klinikę, którą potem zlikwidował. Uratował jej życie.

I w ten sposób zaczęło się nieszczęście... Okazało się, że Jill O'Neill była rok przedtem zakonnice u irlandzkich szarytek, które miały w Rzymie swój klasztor. Opuściła zakon z powodu jakiejś miłosnej historii. Mężczyzna porzucił ją krótko potem. Została pielęgniarką. Była czymś w rodzaju czarnej owcy zakonu. Robiono jej trudności, gdzie się dało.

Skończyła się jej wiza, policja ją wydalila – stąd ta próba samobójstwa.

Dziwne, pomyślała Maria, dzieje nieszczęśliwych kobiet są zawsze takie same, podobnie jak historie kobiet szczęśliwych. A może tak się tylko wydawało, ponieważ ani jednych, ani drugich nie potrafiono dobrze opowiadać?

– No więc Larsson ją wyratował – ciągnął Marco Varelli.  
– Załatwił wizę. Przywiózł ją do Tre Torre, żeby przyszła do siebie.

– Była tu?

– Tak. Carmelo odebrał ją z prywatnej kliniki i przywiózł tutaj. Urządzono dla niej pokój. Larsson przyjeżdżał na soboty i niedziele. Musiało się jej to wydać cudem. Wszystko, co Larsson dla niej zrobił, brała za miłość.

– A czy tak nie było?

– Z jej strony na pewno, albo przynajmniej tak sobie to wyobrażała, co na jedno wychodzi.

Maria próbowała czytać w twarzy Marca. Czy rzeczywiście nie wierzył w istnienie uczuć? A może tylko się ich bał? Bał się zaangażować, bał się kochać?

– I co było dalej?

– Znam tylko zakończenie. Po dwóch miesiącach spędzonych tutaj Larsson załatwił jej w Rzymie pracę, opiekunki w domu jednego z pacjentów. Ale Jill nie tak to sobie wyobrażała. Pewnego dnia pojawiła się w Villa Kristina z bagażem i powiedziała Larssonowi, że z nim zamieszka. Namówił ją, żeby wróciła do pracy, ale po jakimś czasie znów pojawiła się u niego... Tak to się ciągnęło, aż pewnego razu zaproponował jej, żeby może na trochę wróciła do Irlandii. Zrozumiała to jako ostateczne rozstanie i odebrała sobie życie... W ten sam sposób... W tym samym miejscu... Znaleźli ją rybacy powracający o świcie z nocnych połowów, wyrzuconą przez fale na brzeg... Jeszcze żyła. Zabrali ją do szpitala. Znaleziono także jej ubranie i torebkę z listem zaadresowanym do Larssona. On sam nie zdobył się na to, aby do niej pójść. Poprosił moją



matkę, żeby to za niego zrobiła, żeby przy niej została. Gdyby odzyskała przytomność, matka miała jej przekazać, że Larsson się z nią ożeni. Ale Jill O'Neill nie odzyskała świadomości i nigdy się o tym nie dowiedziała. Zmarła dwanaście godzin później...

Zamilkł. Maria też nic nie powiedziała. Poznała więc tę historię, ale miała wrażenie, że wie niewiele więcej niż przedtem. To tak jak z tym mężczyzną, którego szkielet wykopał Larsson, i którego monetę dostała ona. Wiedziała coś i nie wiedziała nic. Historia pewnej miłości – co z tego można przekazać słowami? To stało się tutaj. Larsson i ta kobieta siadywali razem w tym pokoju. Może sypialnię, którą jej wskazano, urządzono właśnie dla Jill O'Neill... W relacji Marco wszystko brzmiało beznadziejnie, przytłaczająco. Ale czy naprawdę tak było? Tylko nieporozumienie? Tylko smutek? A może były także szczęśliwe dni?

- Może i ta historia posiada dwie wersje.
- Być może.
- Pochowano ją w Rzymie?
- Na rzymskim cmentarzu.
- I nigdy więcej nie było w życiu Larssona innej kobiety?
- Żadnej, z którą by się ożenił, jeśli o to pani chodzi.
- Może ją jednak kochał – i tylko zbyt późno to zrozumiał.

Marco Varelli stał przed kominkiem i szufelką przesuwiał popiół w głąb paleniska.

- Czy Carmelo dał pani pokój?
- Lucetta mi go wskazała.
- Trafi pani sama?
- Naturalnie... Zobaczymy się jeszcze? Czy też obudzę się, a pana już nie będzie?

Odłożył szufelkę i odwrócił się do niej. Włosy opadły mu na czoło i odgarnął je do tyłu obiema rękami. Ten gest nagle

go odmłodził. Jego ruchy miały w sobie coś łatwego do zapamiętania. Kiedy myślała o nim, widziała go w ruchu. Jak szedł, jak brał coś do ręki. Jego ciało pociągało ją. Nawet wtedy, gdy ranił ją słowami, czuła do niego fizyczny pociąg. Spontaniczne pragnienie, aby go objąć, gdy wrócił nocą do domu, pojawiło się znowu. Odepchnął ją wtedy – i teraz prawdopodobnie też by to uczynił. Mimo to pragnienie pozostało. Kocham go, pomyślała, czy tylko jestem ciekawa, jaki jest, kiedy kocha kobietę...

- Nie będzie pana?
- A gdyby tak było – sprawiłoby to pani jakąś różnicę?
- Myślę, że tak...

Później, w ciemnościach obcego pokoju, pośród obcych szmerów, myślami wróciła do tej chwili i napełniło ją coś podobnego do szczęścia.

Czy był po temu jakiś powód? Odbyła długą podróż i przyjechała za późno. Spotkała mężczyznę, który się przed nią ukrywał. Za parę godzin się obudzi i jego już tu nie będzie. A mimo to była szczęśliwa?

Co to za odgłos? Nie był podobny do innych w tym domu. Nie pochodził z zewnątrz. Był bardzo bliski. Był w niej – to biło jej serce. Położyła rękę na piersi i wstrzymując oddech słuchała tego bicia. Nie cofnęła ręki i z uczuciem, że odkryła ponownie coś zapomnianego, zasnęła.

## 17.

Droga stawała się coraz bardziej stroma i kamienista, ale nie zwolniła. Maria, na tylnym siodełku, obejmowała obiema rękami jego klatkę piersiową i przyciskała głowę do jego ramienia, chroniąc się przed pędem powietrza i kurzem. Czasami,

na zakręcie, na szczycie góry ukazywała się wioska; jasne kwadratowe domy z kamienia i kościół jak twierdza, płynąca po niebie w promieniach popołudniowego słońca. Potem znowu profil Marca, kiedy na krótko odwracał głowę, jego potargane przez wiatr włosy, swobodny uśmiech.

– Będziemy mogli wjechać na samą górę? – Musiała krzyknąć, żeby ją usłyszał.

– Nie całkiem... Resztę drogi trzeba będzie iść. – Jedną ręką kierował, drugą podtrzymywał walizkę przymocowaną z przodu na baku. Maria miała plecak z żywnością dla proboszcza z Saracinesco.

– Czy moje buty to wytrzymają?

– Tańczyć może pani boso.

– Naprawdę będziemy tańczyć?

– Pewnie... Tylko skrzypki... Tańczyła pani kiedyś przy skrzypkach? Nikt nie gra na nich lepiej od Don Vincenza.

– Myślałam, że to uroczystość na jego cześć!

– Tak też jest... Proboszcz w Saracinesco musi się znać na wszystkim... Stawia mury własnej dzwonnicy... Tłoczy swoje własne wino. Nie miałby go, gdyby tego nie umiał... I gra na skrzypkach na swoim własnym święcie...

Przez chwilę jechali w milczeniu. Biały pies biegł obok bez zmęczenia. Wioska zbliżała się z każdym zakrętem. Daleko w tyle zostawili już miejsce, gdzie Maria poprzedniego wieczora pomyliła drogi i zawróciła. Po lewej i prawej stronie wąskiej ścieżki wznosiły się zbocza z jasnego kamienia, porośnięte z rzadka suchymi krzakami janowca i niską wyszarzałą trawą.

Droga stała się trochę szersza. Wyłonił się mur, za nim mały cmentarzyk. Nagrobki z tufu, kilka karłowatych oliwek i wybujałe pędy winorośli. Z pół tuzina ostów, prymitywnie osiodłanych, pasło się pod murem. Nie były upalikowane, ale każdy z nich miał na szyi przywiązany dzwoneczek.

Marco zatrzymał się, postawił motor. Odpiął skórzane paski, którymi przymocowana była do baku fibrowa walizka i wziął Marię za rękę.

- Dalej trzeba już piechotą.
- Czy droga kończy się w Saracinesco?
- Tak, w Saracinesco jest koniec.

Przyglądała mu się. Ten mężczyzna ze splątanymi włosami i roześmianą twarzą był innym Markiem niż ten, którego знаła dotychczas.

Kiedy się obudziła późnym przedpołudniem, nie było go już w Tre Torre. Carmelo powiedział jej, że wyjechał samochodem bardzo wcześnie rano. Ale miał wrócić w porze obiadowej i gdyby została, mogłaby z nim pojechać do Saracinesco, na fiestę ku czci Don Vincenza.

W południe jeszcze go nie było. Miała czas, by zdążyć punktualnie na umówione spotkanie z Larssonem w Rzymie. Ale mijała godzina za godziną i powoli stawała się niespokojna. Carmelo próbował ją rozerwać, pokazując jej Tre Torre: ogród, kawałek winnicy, którą założył dopiero dwa lata temu; to ciężka praca – jak jej wyjaśnił – bo winorośl potrzebuje głębokich bruzd, a podłoże tutaj składa się wyłącznie z kamieni.

– Można powiedzieć, że nasze wino rośnie w rzymskiej łązni.

Właśnie gdy zdecydowała się ruszyć w drogę powrotną, na podjeździe pojawiła się półciężarówka Marca. Nie chciała zawieść Larssona, ale powiedział ze śmiechem:

- Wie, że zostaje pani w Tre Torre.
- Byłam z nim umówiona.
- Prosiłem, żeby zrezygnował z tego jednego dnia. Przecież ma panią cały czas, prawda? Pani też chyba chciałaby tu zostać dzień dłużej...

- Owszem.
- No to proszę się przygotować. Musimy się pospieszyć... Carmelo, czy Lucetta zapakowała rzeczy dla Don Vincenza?

W Saracinesco nie było ulic, tylko schody; każdy stopień wykuty w skale. W niektórych miejscach, między domami, były tak wąskie, że Marco i Maria musieli iść gęsiego. Schody były zwietrzałe, podobnie jak kamienne mury domów. Drzwi i okna pozamykano; nie było widać żywej duszy. Saracinesco robiło wrażenie opuszczonego.

Marco szedł pierwszy; zabrał jej plecak. W środku była żywność dla Don Vincenza.

– Żyje praktycznie z tego, co mu dadzą okoliczni ludzie z okazji chrzcina, pogrzebów i wesel; niech pani zwróci uwagę na jego wypchane kieszenie...

Między domami był cień i chłód. Potem wyszli na plac i nagle pojawiło się słońce. Domy otaczały plac półkolem, wszystkie ze starego, gładkiego kamienia, wszystkie piętrowe. Jeden z nich musiał być ratuszem, bowiem nad wejściem wisiała flaga. Strome kamienne schody prowadziły z placu na podwórzec dawnej warowni, z której pozostały już tylko zewnętrzne mury. Ciemno ubrane kobiety nakrywały tam stoły.

Kościół stał na drugim końcu placu. Drzwi były półotwarte. Z wnętrza dobiegały pojedyncze jasne dźwięki strojonych skrzypiec, powtarzające się „a”, przedzielane kadencją. Marco Varelli uśmiechnął się do Marii:

– Ostrożnie! Tu wszędzie jest bardzo ciasno.

Rzeczywiście, prawie nie można było przejść przez drzwi, tarasowały je wiadro z zaprawą murarską i łopata. Gotycka nawa kościoła, z ostrymi łukami okien i krzyżowym sklepieniem, miała wysokość równą długości. Na ciemnych drewnianych ławkach leżały święte obrazy i postrzępione modlitewniki. Na krześle przed ołtarzem siedział ze skrzypcami pod

brodą Don Vincenzo. Jego ornat wsiął na gwoździu wbitym w ścianę.

Był to siwowłosy mężczyzna około sześćdziesiątki. Kieszenie ciemnej, znoszonej sutanny były tak wypchane, że odstawały, dokładnie jak to opisywał Marco. Don Vincenzo odłożył skrzypce i smyczek na ołtarz i podszedł do nich otwierając ramiona.

– A więc nie zapomniałeś! Jednak przyszedłeś na moje święto! I to nie sam. To wielki zaszczyt dla mnie! I wielka radość! Witajcie!

Marco odstawił walizkę i plecak. Podczas gdy mężczyźni obejmowali się na powitanie i Marco przedstawiał ją Don Vincenzowi, Maria myślała o zawartości starej fibrowej walizki. Tej samej, którą Marco zabrał ze sobą z Via dei Soldati. Wczoraj wieczorem, kiedy wpadła do jego pokoju w wieży, nie od razu ją zauważyła, widziała tylko rękę na czarnym przycisku. Dopiero potem ją poznała: w fibrowej walizce mieściła się radiostacja.

Kiedy dzisiaj wychodzili z domu i przymocowywał walizkę do baku, Maria zastanawiała się, czy oznacza to koniec jego działalności, na czymkolwiek ona polegała. I czy może to było powodem zmiany jego nastroju...

– Nie gwarantuję dziś niczego, mam na myśli moją grę. Palce zeszywniały. Musiałem zburzyć empore. – Don Vincenzo spojrział na walizkę i plecak. – Od Carmela i Lucetty? Czy to nie przesada?

– Tylko to, co w plecaku, Don Vincenzo.

– Aha, tylko plecak. – Rozwiązał go, włożył rękę do środka i zaczął obmacywać poszczególne paczuszki.

Maria zastanawiała się, czy Don Vincenzo był na rauszu. Na ołtarzu stał kielich, nie przykryty, a obok dwie karafki, jedna pusta, druga napełniona cienkim białym winem. A dla czego nie miałby się napić – w końcu to było jego święto!

– Przyjechaliście na motorze?  
– Tak.  
– Droga nie jest najlepsza, co mi w zupełności odpowiada. Do Saracinesco przybywają tylko prawdziwi przyjaciele. Od początku wojny jeszcześmy tu nie widzieli Niemca. Ani jednego. – Miał bystre oczy, które mówiły więcej niż słowa. W końcu skierował wzrok na walizkę. – Mam ci ją przechować?

– Gdybyś mógł. Przez jakiś czas.

W drzwiach kościoła pojawiła się jakaś kobieta. Wszystkie w niej było duże, zaokrąglone i takie macierzyńskie. W rękach trzymała miskę pełną parującego makaronu.

– Jesteśmy gotowe, Don Vincenzo!

– Już, Paola! Jezusie, ależ to porcja!

– Nie tylko dla księdza, Don Vincenzo.

Podniósł walizkę, a jego ruch zdradził, że nie docenił jej ciężaru. Powlókł ją za ołtarz, wcisnął się w szparę między ścianą i ołtarzem ze sztucznego marmuru. Przez chwilę go nie było. Kiedy wrócił, trzymał w ramionach dwie wielkie butle białego wina.

– Nie ma lepszego miejsca na białe wino, zawsze stała temperatura! Leży tam sobie jak Pan Bóg przykazał...

Weźmiesz plecak, Marco! A pani, proszę, niech pani weźmie skrzypce.

Puścił ich przodem. Na środku nawy odwrócił się raz jeszcze do ołtarza. Chciał się przeżegnać, ale że w obu rękach trzymał ciężkie butelki, poprzestał na kiwnięciu głową.

Uczta ciągnęła się długo; w końcu wyniesiono stoły i przygotowano miejsce na tańce. Został tylko jeden stół, przy zbiorniku na wodę; stało na nim wino i szklanki.

Don Vincenzo chwycił skrzypki i zagrał do tańca. Kobiet było więcej niż mężczyzn – i to wyłącznie starszych mężczyzn

– ale to ich nie powstrzymało, tańczyły po prostu ze sobą. Wszystkie były boso, buty rzuciły na stertę. Maria poszła wkrótce za ich przykładem, na rzadko rosnącej trawie łatwiej było tańczyć boso.

Białe wino, które w szklankach wyglądało jak woda, piło się też jak wodę, ale teraz, w tańcu, Marii zakręciło się w głowie, jakby była na rauszu. Uczucie było przyjemne, czuła się lekka jak piórko. Mogłaby tak tańczyć całą wieczność.

– I co, za wiele ci naobiecowałem ze strony Don Vincenza i jego skrzypek?

– Jeszcze chwila, a ulecę w powietrze.

– To lepiej zrobmy przerwę.

Odprowadził ją na skraj platformy. Mur wokół niej był bardzo niski; człowiek miał wrażenie, że stoi na szczycie góry. Zbocze poniżej opadało stromo. Dzień był jasny, niebo bezchmurne, a widok bezkresny. Tylko nad horyzontem unosiła się lekka mgiełka – albo było to morze?

– Czy nie piękny widok?

Przedtem tylko żartowała, ale teraz powiedziała z przekonaniem:

– Czuję się, jakbym była ptakiem. – Chwyciła go za rękę.

– Muszę się ciebie trzymać, bo inaczej pofrunę.

Dopiero potem uświadomiła sobie, że zwracali się do siebie per „ty”. Ale wydawało się to naturalne. Don Vincenzo, który siedział koło niej przy jedzeniu, także ją „tykał”, podobnie jak pozostali mężczyźni. Być może jutro znów coś się zmieni, ale do tego miejsca i do tej chwili to pasowało.

– Jak mnie nie będziesz trzymał, to pofrunę.

Otoczył ją ramieniem, ten gest również wydawał się naturalny. Skrzyпки umilkły. Don Vincenzo podszedł do nich.

– Co prawda spóźniłem się o godzinę i nikt nie będzie się modlił, ale muszę zadzwonić na Anioł Pański. – Odłożył skrzypek na bok, wziął szklankę wina, wypił do dna i odszedł.



Maria patrzyła w ślad za nim.

– Dawno go znasz?

– Od niepamiętnych czasów.

– Dawał ci ślub?

– Don Vincenzo nam – o, nie! Nie miałbym nic przeciwko temu, ale moja żona... – Pokręcił głową, nastrój mu się zmienił, ale była to tylko sekunda, cień, który przemknął po jego twarzy. Zaraz potem się roześmiał. – Naturalnie braliśmy ślub u Świętego Piotra.

– Don Vincenzo zawsze był tu, w Saracinesco?

– Wygląda na takiego, prawda? Nie, przedtem był w Rzymie, w dzielnicy Prenestino. Bardzo kontrowersyjny proboszcz. Zbyt kontrowersyjny dla faszystów i dla Kościoła. Parafia w Saracinesco była formą karnego przeniesienia. Przedtem, o ile wiem, przez ponad dwadzieścia lat nie było tu proboszcza, jedynie w niedziele przyjeżdżał ktoś odprawiać msze. Sami byli zaskoczeni, kiedy dziesięć lat temu znowu dostali księdza proboszcza na stałe. Dzisiaj jest rocznica jego przyjazdu. Myślę, że zawarł tu pokój ze sobą i światem. W każdym razie w kazaniach może głosić, co chce!

– Często tu przyjeżdżasz?

– Niezbyt często. Ostatni raz byłem tu ponad rok temu.

– Mam nadzieję, że z następną wizytą nie będziesz tak długo zwlekał.

– Nie żałujesz, że zostałaś?

– Ja? A miałam jakieś inne plany?

Od strony kościoła rozległo się w ciszy pierwsze uderzenie dzwonu. Przybiegł pies i stanął przed nimi.

– Opowiedz mi o Lipari. – Miała wrażenie, że tu mogła z nim mówić o wszystkim.

– Skąd wiesz o Lipari?

– Od Brigi i Larssona.

– Lipari – to było dawno temu. Co mam ci powiedzieć?

Teraz na przykład jest tak, jakbym to wcale nie ja tam był, a ktoś zupełnie inny.

– Tak, rozumiem. Te lata w Berlinie – czasami też myślę, że to nie byłam ja, a jakaś inna kobieta... Mimo to opowiedz mi, jak tam żyłeś?

– Ten ktoś, kto tam był na moim miejscu. Mam go wyraźnie przed oczami: mężczyzna idący boso plażą, z podwiniętymi nogawkami spodni, w towarzystwie białego psa. Dzień w dzień to samo, w słońcu, w deszczu, w czasie burzy, podczas przyływu i odpływu – plażą w jedną stronę, drogą z powrotem. Wydaje się, że przez cztery długie lata ten facet nie ma nic innego do roboty.

– A co mu chodzi po głowie?

– Nie jestem pewien, czy dużo myśli. Nie wyjdzie mu to na zdrowie. Może chodzi: nie zwariujesz, to im się nie uda! Może planuje zemstę, ale tylko w pierwszym roku. Potem zadowala się tym, że żyje i nie traci rozumu.

– Są jakieś książki?

– Nieliczne, wiele z nich już kiedyś czytał.

– Pisze listy? Może jakieś dostaje?

– Na początku. Potem już nie. Przede wszystkim przestał czekać na listy. Najdłużej czekał na koperty zaadresowane niewprawnym dziecięcym charakterem, na listy od córki... W końcu także one przestały przychodzić...

– Jak często spotykasz się teraz z córką?

– Od czasu do czasu, jak ma wolną chwilę. W parku Villa Borghese był ostatni raz. Czasami wyobrażam sobie, że jest szansa na jej odzyskanie, ale prawdopodobnie to tylko iluzja. Miała dwanaście lat, kiedy musiałem wyjechać na Lipari. Gdy wróciłem, miała lat szesnaście i była kimś zupełnie innym. Podczas pierwszego spotkania po moim powrocie zachowywała się jak jej matka. Nawet wyglądała jak matka, a przede wszystkim myślała tak samo jak ona. Wtedy zrozumiałem,

że ją straciłem. Oboje staramy się czasami spotykać. Udajemy, że się lubimy, ale odczuwamy ulgę, gdy się te spotkania kończą.

– A ja byłem nawet trochę zazdrosna widząc ją z tobą.

– Naprawdę nie było powodu.

– A twoja żona?

– Żyje z jakąś czarną koszulą! Wyobraź sobie! Po dwunastu latach małżeństwa ze mną została kochanką faszysty. Zraz w pierwszym roku mojego pobytu na Lipari.

– Jest jeszcze twoją żoną?

– Naturalnie. Faszyci nie zniesli zakazu rozwodów.

– Nienawidzisz kobiet?

– Tak myślisz?

– Nie, właściwie nie. Przypuszczam, że po Lipari miałeś inne kobiety.

– Tak.

– Mówi się, że wiele.

– Mam ci wyliczyć?

– Niekoniecznie, nie... Powiedz mi... czy byłeś tu z którąś z nich?

– Nie.

– To w gruncie rzeczy wszystko, czego chciałem – coś, co łączyłoby tylko nas. – Zauważyła zadumę na jego twarzy. – Gdybym ci teraz powiedziała, że cię kocham – to by cię zaniepokoiło, prawda?

Spojrzał na nią, na poły czujnie, na poły z rozbawieniem.

– Chcesz wina?

– Niepokoi cię, gdy ktoś jest szczęśliwy?

– Owszem, trochę.

– Ale dlaczego? – Rozejrzała się dookoła. Palcem wskazała Don Vincenza, który już wrócił i na nowo zaczął grać. – Nie chcę nic więcej. Tylko tę chwilę, ten jeden dzień. Może – dlaczego mam to kryć – tę jedną noc.

– Jesteś tego pewna? Teraz tak myślisz. Jeden dzień... jedną noc. A jutro? Jutro będziesz chciała więcej... jutro może zechcesz tego, czego nie mogę ci dać.

– A gdyby tak się nie stało? Gdybym niczego więcej nie chciała?

– To byłabyś wyjątkiem.

– Może jestem... ja...

– Nie. Nie mów tego. – Objął ją ramieniem, przycisnął do siebie i pocałował.

Pocałunek był lekki, przelotny, zaledwie muśnięcie warg. Potem poprowadził ją ku tańczącym. Z głową na jego ramieniu, zapytała:

– Kiedy zabawa się skończy?

– Jak znam Don Vincenza, na pewno nie przed świtem.

Dźwięki skrzypiec, głosy innych, długie spódnice kobiet mijających ją w tańcu, dźwięczenie szklanek, klaskanie dłoni, męski głos śpiewający piosenkę do wtóru skrzypiec Don Vincenza. Tańczyła wciąż i nie czuła zmęczenia. Rejestrowała dotyk jego ramion i dłoni i pragnęła, żeby już nigdy jej nie puścił.

Na zachodzie, nad równiną, niebo zabarwiło się lekką czerwienią, błękit na wschodzie nad górami pogłębił się. Był jeszcze dzień, ale na niebie pojawiły się już pierwsze gwiazdy. Na sznurze między dwoma słupami wisało kilka kolorowych żarówek, które właśnie rozbłysły.

– Czy nocą droga powrotna do Tre Torre nie jest niebezpieczna?

Zaśmiał się głębokim, miękkim śmiechem.

– Moglibyśmy się wymknąć. Nikt by nie zauważył...

– A twoje buty?

– Marcu Varelli! Cóż z pana za rozsądny mężczyzna!

Tańcząc doprowadził ją do sterty butów. Czerwone sandały Marii na wysokich obcasach stały tam, gdzie je zostawiła.

Wskoczyła w nie i trzymając się za ręce, pobiegli w dół po kamiennych schodach prowadzących na plac przed kościołem.

– Zmarzłaś – powiedział. – Masz zimne ręce.

– Powinieneś dotknąć moich stóp. – Ale odsunęła się od niego. – O, nie! Nie chciałam, żebyś to właśnie zachował po mnie w pamięci – zimne nogi. Przytul mnie, zaraz się rozgrzeję...

Leżeli w pokoju na pierwszym piętrze wieży. Był mały i zamiast okien miał tylko wąskie otwory. Pod ścianami stały regały z książkami – nie widziała tego wszystkiego wczoraj. Ale wczoraj było odległą przeszłością.

Pocałował ją. Nie lekko i przelotnie jak w Saracinesco. Było w tym coś gwałtownego, rozpaczliwego. I tak też ją kochał, namiętnie, ale bez czułości. Jakby dopełniał jakiegoś surowego rytuału. Miała uczucie, że nie szuka w tych uściskach jej, lecz siebie samego; człowieka, jakim był niegdyś. Maria zamknęła oczy i poddała mu się. Kochała go. Może pewnego dnia on także ją pokocha...

Kiedy się obudziła, nie wiedziała w pierwszej chwili, gdzie jest i co się stało. Potem ujrzała jego twarz.

– O co chodzi?

Pochylił się nad nią.

– Śmiałaś się.

– Przez sen?

– Tak. Spałaś mocno i nagle zaczęłaś się śmiać.

Podparła się łokciem, powoli dochodziła do siebie.

– Niczego sobie nie przypominam.

– Ale musiało ci się coś śnić, coś wesołego. Twój śmiech brzmiał... jak śmiech dziecka. Jak gdyby coś cię bardzo rozbawiło.

– Tak... jako dziecko często budziłam się nocą ze śmiechem.

Ale nigdy nie wiedziałam, dlaczego się śmiałam i co mi się śniło. Czasami ojciec podchodził do mojego łóżka. Jakoś czuł się niespokojny o to dziwne dziecko, które się śmiało przez sen. Zawsze chciał się dowiedzieć, z czego się śmiałam. A ja nigdy nie potrafiłam sobie przypomnieć, co mi się śniło. To trwało wiele lat, do śmierci ojca. Potem się już nie zdarzało... Naprawdę śmiałam się we śnie?

– Tak.

– I jak to brzmiało – radośnie?

– Tak. – Przyciągnął ją do siebie. – Nie budź się jeszcze...

Wziął ją w ramiona. Pocałował. Tym razem było inaczej niż przedtem; nie gwałtownie, nie rozpaczliwie, żadna obcość ich już nie rozdzielała. Byli mężczyzną i kobietą, dla których nie istniała ani przeszłość, ani przyszłość, tylko ta chwila miłości.

## 18.

Pogoda się zmieniła. Po bładozielonym niebie ciągnęły białe chmury, a upał już rankiem był obezwładniający. Lucetta nakryła do śniadania na dwie osoby na tarasie. Marca jeszcze nie było. Zaledwie Maria usiadła, z domu wyszła Lucetta z tacą. Stały na niej dwa dzbanuszki z kolorowymi kołpaczkami.

– Dzień dobry, *signora* Canossa. Mam nadzieję, że dobrze pani spała. *Signor* Marco zaraz nadejdzie. Herbata jest dla niego.

– Dziękuję, Lucette

– Czy *fiesta* się pani podobała?

– Tak. Saracinesco to piękne miejsce. I uroczystość mi się podobała. Don Vincenzo przygrywał na skrzypkach do tańca.

– Tak, on to potrafi. A niechby pani słyszała jego kazania! Czy mam już pani nalać?

- Nie, dziękuję, jeszcze zaczekam.
- Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę tylko zawołać.

Lucetta zeszła po schodach do ogrodu. Maria patrzyła w ślad za nią. Woń róż wydawała się jej jeszcze silniejsza niż poprzedniego dnia. Zwłaszcza jeden gatunek pachniał bardzo mocno, obrastająca pergole pnąca róża o kremowych kwiatach z łosiosowymi brzegami. Z dolnej części ogrodu słychać było uderzenia siekiery. Właśnie ucichły i po chwili na drodze wiodącej do domu ukazał się Carmelo z koszem pełnym piniowego drzewa.

– Dzień dobry, *signora*! No i jak się podobała uroczystość?

– Bardzo piękna, Carmelo. Te pnące róże, te na pergoli, co to za gatunek?

Carmelo odstawił kosz na posadzkę tarasu.

– Zna się pani trochę na różach? Gatunek na początku nazywał się *Devoniensis*, ale ponieważ klimat tutaj jest surowy, nigdy nie mógł osiągnąć pełni rozkwitu. Skrzyżowałem go więc z *Madame Herriot*.

– To stąd te łosiosowe brzegi! Przy domu moich rodziców, na południowej ścianie, mieliśmy dwa krzaki *Devoniensis*... Mogłabym wziąć ze sobą taki bukiet?

– Już chce nas pani opuścić?

– Niestety, muszę wracać do Rzymu.

Zastanawiała się, czy nie mogłaby spróbować zadzwonić do pani von Jagov i poprosić ją o zastępstwo na niedzielnym dyżurze w ambasadzie. Ale przypomniała sobie, że w Tre Torre nie ma telefonu.

Carmelo podniósł kosz.

– Być może po południu będzie burza. A kiedy tu pada, w domu od razu robi się zimno. Na wszelki wypadek przygotuję dużo drewna na opał.

Pozwoliła mu odejść, nie pytając o najbliższy telefon.

Marco zszedł po schodach z boku wieży, poprzedzany przez psa. Miał na sobie to samo ubranie co wtedy na Via dei Soldati, tylko kurtka była luźno narzucona na ramiona. Podszedł z tyłu do Marii – Carmelo zdążył już zniknąć we wnętrzu domu – objął ją za ramiona i pochylił się ku niej:

– Dobrze spaliśmy?

– Krótko. Która właściwie godzina?

– Dość późna. – Powiesił kurtkę na oparciu krzesła i usiadł, uśmiechając się do niej.

Obawiała się trochę tego pierwszego momentu. Nie była pewna, jak on się zachowa po tej nocy, ale był tak samo swobodny jak na zabawie.

– Przypuszczam, że Lucetta i Carmelo zdziwili się, że tak wcześnie wróciliśmy z uroczystości.

– Może też słyszeli, jak dziś rano skradałam się do swego pokoju. – Zaśmiała się. – Oni są jednak przemili.

Nalała mu herbaty. Zauważyła, że dolał sobie gorącego mleka, ale nie osłodził; w ogóle dopiero zaczynała go poznać.

– To mnie nie dziwi – to znaczy, że są przemili. Ty... wyglądasz dzisiaj inaczej. Ciebie nie można nie lubić...

– Dawno wstałeś?

– Od czasów Lipari nie potrafię inaczej, muszę wstawać ze słońcem...

Przez chwilę jedli i pili w milczeniu. Carmelo wyszedł z domu z pustym koszem.

– Naciąć pani róż na bukiet?

– Chętnie bym sama to zrobiła, gdyby mi pan pozwolił. Wiem, że miłośnicy róż są na tym punkcie trochę przeczuleni.

– Pani pozwolę. Przygotuję pani sekator i rękawice.

Marco odczekał, aż Carmelo odejdzie.

– Nie mówiłem, że zdobyłaś więcej niż jedno serce?

Jak Carmelo jeszcze ci zaproponuje obejrzenie cieplarni, to



będzie oznaczało, że owinęłaś go sobie wkoło palca... Mówiłaś mu, że wracasz do Rzymu?

– Zastanawiałam się, czy nie poprosić koleżanki o zastępstwo na dzisiejszym dyżurze.

Odłożył na bok serwetkę.

– Dlaczego z tego w ogóle nie zrezygnujesz...

– Masz na myśli pracę w ambasadzie?

– Tak. Zrezygnuj z niej!

– Z powodu tego, co się stało?

– Niekoniecznie tylko dlatego. Powinnaś odzyskać włoski paszport; wtedy i tak będziesz musiała zrezygnować z posady. A poza tym mogłabyś przyjechać tutaj z Larssonem. Podczas gorących letnich miesięcy jest tu przyjemniej niż w Rzymie.

Zabrzmiało to całkiem naturalnie, ale znała go już wystarczająco dobrze, by wyczuć, że próbował jej powiedzieć coś innego.

– A Larsson? Sądzisz, że chciałby się ruszyć z Rzymu? Miałam raczej wrażenie, że coś go tam trzyma. – Spojrzała na niego. – Coś związanego z tobą. Prawda?

– Tak, to prawda. Ale to się teraz zmieniło.

Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że był to przekonujący uśmiech.

– Tylko jeden dzień i jedną noc... tak? Nie wrócisz ze mną do Rzymu?

– Utniemy różę?

Carmelo wyłożył na ławkę nożyce do róż i ogrodowe rękawice. Maria cięła różę i dawała je Marcowi do trzymania. Ścięła tylko mały bukiet do jedyne go wazonu, jaki był na Via dei Soldati. Pomyślała, że dziś wieczorem znowu tam będzie. Przez cały ten kwartał nie zmieniła nic w mieszkaniu. Pomiędzy kosmetyki w łazience i ubrania w szafie, wciąż jeszcze można je było traktować jak mieszkanie mężczyzny. Częściowo było to na pewno związane ze wspomnieniami po Giannim,

po części jednak chodziło o nią samą: Via dei Soldati była czymś w rodzaju anonimowego przytuliska. Kryjówką przed przeszłością, poczekalnią przed przyszłością. Czy przyszłość właśnie się zaczęła? Tu, w Tre Torre? Czy dlatego myśl o pozostaniu tutaj była tak nęcąca?

- Muszę wyjechać. – To Marco przerwał milczenie.
- Na jak długo?
- Nie potrafię powiedzieć. Cztery tygodnie, pięć...
- Tak długo?
- To nie zależy ode mnie. Ja... muszę na jakiś czas zniknąć... Kiedy wrócę – może będzie po wszystkim!
- Sądzisz, że ta wojna... że się wkrótce skończy?
- Dla nas, dla Rzymu... tak, tak sądzę.
- Naprawdę? Jeszcze w tym roku?
- Jeszcze w tym roku.
- Dokąd pojedziesz?
- Będę skupował antyki między Cosenza i Neapolem.
- A dokąd jedziesz naprawdę?
- Przywiozę ci prezent. Jak go weźmiesz do ręki, będziesz wiedziała, gdzie byłem. Zgoda?

– Nie mogę do ciebie napisać? Nic o tobie nie będę wiedziała, przez cały czas. Przypuszczam, że już wczoraj to wiedziałeś. Kiedy wczoraj wróciłeś, było już wiadomo, że dzisiaj wyjedziesz, prawda? Dlaczego nie powiedziałeś mi od razu?

- Może nie chciałyś pojechać ze mną do Saracinesco.
- Myślisz raczej, że nie chciałabym z tobą spać.
- Tak.
- Jeszcze mnie dobrze nie znasz.
- A skąd miałbym cię dobrze znać?
- Czy my się kiedykolwiek poznamy, Marco?

Nie mógł jej odpowiedzieć, bowiem nadszedł Carmelo, by zwilżyć róże, żeby utrzymały się świeże do Rzymu. Może zresztą nie miał odpowiedzi na to pytanie.

Wrócili na taras. Maria zamyślona, miotana najsprzeczniej-  
szymi uczuciami. W Tre Torre znalazła więcej, niż się spo-  
dziewała. Nie chodziło tylko o słowa: naprawdę była szczę-  
śliwa, kochała. Myśl o powrocie na Via dei Soldati napępiała  
ją lękiem. Puste mieszkanie, cisza, samotność, wielkie łóżce, w  
którym przyjdzie jej spać samej. Przeróżne myśli, oczekiwa-  
nie... To na nic, musiała spróbować zachowywać się rozsąd-  
nie. Robić cokolwiek. Myśleć o czymkolwiek. Taki rozkaz  
wydała sama sobie.

– A co z popiersiem, z tą głową młodzieńca z Subiaco?  
Zdaje się, że przyjechałeś tu po nią?

– Miałem zamiar cię prosić, żebyś ją zabrała ze sobą do  
Rzymu.

– Dla kogo jest przeznaczona?

– Mogłabyś ją oddać mojej matce, w sklepie na Via del  
Babuino.

– Kiedy ją tam zastanę? Nie chciałabym, żeby mi skra-  
dziono popiersie z samochodu.

– Właściwie jest tam zawsze, nawet dziś, mimo niedzieli.

– Dziś! – Maria wyobrażała sobie zawsze *contesse* Varelli  
jako kobietę elegancką. Taką, która nosi drogą biżuterię, liczne  
pierścionki na rękach i która nigdy w życiu nie pracowała.  
Fakt posiadania sklepu traktowała raczej jako kaprys bogatej  
damy, która potrzebowała czegoś dla zabicia czasu.

– Tam zawsze jest masa roboty. A mój ojciec... mój ojciec  
jest problemem sam w sobie. Od wielu lat nie ma już nic do  
zrobienia, został wyrzucony poza margines – to nie takie pro-  
ste dla jego żony. To był jeden z powodów, dla których zało-  
żyła sklep, całkiem niezależnie od tego, że naprawdę musi  
zarabiać pieniądze...

Maria nalała sobie drugą filiżankę kawy.

– Mało o tobie wiem. Masz rodzeństwo?

– Było nas czworo.

– Czwooro. Dziwne. Jakoś zawsze myślałam, że wywołałeś się sam.

– Nie, nie. Miałem trzy siostry.

– Miałeś?

– Jedna, Anna, najładniejsza z nich wszystkich i najbliższa mi, nie żyje. Była zapalonym kierowcą samochodowym. Popędziła z szaloną szybkością na tamten świat. Obie pozostałe żyją, obie są zamężne, chyba szczęśliwe, z dużą liczbą dzieci. Nie utrzymuję z nimi kontaktów, a i moi rodzice rzadko je widują, czasami tylko wnuki, i to także potajemnie. Obaj mężowie nie mogą sobie pozwolić na pozostawanie z Varellimi na dobrej stopie. Jeden pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Drugi sprzedaje armii materiał na mundury... Tak dzisiaj wyglądają szczęśliwe i nierozzerwalne związki w rzymskich rodzinach.

Gorzko to zabrzmiało i Maria pożałowała, że zaczęła właśnie w ten sposób. Nie chciała dłużej odkładać pożegnania. Lepiej, jeśli odejdzie za wcześniej, niż gdyby miał stracić cierpliwość.

– Kiedy opuszczasz Tre Torre?

– Jestem już gotowy.

– To dobrze. Ja też.

Podszedł do niej, otoczył ramieniem.

– Przykro mi, Mario. Ale nie ma wyjścia. Nie mogę ci nie więcej powiedzieć, nie w tej chwili. Nie mogę wyjaśnić...

– Więc nawet nie próbuj, proszę.

– Mam zawołać Carmela, żeby przyniósł twoje rzeczy?

– Nie ma potrzeby, nic ze sobą nie przywiozłam. Tylko róże, niech przyniesie róże.

Oba samochody stały koło siebie na podjeździe, jej topolino i półciężarówka Marca. Motor odstawił chyba do garażu.

Biały pies czekał tylko, żeby Marco otworzył mu klapę z tyłu. Carmelo przyniósł popiersie owinięte w stary koc.

Schował je na podłodze fiata przed siedzeniem pasażera. Lucetta podała Marii różę. Potem wszyscy stanęli zażenowani.

– Wielkie dzięki, Lucetto – podała rękę kobiecie.

– Dziękuję, Carmelo. Czy mam coś przekazać Teresie?

Oboje porozumieli się wzrokiem, po czym Lucetta kiwnęła głową.

– Niech nam przyśle puste słoiki. Owoce dojrzewają.

– Powiem jej.

Carmelo zatknął dłoń za swój zielony fartuch.

– Pójdę otworzyć bramę. Jak pani przyjedzie następnym razem, pokażę pani cieplarnię. Chyba przyjedzie tu pani znowu?

– Tak, może nawet wkrótce.

Carmelo skinął na żonę.

– Chodź, Lucetta!

Poszli we dwójkę ku bramie. Maria i Marco zostali sami naprzeciw siebie. Milczeli. Każde liczyło, że ta druga osoba zacznie się żegnać.

– Masz dość benzyny?

Maria kiwnęła głową.

– Wszystko w porządku z samochodem?

– To cud, że jeszcze jeździ; ma już sześć lat. – Nagle musiała zwalczyć łzy. – Gianni niewiele się przejmował przeglądami. Jeszcze słyszę, jak mówi: „Od czasu do czasu trochę oleju i nigdy, słyszysz, nigdy nie dopuszczaj żadnego mechanika do samochodu!” Ściśle się tego trzymam.

– Prawdopodobnie miał rację.

– Wiesz, ostatnio często myślę o Giannim. Wciąż przypominają mi się różne rzeczy, drobiazgi, i wtedy słyszę go tak wyraźnie. Myślę, że ciągle jeszcze nie chcę zaakceptować jego śmierci. Via dei Soldati – to wciąż jeszcze jest jego mieszkanie.

Gdyby jutro wrócił, znalazłby wszystko nie zmienione.

– On już nie wróci, Mario.

– Czy mogę cię o coś spytać – jedno pytanie, tylko to jedno: czy Gianni naprawdę zginął tak, jak mi powiedziałeś i jak opisywały gazety? Mam przeczucie, że to nie była cała prawda.

– Nie, to nie była cała prawda.

– Więc jak to było?

– Kiedy o tym rozmawialiśmy, uważałem to za prawdę. Miałem wątpliwości, tylko tyle. Potem próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej: miałem okazję pomówić z jednym z pozostałych pilotów. Zastanowiło mnie, że nikogo do nich nie dopuszczano... Gianni naprawdę został zestrzelony. Okazuje się, że cała broń w jego samolocie zawiodła; nie miał żadnej szansy. Istnieje podejrzenie, że w Tunisie „spreparowano” jego samolot, tak żeby nie mógł przeżyć ewentualnego ataku. Chcieli go usunąć z drogi... Chwilami miałem ochotę ci to powiedzieć, ale potem zawsze rezygnowałem. Nic nie przywróci Gianniemu życia, prawda również nie. Zapomnij o tym! Gianni nie żyje – cóż za różnica, jak zginął.

– A jednak jest różnica! Sam sobie przeczysz, mówiąc coś takiego. Właśnie dlatego, że widzisz tę różnicę, próbowałeś dowiedzieć się prawdy. Był moim bratem... Kto majstrował przy jego samolocie i dlaczego?

– Miało być jedno pytanie – przypomniał. – Na to jedno odpowiedziałem, pozostałe muszą poczekać. Jedź teraz do Rzymu. Złóż wypowiedzenie i przyjedź tutaj z Larssonem. Przeczekaj, aż wszystko minie. – Przytrzymał jej drzwi auta. – Proszę cię, Mario, proszę!

Położyła różę na wolnym siedzeniu i wsiadła. Zamknęła drzwi. Włączyła silnik i powoli opuściła szybę.

– Uważaj na siebie, Marco.

Kiwnął głową. Stał z ręką na dachu samochodu i spoglądał

na nią z góry. Teraz, kiedy już wsiadła i silnik pracował, wydawało się, że to on chce odwlec pożegnanie. Maria spojrzała w górę na niego i wtedy wpadła na pomysł. Wyciągnęła z otwartego schowka drugi klucz do mieszkania na Via dei Soldati.

– Weź. Kiedyś już go miałeś... Nie mam żadnego innego pożegnalnego prezentu.

Otworzył dłoń, a ona upuściła na nią klucz. Kocham cię, pomyślała, nie wypowiedziała jednak tych słów. Wrzuciła bieg.

– Będę na ciebie czekała. Nic innego nie będę robić, tylko czekać na ciebie.

Ruszyła szybko. We wstecznym lusterku widziała jego sylwetkę. Machał jej na pożegnanie. Przez chwilę wydawało się, że ma ochotę za nią pobiec. Biały pies wyskoczył z półciężarówki i krążył wokół niego.

Brama była szeroko otwarta. Carmelo i Lucetta trzymali żelazne skrzydła.

Maria pomachała ręką, mijając ich. Morska zieleń nieba stała się jeszcze bardziej jaskrawa, a gdzieś w dali zalśniła błyskawica. Cyprysy pięły się ku niebu jak czarne kolumny.

Kilka razy widziała we wstecznym lusterku półciężarówkę jadącą z tyłu. Utrzymywała swoją szybkość. Za mostem na Aniene, gdy musiała skręcić w lewo, widziała samochód po raz ostatni: pojechał w drugą stronę, drogą prowadzącą do Avezzano.

Błyskawica przecięła niebo, po niej rozległ się grzmot. W ciągu kilku minut zrobiło się ciemno, a potem zaczął padać deszcz.

Włączyła wycieraczki i pozamykała okna. Krople deszczu bębniły o dach. Róże, choć zawinięte w wiele warstw wilgotnego papieru gazetowego, zaczęły rozsnuwać swoją silną woń...

## 19.

Już na schodach słyszała dzwonek telefonu w mieszkaniu. Zanim zdążyła otworzyć drzwi i odłożyć róże w przedpokoju, dzwonienie umilkło. Powietrze wewnątrz było nagrzane i zaćmiałe. Otworzyła okna.

Ulewa rozszalała się, gdy Maria dojeżdżała do granic Rzymu. Okoliczne dachy lśniły jeszcze od wilgoci, ale deszcz nie przyniósł ochłodzenia. Słońce paliło, a powietrze było parne jak w tropikach.

Wstawiła róże do wazonu. Poszła do sypialni i rozebrała się, szczęśliwa, że może zmienić używane od piątku ubranie. Powinnam sobie sprawić neseser, pomyślała, z najpotrzebniejszymi rzeczami, żeby zawsze był pod ręką. Wtedy nie będę musiała tracić ani minuty, gdy Marco nagle zadzwoni. W głębi serca miała nadzieję, że to on próbował się z nią skontaktować.

Z drugiej strony może i lepiej, że nie słyszała jego głosu. Poniekąd cieszyła się, że wróciła do Rzymu sama, że stała teraz samotnie przed lustrem w łazience, w spokoju analizując swoją nagość. Potrzebowała czasu do namysłu. Wszystko stało się tak nagle. Być samą, zastanawiać się – to także było częścią tej historii. Nie chciała przeskoczyć żadnego etapu, niczego opuścić.

Czas, pomyślała, trzeba nam tylko czasu! Wtedy wszystko się ułoży. Jeśli tylko będziemy mieli dość czasu! Zmarnowane lata jej życia, lata wygnania, które Marco spędził na Lipari. To wszystko drogocenny czas, który nigdy nie wróci. Ile zostało go dla nich?

Telefon rozdzwonił się znowu. Wyszła z kąpieli, owinęła się ręcznikiem i poszła do salonu. Bose stopy zostawiały mokre ślady na jasnym dywanie, przypomniała sobie, jak zimne



były po jeździe motorem z Saracinesco z powrotem do Tre Torre.

– To chyba cud! Gdzie się podziewasz? Od wczoraj usiłujemy cię złapać. – To była Briga. – Wyjeżdżałaś? A może masz faceta w mieszkaniu? To zamknij dobrze drzwi. Twój mąż jest w Rzymie!

– Słucham?

W pierwszych tygodniach pobytu w Rzymie nie zdziwiłaby się, gdyby pewnego dnia nagle się pojawił. W Berlinie też zjawiał się zawsze, gdy najmniej tego oczekiwała. Bała się tej chwili, tej sceny, tego wszystkiego. Teraz to minęło. Nie była już jego żoną, nie miał już do niej żadnych praw.

– Dlatego Winter próbuje się z tobą skontaktować.

– Mogę z nim rozmawiać?

– Nie, musiał pojechać do ambasady. Coś się tam szykuje. Wielkie nerwy. Przez sobotę i niedzielę byliśmy w Ostii. Wyciągnęli go z łóżka w środku nocy. Nigdy nie widziałam Fritza tak... wytraconego z równowagi.

– Co ty mówiłaś o moim byłym mężu?

– Winter sądził, że powinnam do ciebie zadzwonić i ostrzec. Twój mąż...

– Mój były mąż.

– Dobra. Pojawił się wczoraj w ambasadzie, chciał wiedzieć, jak cię można złapać. Dali mu twój adres.

– I tak go zna... Słuchaj, właśnie wyskoczyłam z kąpieli i nie mam nic na sobie...

– Tajniacy w kraju...

– ...więc muszę kończyć. Muszę jeszcze coś załatwić, a potem mam dyżur w ambasadzie. W każdym razie, dzięki.

– Schodź mu z drogi.

– Już się go nie boję.

– Tym lepiej. Zobaczymy się jutro?

– U dawnego Fielda w przerwie obiadowej?

– Zgoda. Aha, Mario! Rozejrzyj się trochę dookoła. Coś się chyba dzieje... Może pogonimy Niemców i sprzymierzmy się z aliantami... Jak myślisz?

– Spieszę się.

– No, dobra. Diabli nadali, że zakochałam się w tym przeklętym Niemcu. A niech to! Że też musiało mi się to przytrafić... To do jutra!

Maria wróciła do łazienki. Umalowała się i ubrała. Wybrała czarną spódnicę z zieloną bluzką i przygotowała do zabrania czarny sweter, na wypadek gdyby znowu zaczęło padać albo gdyby musiała dłużej zostać w ambasadzie.

To dziwne – obecność byłego męża w Rzymie i fakt, że w każdej chwili mógł się pojawić pod drzwiami, wcale nie budziła w niej niepokoju. Dużo bardziej interesowało ją to, co Briga powiedziała o Winterze i Niemcach. Przypomniała sobie uwagę Marca: „Może kiedy wrócę, będzie już po wszystkim.”

Zamknęła okna i wzięła kluczyki. Róże stały na stole w salonie, tu także zaczynał rozchodzić się ich mocny zapach...

Było prawie wpół do trzeciej, gdy skręciła w Via del Babuino; ulica bez spacerowiczów wyglądała jak wymarła. Niedziela, wakacje, na niebie zbierały się następne burzowe chmury. Miała wrażenie, że jest jedynym człowiekiem w mieście.

Maria zaparkowała fiata przed Chiesa d'Inglese. Dokładnie naprzeciwko znajdował się sklep *contessa* Varelli. W dwóch oknach i na drzwiach opuszczono wyblakłe rolety. Nigdzie nie mogła odkryć szyldu ani nazwy. Dopiero kiedy stanęła przed sklepem, zobaczyła złoty napis na szybie drzwi: CONTESSA M. VARELLI, RZADKIE KSIĄŻKI – po włosku i angielsku. Być może nadawała temu drobiazgowi zbyt wielkie znaczenie, ale wywnioskowała stąd, że matka i syn byli do siebie bardzo podobni.

Zapukała w szybę w drzwiach, bowiem nie widziała nigdzie dzwonka. Długo nic się nie działo. Nie słyszała żadnego szelestu wewnątrz, żadnych kroków, potem nagle roleta strześliła w górę i pojawiła się kobieca sylwetka. Miała na sobie szary kitel, na rękach szare, płócienne rękawice, a na głowie chustkę.

Drzwi otworzyły się. Oczy kobiety nie były brązowe, jak Marca, lecz ciemnoszare.

– Przepraszam... *contessa* Varelli – czy mogłabym...

– To ja... nawet jeśli nie wyglądam tak, jak powinnam. – Zdjęła rękawice, zsunęła z głowy chustkę. Jej twarz stała się nagle zaskakująco szczupłą, włosy były ciemne, prawie czarne, z przedziałkiem pośrodku, gładko zaczesane do tyłu. Na prawej ręce miała pierścionek z ametystem.

– Pani syn prosił, żebym tu coś przywiozła. – Maria uważała, że czuje się skrępowana, starając się spodobać matce Marca. – Nazywam się Maria Canossa.

– Canossa?... I pani przywiozła coś dla mnie?

– Popiersie, głowę młodzieńca.

– Tę od doktora Larssona? Rozstaje się z nią? – Spojrzała ponad Marią ku topolino. – Niech pani poczeka, pomogę pani.

Wyszła z nią na ulicę. Przytrzymała drzwi, podczas gdy Maria wyciągała z samochodu popiersie.

– Ostrożnie! Niech pani uważa na tę piękną jedwabną bluzkę!

Sklep był większy, niż można było tego oczekiwać po dwóch małych wystawach. Przy ścianach ustawiono szafy biblioteczne z przeszklonymi drzwiami. Schody prowadziły na galerię, gdzie też stały szafy. Środek zajmował duży stół, na którym leżał stary atlas, obok pędzelek do odkurzania, kolorowa zmiotka do kurzu z piór oraz chustka na głowę i rękawice *contessy* Varelli. Teraz dołożyła jeszcze do tego szary kitel roboczy.

– Do pewnych książek nie dopuszczam nikogo, wolę to robić sama; to, co wyprawiają niektóre sprzątaczkę, to systematyczne niszcycielstwo. Proszę tędy.

Poszła przodem, pod półokrągłym sklepieniem. W mrocznym korytarzu również były zgromadzone książki, leżały stosami, po prostu pod ścianami, bez regałów. Drugie pomieszczenie służyło jako gabinet grafik. Na środku stały sztalugi do oglądania kartonów. Znajdował się tam całkiem prywatny kącik z meblami wypoczynkowymi, biurkiem, błękitnym dywanem i licznymi kwiatami na stolikach, oddzielony od reszty pomieszczenia pięcioczęściowym parawanem. Okna wychodziły na wewnętrzne podwórze, gdzie na środku, na skrawku trawnika rostała jedna jedyna palma o grubym włochatym pniu i nielicznych liściach.

– Niech je pani tam po prostu położy. Tak, tam...

Później je sobie obejrzę dokładnie. Marco od dawna mi je zapowiadał. Że też Larsson się z nim rozstaje... Proszę...

Nie, niech pani siądzie w tym fotelu, to najlepszy. – Wskazała mebel pokryty jasnym obiciem. Sama siadła na prostym krześle przy biurku.

– Napije się pani czegoś? Może filiżankę herbaty?

Miała na sobie ciemną suknię ze skórzanym paskiem.

Na szyi nosiła potrójny sznur ametystów. Nie wyglądała na młodszą, niż była. Jej skóra, z wieloma zmarszczkami i przebarwieniami, zdradzała kobietę ponad sześćdziesięcioletnią. Mimo to była piękna, chociaż to słowo niezbyt do niej pasowało – raczej szlachetna, rasowa.

– Nie ma pani ochoty na herbatę?

– Trochę się spieszę.

– Mam nadzieję, że nie za bardzo.

– Prawie nie pijam herbaty. – Maria czuła się bacznie obserwowana przez szare oczy.

– To znaczy, że w ogóle nie pija pani herbaty?

– Prawdę powiedziawszy, nie mam o niej najlepszego zdania.

Kobieta roześmiała się. Jej zęby były białe i równe, a śmiech miękki. Odchyliła się na krześle.

– Muszę się pani przyznać, że też nie znoszę herbaty. Nienawidzę herbaty, zwłaszcza na rzymskiej wodzie. Mój mąż i syn są herbaciarzami. To znaczy fanatykami herbaty! Długo mieszkaliśmy w Anglii i niech mi pani uwierzy, że mało nie umarłam przez tę całą herbatę.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Czy syn nie dzwonił, żeby panią uprzedzić o moim przyjeździe?

*Contessa* potrząsnęła głową.

– Prawdopodobnie zapomniał... Mogłabym zamówić dla nas kawę. Trzeba tylko zadzwonić...

– Jeśli o mnie chodzi, to nie, dziękuję. – Szare oczy wciąż ją badały. Była to nie tyle ciekawość, co próba przypomnienia sobie czegoś.

– Maria Canossa... Tak... Ma pani twarz... Musi pani być jego córką. Córką Enrica Canossy, prawda? – Odsunęła bukiet kwiatów na stronę, by mieć swobodny widok. – Zapewne już pani nie pamięta?

– Nie wiem...

– Musi pani pamiętać... To było przed... Ostatni rok wojny, późne lato 1918 roku. Wydawaliśmy party w ogrodzie na cześć pani ojca. Tu w Rzymie, w Villa Tusculo. Enrico Canossa był wtedy bardzo popularny, ludzie bili się, by móc go zaprosić. Jeszcze sobie pani nie przypomina? Musiała pani wtedy mieć z siedem, osiem lat, nosiła pani rozpuszczone włosy. Bardzo jasne, bardzo długie, okrywały całe plecy. Teraz są ciemniejsze...

– Myślę, że sobie przypominam... tak...

Najpierw było to tylko wspomnienie uczucia. Czują się

nieszczęśliwa, zraniona. Dopiero potem wyłoniły się z pamięci obrazy: jej ojciec tańczący z jakąś panią i ona, obserwująca ojca i tę kobietę. Jak ciasno ojciec obejmował ją ramionami! Jak mocno przytulał swą głowę do jej głowy. Jaki dziwny wyraz malował się na ich twarzach. Co takiego mógł jej szeptać do ucha? Kobieta miała czarne włosy i potrójny sznur amethystów na szyi.

– Pani tańczyła z moim ojcem. Przez cały wieczór tańczyła pani tylko z nim. Obserwowałam panią i byłam strasznie zazdrosna.

Czy kobieta siedząca naprzeciw niej rzeczywiście się zarumieniła? Po tylu latach. Czy jej wspomnienia były równie intensywne?

– Dlaczego mam się nie przyznać? To tak dawno temu, dziś nikomu już nie robi krzywdy. Tak, byłam bardzo zakochana w pani ojcu. Na ile było to poważne z jego strony – tego nie wiem. Dla mnie to było dość poważne... Nie tylko panią tamtego wieczoru dręczyła zazdrość. Czasami wydaje mi się, że mój mąż tak uparcie wtedy zabiegał o placówkę w Londynie, żeby mnie usunąć ze strefy niebezpieczeństwa...

Twarz *contessa* Varelli była teraz znowu blada, ale jednak się zmieniła, stała się łagodniejsza, bardziej bezbronna.

Z pamięci Marii wyłoniły się kolejne obrazy ogrodowego przyjęcia: rozległy trawnik, opadający od strony domu ku parkowi, z wysokimi starymi drzewami i cienistymi alejkami. W zielonej trawie kryły się małe żelazne bramki do gry w krokieta. Drewniane kule miały różne kolory. Dźwięk młotków uderzających o kule. Jakiś głos: „Niebieska jest Marii!” – były tam i inne dzieci w jej wieku oraz pewien młody człowiek; siedział w fotelu na kółkach i przyglądał się grze, sztywno wyprostowany. Mimo upału jego nogi okrywał kraciany koc. Twarz miał szczupłą i bladą, oczy i włosy bardzo ciemne.

– Mario, co robisz? Gdzie ty strzelasz?! – Celowo źle uderzyła kulę, w kierunku fotela na kółkach, żeby przyjrzeć się z bliska temu młodemu człowiekowi...

– Czy Marco... pani syn był wtedy na przyjęciu?

*Contessa* skinęła milcząco głową.

– W fotelu na kółkach? Czy to możliwe?

Wydawało się, że *contessa* i teraz nie odpowie. Kiedy jednak zaczęła mówić, jej usta prawie się nie otwierały.

– Jak zawsze, musiał dopiąć swego! Ledwie skończył osiemnaście lat, a już zaciągnął się do wojska. Musiał walczyć z Niemcami. A mój mąż jeszcze go popierał. Cztery tygodnie był na froncie, w górach na północy przestrelili mu kolano. Najpierw wyglądało na to, że już nigdy nie będzie mógł normalnie chodzić. Lekarze nie robili żadnych nadziei. Ciągnęło się to dwa lata, potrzeba było wielu operacji i małego cudu... – Spojrzała na Marię. – To typowe dla Varellich. Zawsze uważają, że powinni zbawiać świat! Muszą odgrywać bohaterów. Inaczej nie są szczęśliwi. Dla kobiety nie zawsze jest to łatwe. Może dlatego zakochałam się wtedy w Enricu Canossie. Jego sposób odgrywania bohatera bardziej mi się podobał...

– Dlatego zginął, a pani mąż i Marco żyją.

– Proszę wybaczyć. – *Contessa* wstała. – Nie powinno się dotykać staroci. Książki, tak... ale nie stare uczucia. – Uklękła i zaczęła rozwiązywać sznurki wokół popiersia.

– Widziała je pani?

– Nie było na to czasu.

– Przyjechała pani prosto z Tre Torre?

– Tak.

– Była tam pani z Markiem?

– Tak.

*Contessa* rozwinęła derkę.

– Proszę, niech pani zdejmie kwiaty z tej drewnianej kolumny. Tak, dziękuję...

Postawiła na niej popiersie, okręciła je, aby światło padało na twarz.

– Larsson jest naprawdę w czepku urodzony. Znaleźć coś takiego!

Głowa była w rzeczywistości jeszcze piękniejsza niż na fotografii, którą Larsson jej pokazywał. Marmur miał delikatność żywej skóry, w żyłach na skroniach i na szyi zdawała się pulsować krew, w oczach malowało się zamyślenie, usta układały się do uśmiechu. Twarz była młodzieńcza, ale malował się na niej nie pasujący do wieku cień melancholii.

– Nie mogę pojąć, że Larsson się tego pozbywa.

– Przyszło mu to z wielkim trudem.

– Pani pracuje dla Larssona, prawda? Marco kiedyś o tym wspominał.

– Pomagam mu katalogować zbiory. – A więc Marco rozmawiał o niej. Maria wskazała na głowę młodzieńca. – Dla kogo ona jest?

*Contessa* odwróciła się zaskoczona.

– Więc pani także nie wszystko mówi?

Jej słowa, nieomal przyznanie się, stworzyły nagle atmosferę bliskości i poufałości między obiema kobietami.

– Nie, nie mówi. A ja nie pytam.

– Nie wiem, dla kogo jest przeznaczone to popiersie. Jeszcze mi tego nie powiedział. Wiem tylko, dokąd wędrowały poprzednie rzeczy, za ceny, nad którymi można tylko pokiwac głową. Kupcy są zawsze tego samego rodzaju: wysokiej rangi wojskowi, urzędnicy rządowi, Włosi, Niemcy; Wszystko ludzie, którymi Marco z całego serca pogardza. Przychodzą tutaj, „odkrywają” dzieła, ja podaję cenę, określoną przez Marca, oni płacą... Więcej nic nie wiem, Marco mi nie zdradza. Zresztą nie chcę więcej wiedzieć... Wspomniała pani, że się z nim widziała. Jak się miewa?

– Byliśmy w Saracinesco, na zabawie. Don Vincenzo,



proboszcz, przygrywał do tańca na skrzypkach. Wszyscy byli radośni – Marco także. Nie przypuszczałam... że potrafi taki być.

*Contessa* stała przy oknie i spoglądała na podwórko. Słońce padało na jej czarne włosy i Maria odkryła, że były farbowane. Odwróciła się, opierając się rękami o parapet.

– Proszę mi wybaczyć to bezpośrednie pytanie – kocha go pani?

Maria spuściła głowę. Czuła, że tym samym dała już odpowiedź.

– Ja... – daremnie szukała właściwych słów.

– To było zawsze moją skrytą nadzieją... – pomogła jej *contessa*. – Gdyby jego serce zaczęło bić dla jakiejś kobiety, wtedy może pewne inne rzeczy przestałyby mieć dla niego takie znaczenie...

Teraz Maria nie umknęła przed spojrzeniem badawczych szarych oczu. I kiedy *contessa* się uśmiechnęła, mogła nieskrępowanie odwzajemnić ten uśmiech.

– Przyjedzie w najbliższym czasie do Rzymu?

– Nie. – Maria potrząsnęła głową.

– Gdyby pani coś o nim słyszała – powie mi pani? A jeśli ja będę coś wiedziała, zadzwonię do pani.

Na biurku stały w ramach fotografie jej męża i Marca. Wskazała na nie palcem.

– Czasami sobie myślę, że miłość jest dla nas, kobiet, czymś innym niż dla mężczyzn... Mam nadzieję, że Marco nigdy nie przysporzy pani bólu, nigdy... A teraz już naprawdę pozwolę pani iść. Zobaczymy się przecież znowu? Niech nas pani kiedyś odwiedzi...

– To ten sam dom?

– Tak.

– I ten sam park?

– Już nie całkiem. My... Niech pani przyjdzie z doktorem Larssonem. Proszę mu powiedzieć, że się ucieszę. Dawniej

często go widywałam, był stałym gościem na moich aukcjach.

– Może już wkrótce wyjedzie do Tre Torre.

– Wyślę mu zaproszenie. Powód do wydania kolacji znajdzie się zawsze, prawda? – Rozmawiając wróciły do sklepu. – Jeśli ma pani jeszcze sekundę czasu, to może dałabym pani coś dla Larssona? – Przyciągnęła jedną z drabin na kółkach przymocowanych wzdłuż ściany z książkami, weszła na nią, otworzyła jakąś gablotę i wyciągnęła sztywną kopertę. – To tylko pojedyncza kartka, tylko początkowe linijki wiersza Shelleya. Ale pisane jego ręką, datowane 1822, zatoka Lerici... Dopiero niedawno to znalazłam, w kopercie z innymi rzeczami.

Odprowadziła ją do drzwi.

– Bardzo mi było miło. To był przyjemny przerywnik w pracy.

– Gdybym miała czas, chętnie bym pani w niej pomogła.

*Contessa* skinęła głową i podała jej rękę.

– Sądzę, że od pani chętnie przyjąłabym pomoc.

Została w drzwiach; szczupła, elegancka sylwetka.

Maria dojechała do najbliższej przecznicy, zawróciła i pojechała tą samą drogą z powrotem. Roleta na drzwiach sklepu była znów spuszczone. Ulica kompletnie pusta. Gdzieś z otwartego okna można było usłyszeć popołudniowy koncert rozgłośni Radia Roma.

## 20.

W niedzielę Villa Wolkonsky robiła najczęściej wrażenie opuszczonej. Niedzielnny dyżur oznaczał, że można było dokończyć rozpoczętą lekturę lub bez przeszkód pisać listy.

Wszędzie panowała cisza – w parku, w alejkach, w budynkach biurowych. Można było otworzyć szeroko okna. Kiedy ambasador był nieobecny, słysząc było pluskanie wody w basenie używanym wtedy przez attaché i sekretarzy.

Nigdy nie kontrolowano jej przy wejściu do ambasady. Wartownicy znali i ją, i jej szare topolino. Krótkie spojrzenie z budki, kiwnięcie ręką i to wszystko, więc także dzisiaj wjechała w bramę na pełnym gazie.

Dwaj mężczyźni zabiegli jej drogę gwałtownie machając rękami i krzycząc:

– *Halt! Halt!* Co pani wyprawia! Proszę się natychmiast zatrzymać.

Żadnego z nich nie znała. Dotychczas nie było umundurowanych strażników. Nawet jeśli byli uzbrojeni, nosili pistolety ukryte, a nie na widoku zawieszono u pasa, jak ci dwaj.

– Co pani wyprawia! Kim pani jest? Pani paszport!

Nie od razu go znalazła. Denerwowała ją nie tyle niespodziewana kontrola, ile fakt, że jej wskaźnik paliwa od kilku ulic stał na zerze. W każdej chwili samochód mógł się zatrzymać. Podając papiery przez okno, wsłuchiwała się w szum silnika.

W zasięgu wzroku miała tylko pas, czarną kaburę pistoletu i parę dużych, topornych rąk. Odebrały od niej paszport w celofanowej okładce, przytrzymały go. We wstecznym lusterku Maria ujrzała nadjeżdżający drugi samochód, otwarty łazik z oficerami wysokiej rangi. Wartownicy zasalutowali trzaskając obcasami.

– *Los!* Dalej, niech pani zjeżdża z drogi! Miejsce!

*Los, los!*

Za bramą droga się rozwidlała; jedna odnoga prowadziła do biur, druga, szersza, do Villa Wolkonsky. Łazik potoczył się w tamtą stronę. Wkrótce po nim przejechał drugi. Jej samej udało się jeszcze pokonać lekkie wzniesienie, po czym

silnik zakrzusił się, szarpnął i zgaś.

Zostawiła fiata na skraju drogi, przy z lekka kuriozalnej kopii rosyjskiej zminiaturyzowanej daczy, pochodzącej jeszcze z czasów *principessy* Wołkońskiej. Rozejrzała się, ale wokół panował spokój, całkiem jak w normalną niedzielę.

Oba biurowe baraki pogrążone były w ciszy. Nie słyszała telefonów, maszyn do pisania. W nie wietrzonym korytarzu nie było czym oddychać. Kiedy weszła do swojego pokoju, zastała tam ku swemu zdziwieniu Erikę von Jagov. Czytała książkę, radio grało cicho.

– Pani tutaj? – Maria odłożyła rękawiczki i kopertę z autografem Shelleya na biurko. Przez otwarte okno widziała oba łaziki zaparkowane przed Villa Wolkonsky; kierowcy stali pałac w pobliżu. – Co się tu właściwie dzieje?

Erika von Jagov zamknęła z trzaskiem książkę i zrobiła półobrót na krześle. Wyraz jej twarzy oznaczał: „Gdybym to ja wiedziała!” Miała na sobie blezer z naszytym emblematem klubu golfowego i niebiesko-czerwoną chustkę na szyi.

– Grałam w golfa, kiedy nadeszło polecenie: natychmiast przybyć do ambasady! To było pięć godzin temu. Od tego czasu nic się nie dzieje. – Spojrzała w kierunku willi. – Tam cały czas konferują, ale tutaj – nic.

– Nawet plotek? – Maria nie знаła nikogo o równie niewzruszenie spokojnej twarzy; jak gdyby jej wyraz był utrwalony raz na zawsze, jak na płótnie. Podobnie miała się rzecz z głosem pani von Jagov. Mówiła zawsze tym samym tonem, bez żadnych wahaniec w rozkładzie akcentów. Teraz po raz pierwszy pojawiło się na twarzy i w głosie coś innego poza owym niewzruszonym opanowaniem: jakieś wahanie, niepewność, załknienie.

Nie powiedziała nic, potrząsnęła tylko głową. Erika von Jagov nie zajmowała się plotkami. Dwóch tematów nigdy nie poruszały: życia prywatnego i polityki.

– Z dalekopisu też nic? – Zwinięte arkusze leżały na biurku Marii.

– Tylko to, co zwykle. Nic znaczącego... Radca Winter usiłował się z panią skontaktować.

– Kiedy?

– Przed trzema godzinami.

Maria usiadła i przejrzała teksty z dalekopisów. Na zewnątrz panowała cisza. Raz zajechał przed ambasadę łącznik na motocyklu, dostarczył coś i natychmiast zawrócił. Radio grało cicho. Gdy nadszedł czas na wiadomości, Erika von Jagov włączyła głośniej i obie nastawiły uszu, ale nie podano nic szczególnego.

Przed Marią leżały informacje z dalekopisów. Kilka recenzji teatralnych. Rządowe ceny napojów i potraw, które będą obowiązywały w przyszłym tygodniu restauracje, bary i kawiarnie. Z większym zainteresowaniem przeczytała sprawozdanie związane z bombardowaniem 19 lipca. Księżna Piemontu odwiedziła rano Dzielnicę Tyburtyńską i „osobiście rozdała jedzenie trzem tysiącom bezdomnych” w garkuchni zorganizowanej tam dla ofiar bombardowania. Inne doniesienie podawało rysopisy osób zaginionych podczas ataku...

Maria chciała sobie zanotować liczby, ale w końcu odłożyła papier i ołówek. Posłucha rady Marca i zwolni się. Na pewno straci w ten sposób zezwolenie na topolino i przydział benzyny, ale był przecież jeszcze Larsson. Proponował jej przepisanie samochodu na siebie. Lekarz najszybciej mógł liczyć na wyjątkowe potraktowanie. Że też takie rzeczy miały znaczenie! Wzięła z biurka zeszytik z kartkami na benzynę.

– Przyjechałam na pustym baku. Może jest ktoś z obsługi garażu... Poza tym czy teraz, kiedy już jestem, musi pani jeszcze siedzieć?

– Prawdopodobnie nie... Tyle tylko, że nie miałabym spokoju, gdybym teraz poszła...

Rozumiała panią von Jagov. Coś wisiało w powietrzu, na coś się zanosilo, a cały Rzym zdawał się to wyczuwać. Wyludnione ulice po drodze, a z otwartych okien wszędzie słychać radio. Jakby mieszkańcy Rzymu siedzieli jak jeden mąż przy aparatach i z zapartym tchem na coś czekali. Tak, to było jak wstrzymany oddech. Całe miasto wstrzymywało oddech. Ale dlaczego?

Główny budynek biurowy także pławił się w niedzielnym spokoju. Żywej duszy na kortach. Para rakiet i siatka z piłkami leżały na ławce, rzucone tam przez kogoś, kto w pośpiechu przerwał grę. Wiele obrazów, ale jeszcze nie układały się w całość...

Z alejki wiodącej ku Villa Wolkonsky dobiegły głosy. Grupa mężczyzn; urzędnicy ambasady, oficerowie. Pomiędzy nimi Winter, w białym garniturze, z teczkami pod pachą. Zobaczywszy Marię, stanął i puścił pozostałych przodem.

– Briga się z panią kontaktowała?

– Tak, dziękuję.

Winter miał podkrążone oczy, był nie ogolony, a guziki jego białego garnituru były rozpięte.

– Ale dotąd się jeszcze nie pojawił.

Winter spojrzał na nią zdumiony.

– Niedzielny dyżur?

Czy nie pamiętał, że rozmawiali o tym jeszcze w piątek?

– W piątek powiedział pan, że chciałby ze mną porozmawiać.

– W piątek? Oczywiście! Zaraz... Najlepiej, jeśli od razu pójdzie pani ze mną. Kto wie, czy będziemy dziś mieć drugą okazję. – Poszedł przodem. W hallu wskazał na górę. – Wie pani, gdzie jest moje biuro? Pierwsze piętro, ostatni pokój po lewej stronie. Niech pani tam wejdzie. Muszę tylko jeszcze oddać teczkę do podpisu.

Biuro Wintera było dużym, podłużnym pokojem. Biurko stało całkiem w głębi. Zaskakująco bezosobowy pokój. Biurko z metalu, niewysokie metalowe szafki, komplet wypoczynkowy z brązowej skóry. W oknach żadnych zasłon, jedynie zaciemniające rolety. I żadnego obrazu, nawet obowiązkowej fotografii Hitlera w ramach.

Winter przyszedł niebawem, jednak przeprosił ją jeszcze na chwilę. Kiedy po kilku minutach wyszedł z bocznych drzwi, był świeżo ogolony, miał na sobie czystą koszulę, a guziki jego garnituru były nienagannie pozapinane. Wilgotne jeszcze włosy lśniły i pachniał wodą po goleniu.

– Jeszcze pani stoi! Nieprzytulne to biuro, prawda? Proszę... – przez cały pokój przysunął do biurka fotel. – Szampa na nie mogę pani zaoferować. Ale tutaj... – otworzył boczną szufladę biurka i wyjął termos. – Lemoniada według domowego przepisu Brigi. Moja żelazna racja. Przy tej pogodzie lepsza od szampana... A więc pani małżonek się jeszcze nie pojawił?

Na dole, gdy się spotkali, rozmawiał z nią po niemiecku; tu w biurze przeszedł natychmiast na włoski. Golenie i świeża koszula uczyniły z niego na powrót znanego jej człowieka; pozostała jednak nerwowość, której przedtem nigdy u niego nie widziała. Kiedy wyjmował papierosa z niebieskiej paczki, wypielęgnowane dłonie były spokojne, ale sposób, w jaki palił, zdradzał wewnętrzne napięcie. Wciągał do nosa dym wychodzący z ust.

– Co się właściwie dzieje?

– Bardzo możliwe, że tracimy naszych sojuszników.

To było trzeźwo, prawie obojętnie, rzucone stwierdzenie. Wpatrzyła się w niego. Serce zabiło jej szybciej i tak głośno, że Winter musiał chyba to usłyszeć.

– Czy to oznacza, że Włochy wychodzą z wojny?

Przyglądał się jej zatopiony w myślach. Wydawało się, że zajmuje go wyłącznie palenie i podwójne wykorzystanie dymu, przepuszczanie go nosem i ustami.

– Za wcześniej się pani cieszy. Są ludzie, którzy potrafią ukryć przed innymi smutek, ale nie radość. Wtedy, na cmentarzu – robiła pani wrażenie prawie obojętnej. Teraz jednak mniej się pani udało.

– Czy to nie jest zrozumiałe?

– Tak, ale niebezpieczne. W tej chwili niebezpiecznie jest żywić złudzenia. Pod pewnymi względami zagraża to życiu. – Nie zauważył, że popiół z papierosa spadł na biurko.

– Nie może mi pan powiedzieć nic więcej?

– Odbyło się posiedzenie Wielkiej Rady Faszystowskiej. Po raz pierwszy jej członkowie głosowali przeciwko Duce. To jego koniec. Król przyjął go dziś na audiencji i zwolnił ze stanowiska szefa rządu. Ostatni meldunek donosił, że Mussolini został aresztowany podczas opuszczania Villa Savoia i wywieziony z Rzymu.

– W wiadomościach nic o tym nie było.

– Na to jeszcze za wcześnie.

– A co to oznacza? Mam na myśli, jaki to będzie miało wpływ na losy wojny?

Winter wstał. Przeszedł się kilka kroków po pokoju, potem stanął ze wzrokiem utkwionym w pustą ścianę naprzeciwko:

– Złudzenia... przedwczesne złudzenia... niebezpieczne iluzje. Ludzie podniosą głowy, a inni będą już czekać w pogotowiu... aby je pościnać.

Jego głos stał się cichszy. Maria nie rozumiała, co właściwie chciał przez to powiedzieć. Nie wiedziała, o czym mówi, co mu chodziło po głowie, w jakim celu to mówił. Była pełna nieufności. Rozum radził: strzeż się go! Intuicja natomiast podpowiadała jej: możesz mu wierzyć.

Podszedł do jednej z metalowych szafek i wyciągnął szufladę. Wyszukał jakąś teczkę i położył ją na biurku. Nalał z termosu do dwóch szklaneczek i jedną z nich podał Marii. Potem usiadł i zapalił następnego papierosa.



– W tym segregatorze są zdjęcia. Czy zechciałaby pani się im przyjrzeć? – Rzeczowa prośba, wypowiedziana półgłosem, bez podtekstu.

Maria otworzyła segregator. Zdjęcia miały duży format fotografii prasowych. Została ostrzeżona, ale nie była przygotowana na to, co zobaczyła: zdjęcia z pogrzebu Gianniego na cmentarzu we Frattocchie. Nie próbowała ukryć przed Wintrem zaskoczenia.

– Skąd pochodzą te zdjęcia?

Włączył wentylator na biurku, ale zaraz go wyłączył, najwyraźniej zirytowany jego szumem i wywołanym efektem.

– Te fotografie pochodzą z Via Tasso.

Wspomnienie dnia pogrzebu zmieszało się z niepokojem wywołanym wzmianką o Via Tasso. Każdy w Rzymie dokładnie wiedział, co znaczyło Via Tasso. Tam znajdowała się siedziba gestapo, niemieckiej tajnej policji.

– Ale... o co chodzi?

– Rozmawialiśmy o pani bracie, niech pani sobie przypomni! To znaczy, wtedy uważałem za właściwe, n i e rozmawiać o tym z panią. Teraz muszę to zrobić. Gianni Canossa był bardzo szanowanym oficerem... pozostawał w dobrych stosunkach z dworem królewskim... Król i niektórzy generałowie... pertraktowali od pewnego czasu potajemnie z aliantami na temat zawieszenia broni. – Uśmiechnął się. – A równocześnie z nami o kontynuowaniu wojny u naszego boku... – Telefon na biurku zadzwieczał przenikliwie. Podniósł słuchawkę. – Nie teraz... Tak, później dołączę.

– Jeszcze trochę lemoniady? Nie? A więc pani brat, razem z innymi, utrzymywał kontakty z aliantami... Via Tasso ma gęstą sieć, a Rzym jest pełen szpiegów, którzy się w nią wplątują, z własnej lub cudzej woli.

– Ale o co chodzi z tymi fotografiami?

– O przyjaciół Gianniego Canossy! Jego najbliższych przyjaciół. Czy nie przyszliby na jego pogrzeb? Cóż łatwiejszego – fotografuje się wszystkich obecnych i przygląda się zdjęciom dokładnie. Czy zna się wszystkie osoby? Może zaplątał się w sieć jakiś nieznajomy, ktoś, kogo przeoczyliśmy? Widziała pani powiększenia?

Na fotografiach było cały czas to samo, tylko w różnych ujęciach. Grób, osoby zgromadzone wokół niego, grupka przypadkowych gapiów i jedna jedyna zakreślona głowa. Było też powiększenie; gruboziarniste i nieostre – Marco Varelli.

– I co pani na to?

Czy był sens ukrywać coś przed Winterem? Ale przecież zdjęcie nie było ostre. Jeśli – jak ona – wiedziało się, kto to jest, to naturalnie można go było rozpoznać. Ale w innym wypadku? Myśl, że nie było go teraz w Rzymie, pomogła jej zachować opanowanie. Marca nie było w Rzymie! I pewnie tu już nie wróci. W każdym razie dopóki groziło mu niebezpieczeństwo!

– A co mam na to powiedzieć?

– Marco Varelli. Zgadza się?

Włożyła fotografie z powrotem do segregatora.

– Nie przypominam sobie, żebym widziała tego człowieka na pogrzebie.

– Zgoda. Tak jak i ja nie mogę sobie przypomnieć, żebym gdziekolwiek widział już tę twarz.

I znowu Maria zadawała sobie pytanie: co się naprawdę działo w głowie Wintera? Co chciał przez to powiedzieć?

– Jak te zdjęcia trafiły w pańskie ręce?

– Rutynowe postępowanie. Via Tasso rozsyła je do wszystkich ważniejszych niemieckich urzędów... „W ramach dobrej współpracy prosimy Pana o odpowiedź na następujące pytania...” Panowie z Via Tasso są wyjątkowo grzeczni w korespondencji.

Maria siedziała z opuszczoną głową, oglądając swoje dłonie. Czuła się zmęczona i bezradna. Przede wszystkim zmęczona. Zmęczona dziwną grą, którą prowadzili ci mężczyźni. Von Boldt, Marco, Winter. W co się bawili? W śmiercionośnych „policjantów i złodziei”? W tym momencie nienawidziła ich wszystkich. Nawet własnego brata. Wspomniała słowa *contessa*: „Zawsze muszą grać rolę bohaterów!”

– I po co to wszystko? Dlaczego mówi mi pan te rzeczy o moim bracie? Dlaczego pokazuje mi pan te fotografie?

Winter wstał. Wziął segregator i włożył go z powrotem do szuflady. Potem podszedł do okna. Mówił do szyby.

– W piątek – od kiedy leży tu ten kwestionariusz – było jeszcze względnie łatwo. Chciałem tylko powiedzieć to, co mówiłem już wcześniej – że może pani na mnie liczyć. Dzisiaj prześcignął to wszystko... bieg wydarzeń. Nie wiadomo, co zrobi król. Może za tydzień nie będzie w Rzymie żadnego Niemca... co przypuszczalnie byłoby jedynym rozsądnym rozwiązaniem, politycznym i militarnym. Oddać Sycylię, południowe Włochy i Rzym, oddać całe Włochy, zbudować na północy silną linię obrony... Cały dzień o tym dyskutujemy, aż nam się dymi z głów...

Stanął przed nią, nachylił się, jak gdyby się chciał upewnić, że nie uрони żadnego jego słowa. Jego głos był cichy, ale przenikliwy.

– Nie będzie żadnej rozsądnej decyzji! Odeszliśmy już daleko od rozsądnych decyzji. Będą napady szafu, wybuchy wściekłości... Wyobrażam sobie te sceny, które się teraz rozgrywają w głównej kwaterze fùhrera, rozkazy, jakie się rozważa: wziąć Rzym siłą, aresztować tę całą włoską bandę, króla, rząd, ludzi, którzy zdjęli Duce, całą tę zgraję księży i zagranicznych dyplomatów, ukrytych w Watykanie... Nawet tutaj, wśród nas, są tacy, którzy się za tym opowiadają.

Słuchała zafascynowana tego człowieka mówiącego jej rzeczy, za które mógłby zapłacić głową. Dlaczego?

– Tak się nie stanie. Bo nie mamy na to sił. Bo brakuje wojska. Nie dlatego, że zwycięży rozsądek. Król przeprowadzi swoją wolę. Będzie negocjował z nami i potajemnie z aliantami. Być może uda mu się doprowadzić do zawieszenia broni. Rzym odetchnie. Ludzie będą mu okazywać entuzjazm. Ale boję się, że to nie koniec! To tylko chwila złudzeń, cisza przed burzą...

Na jego czole perlił się pot. Pod oczami rysowały się cienie. Wyciągnął chusteczkę i wytarł nią rękę.

– To właśnie miałem na myśli mówiąc, że się pani przedwcześnie cieszy. Bo wtedy nie my będziemy decydować o tym, co się będzie działo. Rozstrzygać będzie Via Tasso.

– Dlaczego? Ciągle jeszcze nie rozumiem... Dlaczego mi pan to wszystko mówi. To bardzo wielkie zaufanie.

– Ma pani na myśli – lekkomyślność?

– Albo lekkomyślność.

Wrócił do biurka, wyjął z etui mały pilniczek.

– Przepraszam panią.

Usunął zza paznokcia małego palca coś, co mu przeszkadzało. Uśmiechnął się.

– Dlaczego? Ja... jestem przywiązany do Rzymu. Łączą mnie z nim pewne związki. A więc – chciałbym tu zostać, i chciałbym pozostać przy życiu! – Włożył pilniczek z powrotem do etui, przejechał palcem po paznokciu, sprawdzając, czy jest już gładki. – Gdybym był fatalista, miałbym po prostu nadzieję. A tak, próbuję zdobyć przyjaciół! Póki czas. Ja nie mam złudzeń. Wiem, że kiedy to wszystko się wreszcie skończy, będę potrzebował przyjaciół.

– Mnie?

– Dlaczego nie. Pani też ma przyjaciół. Pomińmy nazwiska. Może pani przyjaciele najpierw będą potrzebowali mnie.

Tak jak później ja będę ich potrzebował. Całkiem prosty rachunek. Nie udaję żadnych uczuć. W pierwszym rzędzie myślę o sobie... Możemy na tym dzisiaj zakończyć?

Było jeszcze tyle pytań. Na przykład był jeszcze Gottfried von Boldt. Czy Winter wiedział także o tym? Ale może powinna zachować się jak on i w pierwszym rzędzie pomyśleć o sobie.

To, co mówił, brzmiało uczciwie. Chwila prawdy – to dużo. Ale czy to wystarczy?

– Myślę o tym, żeby zrezygnować z pracy w ambasadzie.

Odstawił szklankę, z której chciał się właśnie napić.

– Dlaczego właśnie teraz?

Wytrzymała jego wzrok.

– Chciałabym zrobić sobie wakacje, długie wakacje. A w ogóle...

Znowu przenikliwie zadzwieczał telefon. Winter przez chwilę słuchał w milczeniu.

– Tak, natychmiast tam będę. – Wypił do dna i schował termos. – Może ma pani rację. Może jest to sposobna chwila. Dokąd wybiera się pani na wakacje?

– W Góry Tyburtyńskie.

Do tej pory nie myślała o tym poważnie. Teraz podjęła decyzję. Jeszcze dziś zadzwoni do Larssona albo od razu, prosto stąd, do niego pojedzie.

– Mam nadzieję, że mimo to nie stracimy się z oczu...  
Idziemy?

Wyszli z biura razem. W hallu podał jej rękę.

– A pani były małżonek jeszcze się nie pojawił? Słyszałem, że oba loty Lufthansy z Rzymu do Berlina są wyprzedane. – Mówił teraz znowu po niemiecku, czy raczej po wiedeńsku, i to szczególnie śpiewnie. – Gdyby były trudności z lotem powrotnym, proszę do mnie zadzwonić. Załatwimy miejsce dla pani męża...

Później, we własnym biurze, kiedy w myślach raz jeszcze przebiegała rozmowę z Winterem, pozostały z niej tylko dwie rzeczy, które dla niej osobiście miały znaczenie. To oni zabili Gianniego! I – Marco był bezpieczny.

W baraku biurowym było tak cicho jak przedtem. Nieliczne wiadomości z dalekopisów, które nadeszły w czasie jej nieobecności, nie przyniosły nic nowego. Naprawdę nie opłacało się robić wyciągu dla Berlina. Radio Roma do wpół do ósmej podawało wiadomości sportowe. Pani von Jagov była zatopiona w swojej książce. Kiedy ją odłożyła, by obrać sobie jabłko, Maria ujrzała tytuł czerwonego tomu: Gregoviusa „Historia miasta Rzym”.

Wydawało się, że wszyscy o nich zapomnieli. O wpół do dziewiętej kazano im przekazać, że ich obecność w ambasadzie tego dnia nie jest już konieczna.

## 21.

Już od Santa Maria Maggiore fiat posuwał się naprzód w złotym tempie. Ulica była pełna ludzi i wciąż ich przybywało.

Kiedy wyjeżdżała z ambasady, wyglądało na to, że Rzym jest równie wyludniony jak po południu, ale wkrótce sytuacja się zmieniła. Zewsząd napływali ludzie, wypełniali kawiarnie, stawali grupkami, gwałtownie dyskutując.

Skąd oni się wszyscy wzięli! Samochód Marii jechał powoli; metr po metrze. Nie można było zawrócić ani skręcić w którąś spokojniejszą ulicę. Dała się po prostu nieść ludzkiej rzece.

Z rozgwaru wybił się teraz pojedynczy okrzyk: *Viva Italia!* Okrzyki zaczęły się mnożyć: *Viva Italia!*

Maria wyłączyła silnik. Nie widziała już nic oprócz ludzkich

ciał. Odsunęła dach topolina i podniosła się. Stanąwszy na siedzeniu, mogła spojrzeć ponad głowami tłumu. Znajdowała się na Via XX Settembre. Ulica i boczne aleje pełne były ludzi i ciągle dołączali nowi. Siedząc w swoim fiacie, miała wrażenie, że ten żywy potok naprawdę niesie ją razem z samochodem. *Viva Italia, viva Italia!* – odbijało się echem od ścian domów.

Co się stało? Co podało Radio Roma? Próbowwała zgadnąć kilka przebiegających obok osób. Nie otrzymała odpowiedzi na swoje pytania. Wydawało się, że nikt nic nie wie. Reagowano wzruszeniem ramion, uśmiechem. Inni odkrzykiwali jej: *Viva Italia!* – jak gdyby to wystarczało za odpowiedź.

W gruncie rzeczy było tylko jedno wyjaśnienie: plotka o aresztowaniu Mussoliniego w jakiś sposób musiała się przedostać do publicznej wiadomości. A teraz cały Rzym wyruszył pod pałac królewski. Tak, ludzka rzeka płynęła dokładnie w tym kierunku; z Via XX Settembre w lewo, ku Kwirynałowi, królewskiej rezydencji. Być może myliła się, ale mroczne niebo w tej stronie zdawało się rozjaśniać.

Miejsce, w którym utknął jej samochód, powoli pustoszało. Zasunęła składany dach, wykręciła w przeciwnym kierunku. Zrezygnowała z zamiaru odwiedzenia doktora Larssona. Piazza Mignanelli leżał w zasięgu Kwirynału i ulice były tam z pewnością zakorkowane.

W drodze na Via dei Soldati spotykała co krok grupki ludzi, ale im bardziej zbliżała się do Tybru, tym było ich mniej.

W garażu, do którego odstawiła samochód, radio grało szlagiery. Nie było żadnego z mechaników. Na placyku przed garażem dwaj chłopcy kopali pustą blaszaną puszkę. Z któregoś domu dobiegł kobiecy głos: „Przestańcie! Zniszczycie tylko buty!”

Na stopniach wiodących na brzeg rzeki siedział jakiś człowiek. Na jego kolanach leżał płaszcz od deszczu, na nim

jasnoszary filcowy kapelusz. W rękę trzymał zwiniętą gazetę. Nie mogła tego widzieć, ale była pewna, że zanim usiadł, rozłożył na schodku chusteczkę, żeby nie pobrudzić jasnego garnituru.

Kiedy Briga powiedziała, że jej mąż jest w Rzymie, obudziło się w niej coś z dawnej nienawiści. Ale teraz odczuwała tylko litość. On, który zawsze był tak niecierpliwy, który tak liczył każdą minutę, siedział teraz tutaj i czekał na nią, być może już od kilku godzin.

– Ma-ri-a-a! – Zerwał się z miejsca. Na stopniu rzeczywiście leżała biała chusteczka. O parasolu też nie zapomniał.

Podeszła do niego, podczas gdy on zbierał rzeczy. Płaszcz od deszczu znalazł się na lewej ręce, razem z parasolem. Na koniec podniósł kapelusz, chusteczkę i gazetę. Kiedyś to właśnie się jej w nim podobało, jego niezmiennie nawyki. Wszystko w nim było metodyczne, niczego nie pozostawiał przypadkowi.

– Godzinami muszę na ciebie czekać!

Uśmiechnęła się. Naprawdę myślała, że ta rozmowa mogłaby się zacząć bez wymówki?

– Mogłeś przyjść do ambasady.

Spojrzał na zegarek.

– Przecież twój dyżur już dawno się skończył.

– To tylko przypadek, że już jestem w domu. – Włożyła sweter. Nie dlatego że było jej zimno, lecz żeby ukryć przed jego wzrokiem obnażone ramiona. – Co cię sprowadza do Rzymu?

– Mieliśmy problemy... z dostawami. Jestem tu już od piątku. Właściwie zarezerwowałem lot powrotny na dziś rano, ale koniecznie chciałem się z tobą zobaczyć. Musimy porozmawiać. Może pójdziemy do ciebie?

– Nie sądzę, by było jeszcze coś, o czym musielibyśmy porozmawiać. – Kiedy, pomyślała, nauczę się zachowywać



wobec tego mężczyzny spokój, obojętność, poczucie przewagi.

– Mieszkasz w tamtym domu... – Zrobił krok w kierunku kamienicy, ale Maria stała nadal w tym samym miejscu. Nie chciała, żeby szedł z nią do mieszkania Gianniego. Nie chciała, żeby zostawiał swój płaszcz i kapelusz na jego wieszaku, nie chciała, by otwierał jego drzwi, dotykał jego rzeczy, mył ręce w jego łazience, oglądał łóżko, w którym spała.

Patrzył ciągle na kamienicę. Znała go wystarczająco długo, by wiedzieć, o czym teraz myśli.

– Ktoś tam na ciebie czeka? Dlatego nie możemy...

Nie kłócić się, pomyślała, tylko się nie kłócić!

– Lodziarnia na Piazza Tor di Sanguigno jest jeszcze na pewno otwarta. Chodźmy tam.

– Inaczej sobie wyobrażałem nasze spotkanie...

Maria ruszyła w milczeniu naprzód. Miejmy nadzieję, że nie ujmie jej nagle pod ramię. Jego ciało było jej zawsze obce. Najpierw ta obcość była podniecająca, ale to się szybko skończyło, pozostał odruch obronny, który w końcu przekształcił się we wstręt i nienawiść. Cóż za szaleństwo, wychodzić za człowieka, gdy się nie wiedziało, czy będzie się lubić jego dotyk.

W kinie na rogu placu zaczął się właśnie wieczorny seans. Strome żelazne schody wiodły do kabiny operatora; przez otwarte drzwi słychać było pracującą aparaturę.

Operator, młody człowiek w spodniach i podkoszulku, siedział na schodach i palił papierosa.

Maria przewidywała, co na to powie mąż, i miała rację.

– Rzym jest pełen młodych ludzi uchylających się od służby w wojsku.

– Ty też jesteś młody i też nie jesteś na wojnie.

– Wiesz dlaczego.

– On też jest niezastąpiony. Puszczą ludziom filmy z Sarą Leander i Beniaminem Giglim.

Lodziarnia była wąską klitką. Okrągłe stoły na chodniku były wolne, podczas gdy wewnątrz tłoczyli się ludzie. Radio na ściennej półce grało głośno. Były tylko dwa rodzaje lodów, waniliowe i cytrynowe, oba miały sztuczny smak.

Grzebał łyżką w swoim pucharku.

- Jak myślisz, dostanę filiżankę kawy?
- Zbożowej...
- To zamówię szklankę wody... więc pracujesz w ambasadzie?

Zauważyła spojrzenie, jakim obrzucił jej długie, pomalowane na czerwono paznokcie. Czegóż jej właściwie nie zabraniał: malowania paznokci na czerwono, wysokich obcasów, wydekoltowanych ubrań, perfum, słuchania szlagierów... a to wszystko były bagatelki. Być może istniały pary, które mogły pozostać po rozwodzie przyjaciółmi – między nimi nie było to możliwe.

- Wiesz, co się stało?
- Jak to? Co masz na myśli?
- Król kazał aresztować Mussoliniego.
- Słucham?
- Mam nadzieję, że nie będziesz miał trudności z powrotem.
- Kiedy to się rzekomo miało stać?
- Zrozum, to nie plotka! Wiem to z ambasady. Chcieli to jeszcze utrzymać w tajemnicy, ale chyba musiał być jakiś przeciek. W każdym razie cały Rzym zdaje się o tym wiedzieć. Nie wyobrażasz sobie, co się dzieje w mieście. Gdzie mieszkasz?
- W „Excelsiorze”.
- To będziesz miał okazję zobaczyć. – Pomyślała o tym, co mówił Winter, ale nie chciała teraz być rozsądna, pragnęła zakosztować chwili triumfu. – Dla Włoch wojna się skończyła.

Wpatrywał się w nią z otwartą wrogością. Chwycił płaszcz i kapelusz, leżące obok, ale zaraz się opamiętał. Wyciągnął rękę, nagle niepewnie, prawie prosząco.

– Mario, żałuję wielu rzeczy...

– Proszę, zostawmy przeszłość.

– Miałem czas się zastanowić. Popęłniałem błędy. Ja... wszystko by się ułożyło inaczej, gdybyśmy mieli dzieci. Chciałem mieć synów. Chciałem mieć rodzinę.

Milczeć, pomyślała. Słuchać i milczeć.

– Naszym nieszczęściem było, że nie mieliśmy dzieci.

– Nie, to było jedyne szczęście, że nie mieliśmy dzieci.

– Ale przecież sama chciałaś...

– Dawno temu. Potem już nie.

– To znaczy, że celowo zapobiegałaś?

– Proszę, zostawmy to.

Przyglądał się jej długo.

– Zniszczyłaś moje życie i żądasz, abym o tym zapomniał.

– Jesteś młody. Możesz zacząć od nowa.

– Jesteś bez serca, ot co. Pusta w środku. Taka kobieta jak ty nie może mieć dzieci. Taka kobieta jak ty może być tylko bezpłodna.

Zapomniała o postanowieniu, by milczeć. Za bardzo go nienawidziła.

– Nie jestem bezpłodna. Mogę mieć dzieci.

– Co masz na myśli?

– Dobrze słyszałeś: mogę mieć dzieci. To nie we mnie leżała przyczyna.

Z odrazą wbił wzrok w jej ciało.

– Ach, więc to tak. Zaledwie tu przyjechałaś, a już zadajesz się z jakimś włoskim bękartem... Jesteś gorsza, niż myślałem.

Muzyka w radio ucichła. Spiker coś mówił, łykając słowa,

głos miał schrypnięty z podniecenia. Potem, po przerwie, król Wiktor Emanuel: *Italiani!*

Maria nie rozumiała nic z tego, co mówił król. Słyszała tylko jego głos – falset, śmieszny, a zarazem wzniosły. W lodziarni wybuchły okrzyki radości, z nimi na ustach mężczyźni wybiegli na ulicę.

Nasadził kapelusz na głowę i wstał.

– Lepiej już pójdę... – Ociągał się, patrząc na dwa pucharki. – Zapłacisz?

Skinęła tylko głową. Odszedł sztywnym krokiem. Z bocznej ulicy wysypali się bezładnie mężczyźni i kobiety. Biegli, jakby ich kto ścigał, dopiero potem ujrzała, że wloką za sobą co się da, kartony, worki, kanistry, wielkie buły sera... rabusie... włamywacze, którzy obrabowali państwowy magazyn...

Z radia popłynął teraz inny głos, równie podniosły jak głos króla, ale twardszy i niższy: *Italiani... La guerra continua...*

Położyła na ladzie należność za dwa pucharki lodów i poszła do domu. Rozebrała się, owinęła szlafrokiem, włączyła radio i czekała, aż skala rozjaśni się na pomarańczowo i aparat się rozgrzeje. Radio Roma nadawało muzykę.

Otworzyła okna, nie zważając na zaciemnienie. Nikt się tym nie przejmował. Inne okna także stały otworem, słychać było muzykę z radia. Wszystko wydawało się jak ze snu: rozmowa w biurze Wintera, tłum kotłujący się na Via XX Settembre, spotkanie z mężem... Kiedy tak stała w oknie, nasłuchując odgłosów nocy, przed oczami ukazał się jej inny obraz: szosa, szara półcieżarówka. Marco za kierownicą, biały pies na siedzeniu obok... Dlaczego nie ma go przy niej?

Zatelefonowała do Larssona. W Villa Kristina były dwa aparaty, jeden w gabinecie lekarskim, drugi w bibliotece. Po dźwięku sygnału – wysoki w gabinecie, niski w bibliotece – rozpozna, gdzie jest Larsson. Czy to wyobraźnia? Już sam sygnał na drugim końcu drutu przekazywał jej atmosferę

domu, ciszę, spokój, zapach stojących wszędzie goździków...

- Larsson... Tu Larsson...
- To ja, Maria. Słuchał pan radia?
- Wróciła pani z Tre Torre?

A więc był w bibliotece. Jego głos był niższy niż zazwyczaj, brzmiał prawie odpychająco.

- Przeszkadzam może?

Milczenie.

– Przepraszam za wczorajszy wieczór. Chyba Marco z panem rozmawiał...

- Kiedy pani wróciła?
- W południe... Nie słyszał pan jeszcze?

– Teresa była w mieście. Opowiada o tłumach ludzi na Kwirynale. Rezydencja królewska jest ponoć rzęsiście oświetlona... Podobało się pani w Tre Torre?

– Rezygnuję z posady w ambasadzie. Jeśli pańskie zaproszenie jest jeszcze aktualne... Moglibyśmy w każdej chwili wyjechać do Tre Torre.

- Mówi pani poważnie?
- Oczywiście.
- Może jutro o tym porozmawiamy?

– Dlaczego nie umówimy się od razu dzisiaj? Potrzebuję... celu.

- Może pani w każdej chwili pojechać tam sama.
- Nie, sama nie. Chciałabym tam być razem z panem.

Niech się pan zgodzi.

- Kiedy?
- Potrzebuję pewnie jeszcze kilku dni. W środku tygodnia, pod koniec...

– Jutro przyjdzie pani jak zwykle?

– Jak zwykle. – Z ulicy dobiegło wołanie: „Gasić światło!” – To do jutra.

Odłożyła słuchawkę, ale zatrzymała na niej rękę, wypełniona wdzięcznością: Larsson był w jej życiu jak opoka.

Dobrze było mieć świadomość, że istnieje, że zawsze się do niego może zwrócić.

Później, w łóżku, w ciemnościach rozświetlanych tylko pomarańczowo lśniąca skalą radia, myślała o Saracinesco...

Zdawało jej się, że słyszy skrzypki, że czuje uścisk Marca w tańcu. Walczyła ze snem. Chciała czuwać, na jawie pograć się we wspomnieniach.

Byłam tam szczęśliwa, pomyślała, a potem, zanim na dobre zasnęła: kiedy będę mogła powiedzieć: teraz jestem szczęśliwa.

## CZEŚĆ TRZECIA

### 22.

Zapiski doktora Lennarta Larssona  
*Tre Torre, 31 lipca 1943*

Jesteśmy tu od dwóch dni – w domu trzech wież, mojej starej kryjówce, mojej twierdzy. Kiedy go kupowałem jako młody człowiek, myślałem, że to miejsce nada się do umierania. Dziś, jako człowiek stary, uważam, że dobrze nadaje się do życia – z nią. Byłoby lepiej, gdyby kolejność była odwrotna. Ale co to znaczy, lepiej? Jestem zazdrosny, i to też nie jest dobre.

Wszystko się wyjaśniło w czasie tamtego weekendu. Ona i Marco w Tre Torre. Oczami duszy widziałem wszystko, co nieuniknione. Powiedziałem sobie, że jeżeli jakakolwiek kobieta i jakiś mężczyzna są dla siebie stworzeni, to właśnie oni. I myśl następną: muszę ją przed nim chronić! Znam kobiety, z którymi Marco był od czasu Lipari. Ten nienasycony chłopak nie może się obejść bez kobiet.

Zawsze byłem taki dumny, że mogę bez tego żyć; tak, dumny. Moja wolność była dla mnie ważniejsza, dzisiaj uważam to za niedostatek.

Co za szaleństwo. Jeśli jestem zazdrosny o Marca, to musiałbym właściwie być zazdrosny o wszystko w jej życiu czego nie znam. Ale uczucia nie są logiczne, a te dwa dni w Tre Torre wystarczą, bym na nowo robił sobie nadzieje. Obserwacja z praktyki: młodych ludzi cierpienie często postarza; u starych może wywołać skutek przeciwny – odmładza. Marco daleko, a ja mam nadzieję! Jako młody lekarz w szpitalu uratowałem niejedno życie nie dlatego, że byłem lepszy od innych, ale ponieważ byłem na miejscu! Czy i tym razem mam nadzieję, że w odpowiednim momencie będę na miejscu?

Do uzupełnienia pozostaje nasze pożegnanie z Rzymem, ostatnie wrażenia stamtąd. W poniedziałek miasto ogarnął szal. Na ulicach i placach leżały zniszczone portrety Mussoliniego; ludzie zrywali, skuwali, rozdeptywali nogami *fasci*, wiązki różg, symbole obalonego reżimu. Wszyscy robią wrażenie przekonanych, że to już koniec.

Oficjalnie natomiast, zarówno w proklamacji króla, jak i nowego szefa rządu, marszałka Badoglio, mówi się o „kontynuowaniu wojny”; o tym, że nie wolno łamać słowa danego Niemcom, o „niewzruszonej wierze w nieśmiertelność ojczyzny...”

To ostatnie da się po prawdzie dość szeroko interpretować. Typowa jest może rzecz następująca: „Il Messaggero”, który dotarł do nas w poniedziałek przez szparę w drzwiach, zamieścił obie proklamacje na stronie tytułowej, łącznie ze zdjęciami króla i marszałka. Ktoś zadał sobie trud, by nad głową Wiktora Emanuela napisać słowa LA VITTIMA i IDIOTA, podczas gdy twarz marszałka Badoglio przeciął napis MERDOSO.

Głos ludu?

W każdym razie Teresa, najbardziej godna zaufania dostarczycielka wieści w takich wypadkach, wróciła z miasta z wiadomością, że wielu włoskich żołnierzy chodzi od domu do domu. Proszą o cywilne ubrania i wyrzucają mundury do



śmietników. A kiedy opuszczaliśmy Rzym, w czwartek, samochodem oddanym do dyspozycji przez szwedzką ambasadę – rzuciło nam się w oczy, że Niemcy prawie zniknęły z miasta.

Istnieje ogólne przekonanie, że w ciągu następnych dni zostanie podpisane zawieszenie broni.

#### *Tre Torre, 4 września*

Przez pięć tygodni nie robiłem żadnych zapisków w tym zeszytcie. Dzisiaj, być może ostatniego dnia naszego pobytu tutaj, kontynuuję pisanie. Czy dlatego, że wracamy do Rzymu? A może to zaproszenie na jutro skłoniło mnie do tego? Leży przede mną: drukowane litery, herb Varellich...

Piękny był dzisiaj dzień. Ogród wciąż jeszcze jest pełen kwiatów. Wieczory są tak ciepłe, że można zostać na tarasie, ale wolę miejsce przy kominku. Może będę tu siedział całą noc. Drewna wystarczy. Maria udała się już na spoczynek do swej „białej komnaty”, jak ją nazywa.

Jak zawsze, kiedy tu jestem, Rzym wydaje mi się nieskończenie daleki. Przez te sześć tygodni byliśmy tam tylko dwa razy – w sprawie paszportu Marii.

W dalszym ciągu panuje euforia, zwłaszcza od połowy sierpnia, od kiedy cała Sycylia jest w rękach aliantów. Dni reżimu marszałka Badoglio są policzone. Ostateczne zerwanie z Niemcami, lądowanie aliantów na kontynencie, oswobodzenie Rzymu, wszystko to przyjmuje się za fakty już dokonane...

Dla Teresy wszystko sprowadza się do problemu, czy papież pobłogosławi wkraczające wojska angielskie i amerykańskie – „w końcu to sami protestanci...” W gruncie rzeczy tu, w Tre Torre, ma się uczucie, jakby te sprawy rozgrywały się na innej planecie. Inne rzeczy są o wiele ważniejsze. Czas ma inny wymiar.

Nasz rozkład dnia wyglądał następująco: przed południem często wycieczka po okolicy. Pokazałem Marii balestrine,

Willę Hadriana i naturalnie Subiaco, gdzie w latach dwudziestych dokonałem tak zdumiewających odkryć. Prawie co dnia gdzieś się wybieraliśmy, poza dwoma czy trzema razami, gdy Maria wyruszała do Saracinesco sama, bo dla mnie droga była zbyt uciążliwa. Popołudnia spędzaliśmy w Tre Torre.

Maria jest zapaloną ogrodniczką i potrafi przekonać Carmela do wielu nowinek, które ja bezskutecznie mu proponowałem. Wieczorami katalogowaliśmy to, co się tutaj nazbierało w ciągu minionych lat i co teraz – ku uldze Lucetty – stoi w stosach skrzyń w garażu, gotowe do wywiezienia.

O Marcu rzadko rozmawiamy. Tak jak Rzym dla mnie tutaj nie istnieje, tak i Marco w miarę upływu czasu coraz mniej zaprzęta moje myśli. To, że Maria tak rzadko i tak mimochodem o nim wspomina, interpretuję naturalnie na swoją korzyść. Czasami wydaje mi się, że Teresa jest jedyną osobą, która mnie przejrzała. Nie, nie robi żadnych uwag, ale ma taki dziwny wzrok, kiedy siedzę z Marią przy śniadaniu, kiedy się śmieję, kiedy pytam, czy nie przysłano jeszcze sukni, którą dla niej zamówiłem u Fontany. Jej spojrzenie mówi: są różni głupcy, ale najgorsi są starzy głupcy!

Kocham Marię – po cóż temu przeczyć. Nie czynię sobie żadnych nadziei, codziennie sobie tego zabraniam, ale to nie zmienia faktu, że ją kocham. To moja wrodzona skłonność do rzeczy niemożliwych.

Młody szwedzki lekarz osiadający w Rzymie, nie znając żywej duszy, odnosi sukces. Niemożliwe! Dyletant prowadzący wykopaliska zostaje odznaczony medalem Winckelmanna. Niemożliwe!

A teraz Maria. Wzgardziłem kobietami, które mi ofiarowały miłość, a teraz...

Musiałem ruszyć w obce kraje, by znaleźć ojczyznę. Musiałem całe życie uciekać przed miłością, aby na stare lata paść jej ofiarą.

Być może Maria nigdy nie będzie moja, ale może także nigdy jej nie stracę! Straszna, egoistyczna myśl. Nie pragnę jej szczęścia, myślę tylko o sobie.

*Później*

Jutro rano, w sobotę, przyjedzie po nas samochód ze szwedzkiej ambasady. Marii cofnięto pozwolenie na topolino, a do rozpatrzenia mojego wniosku nie można po prostu znaleźć kompetentnego urzędnika. Jeszcze nie wiemy, czy zostaniemy w Rzymie, czy też wrócimy do Tre Torre. Maria wypowiadała się bardzo niezdecydowanie, kiedy ją pytałem, co by wolała. Ma nadzieję spotkać w Rzymie Marca. Wolałbym, żeby go tam nie było, wtedy Maria wróciłaby ze mną.

Z zaproszenia nie wynika, czy Marco będzie obecny. CONTE I CONTESSA VARELLI MAJĄ ZASZCZYT ZAPROSIC SIG. DOTT. LENNARTA LARSSONA NA KOLACJĘ DO VILLA TUSCULO, Via di Porta Latina, 5 września 1943, godz. 20.30, obowiązuje strój wieczorowy.

Maria otrzymała takie samo zaproszenie. To stare druki, na których znajduje się jeszcze ambasadorski tytuł Varellego. Mój smoking wróci więc do łask. Teresa pojechała wcześniej, by przygotować dom.

Cisza. Jedynie ogień na kominku i trzask płonących szczap.

Czasami ze stojących w wazonie na stole róż oderwie się pojedynczy płatek. Jak opisać ten odgłos, kiedy opada na drewniany blat? Jak kropla deszczu? Pocałunek złożony na czole śpiącej.

Czy tu wrócimy? A jeśli, co się wtedy stanie?

Nic nie da się porównać do uczucia oczekiwania na początek podróży. Nic nie da się porównać do uczucia oczekiwania na powrót do domu.

## 23.

Lancia sunęła równo, łagodnie i bezgłośnie. Szofer w czapce i jasnych rękawiczkach oddzielony był od nich szybą. Gdyby nie ruchy jego rąk na kierownicy, można by sądzić, że samochód sam z siebie odnajduje drogę na Via di Porta Latina.

Spóźnili się trochę. Właśnie zapadł zmierzch, ale wieczór nie przyniósł oczekiwanego ochłodzenia. Po długim pobycie w Górach Tyburtyńskich Maria musiała się na nowo przyzwyczaić do rzymskich upałów.

– Czy nie będzie panu przeszkadzało, jeśli otworzę okno?

Larsson, siedzący obok niej na tylnym siedzeniu lancii szwedzkiej ambasady ze szwedzkim szoferem, pokręcił przecząco głową.

– Mały przeciąg mi nie zaszkodzi. – Uśmiechnął się.

– Pani raczej tak.

Maria miała na sobie ceglastą szyfonową sukienkę kupioną przez Larssona. Sukienka była bez rękawów i miała dość głęboki dekolt. Maria nie mogła nigdzie znaleźć lakieru do paznokci w tym samym odcieniu. Na nogach miała ostatnią nową parę jedwabnych pończoch, a...

– O czym pani myśli?

– Niebezpiecznie jest stawiać kobiecie takie pytania. – Popatrzyła na niego – Myślałam o tym, jak kupowaliśmy razem tę sukienkę. O minach sprzedawczyń. Zawsze jest tak samo, kiedy idziemy na zakupy. Zastanawiają się, kim my możemy być. Ojciec z córką? Nie. Małżeństwo? Też nie, mężowie nie są tak uprzedzająco grzeczni. Pozostaje więc tylko jedno: ona jest jego kochanką.

– Powinienem panią częściej pytać o myśli, skoro otrzymuję takie pochlebne odpowiedzi. Bywają dni, kiedy dobrze

jest usłyszeć coś takiego.

- A dzisiaj jest właśnie taki dzień?
- Tak, dzisiaj jest właśnie taki dzień.

Maria odchyliła się na oparcie siedzenia. W smokingu było Larssonowi bardzo do twarzy. Czern podkreślała jego szczupłą sylwetkę i jego zdrową cerę. Nigdy nie odbierała go jako starego człowieka, chociaż on sam często robił do tego aluzje. Kiedy opowiadał jej historie ze swego życia, nigdy nie zapominał podkreślić, jak dawno temu się one rozgrywały: jeszcze chętniej czynił uwagi na temat rosnącej niesprawności swego ciała i demonstrował to, nie wychodząc nigdy na spacer bez laski. Teraz także miał ją ze sobą: czarną, z rączką z kości słoniowej, elegancką i dekadencją – bardziej rekwizyt dandyśa niż laska inwalidy.

Maria uśmiechnęła się do Larssona.

– Ja mam dzisiaj dobry dzień. Podobam się sobie w tej sukience. Już jak ją kupowaliśmy, miałam dużo radości. Nie tylko z powodu domysłów sprzedawczyń. Także po prostu z lekkomyślności, z jaką pan wydawał tyle pieniędzy na coś absolutnie niepotrzebnego. W porównaniu z krytycznym wydaniem dzieł Shelleya lub z płaskorzeźbą jest to przecież tylko kawałek materiału...

Szofer zwolnił, żeby nie przeoczyć ukrytego wjazdu. Już dobrą chwilę jechali wzdłuż muru, za którym rozciągał się park. Jeśli jej pamięć po tak długim czasie nie myliła, willę Tusculo można było zobaczyć pomiędzy potężnymi drzewami tylko w jednym, ściśle określonym miejscu.

- Czy to należy do posiadłości?
- Dolna część już nie.

Wyglądała przez okno. Ciągle mur. Teraz nagle, tak blisko celu, opadł ją znowu lęk. Ten lęk, z którym żyła na co dzień, czekając na powrót Marca. Dwa razy dzwoniła do jego matki, ale *contessa* Varelli wiedziała tyle samo, ona także nie

otrzymała od Marca znaku życia. Kiedy więc trzy dni temu nadeszło zaproszenie na kolację, Maria była pewna, że pojawił się ku temu szczególnie powód – że będzie tam Marco...

– O, jest dom.

Gdyby Larsson nie zwrócił jej uwagi, nie zauważyłaby. Willa, podłużna renesansowa budowla, stała na wzniesieniu. We wspomnieniach nie wydawała się jej tak duża. Czy to światło, szklista niebieskawość zmroku, podwajało wymiary? Dopiero potem zauważyła, że brakowało gęstej ściany drzew w tle. Lipy, buki, jesiony i eukaliptusy w dolnej części parku były ścięte. Pozostały tylko akacje po obu stronach wjazdu, rząd platanów poniżej domu oraz wysokie palmy o długich, nagich pniach i strzępiastych kitach na szczycie przed samym frontem.

Spojrzała pytająco na Larsa.

– A drzewa? Co się stało z drzewami?

Skinął głową.

– To było ostatniej zimy, w styczniu czy lutym. Mieliśmy takie temperatury, jakich nie pamiętam w Rzymie; bez śniegu, tylko straszliwe zimno. Ludzie wpadli w panikę. Gotowi byli zabijać dla zdobycia opału.

– Mówi pan, że obcy ludzie ścięli drzewa? Na opał?

– Ktoś musiał widocznie zacząć, a potem nie można już było tego zatrzymać. Niektórzy wzywali na pomoc karabinierów, ale *conte* Varelli tego nie chciał, a jego służba była bezsilna.

– A Marco? On też się przyglądał?

– Nie było go chyba w Rzymie.

Samochód przejechał pod kamiennym łukiem bramy, a Maria patrzyła, jak stary, zgarbiony człowiek zamyka za nimi wielkie żelazne odrzwia. Byli więc jedynymi, bądź ostatnimi, gośćmi. Droga wznosiła się i meandrami wiodła przez przetrzebiony park.

Znowu ogarnął ją lęk. Ślady w ziemi w miejscach, z których usunięto stare karpy korzeni, wzruszyły ją prawie do łez. A potem nagle przypomniała sobie ów wieczór, gdy przybywając z Berlina wylądowała w Rzymie. Jazda autobusem do miasta. Pierwsze parasolowate pinie, ich ciemne sylwetki w świetle księżycy, a później obcy mężczyzna, który jej powiedział, że Gianni nie żyje.

Czy to znowu był jeden z takich wieczorów? Czy w domu na wzniesieniu czekał ktoś, kto jej powie: Marco nie żyje?

Chwyliła Larssona za ramię. Coś w jej goście zdawało się go przerażać. Wpatrywał się w nią.

– Co się stało?

– Niech mi pan tego nigdy nie mówi!

– Mario! Co się stało? Czego mam nie mówić?

– Gdyby z Markiem coś się stało, nie chcę, żeby mi pan to mówił.

– Ależ Mario! Skąd pani to przyszło do głowy?

– Niech mi pan przyrzeknie! Niech pan przyrzeknie, że nie usłyszę tego od pana. Nie mogłabym panu wybaczyć... nigdy.

Samochód zatrzymał się tak samo spokojnie i miękko, jak jechał. Po lewej stronie stał dom: żółta fasada, mnóstwo okien. Na pierwszym piętrze prawie wszystkie okiennice były zamknięte.

Na tarasie stał wysoki siwy mężczyzna z ciemnowłosą kobietą. Pomachali do nich. Marca nie było nigdzie widać.

Dziwnie się prezentowały te dwie odświętnie ubrane osoby przed frontem wielkiego domu. Zanikające światło wyostrzało zarys ich postaci; wyglądali jak wycięci z metalu. Nie żywe istoty, lecz atrapy.

Byli rzeczywiście jedynymi gośćmi.

– Kiedy pomyślę, że dawniej spędzałam bezsenne noce opracowując rozsadzenie czterdziestu osób przy stole – *contessa* skomentowała ten fakt ze śmiechem. A na pytanie

o przetrzebiony park odpowiedziała uwagą: – Za to teraz mamy piękny widok na miasto.

Powitanie odbyło się na tarasie. Oba skrzydła drzwi wejściowych stały otworem, światło palące się w pokojach padało na taras, z pełnym lekceważeniem przepisów o zaciemnieniu. Dzień opóźniał swe odejście: w półmroku trawnik przed domem i grządki kwiatów obrzeżone niskimi bukszpanami miały niebieskawe zabarwienie.

Obaj panowie zatroszczyli się o aperitify. *Contessa*, w czarnej sukni pod szyję, wzięła Marię pod ramię i poprowadziła do kamiennej balustrady.

– No, jak tam ze wspomnieniem o przyjęciu na cześć pani ojca? Wciąż jeszcze zazdrosna o tę obcą kobietę, która z nim tańczyła?

Maria patrzyła na pogrążający się w mroku wieczoru park. Nie miała nastroju do konwersacji. Chciała wiedzieć tylko jedno, i zadała to pytanie nie zwlekając:

– Czy Marco przyjdzie?

Czuła na sobie spojrzenie *contessy*. Pełna lęku powtórzyła pytanie:

– Przyjdzie?

– Poleciałam nakryć dla pięciu osób. Ale ponieważ jestem przesądna, kazałam usunąć piąte nakrycie. Nakryje się, jeśli przyjdzie. Tak, liczę na to, że Marco przyjdzie. Przed pięcioma dniami otrzymałam od niego wiadomość.

– A więc nie jest pani pewna?

– Ależ tak, tylko najwyraźniej tak samo pełna lęku, jak pani.

– Dzisiaj się jeszcze nie pokazał?

– Nie... – Odwróciła się. Panowie wrócili na taras. – Idą nasze napoje. Piękna sukienka, ekstrawagancka, ale świetnie na pani leży...

– Dziękuję.



Maria przyjęła kieliszek z rąk pana domu – prosiła o białe wino. Stał przy niej, ale jego spojrzenie omijało ją nie zainteresowane, nieobecne. Podczas prezentacji odniosła wrażenie, że nie zrozumiał nawet jej nazwiska. Nie mogła odkryć jakiegokolwiek podobieństwa z Markiem. Także teraz, widziany z bliska, miał w sobie coś z atrapy człowieka: ciało z *papier mâché*, bez siły, bez ciepła, bez krwi.

– Słyszałem, że długo była pani poza Rzymem. Jak znalazła pani miasto po powrocie?

Maria zastanowiła się. Wrażenia po powrocie z Tre Torre były zbyt niejednoznaczne. Długie ogonki przed sklepami spożywczymi, dzieci żebrzące na ulicach, ranni żołnierze – a przy tym ta dziwna cisza w mieście; jak gdyby wolno było tylko szeptać, jakby wszyscy chodzili na palcach.

– Nie wiem... – Ale zanim zdołała odpowiedzieć na pytanie, przerwał jej.

– Proszę wybaczyć, widzę, że Larsson nie ma whisky.

Contessa wymieniła spojrzenie z Marią. Odczekała, aż mąż znajdzie się poza zasięgiem jej głosu i powiedziała:

– Niech mu pani tego nie bierze za złe. Nie zawsze był takim odludkiem. Jako ambasador był doskonałym gospodarzem. W Londynie mówiono o nim, że niemożliwością jest wydobyć z *conte* Varellego cokolwiek poza uprzejmym uśmiechem. Niech mu pani da czas... Bądź co bądź wyciągnął swój frak. Pani nie wie, co to za wyróżnienie. Od lat oglądam go tylko w tweedzie i flaneli. Oraz w brązowych butach! Do kolacji w starych brązowych butach! – Musnęła ręką ramię Marii. – Dzięki za piękne róże. Z Tre Torre, prawda? No i za kawę! Czy Larsson żąda jej jako honorarium od swoich niemieckich pacjentów?

– W nią zaopatruje go szwedzka ambasada.

*Conte* pojawił się w drzwiach razem z Larssonem.

– Dziewiąta! Możesz mi powiedzieć, na co jeszcze czekamy?

*Contessa* rzuciła okiem na ogród, na jasną wstążkę żwirowanej dróżki wiodącej ku domowi.

– Dobrze, zaczynamy.

Weszły za mężczyznami do domu. Stary, zgarbiony człowiek, który zamykał za nimi bramę, teraz gasił pochodnie i zakładał okiennice.

Przeszli przez werandę z jasnymi letnimi meblami, przez sień z wielkimi schodami, przez bibliotekę z ciemną boazerią i kasetonowym sufitem. Tak jak wygląd zewnętrzny, także i tu wszystko wydawało się Marii większe niż we wspomnieniach. Właściwie powinno być odwrotnie. To, co się wydawało wielkie we wspomnieniach z dzieciństwa, kurczyło się zazwyczaj, oglądane oczami dorosłego.

Byli teraz w podłużnej sali i *contessa*, jakby odgadując jej myśli, wskazała na otoczony licznymi krzesłami stół, stojący pośrodku, pod dwoma żyrandolami.

– To był dom mojego ojca, tutaj spożywano posiłki. Mniej niż dwadzieścia osób nigdy tu nie zasiadało: moi rodzice, dziadkowie, kilka ciotek, przybyłych z wizytą, no i my, dzieci. Ośmioro dzieci. Na strychu stoi cała kolekcja kołysek, dziecięcych łóżeczek, zabawek... Ten dom został po to zbudowany, dla wielu ludzi! Kiedy pomyślę, że moja matka czasami narzekała, że jest za mały! A teraz żyjemy w nim praktycznie we dwójkę.

– Marco nie mieszka tutaj, kiedy jest w Rzymie?

– Marco... nie... Właściwie to nierozsądne, taki olbrzymi dom dla dwojga. Pewnego dnia go sprzedamy. Może wtedy wejdzie tu jakaś ambasada albo dom stanie się główną kwaterą ludzi z Coca-Coli. A kiedyś go zburzą i postawią tu coś nowego, nowoczesnego i ohydneho...

A Marco? – pomyślała znowu, ale nie wypowiedziała tych słów. Próbowała go sobie wyobrazić w tym domu. Dorastał tutaj. Co dla niego znaczył?

– Czy ma pani dzieci, Mario?

- Nie. – Prawie dodała: na szczęście nie.
- Nas było ośmioro; osiem dziewczynek, niech sobie pani wyobrazi! Stara historia o tym, jak małżeństwo koniecznie chce mieć syna i za każdym razem rodzi się dziewczynka... Pomyślałam, że ja urządzę to lepiej. Chciałam mieć sześciu synów... Marco pozostał jedynym, po nim pojawiły się tylko trzy córki. A Marco też ma tylko jedną córkę... na razie. Jest jeszcze młody. Z nim jeszcze wszystko możliwe, prawda?

*Contessa* podkreśliła swoje słowa, obejmując Marię za ramiona i przyciągając ją lekko do siebie. Właściwie Maria powinna się czuć mile połączona oczekiwaniami, jakie żywiono w stosunku do niej, ale przestraszyła się ich. Czy był to tylko strach przed życzeniami, które się nigdy nie spełnią? A może jej mąż miał rację, osądzając ją jako egoistkę myślącą tylko o sobie? Może szczęście było tego dokładnym przeciwieństwem? Czy szczęście to myśleć o innych? Zapomnieć zupełnie o sobie?

Przez podwójne drzwi weszli do mniejszego pokoju. Pośrodku stał okrągły stół ze świecami, białą porcelaną, złotymi sztućcami i trzema kieliszkami z rżniętego szkła przy każdym talerzu. Cztery nakrycia!

- Przyjdzie.

Słyszała cichy głos *contessy*, widziała jej uśmiech, ale czuła tylko lęk.

## 24.

W kominku palił się ogień. Wszędzie stały świece. Poza tym jako źródło światła służyły jeszcze tylko małe lampki oświetlające malowidła na wyłożonej drewnem ścianie. Wszystkie ukazywały ten sam temat: żaglowce na wzburzonym morzu.

Obsługiwały ich dwie kobiety: młoda, zastraszona dziewczyna i niewiasta w nieokreślonym wieku. Miały na sobie czarne suknie do kostek z ozdobnymi białymi fartuszkami.

Maria siedziała obok *conte* Varellego, który rzeczywiście stopniowo się rozchmurzał.

– Córka Enrica! Kto by pomyślał. – Przysunął się trochę bliżej. Być może za sprawą światła świec, może od jedzenia i wina, w każdym razie jego cera nabrała kolorów, a oczy blasku.

– Wie pani, że Enrico, to znaczy pani ojciec, był także dobrym żeglarzem? To było wieki temu, jeszcze przed pierwszą wojną. W lecie Anglikom było tu, w Rzymie, za gorąco, więc przynosili po prostu całą ambasadę do Sorrento. Lepszy klimat i lepsze warunki do żeglowania! Były wtedy regaty na trasie Sorrento – Posilippo – Capri, o *Mediterranean Cup*. Enrico i ja zdobyliśmy go dwukrotnie. – Pokazał jeden z obrazów: – Na Lady Victorii! Fantastyczna łódka. Drewno tekowe i stal. Dobra w każdą pogodę. Zbudowana w Szkocji... Szkoci budowali wówczas najlepsze jachty.

Rozmowa pomiędzy *contessą* i Larssonem toczyła się wokół jakichś rzadkich wydań. Od czasu do czasu Maria napotykała wzrok Larssona. Pod uśmiechem skrywała się powaga, której nie potrafiła sobie wytłumaczyć. To zastanawiające: Larsson był człowiekiem, z którym spędzała najwięcej czasu, a mimo to panował między nimi ten sam dystans co na początku. Jeśli się dobrze zastanowić, to tygodnie spędzone w Tre Torre zwiększyły tylko dzielącą ich przepaść. Pewna poufałość, którą niesie ze sobą współzycie na co dzień, była ciągle przerywana momentami, kiedy traktował ją jak obcą, reagował nienaturalnie, nagle przerywając rozmowę i wycofując się do swego pokoju, gdzie godzinami przesiadywał w samotności.

– Czy ostatnio przyjmuje pan od swoich pacjentów kawę w charakterze honorarium? – *Conte* postawił Larssonowi to

pytanie nawiązując do jego prezentu. – Mając tyłu niemieckich pacjentów, znajduje się pan niejako u źródła.

– Nie, kawa jest wielkodusznym darem szwedzkiej ambasady.

– A więc ma dla mnie szczególną wartość. – *Conte* zwrócił się ponownie ku Marii. – To, co leży na pani talerzu, to nie jest po prostu bażant, jak pani być może przypuszcza. Właściwie jest to wydanie „Le vite de'più eccellenti pittori”... Vasariego. – Wymienił spojrzenia z żoną. – Trafilem, Melisso? Które to wydanie? Rzymskie Batonniego? Czy sienneńskie Della Valli z 1759 roku? Nasz drogi przyjaciel Perotti ma głowę na karku! Parę bażantów i zajęcy wymienia na Vasariego! – Dolał Marii wina. – Tak to u nas właśnie jest. Wszystko, co idzie na stół, to pierwodruki. Żywimy się książkami! Vasari zamienia się w mięso i dziczyznę. Carducci rozpuszcza się w kawie. Wczesne publikacje Dantego ulegają cudownej metamorfozie w warzywa i owoce. Cała biblioteka zamieniona w potrawy podąża drogą wszystkich śmiertelnych.

Brzmiało to żartobliwie, ale nie było wolne do pewnej nuty rezygnacji, a nawet goryczy.

Maria zastanawiała się, jak w tym domu przebiegało życie tych dwojga. Czy co wieczór zasiadali do tego stołu i pozwalała się obsługiwać tym dwóm kobietom?

Czy *contessa* poważnie rozważała sprzedaż domu? Tu się urodziła, pomyślała Maria. Spędziła tu całe życie i prawdopodobnie w tym domu umrze. Czyżbym jej tego zazdrościła? Przyjść na świat w jednym domu, żyć w nim i w nim umrzeć! Czy tego właśnie brakowało zawsze w moim życiu, czy tego zawsze szukałam? Miejsca, do którego mogłabym należeć!

My Canossowie jesteśmy ciągle w ruchu. Zaledwie sądzimy, że się osiedliliśmy na stałe, a już coś ciągnie nas dalej. Via dei Soldati, Tre Torre – to tylko przystanki. Będą inne. A gdzie się skończy? Jej ojciec. Gianni. Powietrzne duchy! Nic

z nich nie zostało. A ona sama? Gdzie było jej miejsce? Czy ona także była takim ludzkim pociskiem wytraconym z równowagi, niezdolnym do utrzymania toru lotu?

– Mario?

*Contessa* uniosła kieliszek w jej stronę w geście toastu, ale tak naprawdę po to, aby zwrócić jej uwagę na starszą z kobiet, które weszły do pokoju. Właśnie zaczęła układać na stole piąte nakrycie, pomiędzy *conte* i *contessą*.

Czyniła to powoli, ze starannością graniczącą z pedanterią: najpierw srebrna taca, potem porcelana, dalej sztucce, kieliszki, serwetka – cichy rytuał, który kazał zamrzeć rozmowie przy stole.

Maria znowu napotkała spojrzenie Larssona; poważne, badawcze spojrzenie raczej strażnika niż przyjaciela.

*Conte* uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Co to znaczy? Czyżbyśmy kogoś jeszcze oczekiwali?

– Naszego syna.

Zapadło milczenie. Żadnego wybuchu radości. Ani słowa ulgi. Nawet żartu.

Drzwi znowu się otworzyły. Dziewczyna wniosła potrawy na tacy. *Conte* potrząsnął głową, jakby dopiero teraz pojął.

– Typowe dla Marca. Nasz syn nie potrafi być punktualny.

Podczas gdy dziewczyna stawiała na stole półmiski, małżeństwo Varellich kontynuowało rozmowę z Larssonem i Marią, tak że wejściu Marca towarzyszyło wrażenie, jakby po prostu był spóźnionym gościem. On sam podjął grę: wszedł z zupełnie nieuroczystym pośpiechem, ucałował matkę w oba policzki, powtórzył ten gest w stosunku do ojca. Skłonił się lekko Marii, podał rękę Larssonowi i siadł na swoim miejscu z konwencjonalnym: „Przepraszam za spóźnienie.” Następnie rozłożył serwetkę na kolanach i skinął starszej kobiecie, stojącej w pogotowiu: „Dalej, Giorgino, umieram z głodu”.

Kobieta nałożyła mu porcję na talerz, napełniła kieliszek. Chciał już ująć sztucce i zacząć jeść, ale się opanował. Wziął kieliszek, spojrzał po obecnych: „Wasze zdrowie...”

Dotąd widywała go tylko w swobodnym ubraniu. W smokingu z czarną muszką i w jedwabnej koszuli wydawał się zupełnie inny. Syn rzymskiego *conte*, ostatni potomek starego rodu. Czy siedzący tam mężczyzna był prawdziwym Markiem? Czy tutaj to był jego właściwy świat – świat, w którym rodziny przez stulecia mieszkały w tych samych domach? Zakorzeniony Marco... A może prawdziwy był ten drugi; mężczyzna w spłowiałym bawełnianym ubraniu z białym psem – samotnik. Co było prawdziwe, a co udawane? Maria myślała, że go zna, ale teraz sobie uświadomiła, że wie, jak się nazywa i niewiele więcej.

Zniesienie następnej półgodziny wymagało dużego opanowania. Czekala tylko na tę chwilę, kiedy *contessa* podniesie się od stołu. Wreszcie nadszedł ten moment.

– Kawę wypijemy na werandzie.

Marco wstał, odsunął krzesło, podnoszącej się matce. Odeszła ku drzwiom, razem z mężem i Larssonem.

Obszedł stół, z ociąganiem kierując się ku niej. Ktoś po tamtej stronie zamknął podwójne drzwi. Świece na stole zamiotały w przeciagu.

– Mario...

– Kiedy wrócisz?

– Dopiero co.

– Przebrałeś się tu w domu?

– Tak...

Stał przed nią, chciał ją objąć, ale cofnęła się o krok.

– Nie... proszę nie...

– O co chodzi?

– Nigdy więcej tego nie rób! Nigdy więcej, proszę!

– Ależ, Mario!

– Jak mogłeś tak postąpić? – Nie mogła już powstrzymać napływających słów. – Jak mogłeś tu wejść i odgrywać tę komedię: „Przepraszam za spóźnienie.” Sześć tygodni nie mam od ciebie wiadomości! Nic, ani słowa. Umieram ze strachu. Sądzę, że cię już nigdy nie zobaczę... Minęło za dużo czasu. Przedtem, jak tu jechaliśmy, mogłam myśleć tylko o jednym – przyjedziemy i ktoś mi powie: Marco nie żyje. A potem otwierają się drzwi i wchodzisz ty, w smokingu, jak gdyby nigdy nic...

– Mario...

– Za bardzo się bałam – teraz nie umiem się cieszyć...

Otworzyły się drzwi i pojawiła się Giorgina z tacą w dłoniach.

– Przepraszam... sprzątnę później. – Wycofała się.

– Mario... – Objął ją ramieniem. – Zrozum, nie było możliwe przesłanie wiadomości.

– Proszę, nie! Nie chcę, żebyś się usprawiedliwiał, nie o to chodzi... – Starła się powstrzymać łzy. Szukała słów, jakichkolwiek, nieistotnych słów. – Obiecałeś mi coś przywieźć. Żebym wiedziała, gdzie byłeś.

Z konsoli przy drzwiach podniósł małe tekturowe pudełko. Maria otworzyła je i wzięła do ręki jedną z owych tanich pamiętek, które sprzedają wszędzie we Włoszech: blaszaną pozytywkę z tancerką na wieczku. Obrazek na pudełeczku ukazywał zatokę i miasto Palermo. Na błękitnym niebie napisano białymi literami PALERMO.

Poszukała jego wzroku, ale stał przy kominku i zapalał papierosa.

Maria nakręciła pozytywkę włożonym na stałe kluczykiem. Tancerka na wieczku zaczęła się obracać. W takt zabrzmiały metaliczne dźwięki melodii. To była tarantella.

– Palermo. Byłeś na Sycylii?



– W porcie znowu sprzedają te pudełeczka. Amerykanie oszaleli na ich punkcie.

– Uzyskać prostą odpowiedź na proste pytanie od syna dyplomaty, to chyba niemożliwe. Powiedz mi, jak się teraz można dostać na Sycylię?

– Tak samo jak zawsze – łodzią.

– Byłeś tam cały czas?

– Przez ostatnie tygodnie. – Rzucił niedopałek papierosa do ognia.

Stara zabawa w pytania i odpowiedzi, pomyślała, znowu się zaczyna. Ale Marco kontynuował z własnej woli:

– To się naprawdę wydarzyło, Mario! Dwa dni temu zostało podpisane zawieszenie broni między Włochami i aliancami! To nie przypuszczenie, nie plotka, a fakt. Byłem jeszcze tam, w Palermo, kiedy składali na papierze swoje podpisy! Zawieszenie broni! Najprawdziwsze z prawdziwych zawieszenie broni!

Widziała jego radość i wszystkie lęki, które przeżyła z jego powodu, wydały się jej nagle absurdalne. Dla niego Palermo było wielkim przeżyciem, dla niej nie. Żył w świecie, który był jej obcy i na zawsze taki pozostanie – żył w świecie mężczyzn.

– Nie słyszeliśmy nic o zawieszeniu broni.

– Podadzą to do wiadomości, jak tylko nastąpi desant na stały ląd.

– Desant? To oznacza wojnę!

Objął ją ramieniem.

– Już nie naszą wojnę. My skapitulujemy. To koniec.

– Kiedy?

– Wkrótce.

– Co to znaczy? Za tydzień? Za miesiąc? Za rok?

– Za tydzień.

– Naprawdę? – A potem pomyślała: tydzień może być nieskończenie długi. – Czy tylko ten wieczór mamy dla siebie?

– Dlaczego? Myślałem, że przy tej pogodzie pojedziemy nad morze. Ojciec trzyma w Santa Marinella starą łódź. Żadne wspaniałości, ale zawsze łódka. Mamy tam także domek. Co o tym sądzisz?

– Byłoby bardzo pięknie...

– Moglibyśmy wyruszyć jutro, wczesnym rankiem.

– I zostaniemy tam?

– Dwa-trzy dni, jak długo pogoda się utrzyma.

– A dzisiejszej nocy?

– Moi rodzice...

– A potem?

– Potem mógłbym sobie przypomnieć, że posiadam pewien klucz... Ładnie wyglądasz. Ta sukienka jest nowa, prawda?

– Prezent Larssona, od Fontany. Nagroda za skatalogowanie jego kolekcji archeologicznej w Tre Torre.

– Byłaś w Tre Torre?

– Praktycznie cały czas. Czekał, muszę ci coś pokazać. – Z wieczorowej torebki wyciągnęła swój włoski paszport.

– Jestem na nowo Włoszką! Już oficjalnie. Łącznie z nazwiskiem. O, tu, popatrz. – Otworzyła na stronie z danymi osobowymi. – Maria Canossa.

– Porzuciłaś pracę w niemieckiej ambasadzie?

– Od razu wtedy... – Pomyślała o ostatnim niedzielnym dyżurze, o rozmowie z Winterem.

– O co chodzi?

– Muszę ci coś powiedzieć. Radca Winter...

– Jutro. Nie możemy kazać innym dłużej czekać.

– Naprawdę jutro? Wiesz, pierwszy raz dokładnie wiem, kiedy cię znowu zobaczę!

Wzięła do ręki pozytywkę.

Mechanizm wydał z siebie jeszcze kilka dźwięków, a długonoga tancerka w krótkiej czerwonej spódniczce z wysoko uniesionymi ramionami okręciła się, podrygując na małej tarczy...

Później, w drodze powrotnej, siedząc z tyłu obok Larssona, trzymała pudełko z pozytywką na kolanach. Nie zostali długo. Larsson dążył do zakończenia wizyty.

– Kawa o tej porze mi nie służy. Owszem, jedną whisky mogę jeszcze wypić. Ale tylko jedną. – Maria była mu za to wdzięczna.

Zobaczy się z Markiem. Będzie czekać, leżeć w ciemnościach i czekać, pełna niecierpliwości i zwątpienia, czy rzeczywiście zechce przyjść. Będzie leżeć, nasłuchiwać i czekać i z każdą chwilą coraz intensywniej czuć, jak bardzo go kocha...

– A jak wyglądają nasze plany?

W ciemnościach panujących w samochodzie nie mogła widzieć jego twarzy, jedynie ręce wsparte o gałkę z kości słoniowej wieńczącą jego spacerową laskę.

– Plany?

– Pojedzie pani ze mną znowu do Tre Torre? Nie dziś, nie jutro. Może kiedyś...

– Jadę z Markiem nad morze na dwa-trzy dni. Potem...

Marco prosił ją, aby nie rozmawiała z nikim o Palermo ani o tych sprawach, o których jej powiedział.

– Nad morze?

– Jest tam łódź należąca do ojca Marca.

– Nie wiedziałem, że pani żegluje.

– Ja też nie.

Samochód sunął łagodnie. Ulice, którymi jechali, były puste. Maria nie mogła się zorientować, gdzie byli.

– Dokąd jedziemy?

– Odwiezie najpierw panią na Via dei Soldati.

– Wystarczy, jeśli zatrzyma się przy moście.

– Jest późno. Lepiej, żebyśmy odstawili panią do samych drzwi.

– Która godzina?

– Po północy.

Coś w jego głosie ją zastanowiło.

– O co chodzi? Dziś wieczorem spojrzął pan na mnie kilka razy tak dziwnie... Czy uraziłam pana w jakiś sposób? Czy zachowywałam się nie tak?

Zaśmiał się, ale nie zabrzmiało to radośnie.

– Dziwnie na panią patrzyłem? Przykro mi... Widocznie nie mam dziś dobrego dnia.

Nie rozmawiali już więcej, dopóki samochód nie zatrzymał się na Via dei Soldati. Zapomniała o jego pytaniu, czy pojedzie do Tre Torre, a on już jej o tym nie przypomniał.

## 25.

Wynurzyła się ze snu łagodnie, nie budząc się do końca. Było to jak szybowanie, uczucie, że wystarczy tylko rozłożyć ramiona, a polecą... To jest szczęście, pomyślała w półśnie, a potem całkiem już przytomnie: to prawda, rzeczywistość – jestem szczęśliwa!

Wyciągnęła rękę w jego stronę, ale go nie znalazła. Nie leżał obok niej. Nigdy się nie budziła, kiedy wstawał wczesnym rankiem i schodził nad morze. Kiedy wychodził, musiało być jeszcze zupełnie ciemno, ponieważ dopiero gdy wracał ze swojej przedziwnej porannej wędrówki po plaży, zaczynało świtać...

Obróciła się i spojrzała przez wąskie okno. Na niebie pojawiła się pierwsza szarość dnia. Słyszała morze, uderzenia fal o brzeg. Domek stał niecałe sto metrów od wody, na palach wbitych w zbocze. W porze przyptywu, jak teraz, woda była jeszcze bliżej.

Pomyślała, że gdyby teraz podeszła do okna, zobaczyłaby ten sam obrazek, co przez trzy poprzednie dni: ostatnie,

coraz bledsze gwiazdy; niebo zmieniające barwy; coraz jaśniejsze morze. A na plaży wśród pojedynczych pinii mężczyzną z białym psem...

Nie podniosła się, nie podeszła do okna. Zamknęła oczy i obróciła się do ściany. Domek składał się tylko z dwóch małych pomieszczeń. Łóżko stało w drugim z nich.

Czekała. Usłyszy otwierające się drzwi, jego kroki, jego głos, nawołujący ją cicho po imieniu. Jak poprzednio – nie odpowie. Uda, że śpi, z twarzą zwróconą ku ścianie.

Odbierała wszystko, co się działo za plecami: ociąganie się, rozbieranie... Jego ciało będzie zimne. Chłodne dłonie i chłodne usta na jej gorącej skórze. Nie poruszy się. Spędzili razem noc, a jednak znowu go pragnęła, obezwładniająco, paląco...

Leżała z rozgrzanym ciałem, powstrzymując oddech. Czas, jakiego zazwyczaj potrzebował na spacer, minął. Nasłuchiwała odgłosu fal; czekała. Nie nadchodził. Wreszcie wstała, podeszła do okna, otworzyła je.

Odgłos przyboju zbliżył się. Niebo i morze, nocą stopione w jedno, rozdzieliły się na nowo. Jeszcze krótka chwila i wstanie dzień. Marco nadchodził plażą od strony przylądka Linara. Wiodły tam trzy kilometry pustej, osamotnionej plaży. Pierwszego dnia zastanawiała się, czy może spotykał się z kimś na przylądku, ale było to chyba nieprawdopodobne.

Obserwowała postać na plaży. Szedł tuż nad wodą, tam, gdzie docierały ostatnie fale. Był boso, bawełniane spodnie podwinął wysoko. Na koszulę założył kurtkę. Pies był z nim, biegł tuż przy nodze, tylko czasami uciekał przed pojedynczą falą.

Dotarli teraz do miejsca, z którego zwykle skręcali ku domkowi. Na piasku można było zobaczyć ślady pozostawione, gdy szli pływać lub żeglować. Łódź leżała trochę dalej, przy kładce. Z Santa Marinella droga wiodła tu tylko wodą.

Marco zatrzymał się. Nie spojrział w górę ku domkowi, lecz ku otwartemu morzu. Zrobił krok w stronę nadpływających fal, potem drugi. Woda zmoczyła mu nogi, ale zdawał się tego nie zauważać. A potem i ona zobaczyła: rząd szarych okrętów na horyzoncie. Płynęły na południe.

Marco odwrócił się, spojrział na domek. Nie mógł jej dostrzec, mimo to cofnęła się od okna, czekała, co się stanie.

Ruszył w stronę łodzi. Część kładki leżała pod wodą. Podwinął nogawki jeszcze wyżej i podszedł przez wodę ku łodzi. Pies nie pobiegł za nim; kiedy ruszali w czasie przyprływu, Marco musiał go wnosić na pokład.

Nagle poczuła chłód tego wrześnieowego poranka. Wiatr zmienił kierunek. Z nieba ustąpiła szarość. Morze lśniło, fale niosły na grzbietach białe koronki piany. Marco był teraz na łodzi. Czy zdejmował brezent? Mocował ster? Tak, to chyba koniec wakacji nad morzem. Nawet gdyby teraz wróciła do łóżka, gdyby udawała, że śpi – jego głos, nawołujący jej imię, będzie brzmiał inaczej. I ona inaczej zareaguje...

Ubrała się. Spakowała do kosza te kilka rzeczy, które wzięła ze sobą. Wyniosła nakrycia do śniadania na mały ganek, osłonięty krzewami oleandrów. Marco był ciągle zajęty na łodzi.

Usiadła na drewnianych schodkach domku i czekała. Był już jasny dzień. Wiał chłodny wiatr, ale słońce przygrzewało. Ten wrzesień był jak cud! Kiedyż to morze bywało takie ciepłe o tej porze roku? Na horyzoncie wciąż przeciągały okręty.

Marco zostawił łódź i szedł do domku. Brzegi nogawek miał mokre. Kurtkę trzymał w ręku; jeden z rękawów ciągnął się po ziemi.

Stała przed nią, spojrział z uśmiechem na nakryty stół.

– Kiedy wstawałem, mocno spałaś.

Skinęła głową. Patrzyła na niego i czuła, jak go pragnie. Podniosła się i objęła go ramionami.

– Powinieneś był mnie obudzić. – Wsunęła mu dłoń pod koszulę. Czuła chłód gładkiej skóry, czuła jego ciało. – Nie powinieneś dać mi w ogóle spać. Przespałam całe życie.

– Zapamiętam to sobie.

Tego ranka było między nimi jakoś inaczej. Nie tak reago-  
wał na jej uściski, jego śmiech zatrzymywał się na wargach.  
Stary niepokój, o którym prawie zapomniała przez minione  
trzy dni, pojawił się znowu.

– Przygotowałeś łódź?

– Tak. Co jest na śniadanie?

– Wracamy do Rzymu?

– Przemaszerałem dwie godziny. Umieram z głodu. W  
tej chwili to wszystko, o czym myślę.

Golił się, gdy przygotowywała śniadanie. Mogła się nie  
spieszyć, bo golenie trwało u niego długo: potrzebował gorą-  
cej wody, dwóch żyletek, jeszcze raz gorącej wody i dwóch  
ręczników, jednego na gorący, drugiego na zimny kompres...

Co do ubrania był niedbały, ale do swego ciała odnosił  
się z największą troską. Być może stąd te poranne wędrówki,  
żeglowanie, pływanie na długich dystansach. Wszystko, co  
było związane z jego ciałem, było ważne. Jak gdyby je po coś  
trenował; jakby od pełnego panowania nad nim zależało jego  
życie.

Obserwowała go przed lustrem. Pod gładką, opaloną skórą  
poruszały się łopatki; każdy ruch głowy uruchamiał mięśnie  
karku. Mogłaby mu się tak przyglądać całe wieki.

– Zawsze uprawiałeś dużo sportów?

– Ja, sportów? Nie sądzę. W szkole najbardziej nienawi-  
dziłem wychowania fizycznego. Kozioł, poręczce, kółka, dra-  
binki, drażki, te wszystkie narzędzia tortur. Zawsze miałem z  
tego mierne oceny. Raz nawet na świadectwie napisano uwa-  
gę, że jestem „zniewieściały”.

– A latanie?

– Latanie to co innego. Czy zwróciłaś kiedyś uwagę na to, ilu lotników ma nadwagę? Wielu z nich pije. I prawie wszyscy mają niezliczone przygody z kobietami.

Studiowała jego gołe stopy.

– W każdym razie masz najpiękniejsze stopy, jakie kiedykolwiek widziałam u mężczyzny.

– Naprawdę? – Zaskoczony spojrział na swoje nogi. – Jesteś ekspertem w tych rzeczach?

– Nie, tylko jestem zazdrosna.

– Przez większą część roku na Lipari nie potrzeba butów – w tym cała tajemnica. Przynajmniej tyle zawdzięczam faszystom.

Uśmiechnął się. Był to uśmiech przeznaczony dla niej, ponieważ wiedział, że na niego patrzy.

– Nienawidzisz faszystów, prawda?

– Tak.

– A kiedy się to wszystko skończy? Jak już nie będzie faszystów?

Ta nienawiść do faszystów była tak bardzo częścią jego natury, że czasami zadawała sobie pytanie, co się stanie, kiedy zabraknie przedmiotu nienawiści.

– Kiedy to się skończy? Wtedy przyjedziemy tutaj. Będziemy żeglować. Będziemy...

Jego śmiech jej nie zmylił.

– Naprawdę chciałabym to wiedzieć! Ty też na pewno się nad tym zastanawiałaś, prawda? – Nagle nie była już taka pewna, czy w ogóle interesuje go przyszłość.

– Co za pytanie! Przypuszczalnie będę robił to samo, co robiłem przez ostatnie lata.

– Handel antykami?

– Zaproponuję mojemu ojcu stanowisko ambasadora. Może nawet w Londynie. Rodzice pojedą do Anglii, a ja przejmę sklep na Via del Babuino.

Próbowała wyobrazić sobie Marca w sklepie.

– Nie potrafię powiedzieć, czy tam pasujesz.



– Byłoby dobrze, gdybyś się przyzwyczaiła do tej myśli.  
– Po prostu nie mogę sobie tego wyobrazić, tylko tyle.  
– A ty? Możesz sobie wyobrazić siebie na miejscu mojej matki?

– ...to już prędzej.

– No to będzie tak: ty będziesz prowadziła sklep, a ja będę jeździł i usidlał starsze panie, żeby się rozstawały ze swymi drogocennymi pierwodrukami.

– Starsze i młodsze panie... Tak, to akurat łatwo mogę sobie wyobrazić. – Spoważniała. – Naprawdę zadowolilibyś się tym – takim całkiem szarym, całkiem mieszczańskim życiem, bez ryzyka, bez przygód?

– Czy nie wspominałaś czegoś o śniadaniu? W tej chwili jestem całkiem zwyczajnie i po mieszczańsku głodny.

Zapaliła małą dwupalnikową kuchenkę. Dlaczego nie odpowiedział na jej ostatnie pytanie po prostu „tak”? Chciała tylko usłyszeć „tak”. Ale czy nie powiedział właśnie, że mógłby sobie wyobrazić życie, w którym miałyby swój trwały udział? To było więcej niż kiedykolwiek przedtem przeszło mu przez gardło.

Wyniosła jedzenie na zewnątrz. Jej własne śniadanie składało się zwykle tylko z filiżanki kawy. Marco przeciwnie, jadł śniadanie według angielskich zwyczajów: herbata, gorące mleko, jajka i szynka, ser, konfitury, grzanki. Potem mógł obyć się bez jedzenia przez cały dzień; podczas wycieczek żaglówką musiała mu zawsze przypominać, jak długo już byli na morzu...

Przez chwilę milczeli. Nie było kawy, więc Maria piła herbatę. Miała gorzki smak. Słońce stopniowo się wznosiło, robiło się cieplej. Od strony plaży słychać było szum fal, tylko czasami przerywany pomrukiem silników pojedynczych samolotów ciągnących wysoko po niebie.

Kiedy na niego patrzyła, kiedy ich spojrzenia się spotykały,

znów czuła w sobie pożądanie. Im bardziej starała się to przed nim ukryć, tym stawało się silniejsze.

– Czy naprawdę musimy wyjechać?  
– Muszę wrócić do Rzymu na kilka dni. Najwyżej na tydzień.

– A gdybym tu została i poczekała na ciebie?  
– Nie czułbym się dobrze w takiej sytuacji. Możesz przecież pojechać znowu do Tre Torre... na te ostatnie osiem dni. Obiecuję: to ostatni raz, kiedy się...

Maria przechyliła się prędko i położyła mu dłoń na ustach. Zdawał się być zdziwiony jej gestem.

– Nie lubisz, kiedy coś obiecuję?  
– Nie chcę żadnych obietnic. Chcę tylko, żebyśmy zostali jeszcze jeden dzień.

– Wrócimy. Jeszcze wiele dni będziemy razem.

Nie miała na to żadnego rozsądnego argumentu, ale wydawało się jej niezmiernie ważne, żeby go przekonać. Żeby zostali tu jeszcze ten jeden dzień.

– Żadnych obietnic. Tylko ten jeden dzień, więcej nie żądam.

– Muszę wrócić.

– Boję się, Marco. Boję się stąd wyjeżdżać. Boję się rozłąki.

Te trzy dni nad morzem znaczyły dla niej więcej niż cokolwiek dotychczas w życiu. Nie chciała, by to się skończyło. I nie rozumiała, że dla niego istniało coś, co było ważniejsze. Gdyby chociaż wiedziała, co go właściwie zmuszało do powrotu do Rzymu.

– Może mogłabym cię zrozumieć, gdybyś mi powiedział prawdę.

– Prawdę? – Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. – Prawda...

– Tak. Co cię porusza... Na co masz nadzieję... Dlaczego to wszystko robisz?

- To wiele pytań.
- Nigdy ich sobie nie stawiasz?
- Nie. – Zastanawiał się. – W każdym razie już nie. Znałem ludzi, którzy stawiali sobie zbyt wiele pytań
  - wszyscy nie żyją. Jeśli ja jeszcze żyję, to może dlatego że odzwyczaiałem się od stawiania pytań. – Jego wzrok ominął ją i powędrował ku morzu.
  - Możesz ze mną o tym porozmawiać?
  - To tak dawno temu – to znaczy początki. Zaczęło się, jak sądzę, od mojego ojca. Kiedy go pozbawili funkcji i kiedy musiałem się przyglądać, co się z nim potem stało. To ma też związek z Lipari. Ma związek z moim małżeństwem, z faktem, że moja żona żyje z faszystą, że moja córka w gruncie rzeczy nie jest już wcale moją córką, lecz jakąś obcą dziewczyną... Mógłbym powiedzieć, że ma to też związek z tym krajem, z tą przeklętą wojną. Wiele się z tym łączy, ale prawdziwy motyw jest bardzo osobisty, bardzo egoistyczny. To, co robię, jest formą prywatnej *vendetty*. Chodzi o honor rodu. Mszczę się za rzeczy, które mi odebrano: cztery lata mego życia, moją żonę, moją dumę... Czy naprawdę chcesz to usłyszeć?
  - Tak.
  - Jest wiele sposobów odgrywania roli bohatera. Mojego nawet sobie nie wybierałem. Wtedy, w Anglii, byłem za młody, by przewidzieć skutki. Podczas szkolenia wielokrotnie chciałem pożegnać się z tą całą sprawą. Jest tam taka niemila część... – Jego uśmiech był twardy i zacięty.
  - Skoki ze spadochronem! Do dziś pamiętam, jak pierwszy raz stałem przy drzwiach, bałem się i nie chciałem skończyć... Ale nie zrezygnowałem, wytrzymałem. Nienawiść jest uczuciem o wiele silniejszym niż wszystkie inne.
- Maria spojrzała na niego pytająco.
- Wiesz, większość ludzi określiłaby mnie mianem zdrajcy. Jako terminu zawodowego używa się słowa: agent... Jest

wiele sposobów walki w tej wojnie. To jest sposób, który mi odpowiada. Pasuje do mnie, do mojego charakteru. Ja... Kocham tę grę. Kocham tajemniczość... Maria pomyślała o Gian-nim.

– Ale w tej grze giną ludzie.

– Niektórzy giną, ale ci, którzy przeżywają, robią dalej swoje z zamkniętymi oczami. To należy do gry. W końcu chodzi tylko o to, kto dłużej wytrzyma... I co, lepiej ci teraz, kiedy znasz prawdę?

– A „Shelley” – co znaczy „Shelley”?

– Dwie rzeczy. To imię i szyfr... i dodatkowy dowód mojej próżności... Wówczas gdy chodziło o nadanie mi pseudonimu, zostałem poproszony o propozycję. Do dziś widzę te twarze, na pół wystraszone, na pół mile zaskoczone, kiedy podałem tę nazwę. Shelley? I tak stałem się Shelleyem. A kiedy trzeba było znaleźć szyfr, znowu musiał być Shelley.

– Ta żółta książka?

– „Prometheus unbound”, wydanie Gisborne'a.

– Czy to dla Anglików... pracujesz... jako agent?

– Tak. Ale z tym już koniec. Shelley nie żyje, a Rzym strzeże jego prochów.

– Skoro to się skończyło, możesz mi wszystko powiedzieć. – Cieszyła się, że nakłoniła go do mówienia. Ale chciała wiedzieć jeszcze więcej. Uczestniczyć we wszystkim, co go dotyczyło. Nie chciała już być wykluczana z jego życia.

– Ja... wszyscy jesteśmy tylko małymi kółeczkami w wielkiej maszynie. Tą maszyną jest inwazja, desant na włoskim stałym lądzie. Ale pojedyncze kółeczko zna tylko małą część. Shelley, to znaczy ja, był odpowiedzialny za to, co nazywamy „ruchem powietrznym” w rejonie Rzymu. Potrzebni byli określone ludzie do określonych zadań. Tu w Rzymie. Przylatywali samolotami. Miałem dla nich znajdować lądowiska. Wyszukiwałem odpowiednie miejsca i nadawałem informacje, miejsce, dzień, godzinę. Przyjmowałem tych ludzi,

zapewniałem im nocleg na pierwszą noc. I to wszystko. Kim byli, dokąd się udawali, jakie mieli zadania – to nie była moja sprawa.

– A von Boldt? Pracował dla ciebie?

– Mówię ci, że to się skończyło. Shelley nie żyje.

– To brzmi prawie melancholijnie.

– Naturalnie, że brzmi melancholijnie! Kiedy przygoda się kończy, zawsze pozostaje trochę smutku.

Coś w jego głosie wzbudziło jej nieufność. Ironia nie była prawdziwa. Chciał ją przekonać, że to wszystko było dla niego grą... A może to sobie sam wmawiał. Ale wyczuwała w nim jeszcze coś innego, śmiertelną powagę. Ta powaga budziła w niej lęk. Było coś, co przed nią ukrywał.

– Skoro wszystko się dla ciebie skończyło... po co musimy wracać do Rzymu?

– Proszę, nie pytaj więcej. Mam tam jeszcze jedno zadanie, tylko jedno. Coś innego niż dotychczas... to znaczy, to nie jest niebezpieczne. Nic, co mogłoby mnie kosztować życie.

Zrozumiała, że w tej chwili nie dowie się więcej. Ale może dotrze do celu okrężną drogą. Opowiedziała mu o rozmowie z Winterem owej niedzieli w ambasadzie.

– Radca Winter?

– Tak.

Mówiła dalej, o fotografiach, starała się oddać rozmowę z Winterem możliwie dosłownie. Marco nie pytał o nic, jedynie słuchał uważnie. Nie spuszczała go z oczu; zauważyła, że pod prawym okiem zaczął mu drgać mały mięsień. Może uda jej się go jeszcze przekonać i zostaną tutaj...

– Nigdy nie zdołałam wyrobić sobie jednoznacznego zdania o Winterze. Wtedy miałam wrażenie, że można by mu zaufać.

– Wspomniał o Gottfriedzie von Boldcie?

– Ani słowem.

- Czy von Boldt jest jeszcze w ambasadzie w Rzymie?
- Od tygodni już tam nie byłam... Czy to by cokolwiek zmieniło? To znaczy, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy tu zostali? Boję się, Marco! U rodziców, kiedy nagle ukazałeś się w drzwiach – to był szok. Po prostu nie wierzyłam już, że cię kiedykolwiek zobaczę żywego. Jeśli człowiek długo się lęka, nadchodzi moment, kiedy już nie potrafi się cieszyć, rozumiesz? Nie ucieszyłam się, zobaczywszy ciebie u twoich rodziców. To, co wtedy czułam, to była raczej nienawiść. Wobec ciebie, bo z twojego powodu się bałam... Kocham cię...
  - Nie zniknę znowu na długie tygodnie. – Wziął ją za rękę. – Musisz mi uwierzyć.
  - Nagle mam tak wiele do stracenia! Kocham cię... Te trzy dni tu nad morzem... w całym moim życiu nie byłam tak szczęśliwa.

Podniósł jej rękę do ust, ucałował wnętrze dłoni.

Zatrzymać czas, pomyślała, chciałabym móc zatrzymać czas. Jeszcze był przy niej. Zamkną domek, założą okiennice, zniosą rzeczy do łodzi. Pożegnają wspólnie do Santa Marinella, gdzie na przystani jachtowej zostawił swój samochód, inny niż poprzednio. Popatrzyła na morze. Przy tym słabym wietrze będą potrzebowali dobrej godziny, by dotrzeć do Santa Marinella. Jedna godzina. Potem jeszcze droga do Rzymu. Dalej nie chciała myśleć.

Nie było piękniejszej drogi niż Via Aurelia. Pamiętała jeszcze pierwszy raz, gdy Gianni przyjechał po nią samochodem z Rzymu do La Spezii: po jednej stronie rozległy błękit Morza Tyrreńskiego, po drugiej kopce z grobowcami etruskimi, a za nimi owiane mgiełką góry. Tego poranka było prawie bezwietrznie. Morze było spokojne, gładka zielonkawa toń. Po przeciwnej stronie, na wyciągnięcie ręki, głęboki granat gór. Wtedy, podczas jazdy z Giannini, była burza i wiatr pokrył

auto cieniutką warstwą piasku z wydm. Od tej pierwszej podróży do dzisiaj minęło już ponad dwanaście lat! Ale nie chciała myśleć o przeszłości ani o przyszłości. Liczyła się tylko terażniejszość.

Minęli już Palo, gdzie Via Aurelia oddała się od morza na wschód, w kierunku Rzymu. Oboje milczeli. Marco trzymał kierownicę jedną ręką. Lewa wystawała przez otwarte okno. Od czasu do czasu zaciągał się papierosem.

Samochód miał z przodu jedno długie, wąskie siedzenie. Tak jak poprzedni był przebudowaną ciężarówką, jeszcze starszą, jeszcze bardziej zniszczoną. Hamulce były słabe, opony zdarte, a prędkościomierz nie działał.

Na pace nie było mebli, tylko drewniane skrzynie z narzędziami i instrumentami oraz łopaty. Z tyłu wystawało kilka łat mierniczych, na końcach miały przyczepioną czerwoną szmatkę. Na bocznych ściankach ledwo widać było napis: ELIGIO MARTELLI, TERRACINA. Miejscowość leżała około stu kilometrów na południe od Rzymu, nad morzem.

Już podczas jazdy do Santa Marinella pod bagażami na pace Maria odkryła fibrową walizkę. A więc Marco był w Saracinesco, u Don Vincenza, który przechował mu walizkę z wbudowaną radiostacją. A może to była inna walizka? I skąd miał ten samochód? Może posiadał również papiery ciężarówki na nazwisko Martelli? Pytania, których nie zadała, bo z góry wiedziała, że na nie nie odpowie...

Tymczasem słońce znalazło się wysoko na niebie i w samochodzie zrobiło się gorąco, mimo otwartego okna. Na horyzoncie gromadziły się szare obłoki; dziwne, postrzępione twory. Zdawały się podnosić z ziemi, jak dym, z ciemnym wnętrzem i jaśniejszymi brzegami. Od czasu do czasu coś w tej szarości rozbłyскиwało.

– Co to jest?

Marco zjechał na pobocze, zatrzymał się pod jednym z

zakurzonych platanów i wyłączył silnik.

Nad horyzontem piętrzyły się chmury, z których wybijały się czerwone i żółte płomienie. To nie były obłoki, to ogień, potężny pożar, płonące miasto. Oboje pomyśleli o tym samym: bombardowane miasto. Nie słyszeli żadnych samolotów, nie słyszeli też uderzeń i eksplozji bomb – widzieli tylko pożar.

– Czy to Rzym?

Marco potrząsnął głową.

– Raczej dalej. Przypuszczalnie Frascati.

– Dlaczego Frascati?

– Główna kwatera Niemców.

– Strasznie to wygląda.

– Przerwie ich łącza informacyjne. Tak, jestem prawie pewny, że to Frascati. – Jego twarz była poważna, głos stłumiony, tylko oczy go zdradzały; płonęły nienawiścią.

– Musimy jechać dalej. – Stał przed nią w rozpiętej koszuli, opalona skóra błyszczała od potu.

Maria zdjęła medalik, który nosiła na szyi.

– Gdybym ci go dała – nosiłbyś go? – podała mu medalik na otwartej dłoni, owalny złoty amulet na cienkim złotym łańcuszku.

– Co to jest?

– Medalik Marii z Aracoeli. Noszę go już całe wieki.

– A co on może sprawić? – Uśmiechnął się.

– Nic... albo wszystko, w co się wierzy. – Wydała się sobie nagle dziecinna i zamknęła dłoń wokół medalika.

– Pomyślałam o twoim prezencie, o tancerce na pozytywce. A potem o tym, że nic ode mnie nie dostałeś.

Rozprostował jej palce i wyjął z nich łańcuszek. Próbował go włożyć, ale nie mógł sobie poradzić z zapięciem. Podeszła do niego z tyłu; to nie ręce jej drżały, to coś w głębi; lęk, który na nowo brał w niej górę w miarę zbliżania się momentu rozstania.



– Jeśli zostaniesz w Rzymie, czy będę mogła się jakoś z tobą skontaktować? U twoich rodziców?

Potrząsnął głową.

– Jedź do Tre Torre. Wpadnę do Larssona i porozmawiam z nim. Im prędzej wyjedziecie z Rzymu, tym lepiej... – Zamknął jej usta pocałunkiem. – Zrób to dla mnie, proszę! Będę spokojniejszy wiedząc, że jesteś w Tre Torre.

– A mój spokój?

– Proszę!

– Więc nie będę mogła się z tobą skontaktować?

Zastanawiał się.

– Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie, w naszym parku?

Skinęła. Była tylko w stanie pomyśleć: powiedział nasz park.

– Ten staruszek z osiołkiem... Tullio. Jeśli podasz mu wiadomość, skontaktuje się ze mną... Pojedziesz z Larssonem do Tre Torre?

– Tak.

– Uwierz mi, Mario, wszystko będzie dobrze.

Niewiele już mówili w drodze do Rzymu. Na horyzoncie rozpościerały się dalej dymy pożaru. Południowy wiatr pędził je ku Rzymowi. Wyglądały jak olbrzymi ciemny wachlarz.

## 26.

Samochód, który miał ich zabrać, był już spóźniony ponad godzinę. Czekali w salonie Villa Kristina z bagażem ustawionym wokół nich na podłodze. Zrobiło się ciemno, ale nikt nie myślał o zapaleniu światła.

Było chłodno, prawdopodobnie chłodniej niż na dworze.

Wygaszono całe ogrzewanie, oczyszczono wszystkie kominki. Kanapy i fotele, na których siedzieli, przykryte były szarymi pokrowcami. Już wczoraj mieli opuścić Rzym, i kiedy wyjazd się opóźniał, doprowadzenie domu do stanu używalności wydawało się niewarte trudu.

Larsson siedział sztywno w swoim fotelu, ubrany w jasny prochowiec specjalnie na podróż samochodem do Tre Torre, jeden z tych długiach płaszczy, które były w modzie dawno temu. Nie rozpiął nawet paska. Maria także miała na sobie płaszcz. Przed nimi na stole stała taca z kawą i resztkami zapasów ze spiżarni. Teresa, która nienawidziła wszelkiego marnotrawstwa, została zaskoczona przesunięciem pory wyjazdu. Przyniosła im to jedzenie, zanim wyszła na miasto. Chciała, być może, zebrać na ulicach informacje, których nie podawało Radio Roma.

Radioodbiornik, stary model, jedyny w Villa Kristina, stojący zwykle w kuchni, znajdował się teraz na serwantce. Grał cicho, nadawali akurat muzykę kameralną. Larsson spojrzął na zegarek.

– Nie wygląda na to, żebyśmy jeszcze dziś wyjechali. A może by spróbować zadzwonić do szwedzkiej ambasady?

– Chętnie. – Ostatni raz dzwoniła pół godziny temu. Nie dotarli do nikogo oprócz włoskiej telefonistki, która nie miała pojęcia ani o jakimś doktorze Larssonie, ani o samochodzie, który miał być po niego wysłany. Szwedzki charge d'affaires był nieosiągalny. Nikt w ambasadzie nie był osiągalny.

– Może posłuchamy najpierw wiadomości Radia Roma? – Maria podniosła się i nastawiła odbiornik głośniej. – Jeszcze kawy? Jest jeszcze ciepła.

– Tak, poproszę.

Nalała dwie filiżanki, a potem znów czekali. Wczoraj, wczesnym popołudniem, samochód szwedzkiej ambasady miał ich zawieźć do Tre Torre. Nie mogli jednak wyjechać

z miasta z powodu ciężkiego nalotu na Frascati trwającego dwie godziny. Drogi wylotowe były albo beznadziejnie zakorkowane, albo cofano ich spod ulicznych blokad. W końcu postanowili przełożyć wyjazd na następny dzień.

Wieczorem wydarzenia przybrały inny obrót. Zaraz po godzinie dwudziestej Radio Roma transmitowało przemówienie marszałka Badoglio. Zawieszenie broni! Włoskie wojska skapitulowały. Dziś, koło południa, nadeszła wiadomość o desancie aliantów. Anglicy i Amerykanie zeszli na ląd w Salerno w pobliżu Neapolu.

Od tego czasu Radio Roma nie podało nic więcej. Czy alianci się przebili? Czy Niemcy stawiali opór? Nic. Nawet szwedzka ambasada nie miała jasności co do rozwoju sytuacji. Jeszcze po południu obiecano Larssonowi samochód. A potem nagle nie można było do nikogo dotrzeć...

Spiker rozpoczął zapowiedź. Larsson z Marią słuchali w napięciu, ale nie było nic nowego. Włoska flota wojenna wypłynęła z La Spezii. Powód nie został podany. We Frascati naliczono dotychczas ponad tysiąc zabitych. Królowa odwiedziła rannych żołnierzy w szpitalu Littoria. Poprzedniego dnia, 8 września, zmarły w Rzymie czterdzieści cztery osoby, narodziło się zaś osiemdziesiąt siedem. W przyszłą niedzielę Lazio zagra w następującym składzie...

Larsson i Maria spojrzeli po sobie pytająco. Na zewnątrz słychać było kroki Teresy wracającej z miasta.

– Niewiele się dowiedziałam. Tak naprawdę nikt nic nie wie. Wyłącznie plotki. Jedni powiadają, że Niemcy są w trakcie wynoszenia się z Rzymu, uciekają ponoć na północ. Inni twierdzą, że włoskie oddziały, mające chronić Rzym, poddały się Niemcom... Król podobno opuścił Rzym... W każdym razie w mieście panuje niesamowity spokój.

Larsson wstał. Zdjął prochowiec.

- Chyba już nie wyjedziemy.
- To muszę powlec pościel. – Teresa jak zawsze myślała o sprawach bieżących. Wzięła tacę ze stołu, W drzwiach odwróciła się. – Czy *signora* Canossa zostaje tutaj?

Maria wymieniła spojrzenie z Larssonem.

- Będzie chyba najlepiej, gdy *signora* Canossa tu zostanie. Jeśli szwedzka ambasada zostawi nas na lodzie, pojedziemy pewnie jutro pociągiem. – I dodał po wyjściu Teresy: – Moglibyśmy pójść coś zjeść. Do Angela nie jest daleko. Zaledwie mały spacer. Zesztywnieliśmy od tego ciągłego czekania. Poza tym przez cały dzień nie jedliśmy nic porządnego.

– Do Angela! Teraz?

- Niech pani uwierzy... „staremu rzymianinowi”... to nigdy się nie zmieni, nie w tym mieście. Chyba tylko tyle, że w takich chwilach traktuje się jedzenie jeszcze poważniej. Angelo postawi sobie za punkt honoru, by dogodzić gościom bardziej niż zazwyczaj. Może mu się nawet udało zdobyć trufle. No i co pani o tym myśli?

Te trzy dni, które Maria spędziła z Markiem nad morzem, były dla Larssona strasznym okresem. Nie było myśli, której nie zatruwałaby zazdrość. Nie było odruchu, który by mu w całej pełni samoudręczenia nie dawał odczuć śmieszności własnej osoby. I nagle wczoraj oboje stanęli przed nim. Marco przyprowadził ją do niego osobiście; jemu, Larssonowi, ją powierzył.

– No więc jak, idziemy do Angela?

- Sama nie wiem... – Pomyślała o Marcu. Może spróbuje się tu do niej dodzwonić. Może właśnie wtedy, gdy będą u Angela... Otworzyła drzwi i wyszła na taras.

Na dworze było cieplej niż w domu. Stała przy balustradzie i patrzyła na miasto. Zegar na Trinità dei Monti wybił kwadrans. Zdziwiła ją długość pogłosu. Poprzez ciszę dotarło uderzenie zegara na innej wieży.

Zazwyczaj powietrze o tej porze kipiało odgłosami rucnu na Piazza di Spagna, ale dzisiaj plac pogrążony był w kompletnej ciszy, dało się nawet słyszeć plusk wody w fontannie.

Zegary na wieżach, fontanna, sierp księżycy na niebie – wszystko tchnęło takim spokojem, że myśl o wojnie zdawała się absurdem. Eksplozje bomb, płonące domy, ginący ludzie...

Larsson wyszedł za nią na taras.

– Niech się pani nie martwi. Jutro już będziemy w Tre Torre. – Objął ją ramieniem. – Cieszy się pani choć trochę na myśl o Tre Torre?

Skinęła głową. Jego bliskość miała na nią dobry wpływ. Czują, jak oddala się jej strach. Wiedziała, że Larsson ją kocha. Nie jak ojciec, nie jak przyjaciel – jak mężczyzna. Wczoraj, kiedy przyjechała z Markiem, nagle zdała sobie z tego sprawę.

Najpierw była przerażona. Przez chwilę było dla niej jasne, że ta miłość przyniesie mu tylko cierpienie, ale chwila przemigła i pozostała nowa forma zażyłości: oto człowiek, dla którego była ważna, który ją rozumiał, z którym mogła rozmawiać o wszystkim...

Mówili o Marcu. Opowiedziała mu o wyspie, o domku, o żagłowie. Czasami czuła, że Larsson cierpi – ale czyż ona też nie cierpiała?

Ona, Maria Canossa, kochająca Marca – ułudę, mężczyznę, który się jej wciąż wymykał, który był gdzieś w tym mieście, może całkiem blisko, a jednak zupełnie nieosiągalny dla niej.

I on, Larsson, kochający Marię – ułudę, kobietę, która stała tu obok niego na tarasie i mimo to była dla niego nieosiągalna. Wieczna geometria miłości, nie domykające się koło, spirala nieskończoności. Jakże to wszystko było beznadziejne. Żadnej pewności oprócz tej jednej: pewności cierpienia...

– Co się stało, co pani jest? Zimno pani?

– Nie wiem, czy pojedę z panem do Tre Torre...

- Ależ Mario...
- Już wczoraj, kiedy musieliśmy zawrócić, pomyślałam sobie, że to znak, że nie powinnam wyjeżdżać z Rzymu.
- Przesądna?
- Wszyscy Włosi są przesądni.
- To z powodu Marca, prawda?
- Tak.

Larsson odsunął ramię, ale trzymała mocno jego rękę. Potrzebowała jego bliskości. Potrzebowała przynajmniej tej pociechy, że nie ona jedna jest nieszczęśliwa.

W salonie rozległ się dźwięk telefonu, w ciszy zabrzmiał groźnie i przenikliwie.

Maria pozostała na tarasie, podczas gdy Larsson odbierał.

Być może to był Marco. Mogła to także być szwedzka ambasada, a ona wolała sobie oszczędzić rozczarowania, gdy odezwie się obcy głos.

– Do pani, Mario.

Próbowała coś odczytać z jego twarzy, ale było na to za ciemno. Podniosła słuchawkę leżącą obok aparatu. Jakiś damski głos, pospieszne słowa. Hałas w tle.

– Kto mówi? Halo! Kto...

– Jagov, Erika von Jagov... Bogu niech będą dzięki, że panią w końcu znalazłam.

Maria inaczej zapamiętała głos Eriki von Jagov.

– Co się stało? Gdzie pani jest?

– Stazione Termini. Cały czas usiłuję się z panią skontaktować. Na szczęście przypomniałam sobie jeszcze ten numer... Czy może pani tu przyjechać... na dworzec? Teraz zaraz? Muszę pani powiedzieć coś ważnego.

Larsson zamknął drzwi na taras. Zasunął zasłony i zapalił światło, jedno, drugie.

– Coś się wydarzyło?

– Nie mogę rozmawiać... Tu przed kabiną jest cała kolejka.

Stale otwierają się drzwi...

– Gdzie panią znajdę?  
– Pociąg specjalny... Nie wiadomo, kiedy odjedzie. Niech pani przyjeżdża! Szybko...

– Na którym torze... – Zazgrzytało na linii i zapanowała cisza.

Larsson składał leżącą na stole gazetę.

– Złe wiadomości?  
– Nie wiem. Kobieta, z którą pracowałam w niemieckiej ambasadzie. Od tamtego czasu nie miałam z nią kontaktu. Dzwoniła ze Stazione Termini. Mam się tam natychmiast zjawić.

– Czy to ma coś wspólnego z Markiem?

– Dlaczego pan tak sądzi? Nie...

– I naprawdę chce pani tam dotrzeć?

– Tak. – Maria wzięła płaszcz.

Larsson stał przy stole ze złożoną gazetą w ręku.

– To znaczy nici z Angela.

– Przykro mi.

– A Tre Torre?

– Wołałabym zostać w Rzymie.

– Z powodu Marca? – Położył gazetę na stojaku.

– Musi pan to zrozumieć.

– Nie, nie rozumiem tego. – Jego twarz stała się nagle bardzo zmęczona.

– Marco jest w Rzymie. A więc ja też powinnam tu być. Boję się... jeśli teraz wyjadę z Rzymu, nie zobaczę go już nigdy. Dlatego muszę zostać... Co mnie obchodzą Włosi, Niemcy, alianci, ten cały zwariowany świat. Kocham go, chcę, żeby żył.

– Tę wojnę zaczęli tacy ludzie jak Marco.

– Dawniej pan mówił inaczej. Powiedział pan raz, że tacy ludzie jak on muszą istnieć, bo inaczej świat by zginął.

– Wojna to szaleństwo. I każdy, kto się w nią angażuje, jest szalony. Ostatnimi czasy sam sobie zadaję pytanie: o co Marcowi właściwie chodzi? O Włochy? O jego osobiste ambicje? O prywatną zemstę? A może to coś innego – może to gra o najwyższą stawkę, gra ze śmiercią? Istnieją mężczyźni, którzy pragną się zmierzyć ze śmiercią, którzy jej szukają, którzy wierzą, że są od niej silniejsi...

– Taki był mój ojciec. Taki był Gianni. Ale nie Marco.

– Może się mylę. Jestem lekarzem i patrzę na to jak lekarz. I jako lekarz wiem, że w tej grze zawsze się przegrywa.

– Proszę, niech pan tak nie mówi.

Wyjął z kieszonki za piersiach białą chusteczkę, rozłożył ją, ułożył na nowo i wetknął z powrotem. Był to gest bezradności.

Potrzuje mnie, pomyślała Maria. Nie Marco mnie potrzebuje, a on.

– Muszę już iść.

– Jak się pani dostanie na Stazione Termini?

– Wezmę stary rower Teresy.

– Chciałbym móc pani w tym przeszkodzić.

– Po to, żebyśmy mogli pójść do Angela i zjeść trufle?

– Czy to by było takie straszne? A jeśli sądzę, że byłoby lepiej siedzieć z panią u Angela? Że lepiej byłoby być w Tre Torre? – Spojrzał na nią. – Wróci tu pani?

– W każdym razie zadzwonię.

Podszedł do wiklinowego fotela, który, jak wszystkie inne meble z tarasu, został wstawiony do pokoju. Wziął książkę leżącą obok na małym stoliczku.

– Będę czekał.

Zatrzymała się przy drzwiach. Larsson usiadł i otworzył książkę.

Potrzuje mnie bardziej niż Marco, pomyślała. Ale to Marca Kocham.



## 27.

Rzym przypominał miasto duchów. Ulice, którymi jechała, były wymarłe. Mgliste zarysy nielicznych mijanych ludzi i pojazdów; ciemna brama wjazdowa i stojące w niej, rozmawiające szeptem cienie; reflektory rozbłyskujące na krótko, by natychmiast znowu zgasnąć. A przy tym księżyc świecił tak jasno, że nie potrzebowała lampy rowerowej. Wkrótce też wyłączyła dynamo; na starym rowerze i bez tego jechało się ciężko.

Nawet plac przed Stazione Termini był widmowo pusty. Jakaś dorożka, kilka postaci z plecakami, które zaraz zniknęły w głównym portalu dworca. Zegar na ścianie frontowej wskazywał za piętnaście dziesiątą. Maria nie była pewna, czy dobrze chodzi.

Podjechała do bocznego wejścia na Via Giovanni Giolitti. Oparła rower o mur, założyła łańcuch z kłódką, chociaż wiedziała, że kradną nawet zabezpieczone rowery.

Spodziewała się, że również sam dworzec będzie widmowo cichy i pusty, ale wielka hala dudniła gwarem. W świetle kilku słabych lamp tłoczyły się na peronach ludzkie masy, na wózkach piętrzyły się góry bagażu.

Z pierwszego toru odjeżdżał właśnie pociąg. Drzwi były jeszcze częściowo otwarte; na stopniach ludzie walczyli o miejsce. Bagaże podawano przez otwarte okna. Maria pomyślała, że przyjechała za późno.

– Co to za pociąg?

– Do Pescary – odrzyknął ktoś mijając ją w biegu.

Przeszła wzdłuż torów. Po metalowych plakietkach na piersiach rozpoznała dwóch żołnierzy patrolu niemieckiej żandarmerii polowej. Stał tam długi pociąg złożony z włoskich

i niemieckich wagonów. Nagle otoczyły ją wyłącznie dźwięki niemieckiej mowy.

Trudno było sobie utorować drogę, tylu ludzi stało na peronie. Przez otwarte okna zaglądała do przepelnionych przedziałów: po większej części kobiety i dzieci. Tylko gdzieniegdzie paliło się awaryjne oświetlenie. Siostry Czerwonego Krzyża rozdawały napoje. Wykrzykiwano imiona, pogubieni ludzie szukali się nawzajem.

Pociąg wydawał się nie mieć końca. Dwa wagony z zaciemnionymi szybami. Dwa wagony sypialne. Dwa wagony bagażowe. Na koniec dwie lokomotywy, obie pod parą. Nigdzie nie mogła znaleźć pani von Jagov, ona też jej chyba nie widziała. Ale jakże można było odnaleźć kogokolwiek w tym wypełnionym po brzegi pociągu?

Maria zawróciła, przeszła ponownie wzdłuż okien, zaglądając do każdego przedziału. Na próżno. Na przeciwny tor wjechał pusty pociąg.

Na koniec znalazła się tam, skąd zaczęła, przy tablicy informacyjnej, zaraz za końcowym zderzakiem. Nie podano stacji docelowej, jedynie: **POCIĄG SPECJALNY. TYLKO DLA CZŁONKÓW KORPUSU DYPLOMATYCZNEGO.**

Kiedy Maria była już bliska poddania się, uznania tego za pomyłkę, za mistyfikację, znalazła w końcu Erikę von Jagov.

Siedziała na walizce, zaraz na początku peronu. Jak zawsze miała na sobie tweedowy kostium. Na kolanach leżał złożony płaszcz. Kraciasta chustka zasłaniała część twarzy. Siedziała pochylona do przodu, nie wykazując żadnego zainteresowania otoczeniem. Gdyby nie torba do golfa stojąca tuż obok, Maria przypuszczalnie i teraz nie poznałaby jej. Ta kraciasta torba golfowa – na tym peronie, w takiej chwili i w tych okolicznościach – była tak nierzeczywista, że Maria zwlekała z zagadnięciem kobiety po prostu dlatego, że nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Erika von Jagov poruszyła się, podniosła głowę. Jej wzrok skierował się na Marię. Początkowo jakby jej nie rozpoznawała, potem patrzyła na nią z pełnym niedowierzaniem i zdziwieniem. Nie powiedziała nic. Podniosła się w milczeniu, ściągnęła z głowy chustkę i przejechała ręką po włosach. Z ostatnich wagonów dobiegał dziecięcy płacz i głos kobiety uspokajającej dziecko.

Erika von Jagov uśmiechnęła się, trochę sztywno i bezradnie.

– Już myślałam, że pani nie przyjdzie.

– Musiałam pani za pierwszym razem nie dostrzec. Była pani cały czas w tym miejscu?

Kobieta skinęła głową, przeszukując kieszenie kostiumu. Wyciągnęła paczkę papierosów i szukała dalej, zapalek.

– Może ma pani...

– Nie. – W ambasadzie nigdy nie widziała Eriki von Jagov palącej. – Co pani tu robi? Co to wszystko znaczy?

Erika von Jagov ciągle szukała zapalek. Patrzyła przy tym wzdłuż peronu na długi wąż wagonów.

– Wysyłają nas wszystkich na północ!

– Kto wysyła panią na północ?

– Zarządzenie władz najwyższych. Cała ambasada niemiecka, to znaczy większość. Wszystkie kobiety i dzieci, cały żeński personel obu ambasad, to znaczy również niemieckiej ambasady przy Watykanie... Rozkaz przyszedł w południe. Powiedzieli nagle: „Wszyscy opuszczają Rzym. Prędko do domu, pakować walizki, nie więcej niż jedna sztuka bagażu na głowę”. To było w południe... A teraz siedzimy tutaj od kilku godzin.

– Wszyscy Niemcy opuszczają Rzym?

– To podobno ostatni pociąg, który wyjeżdża z Rzymu w kierunku Niemiec.

– Sądzi pani, że Niemcy oddadzą Rzym? – Wypowiadając

te słowa Maria uświadomiła sobie nagle narastające uczucie triumfu, dzikiej radości. Ale czy był to rzeczywiście dobry znak? Czy nie mogło być odwrotnie, że wysyłano z miasta cywili, bo mogło dojść do walk?

Erika von Jagov odnalazła wreszcie swoje zapalki. W rozbłysłym na krótko płomieniu Maria ujrzała opaloną twarz, o trochę mało delikatnej, lecz zdrowej cerze. Tak, to była ta sama kobieta, z którą przez kilka miesięcy dzieliła pokój w biurze, a jednak wydawała się zmieniona. Brak jej było zwykłej pewności siebie, spokoju.

– I dokąd pani jedzie? Zawsze myślałam, że Rzym jest pani domem...

– Naturalnie, że tu jest mój dom. – Zaciągnęła się papierosem. – Po prostu nie mogę tu zostać. To byłaby... prawdopodobnie będziemy potrzebni.

– Chodźmy, wypijemy kawę.

– A pociąg?

– Nie wygląda na to, żeby miał zaraz odjechać. Na pewno go zapowiedzą. – Maria wzięła walizkę, Erika von Jagov podniosła torbę do golfa.

Jeden z kiosków był jeszcze otwarty. Kawa, którą tam podawali, była espresso tylko z nazwy i z powodu małych filiżanek. Stały przy wąskiej ladzie z filiżankami w dłoniach.

– Właściwie jak długo mieszka pani w Rzymie?

– Ja? Mój Boże, całą wieczność. – Erika von Jagov zapaliła drugiego papierosa. – Przyjechałam tu... w roku 1908, razem z ojcem.

– To trzydzieści pięć lat.

– Miałam wtedy jedenaście. Moja matka zmarła... A ojciec... On mieszkał tu wcześniej... przez wiele lat. Właściwie czuł się w domu tutaj, nie w Niemczech. Po śmierci matki nic go już tam nie trzymało i przyjechał ze mną do Rzymu. Był rzeźbiarzem. Zmarł pięć lat temu. To wtedy zaczęłam pracować

w ambasadzie. Nie wytrzymałam w domu.

- I przez wszystkie te lata była pani w Rzymie?
- Pomimo pozbawionego obcych naleciałości włoskiego, widać było, że jest cudzoziemką. Niekoniecznie Niemką.

Mogła być również uznana za mieszkankę Skandynawii bądź Angielkę.

Erika von Jagov musiała odgadnąć myśli Marii. Uśmiechnęła się.

- Sądzi pani, że przez ten długi czas powinnam się stać prawdziwą rzymianką...

- Czy ma pani jakichś krewnych w Niemczech?

- Kontakt jest bardziej niż luźny. Mój ojciec... popalił wówczas za sobą wszystkie mosty. A ja... kiedy wyjeżdżaliśmy z Niemiec, byłam dzieckiem. Niczego mi nie brakowało i nie znałam nic innego. Mój ojciec i ja byliśmy sobie bardzo bliscy. Mieszkaliśmy razem aż do jego śmierci. Prowadziłam mu dom... Dlatego nigdy nie wyszłam za mąż. A kiedy mój ojciec zmarł, miałam już czterdzieści jeden lat.

Obok nich przepychali się ludzie. Przez głośniki podano jakąś zapowiedź. Głos odbijał się echem po hali. Przetaczano jakiś pociąg; doczepiane wagony z trzaskiem zderzyły się buforami. Maria zastanowiła się, dlaczego pani von Jagov ją prosiła o przyjście na dworzec. W gruncie rzeczy była jej obca. W ambasadzie nie wymieniły ze sobą chyba ani słowa na osobiste tematy.

- Powiedziała pani przedtem, przez telefon, że ma mi coś ważnego do powiedzenia.

Erika von Jagov upuściła na podłogę nie dopalonego papierosa. Rzuciła szybko okiem na patrol żandarmerii, upewniając się, czy będzie mogła mówić bez podsłuchiaczy.

- Naturalnie... Przepraszam... – Erika von Jagov przełożyła płaszcz na drugie ramię. – Dziś rano... było dosyć duże zamieszanie. Zawieszenie broni, desant aliancki... Otrzymaliśmy

rozkaz niszczenia akt. W naszym wydziale nie ma nic ważnego, więc zostaliśmy wysłani do budynku głównego. Ja zostałam przydzielona do biura attaché Luftwaffe.

– Gottfrieda von Boldta?

– Tak. Dzisiaj go aresztowali!

Najpierw były to tylko słowa. Dopiero gdy Erika von Jagov kontynuowała na swój dziwny monotony sposób, nie zmieniając intonacji, nie podkreślając pojedynczych sylab, Maria pojęła.

– Byliśmy we trójkę w jego biurze i niszczyliśmy dokumenty. Von Boldt, jego sekretarka i ja. Nagle otworzyły się drzwi... Nie padło wcale wiele słów. Wyglądało, że był na to przygotowany. Włożył kurtkę od munduru i wyprowadzili go. Dwaj inni pozostali w pokoju i zrewidowali jego biurko i szafy. Część rzeczy zabrali ze sobą. Byli dwoma autami... Ludzie z gestapo...

– Kiedy to było?

– Dziś, dzisiaj późnym przedpołudniem. Próbowalam się czegoś dowiedzieć, to znaczy, jakie są zarzuty wobec Gottfrieda von Boldta, ale nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Albo ze strachu, albo rzeczywiście nic nie wiedzieli... Pewne jest tylko, że zabrali von Boldta na Via Tasso.

Gottfried von Boldt na Via Tasso!

Znów pojawił się strach, obezwładniające uczucie, że nie można nic zrobić, że trzeba po prostu pozwolić sprawom toczyć się własnym biegiem. I niezdolność do pojęcia świata mężczyzn z ich tajemniczymi regułami gry, swoistym poczuciem honoru, fanatyzmem, nieprzejednaniem... Dopiero co odczuwała triumf. Niemcy opuszczają Rzym. A więc Marco miał rację. Za kilka dni wszystko się skończy! Cóż za dziecięce urojenie. Jak długo istniała Via Tasso, Rzym należał do Niemców...

Pani von Jagov znów spojrzała na żandarmów. Przedtem jej ostrożność wydała się Marii przesadzona, teraz odczuwała to samo. Ale nie tylko w stosunku do żandarmów, także wobec pani von Jagov. Ona też była Niemką. Kto powiedział, że mogła jej zaufać?

– Dlatego pani do mnie zadzwoniła?

– Miałam wrażenie, że to ważne...

– Prawie nie znałam pana von Boldta.

Erika von Jagov wydawała się speszona.

– Chciała mi pani coś przekazać?

– Tak tylko pomyślałam, nic więcej. Może to wpływ tego tutaj – machnęła ręką w kierunku hali dworcowej – pożegnania... potrzeba porozmawiania z kimś...

– Płaszcz zsunął się z ramienia. Pochwyciła go i włożyła na siebie, bo nie wiedziała, co z nim począć. Ręce wsadziła do kieszeni. – Kiedy się zastanawiałam, do kogo mogłabym zadzwonić, pani mi pierwsza wpadła na myśl... Dziękuję, że pani przyszła.

– Kto jeszcze został w ambasadzie?

– Kiedy wychodziłam, było tam tylko kilka włoskich telefonistek. I naturalnie wartownicy. Wojskowi.

– A radca Winter? Jest jeszcze w Rzymie?

– Tak przypuszczam. – Erika von Jagov podniosła torbę do golfa stojącą pomiędzy nogami i postawiła ją znowu. Marii nagle zrobiło się jej żal.

– Ja bym na pani miejscu zebrała rzeczy i wróciła do domu. Nie pojechałabym tym pociągiem.

– To rozkaz...

– Nikt pani nie może zmusić. Pani dom jest tutaj, prawda?

Najchętniej chwyciłaby tę kobietę za ramiona i potrząsnęła nią. Robiła wrażenie, jakby była półprzytomna.

– To ścisły rozkaz, cała ambasada przenoszona jest na północ. To znaczy, jak sądzę... Nie mogę tu zostać.

Przed głównym wejściem, niedaleko od nich, zatrzymał się czarny mercedes. Drzwiczki otworzyły się z impetem. Wysiadł mężczyzna w ciemnym mundurze, potem kobieta, za nimi czwórka dzieci.

– Szybko, szybko, pospieszcie się!

Słyszały głos mężczyzny, kiedy cała grupa je mijała. Kobieta była wysoką blondynką i miała na sobie jasną sukienkę. Najmłodsze z dzieci – z pluszowym zwierzątkiem w ramionach – miało może ze cztery lata, najstarsze z dziesięć. Szofer niósł za nimi dwie walizki i kilka podróżyńskich toreb.

Erika von Jagov wyjęła z kieszeni banknot. Podała go właścicielowi kiosku i machnęła ręką, gdy ten chciał wydać resztę.

– Nie trzeba.

Podniosła torbę do golfa, przewiesiła ją sobie przez ramię.

– To dość bezsensowne, targać jeszcze ze sobą to wszystko.

– Naprawdę chce pani pojechać tym pociągiem?

Erika von Jagov wzruszyła zrezygnowana ramionami.

– Niechże pani zostanie! Jeśli pani uważa, że u siebie w domu nie będzie bezpieczna – może pani w każdej chwili zamieszkać u mnie.

– A potem? Co będzie potem? – Potrząsnęła głową.

– Nie, nie mogę zostać. Podobno mamy być najpierw dowiezieni do Werony. Może tam będzie nowa ambasada. Zawsze to byłyby Włochy... – Coś na kształt uśmiechu przemknęło po jej twarzy.

– Niech pani poczeka. Wezmę walizkę.

– Nie. Proszę, nie. Już i tak dużo czasu zmarnowała pani z mojego powodu... Z powodzeniem poniosę sama swoje rzeczy, naprawdę. – Wyciągnęła rękę do Marii. – Powodzenia!

– Powodzenia!



Erika von Jagov odeszła z walizką w rękę i torbą golfową przewieszoną przez ramię. Z kieszeni płaszcza wystawał róg kraciastej chustki. Dwaj patrolujący żandarmi przecięli jej drogę, potem zniknęła...

Po hałasie i tłumach w hali dworcowej Maria odebrała ciszę na placu przed budynkiem jak dobrodziejstwo. Podeszła do pozostawionego roweru, zdjęła łańcuch. Poprowadziła go przez opuszczony Piazza dei Cinquecento.

Jej myśli krążyły jeszcze wokół Eriki von Jagov. Oczyma duszy widziała, jak szuka miejsca w przepełnionym pociągu, niepewna, czy dobrze robi. Wolny człowiek podporządkowuje się anonimowemu rozkazowi, pozwala innym decydować o swoim życiu. To było nie do pojęcia... Ale czy ona sama decydowała o swoim życiu? Albo Marco? Czy o tym myślał Larsson mówiąc o wojnie, że jest jak choroba, która dotyka wszystkich?

Wystraszył ją klakson. Podjechał czarny mercedes. Miał dla siebie masę wolnego miejsca, ale chciał jechać właśnie tędy, co i ona.

Maria wsiadła na rower. Kiedy poczuła pod stopami pedały, ogarnęło ją nagle pragnienie, by na tym cichym, oświetlonym blaskiem księżycy placu, jak dziecko, kręcić ósemki.

## 28.

Miała przedziwne uczucie, że już kiedyś oglądała tę scenę: dwa drzewka laurowe przed mieszkaniem Brigi, otwierające się przed nią drzwi, szlagiery, tłok w wielkim salonie. Nawet i to się powtarzało: mężczyzna, który jej otwierał, trzymał w ręku kieliszek szampana, a jego okrągła twarz była zaczerwieniona od alkoholu. Tylko że to nie był Winter. Mężczyzna

nosił mundur pułkownika *granatieri di Sardegna*.

– Czy jest Briga? Jestem jej przyjaciółką. – Czy wtedy nie użyła tych samych słów?

– Pewnie, Briga jest. Szampana też wystarczy. Dla wszystkich pięknych pań. – Roześmiał się podpity. – Powód do świętowania też mamy! Niemiaszki wieją jak szczury! Zatrzymają się dopiero na Alpach. Dożyć takiego dnia...

Objął talię Marii. Wywinęła się, uwolniła od niego i weszła do salonu. Poszedł za nią, wołając niezadowolony:

– Briga! Co za dziwne masz przyjaciółki! Niewinne kociątko! A może pułkownik grenadierów nie jest dla niej dość dobry? Czeka na generała Eisenhowera we własnej osobie?

Briga siedziała na tapczanie, z lewej i prawej strony obłożona przez mężczyzn.

– Zróbcie no miejsce! – Cztery męskie pomocne ramiona postawiły ją na nogi. Jedno z cienkich ramiączek jej wieczorowej sukni zsunęło się z ramienia. Włosy miała dłuższe i, jak się Marii zdawało, bardziej rude. Szminka się jej rozmasała.

– Maria! Skąd się tu wzięłaś? Myślałam, że ciągle jeszcze jesteś w Górach Tyburtyńskich z tym swoim szwedzkim doktorem. Jednak przyciągnęło cię znowu do Rzymu?

– Jest tu Winter? – Maria rozejrzała się po pokoju, po tańczących parach, po mężczyznach przy stole zastawionym butelkami i kieliszkami. Pułkownik przesunął się w jej stronę.

– Pani generał Eisenhower musi jeszcze trochę pomaszerować! To znaczy, oni pewnie nie będą maszerować, panowie Amerykanie każą się zawieźć do Rzymu...

– Zostaw ją w spokoju, Leandro! – Briga też wypita. Mówiła głośniej niż trzeba i gestykulowała zbyt żywo.

– Kim są ci wszyscy ludzie?

Briga rozejrzała się naokoło.

– Moi nowi przyjaciele. Niemców przecież nie lubiłaś. Przyjrzyj się im, naszym włoskim bohaterom... – Pociągnęła Marię na taras. – Teraz, gdy wylądowali alianci, uważają się za wielkich zwycięzców. Z Neapolu do Rzymu, twierdzą, tylko krok. Prawdopodobnie od jutra zaczną się uczyć angielskiego, tak jak przedtem nauczyli się po niemiecku.

Drzwi do pokoju stały otworem, jasne światło wylewało się na zewnątrz. Okoliczne domy stanowiły podobny widok: oświetlone okna, jasne balkony. Nikt zdawał się nie przestrzegać przepisów o zaciemnieniu. W ciszy nocy z daleka, z południowej strony, dobiegły nagle odgłosy podobne do eksplozji. Brzmiało to jak salwy z karabinów lub ogień broni maszynowej.

– Muszę pomówić z Winterem.

– Od tygodni tu już nie był. – Briga poprawiła ramiączko sukni, ale znowu zsunęło się z ramienia.

– Klóćcie się?

– Zerwałam z nim. – Briga zaśmiała się gorzko.

– Ostatnio mówiłaś, że go kochasz!

– Ach, tak mówiłam? Więc dobrze, kocham go. Mimo to zerwałam z nim, nie? Z Giannim też zerwałam...

– Co się z tobą dzieje, Brigo?

– Nic się ze mną nie dzieje szczególniego – Briga zaśmiała się znowu – poza tym, że jestem skorumpowana. Tak samo skorumpowana jak ten cały przeklęty Rzym. Jak ten cały przeklęty świat. Więc ja też jestem skorumpowana, całkiem logicznie. Bo inaczej nie mogłabym przeżyć... – Odwróciła się. – Leandro! Coś do picia! To jeszcze ciągle mój szampan!

Podszedł z dwoma kieliszkami. Briga pospiesznie złapała jeden. Wpadł jej z ręki i rozbił się o kafelki tarasu. Nie przejmując się tym, wzięła drugi kieliszek i chciwie go opróżniła. Zwróciła mu go. – Na co czekasz? Pić mi się chce. Przynieś nam butelkę!

Pułkownik przywołał na twarz wyraz zatroskania.

– Nie sądzisz, że masz dość?

– Nie sądzisz – Briga roześmiała się – że powinienes być gdzie indziej? Czy *granatieri* nie mają bronić Rzymu? Czy tutaj bronisz Wiecznego Miasta, Leandro? Czy to masz w głowie? Bronić Rzymu w moim łóżku?

– Briga... – zaczął się śmiać – doprawdy jesteś warta tego, żeby cię bronić, jak pragnę Boga, jesteś tego warta! Sekundę, przyniosę flaszkę...

Briga patrzyła w ślad za nim.

– Dlaczego tacy mężczyźni jak Gianni muszą ginąć. I dlaczego przeżywają Leandro wie? – Nagle wydała się całkiem trzeźwa. – Masz na to jakąś odpowiedź? Daj mi ją, jeśli jakąś masz. Nawrót mnie. Spróbuj. Słucham... A może nie masz żadnej? To powiedz mi przynajmniej, dlaczego muszą być wojny? I dlaczego Gianni już nie żyje...

– Briga, proszę, powiedz mi, gdzie znajdę Wintera!

– Nie wiem, gdzie on jest. Przypuszczalnie w swojej ambasadzie. Albo w hotelu.

– Dzwoniłam do „Excelsiora”. Nie było go tam. Dlatego myślałam, że jest tutaj, u ciebie.

– Czego chcesz od Wintera?

– Muszę z nim pomówić.

– A co powiedzieli w „Excelsiorze”? Czy w ogóle jeszcze tam mieszka?

– Powiedzieli, że wyszedł.

Briga znowu zajęła się ramiączkiem swojej wieczorowej sukni. Jedną rękę podniosła nad głowę.

– Powiadają, że Amerykanie nie lubią kobiet z włosami pod pachami. Będę je chyba musiała często golić... Nie patrz tak na mnie, Mario. Biorę życie, jakie jest. Marzenia nie napętnią żołądka. Marzenia nie uszczęśliwiają – a ja chcę być szczęśliwa.

Muszę stąd iść, pomyślała Maria. Nie zniosę tego dłużej. Muzyka, podpici mężczyźni, Briga ze swoimi receptami na życie i na mężczyzn.

- Mogę skorzystać z telefonu?
- Chcesz zadzwonić do „Excelsiora”?
- Tak.

– Zadzwoń z mojej sypialni. Tam będziesz miała spokój. A jak się zobaczysz z Winterem, opowiedz mu, co zechcesz, tylko nie to, że go kocham, słyszysz, Mario! Jeśli kogoś kochasz – wyrwij tę miłość z serca, zanim urośnie i dojrzeje... – Wydawała z siebie dźwięki, które równie dobrze mogły być śmiechem, jak i płaczem. – Leandro! Leandro! Chcę tańczyć...

Wieczór powoli stawał się koszmarem: najpierw widmowo puste miasto, potem hałaśliwy pośpiech na Stazione Termini, masy ludzkie, przepelnione pociągi; szaleńcze przyjęcie w mieszkaniu Brigi, kieliszek z szampanem rozbijający się z brzękiem o posadzkę, śmiech Brigi, brzmący jak płacz... a teraz bar w hotelu „Excelsior”: wszystkie stoliki wokół parkietu zajęte, śpiewaczka z długimi platynowoblond włosami, śpiewająca niemieckie szlagiery...

Maria i tę drogę odbyła na rowerze: ciemny most na Tybrze, puste ulice, upiornie ciche miasto. I nagle jaśniejący blaskiem hotelowy hall, rój mężczyzn w niemieckich mundurach. Nie wiedziała już, co ma myśleć... Niemcy ekspedują pociąg specjalny na północ. Włoski pułkownik mówi tak, jakby Amerykanie stali już pod Rzymem. A tu, w „Excelsiorze”, w twierdzy niemieckości, parada wszystkich możliwych niemieckich mundurów, czarnych, szarych, białych, stalowych lotniczych...

Wintera nie było w hotelu. Nie zostawił wiadomości, kiedy wróci lub jak się z nim można skontaktować. Tymczasem zrobiło się wpół do dwunastej. Maria była zmęczona. Od

południa nic nie jadła. Być może była to sprawa wyczerpania, ale nagle wszystko wydało jej się bezsensowne. Żałowała, że nie została z Larssonem, że nie zjadła z nim kolacji u Angela. W jego obecności wojna stawała się czymś, co jej nie dotyczyło. Nawet jej lęk o Marca dawał się uspić.

To prawda – gestapo aresztowało Gottfrieda von Boldta, zawieziono go na Via Tasso, przesłuchiowano go tam, ale co on mógłby takiego zdradzić? Ich spotkanie miało miejsce wiele tygodni temu. Marco nie widział go przypuszczalnie jeszcze dłużej.

Poddać się teraz? Może by to zrobiła, gdyby nie pogardliwe spojrzenie portiera, u którego dowiadywała się o Wintera. Naturalnie, nie pasowała w swoim skromnym płaszczu do „Excelsiora”, do tych wszystkich wysztafirowanych lalek. Miały na sobie wieczorowe suknie, były obwieszane biżuterią. Zachowanie portiera i widok tych kobiet wywołały w niej bunt. Po krótkim oczekiwaniu w hallu przeszła do przyległego baru.

Wszystkie małe stoliki były zajęte. Odkryła wolne miejsce w najdalszym kącie półokrągłego baru. Siadła na stołku, cały czas w płaszczu, odwrócona plecami do lady, tak by móc mieć na oku hall i tablicę z kluczami w recepcji.

Obserwowała kobiety na parkiecie i przy stolikach. Wyłącznie młode i piękne – skąd one się brały? Na pewno nie były Niemkami. Pomyślała znowu o pociągu specjalnym, o pani von Jagov, o blondynce z czwórką dzieci. Czy ten wysoki oficer tam z przodu, który tańczył ciasno spleciony z jakimś młodym stworzeniem w żółtej sukience, nie był owym mężczyzną ze Stazione Termini, który przywiózł swoją żonę i czworo dzieci na pociąg? Ale dla niej ci panowie w uniformach byli wszyscy do siebie podobni.

– Czy pani coś podać?

Czy dobrze usłyszała? Czy faktycznie ktoś tu mówił po włosku? Przez chwilę owładnęło ją niemal wrażenie: nie

jestem w Rzymie! To nie jest „Excelsior” na Via Vittorio Veneto. To Berlin. Wciąż jeszcze jestem w Berlinie. Nigdy nie wyjeżdżałam z Berlina...

– Przepraszam! Czy ja pani czasem nie znam?

Odwróciła się na obrotowym stołku. Jak ktokolwiek mógłby ją tu znać? Mężczyzna za ladą miał może sześćdziesiątkę. Pofałdowana twarz, wianuszek siwych włosów, czarna muszka, biała nakrochmalona kamizelka barmana, ołówek za uchem, lewa dłoń z serwetką i brakujący koniec wskazującego palca.

– Osvaldo... czy tak?

– Mój Boże... pamięta pani nawet moje imię! Po tylu latach!... Ile to już ich upłynęło? Przynajmniej dwanaście... – Jego twarz spoważniała. – Słyszałem o Giannim. To znaczy, przeczytałem w gazecie, kiedy już było po pogrzebie. Inaczej byłbym przyszedł. Dużo było ludzi? Mam na myśli, z dawnych czasów?

– Najwyraźniej niewielu już zostało.

Ktoś zawołał Osvalda. Niechętnie odmachął ręką.

– Mogę pani zaproponować *looping*?

Teraz przypomniała sobie dokładnie. Bar w „Savoia”, małym hotelu na Via Ludovisi, gdzie piloci obu włoskich linii, ALI i LATI, byli stałymi gośćmi. I Osvaldo, który na ich cześć komponował coraz to nowe koktajle o nazwach zaczerpniętych z żargonu lotników. *Looping*... oszronione szklaneczki z brzoźkiem z cukru i czerwoną wiśnią na dnie białego płynu.

– Pamiętam. Wyglądał tak niewinnie. Ale były w nim chyba trzy części rumu?

– Cztery części białego rumu – albo wódki – i jedna część soku z limetek.

– Od kiedy pan tu jest?

– Będzie już z siedem lat.

– Pan zna tu większość gości?

- Dużą część.
- Czy zna pan attaché Luftwaffe von Boldta? – Był to spontaniczny pomysł. O życiu prywatnym von Boldta nie wiedziała w gruncie rzeczy nic. Czy miał żonę? Dzieci? Czy były tu w Rzymie? Czy teraz ktoś na niego czekał, nie wiedząc, co się z nim stało...

Oswaldo potrząsnął głową.

- A Wintera? Radcę ambasady Wintera?
- Tego tak. Od lat tu mieszka.
- Widział go pan dzisiaj?
- Dzisiaj nie. Ale zazwyczaj przychodzi, w każdym razie tak było w ostatnich tygodniach, i najczęściej jest moim ostatnim gościem. Gorliwi pijacy – tak ich nazywam na własny użytek – nie są najbardziej uciążliwi. Siedzą spokojnie, piją zawsze to samo, dopóki się nie upiją, a potem idą i nic po nich nie znać... Proszę wybaczyć. Tylko na chwilę.

Przyjął zamówienie i przygotowywał koktajle, podczas gdy Maria znów obserwowała hall. Myślała o barze w hotelu „Savoia”. To był czysto męski bar. Kiedy Gianni ją przyprowadził po raz pierwszy, niejedne brwi uniosły się w górę. Potem należała już do tego towarzystwa. Godzinami mogła się przysłuchiwać, jak rozmawiali o swoich maszynach, o burzach czy nocnych lotach. Niebezpieczne zdarzenia, które w opowiadaniu zamieniały się w baśń...

- Mogę zaproponować jeszcze jedną szklaneczkę?
- Jeszcze *looping*? Lepiej nie, Oswaldo. Chybaby mnie naprawdę zmogło. – Nie ukrywał rozczarowania. – Nie na mój pusty żołądek. Do jedzenia pewnie tutaj nic nie dostanę?
- Niestety, nie. Ale niech pani posłucha: jeśli pani chce coś zjeść – pamięta pani mojego brata Carla? Ma mały lokal, zaraz tu naprzeciwko na Via Ludovisi, dwa domy za hotelem „Savoia”.



- Jeszcze jest otwarty?
- Dla siostry Gianniego Canossy – zawsze. Zaraz do niego zadzwonię. W górach padało i dziś właśnie dostarczono mu pierwsze grzyby. Zrobi pani jakieś danie z grzybów. Via Ludovisi siedemnaście.

Tylko jej wrodzony upór sprawił, że zostawiła Winterowi wiadomość u portiera. Nie liczyła już, że zobaczy się z nim tego wieczora. Miała tylko jedno pragnienie, wyjść jak najprędzej z „Excelsiora”, usiąść gdzieś przy stoliku z kieliszkiem wina, białym chlebem, pierwszymi grzybami z gór – a potem spać.

## 29.

Lokal był niepozorny, wąski jak kiszka, tak że obok baru mieściło się tu tylko siedem stolików. Były nakryte na biało, i właśnie te śnieżnobiałe obrusy świadczyły o poważaniu, z jakim u Carla traktowano jedzenie.

Poza Marią w lokalu byli tylko mężczyzna i kobieta. Siedzieli przy barze i musieli należeć do personelu, bo kiedy Carlo przyjął od Marii zamówienie, zniknęli w kuchni. Po jakimś czasie wrócili, usiedli tam znowu i cicho rozmawiali.

Karty dań nie było. Sam Carlo był chodzącym menu. Jadła, co jej polecił: talerz zakąsek z owoców morza, prawdziwki z risotto, sałatkę z pomidorów z cebulą. Tego, co przyniósł teraz, nie zamawiała: okrągłą miseczkę z pokrytym chrupiącą skórką sufletem.

– To na koszt firmy – wskazał palcem kobietę przy ladzie, która skinęła Marii głową. – Specjalność Lidy. Suflet miętowy.

- Nie jestem pewna, czy znajdę jeszcze na niego miejsce.

– To jest nic. Znaczący, składa się praktycznie z niczego. W ustach się rozpuszcza w samą pyszność. – Przysiadł się do niej. Balansował na skraju krzesła, z białą serwetką przerzucaną przez lewe ramię. Druga edycja Osvalda, tyle że miał trochę więcej włosów na głowie.

– Osvaldo przydałby mi się tutaj, ale on uwielbia atmosferę hotelu, masy ludzi, swoje fantazyjne koktajle... Będzie to robił jeszcze po siedemdziesiątce. Umrze kiedyś za barem...

Był to dalszy ciąg rozmowy, którą prowadzili pomiędzy poszczególnymi daniami. Nalał jej do kieliszka resztę białego wina. Ktoś próbował otworzyć z zewnątrz drzwi, potem zapukał w szybę. Carlo wstał. Podniósł zaciemniającą roletę i odmownie zamachał ręką.

– Już zamknięte!

Przez szybę Maria zobaczyła twarz późnego gościa w jasnym świetle lampy zwisającej z sufitu. Dawał jej znaki. To był Winter.

– Oczekuje pani jeszcze kogoś? – Carlo odwrócił się do niej.

Co by się stało, gdyby odpowiedziała, że nie? Nie, nie, nie – na wszystko, co było związane z tą wojną, na wszystko, co ją trapiło, co ją przyprawiało o lęk!

– Tak... jeśli to panu nie przeszkadza.

Carlo spuścił roletę i otworzył drzwi. Winter zwlekał z wejściem, opuścił głowę, jakby mu przeszkadzało jasne światło. Miał na sobie rozpięty jasny płaszcz, którego długi pasek zwiślał luźno. Z rękawami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w podłogę wszedł do środka. Podeszwy jego czarnych butów wyraźnie skrzypiały. Rozmowa pary przy barze ucichła.

– Niech pani nie pozwoli wystygnać sufletowi. Byłoby szkoda.

Maria zaczęła automatycznie jeść. Winter przysiadł się do niej, obróciwszy krzesło tak, by mieć na oku drzwi.

Wyglądał źle, blady, z nabrzmiałą twarzą. Jego cera, zawsze tak gładka i różowa, miała jakiś chorobliwy odcień. Z rękami wciąż jeszcze tkwiącymi w kieszeniach siedział zgarbiony, jakby z zimna, wyciągnąwszy nogi przed siebie.

Maria czuła, że musi zaczekać, aż Winter sam zacznie mówić. Najpierw wyjął ręce z kieszeni. Chwycił jedną z czystych szklanek i napełnił ją wodą z karafki. Z fiolki wysypał na dłoń dwie tabletki, połknął je i popił, jednym haustem opróżniając szklankę.

Do tej pory unikał spojrzenia jej w twarz. Teraz skierował na nią wzrok.

– Dawnośmy się nie widzieli. – Wyraz jego twarzy był taki, jakby miał jeszcze w ustach te gorzkie tabletki. – Wcale nie wiedziałem, że pani jest w Rzymie. Briga mówiła, że gdzieś w górach.

– Byłam długo w górach. Wróciłam parę dni temu.

– Właśnie teraz wraca pani do Rzymu?

– Portier przekazał panu moją wiadomość?

– Tak, oczywiście. Przed chwilą. – Położył przed sobą niebieską paczkę papierosów i zapalniczkę. Jego dłonie bawiły się nimi, porządkowały oba przedmioty wciąż na nowo, raz zapalniczka na papierosach, raz obok nich.

Jego wygląd i zachowanie nie zapowiadały niczego dobrego. Nie był to już wszechwładny człowiek, mogący spełnić każdą prośbę, już nie Bóg Ojciec, jak go nazwała Briga. Mimo to był jedyną osobą, do której mogła się zwrócić.

– Mówił pan kiedyś, że gdybym była w potrzebie, mogę się do pana zwrócić. Teraz pana potrzebuję.

Spuścił głowę. Jego głos był ledwie słyszalny.

– Pani już wie? Skąd?

Mógł na jej ogólnie sformułowaną prośbę odpowiedzieć równie ogólnie. Bezpośredniość jego reakcji przestraszyła ją. Potwierdził w ten sposób jej wszystkie obawy.

- Miałam telefon od pani von Jagov.
  - Von Jagov... a więc to tak. Rozmawiała z nią pani także osobiście?
  - Tak. Na Stazione Termini.
- Włożył papierosy i zapalniczkę do kieszeni.
- Skończyła pani jeść?
- Jego ostrożność wydała się jej przesadna.
- Wydaje mi się, że możemy tutaj spokojnie rozmawiać.
- Potrząsnął głową.
- Wolałbym, żeby pani uregulowała rachunek.
  - Wyraz jego niebieskich oczu zaskoczył ją. Czy to możliwe, żeby Winter się bał?

Szła obok niego, brzegiem chodnika, ponieważ musiała prowadzić rower. Na dworze zapalił papierosa i milczał. Jego pierwsze pytania dotyczyły Eriki von Jagov: jak dobrze się znały, co dokładnie powiedziała. Ulica była pusta, a mimo to ciągle podejrzliwie oglądał się za siebie. Czy była to tylko wyuczona, zawodowa ostrożność? Czy osobisty strach?

- Na ile dobrze znała pani Gottfrieda von Boldta?
- Na ile dobrze zna się kogoś, komu się przy jakiejś okazji przetnie drogę...
- Niech pani posłucha! – Rzucił papierosa na chodnik i rozdeptał go butem. – Tak nie możemy ze sobą rozmawiać! Już nie. Nie po tym, co się stało. Von Boldt jest aresztowany... i zaczął mówić.

Winter stanął na rogu Via Aurora. Naprzeciwko wznosił się wielki kompleks budynków szpitala wojskowego. Przed jednym z wejść zatrzymała się karetka. Mężczyźni w białych fartuchach, nosze. Cała grupa zniknęła we wnętrzu budynku.

- Może w ogóle nie powinniśmy rozmawiać. Może powinienem pani dać tylko tę jedną radę: niech pani opuści Rzym.

Niech pani wraca w Góry Tyburtyńskie. Ten doktor Larsson jest Szwedem, obywatelem neutralnego państwa... To naprawdę najlepsze, co pani może zrobić.

– Co rozumie pan przez to, że von Boldt zaczął mówić?

– Wracam z Via Tasso. Prosto stamtąd, rozumie pani! „Chcieliśmy pana dokooptować, Winter. Ostatecznie chodzi o jednego z pańskich ludzi...” Nie wiem, na ile jest pani zorientowana w sprawie von Boldta, to znaczy w sprawie jego przeszłości, kariery pilota, odznaczeń. Gdyby szukać wzoru odwagi, on by nim był. Kiedyś przebywał w wodzie czterdzieści osiem godzin, z przestrzelonym ramieniem... – Winter pstryknął zapalniczką, przypatrywał się płomieniowi. Zdawał się zapomnieć, że w drugiej ręce trzyma papierosa. Zdmuchnął płomień. – Nie znam motywów von Boldta. Nie wiem, jak się w tę sprawę wplątał. Wiem jedynie, że był w pełni świadomy, iż któregoś dnia na przesłuchaniu będzie musiał z tego zdać sprawę. Z pewnością był przekonany, że nie będzie sypał. Myślał tak jeszcze wówczas, gdy go aresztowano. Ale prawdopodobnie wszyscy ludzie idą z takim przekonaniem na Via Tasso.

Maria rzuciła okiem wzdłuż ulicy. Karetka odjechała, zanurzyła się w ciemności, widać było tylko dwa czerwone tylne światła. To, o czym myślała, było kalejdoskopem nakładających się na siebie obrazów: Gottfried von Boldt podchodzący do niej pomiędzy rządkami róż w Villa Wolkonsky... Marco, pochylony nad radiostacją w pokoju na wieży w Tre Torre... Briga z opadającym ramiączkiem wieczorowej sukni... bar w „Excelsiorze”...

– Jak Marco Varelli doprowadził do tego, że von Boldt dla niego pracował i przekazywał mu informacje o tym, które korytarze powietrzne są kontrolowane, a które nie?

– Nie wiem.

– Ale wie pani o „Shelleyu”? O samolotach? O ukrytych lądowiskach? O agentach, których przemycił Varelli? – Za

każdym razem oczekiwiał potwierdzające skinienie głowy pomiędzy pytaniami. – Czy wiedziała pani o tym już wtedy, gdy pokazywałem pani fotografie?

– Nie.

– Od kiedy pani wie?

Musiała się zastanowić.

– Od dwóch dni.

– Varelli naprawdę to pani powiedział?

Próbowała się bronić przed ogarniającym ją coraz bardziej lękiem.

– Mówił o tych sprawach, bo już nie są ważne! Bo już wszystko jest zamknięte. Bo się już wszystko skończyło, dlatego!

Winter szedł dalej. Postępowała za nim w milczeniu, prowadząc rower.

Skręcił w Via Lombardia. Domy były tu ciemne. Nie napotkali żadnego człowieka. W końcu Winter przerwał milczenie.

– No więc dobrze. Niech mnie pani do niego zaprowadzi.

– Ale... To niemożliwe.

– Albo mi pani ufa, albo nie!

– Po prostu nie wiem, gdzie teraz jest.

– Jest w Rzymie?

– Tak. W Rzymie. Ale naprawdę nie wiem gdzie. To prawda.

– A co pani powiedział? O swoich planach? O tym, co zamierza?

– Nic... Zaraz... Mówił coś o jakimś ostatnim zadaniu. O tym, że nie jest niebezpieczne.

– Nie może pani do niego w jakiś sposób dotrzeć?

Namyślała się. Była zdana na Wintera. Ale to nie znaczyło, że musiała zaraz wydać Winterowi Marca. Była jakaś granica, której nie mogła przekroczyć.

Winter chwycił ją za ramię. Mocno, boleśnie.

– Niech pani słucha! W ten sposób nigdzie nie dojdziemy. Nie rozumiem tego! Nie rozumiem, jak pani się w to wplątała. Ale będzie lepiej, jak pani pozna całą prawdę... Wszystko to, co się działo, te potajemne lądowania samolotów, ci przemycani agenci, wszystko to służyło pewnemu szczególnemu celowi. Alianci planują desant na plaży w Anzio i akcję dywizji spadochronowej na Rzym.

Potrząsnęła głową, dając do zrozumienia, że nie ma z tym nic wspólnego.

– Decydującą rolę odgrywają w tym lotniska wokół Rzymu. Desant, lądowanie spadochroniarzy – wszystko to ma szansę na powodzenie tylko pod warunkiem, że lotniska znajdują się w rękach aliantów wcześniej. Liczą się tylko lotniska. Muszą zostać zdobyte! Desant można udaremnić drogą powietrzną, z lotnisk. Niebezpieczeństwo grozi od strony lotnisk, a więc są warte każdej ceny! Ludzie Marca Varellego – akcja „Shelley” – mają być tą ceną. – Wciąż jeszcze trzymał ją za ramię. – Tylko że nie będzie żadnego desantu pod Anzio! Nie będzie spadochroniarzy skaczących na Rzym! Nigdy nie było takiego zamiaru! – Jego twarz znajdowała się całkiem blisko jej twarzy. – Rozumie pani, co to znaczy? Ludzie „Shelleya” zostaną po prostu poświęceni, z pełną świadomością, celowo. Z punktu widzenia tych, którzy coś takiego wymyślili, nie jest to prawdopodobnie żadna ofiara, a tylko wspaniały pomysł: osiągnąć wiele za cenę minimalnych kosztów. Anglicy zawsze byli w tym mistrzami.

– Ja... nie rozumiem pana.

– Ta gra nazywa się wyprowadzaniem w pole. Cała organizacja Varellego, ludzie, struktura, broń, plany – to wszystko tylko manewr zwodniczy. Po to, żeby oszukać Niemców. Desant pod Anzio! Opanowanie lotnisk! Niemcy mają w to uwierzyć...

– Ale dlaczego?

– Bo to związuje tutaj niemieckie oddziały, rezerwy, które w przeciwnym razie można by było przegrupować na południe, do Salerno. Tam zapadnie wyrok. Tam będzie decydowało wojsko. W końcu raz już się ten chwyt sprawdził, w czasie desantu na Sycylię. Wtedy też podsunięto Niemcom fałszywe informacje, z dobrym efektem.

Więc czemu nie jeszcze raz? O desancie pod Anzio i zagrożeniu podejściem pod Rzym... Żeby mieć stuprocentową pewność, daje się Niemcom do ręki nawet tajny szyfr.

Rozumie pani ten trik? Żeby zmylić wroga, trzeba oszukać też własnych ludzi. Członkowie organizacji „Shelley” wierzą w desant pod Anzio... i wszyscy zginą...

Maria trzymała kierownicę roweru. Widziała swoje ręce i czarne gumowe uchwyty. Najchętniej wsiadłaby na rower i odjechała, zanim pojmie, co Winter właśnie powiedział. To było przerażające. Nie chciała o tym wiedzieć. Nie chciała w to uwierzyć. Dlaczego to właśnie Winter miałby znać prawdę? Dlaczego jako jedyny miałby nie zostać zawiedziony? Może ta zabawa w chowanego w końcu znajdzie jakieś inne rozwiązanie... Czy ma zaufać Winterowi? Czy to nie było kolejne oszustwo, żeby od niej wydobyć miejsce pobytu Marca? Chwyciła się tej myśli, podczas gdy narastał w niej strach – morze lęku, zalewającego ją ciemnymi falami.

Szli obok siebie milcząc. Doszli do Via Ludovisi, potem do Via Vittorio Veneto. Po drugiej stronie leżał hotel, a trochę dalej w dole, odsunięty nieco od ulicy, budynek amerykańskiej ambasady. Przed hotelem stały zaparkowane liczne czarne limuzyny i samochody Wehrmachtu.

– Nie znam Marca Varellego. Ale sądząc z tego, co o nim wiem, nie uwierzy w to. – Winter spojrzął na Marię pytająco. – Mam rację? – Stał przed nią z rękami schowanymi w kieszeniach płaszcza.



Nasz park. Tullio. Musiała się zmusić, aby o tym pomyśleć.

– Jeśli znajdę Marca Varellego, to co mam mu powiedzieć? Jak mam się zachować?

– Będzie lepiej, jak pani wyjedzie z Rzymu.

– Poszukam go.

– Może zdoła jeszcze powstrzymać swoich ludzi. Tylko w ten sposób mógłby ich uratować.

– A jeśli to pan teraz mnie zwodzi? Jeśli będzie desant pod Anzio i dywizja spadochronowa?

Winter wzruszył ramionami.

– Na tym polega wojna! Że nikt już nie wie, na czym stoi. Że nikt nikomu nie może zaufać.

– Rozmawiałam dzisiaj z włoskim pułkownikiem. Twierdził, że dla aliantów z Salerno do Rzymu tylko krok. Osiem dni i...

Winter niechętnie pokręcił głową.

– Salerno to katastrofa! Amerykanie i Anglicy są tam przygwożdżeni do plaży. W pierwszej dobie mieli wysokie straty. Nie jest nawet pewne, czy utrzymają swój przyczółek. – Pokazał na „Excelsior” po drugiej stronie ulicy. – W niemieckim obozie panuje raczej nastrój ufności... Mówiłem to już pani – Rzym za wcześnie odetchnął. Niech pani odczeka jeden – dwa dni. Niemcy znowu będą panami Rzymu.

Przed hotelem wciąż jeszcze panował ożywiony ruch. Na ulicy słychać było głosy mężczyzn i śmiech kobiet.

Maria czuła rosnącą niecierpliwość Wintera.

– A Gottfried von Boldt?

– To zależy, co postanowią na Via Tasso. Jeśli będzie potrzebny przykład, postawią go przed sądem wojennym. Jeśli zechcą zatuszować sprawę, zginie po cichu.

– A pan? Co pan zrobi? Zostaje pan w Rzymie?

Zbliżył się o krok i w jego oczach pojawił się nagle znowu ów uśmiech, z którym wówczas przyjął ją w drzwiach mieszkania Brigi:

– *Di arrangiarsi*. Niech pani nie zapomina, że jestem pół-rzymianinem. *Di arrangiarsi*. Urządzę się najlepiej, jak się da.

Z tymi słowami, tak typowo włoskimi, że nie da się ich dokładnie przełożyć na żaden inny język, zostawił ją tam, gdzie stała. Odprowadziła go wzrokiem, gdy przechodził przez ulicę. Im bardziej się zbliżał do hotelu, tym bardziej przyspieszał kroku. Na wejściowych schodach zaczął już zdejmować płaszcz. Marii przypomniało się, co Osvaldo, barman z „Excelsiora” mówił o Winterze, o jego sposobie picia. Przypuszczalnie w tej chwili Winter myślał tylko o jednym – żeby możliwie szybko zobaczyć przed sobą pełne szkło.

### 30.

Pogoda była piękna; ciepły, słoneczny jesienny dzień, mimo chmur płynących po niebie. Podczas zakupów na Piazza Fiametta tu i tam przy stoiskach Maria łowiła uchem uwagi typu, że jest to idealna pogoda na posuwanie się aliantów do przodu.

Wtem nagle, dosłownie jak grom z jasnego nieba, spadł z wielkiej czarnej chmury deszcz, fundując Rzymowi podgrzewany prysznic. Maria znalazła schronienie pod markizą jakiejś kafejki, nie spuszczając oka z roweru obciążonego dwiema dużymi torbami. W którymś momencie podjęła decyzję, by zakończyć to bezsensowne krążenie w kółko, to męczące oczekiwanie, i zrobić zakupy na sobotę i niedzielę.

Deszcz ustał tak nagle, jak się zaczął, i znowu pojawiło się słońce. Maria położyła chustkę na mokrym siodełku. Skóra

była stara i spękana. Rankiem, w drodze do parku przy Porta San Sebastiano, złapała gumę. Na szczęście sama zakleiła dziurę, i do wielu innych łat, zdobiących już przedtem starą dętkę, przybyła nowa, czerwona.

Do Via dei Soldati nie było stąd daleko. Pomysł z Piazza Fiametta podsunęła jej sąsiadka: ceny czarnorynkowe, ale za to względnie duży wybór. W torbach miała chleb, mleko, warzywa, jajka, mięso, a nawet babkę *panettone*. Wydała masę pieniędzy i w gruncie rzeczy kupiła za dużo, ale bawiło ją chodzenie od stoiska do stoiska i zaopatrywanie się w każdym po trochu.

Przy kinie skręciła w Via dei Soldati. Wiatr osuszył już bruk. Zobaczyła stojącego w cieniu domu Larssona. Zatrzymała się i zsiadła z roweru.

– Długo pan czeka? – podała mu wolną rękę.  
– Byłem w mieście i pomyślałem, że mógłbym zajrzeć do pani. – Jego włosy i płaszcz były wilgotne od deszczu.  
– Przyjechał pan autobusem?  
– Tak. – Wskazał palcem pełne torby. – Zakupy?  
– Na Piazza Fiametta. Sześć jajek sto lirów! Jak tak dalej pójdzie...

– Pomogę pani.  
– Dzięki. – Domyślała się, dlaczego przyjechał. Jeszcze w nocy, po spotkaniu z Winterem, zadzwoniła do Larssona. Chciał, żeby z nim pojechała do Tre Torre. W obu telefonicznych rozmowach, jakie już zdążyli dzisiaj przeprowadzić, wciąż na nowo próbował ją namówić. Przypuszczalnie to była ostatnia próba.

– Weźmie pan torby? – Maria wprowadziła rower do klatki i zaczęła go wnosić po schodach. – Trzy piętra. Ale tylko tak mogę być pewna, że mi go nie ukradną.

W mieszkaniu dała Larssonowi ręcznik do wytarcia włosów, podczas gdy sama rozpakowywała w kuchni zakupy.

Kiedy wróciła do salonu, stał przed gablotą z modelami samolotów.

– Czy pani brat latał na tych wszystkich maszynach?

– Na niektórych ojciec, na niektórych brat.

– Czemu mi się pani tak przygląda?

– Pańskie włosy... były kiedyś rude?

– Tak. Kiedy są mokre, jeszcze to widać. Czy mogę się gdzieś uczesać?

– W łazience. Tamte drzwi. Co mogę panu zaproponować? Może kawę? Jest jeszcze trochę.

– No widzi pani, byłbym prawie zapomniał. – Poszedł do przedpokoju i wyciągnął z kieszeni płaszcz a torbkę kawy. – Szwedzki charge d'affaires był dziś z wizytą.

– A Teresa?

– Ma tyle zapasów, że mogłaby zacząć nimi handlować.

– No to dziękuję. – Maria zrobiła kawę. Włączyła radio, które teraz stało w kuchni; angielska stacja, na którą było nastawione, miała właśnie przerwę, bo poza szumami nic nie było słychać.

Larsson usiadł na kanapie. Zrobiło się ciemno i zapaliła jedną z lamp oraz światło w gablocie. Naczynia, kawa, oświetlone modele samolotów – nastrój przypomniał jej nagle pierwszy wieczór tutaj. Miała uczucie, jakby jej życie od owego wieczoru zatoczyło krąg. Była znowu w punkcie wyjścia – nie, nie całkiem. Wiedziała tylko, że ma rację, nie będąc teraz w Tre Torre. Tutaj się wszystko zaczęło, tu było jej miejsce. Po przeżyciach dzisiejszego dnia była to uspokajająca myśl.

Maria napełniła filiżankę Larssona. Jego wzrok obiegił pokój.

– Kiedy zobaczyłem dom, nie przypuszczałem, że znajdę w nim takie piękne mieszkanie. Wie pani, że jestem u pani po raz pierwszy? – Nie miał na sobie garnitur, lecz sportowe ubranie: szare spodnie z flaneli, jasną wełnianą kurtkę, białą

koszulę, sweter i wzorzystą muszkę. Ten niezwykajny strój odmienił go, a teraz zdziwiona zobaczyła, że z kieszeni kurtki wyjmuje paczkę papierosów.

– Niestety, w ostatnich dniach wrócił stary nałóg. Po trzech latach! I to właśnie teraz, kiedy o nie tak trudno. Chyba pani nie będzie przeszkadzało?

– Nie. – Przynęła popielniczkę. – Jeśli chodzi o Tre Torre... nie mogę wyjechać z Rzymu. Proszę to zrozumieć i nie mówmy już o tym.

Skinął głową.

– Zdziałała pani coś?

W czasie ostatniej rozmowy telefonicznej późnym przedpołudniem powiedziała Larssonowi, że wybiera się na poszukiwanie Marca. Zaraz potem wyruszyła do Porta San Sebastiano.

Dzieci były, ale ani śladu Tullia. Ani śladu wózka z osiołkiem. Czekąca na tej samej ławce co wtedy, przy pierwszym spotkaniu z Markiem. Było cicho, wyjąwszy głosy ptaków i dzieci. Oaza spokoju. Wciąż na nowo przyciągała jej wzrok wąska, kręta ścieżka, na której wtedy pojawił się Marco z białym psem u nogi.

Od ulicy dobiegł odgłos hamującego auta. Trzech włoskich żołnierzy weszło do parku. Każdy z nich miał węzełek. Poszli boczną ścieżką i zniknęli w zieleni gęstych krzaków. Kiedy po chwili wracali, mieli na sobie cywilne ubrania. Mundury musieli zostawić gdzieś w parku. Wyszli pospiesznie, z pustymi rękami i jaśniejącymi radością twarzami.

Jak długo tak czekała?

Nagle głosy dzieci stały się donośniejsze i bardziej radosne. Przybył Tullio ze swoim zaprzężonym w osiołka wózkiem. Dwoje dzieci z miejsca usadowiło się na wózku, a Tullio posadził jeszcze dziewczynkę na grzbiecie. Marię ogarniały wątpliwości. Czy ten stary człowiek ją rozpozna, czy jej

zaufa? Widział ją z Markiem tylko raz, i to prawie pięć miesięcy temu.

Tullio prowadził osiołka za uzdę, bose stopy obute miał w sandały, kapelusz zsunięty z czoła. Uśmiechnął się do niej.

– Piękny dzień, prawda? Piękny wrzesień. Wiele już wrzesni przeżyłem, ale żaden nie był tak piękny.

– I dalej, tym samym tonem: – Rocchetti, Via XX Settembre sto osiemnaście... Tak, ten wrzesień to prawdziwy cud...

Na Via XX Settembre przyjechała za późno!

Numer sto osiemnaście to była stara pięciopiętrowa kamienica z odrapaną fasadą. Ale już z daleka widziała zgromadzonych przed domem ludzi. Musiała sobie łokciami torować drogę. Potem zobaczyła to, czego się obawiała: „suki”, motocykle, żołnierze w stalowych hełmach i karabiny.

Niemiecka obława!

Mieszkańcy domu numer sto osiemnaście zostali wyprowadzeni na ulicę i musieli się ustawić w szeregu. Wszystko odbyło się cicho i szybko, jak bezgłośna pantomima. Nikt nie stawiał oporu.

Obserwatorzy przyjęli to dość spokojnie. Za jej plecami dwóch mężczyzn rozmawiało półgłosem.

– Tych, których szukają, i tak nie złapią. Znam te kamienice. Wszystkie piwnice są ze sobą połączone. Można tam chodzić kilometrami.

– Chyba że Niemcy zamurowali wyjścia.

– Musieliby zdrowo murować.

W tym momencie zdecydowała się zaprzestać szukania Marca. Była zbyt mało ważna, by mieszać się w bieg rzeczy. Musiała czekać. Na tym polegał jej udział. Czekanie – i lęk.

Spojrzała na Larssona i przypomniała sobie o jego pytaniu.

– Nie, niczego nie zdziałałam. Od początku było to dość

wątpliwe. Odezwie się. Jakoś jestem pewna, że nic mu się nie stanie. Jedyne, co mogę zrobić, to być tutaj.

– Winter dzwonił jeszcze raz?

– Tak. Dał mi numer telefonu, pod którym go mogę zawsze zastać, jeśli go nie będzie w hotelu. Pierwsze dwie cyfry wskazują na to, że to jakiś numer w Watykanie.

– Wiem, że pani nie przekonam. Nie dlatego też przyszedłem... – Jego spojrzenie znów obiegało pokój.

– Dawno nie byłem w mieszkaniu kobiety...

– Marco mi opowiedział o tej irlandzkiej pielęgniарce. Nazywała się Jill O'Neill, tak?

Larsson nie okazał zaskoczenia, tylko pokiwał w zamyśleniu głową.

– To już tak dawno, tak dawno temu. Terazniejszość jest lepsza od przeszłości.

– Ta kobieta... jaka ona była? Czy jestem do niej podobna?

– Pani! O, nie... Gdybym to panią wtedy spotkał, nie doszłoby do katastrofy. Tak, Mario, w tym rzecz, za późno panią spotkałem. – Powiedział to tak naturalnie, jak mówi się rzeczy, o których się często myśli.

Maria powtórzyła w duchu jego słowa, wyryła je sobie w pamięci. Nie było na nie odpowiedzi.

– Marco mówił, że to była piękna kobieta.

– Tak, bardzo piękna. Była Irlandką. I katoliczką.

– Zapadło milczenie, ale Maria chciała dowiedzieć się więcej, być może tylko po to, aby myśleć o czymś innym.

– Czy to, że była katoliczką... miało jakieś znaczenie?

– Myślę, że tak. Jej pierwszą wielką miłością był Bóg. Zawiódł ją. Jej drugą miłością był Włoch. Dla niego wystąpiła z zakonu. On także ją zawiódł. Potem przyszedłem ja... Jej ostatnią miłością była śmierć. Nie wymyśliłem sobie tego, żeby uspokoić sumienie. Są ludzie, którzy szukają absoulutu. I

nie znajdują go ani w niebie, ani na ziemi. Na koniec zostaje tylko śmierć.

Mówiąc to, nie patrzył na nią, i odnosiła wrażenie, że miał na myśli nie tylko Jill O'Neill, ale także Marca.

Larsson zdusił papierosa w popielniczce. Tuż obok stało pudełeczko z pozytywką, którą Marco przywiózł z Palermo.

Larsson podniósł się.

– Czy mogę zadzwonić, żeby Teresa wiedziała, że jadę do domu? – Zatelefonował. – Czy wrócą kiedyś nasze godzinny lektur?

– Nie jedzie pan do Tre Torre?

– Samochód szwedzkiej ambasady byłby do dyspozycji... Nie, nie chcę pani w żadnym wypadku namawiać... Ja też zostanę w Rzymie. Myślę, że znowu zajmę się trochę pracą.

– Pańską praktyką?

– Zanim przyszedłem do pani, byłem w szpitalu Viktoria, prowadzonym tu w Rzymie przez szwedzki Czerwony Krzyż. Okropne warunki. Pacjenci na korytarzach, brak lekarstw, środków opatrunkowych. A zwłaszcza lekarzy. Ci nieliczni zaledwie mogą się zdrzemnąć. W poniedziałek zacznę tam pracować. – Wziął ją za rękę. – Jak pani widzi, biorę z pani przykład i zajmuję się terażniejszością.

– Ciągłe mnie pan zaskakuje. – Nie puszczała jego ręki.

– W tym także próbuję panią naśladować – pozostał poważny.

Po jego wyjściu poczuła wdzięczność. Dobrze, że przyszedł. Dobrze, że zostawał w Rzymie. Póki był, nie czuła się całkiem opuszczona...

Sprzątnęła naczynia po kawie. Nie była specjalnie głodna, ale ugotowała mięso i warzywa. Położyła świeży obrus na małym stole w kuchni. Nakryła na dwie osoby. Kiedyś Marco



się pojawi. Była tego całkiem pewna.

Pogasiła światła w salonie i wietrzyła, rozbierając się w łazience. Włożyła szlafrok Gianniego i wróciła do salonu. Zamknęła okna, zapaliła światło, po czym wzięła do ręki książkę.

Nie była dość opanowana, by czytać w spokoju. Drzwi do kuchni były otwarte, angielska stacja nadawała teraz owe dziwne, niezrozumiałe zapowiedzi, o których wszyscy wiedzieli, że są zakodowanymi meldunkami agentów.

Pod wpływem nagłego impulsu zamówiła przez pocztę rozmowę z La Spezia. Nastawiła się na długie czekanie, ale połączenie nastąpiło zadziwiająco prędko. Rozmowa z matką przebiegała jak wszystkie inne. Co robisz? Czy masz co jeść? Sto lirów za sześć jajek! Po prostu nie można tyle płacić... A potem stereotypowe formułki pożegnalne. Zadzwoń do ciebie wkrótce znowu. Tylko nie zapomnij.

O dziesiątej zaniósł radio do sypialni i położyła się z książką do łóżka. Nie zwracała uwagi na to, co czyta. Nie zauważyła też, kiedy zasnęła. Kiedy się obudziła, radio grało, a światło przy łóżku jeszcze się paliło. Dwie godziny głęboko spała, więc czuła się zupełnie przytomna i wypoczęta.

Usłyszała cichy dźwięk, czy raczej lekkie drżenie, wibrację, jak gdyby nie znajdowała się w solidnym budynku, a na pokładzie statku. Wstała i otworzyła okno. Dudnienie się wzmoгло.

Dobiegało od strony Tybru, z wielkiego bulwaru; drżanie, odgłosy ciągłego toczenia się, raz wysokie, prawie świdrujące, kiedy indziej głucho turkoczące. Nasłuchiwała, dopóki nie rozpoznała – tak jej się wydawało – co to jest: kolumny ciężkich pojazdów, czołgów, może dział. Pomiędzy tymi dźwiękami wyławiała teraz i inne, od południowej strony miasta. Eksplozje. Raz niebo zmieniało barwę tak, jakby strzelano świetlnymi pociskami. Potem znowu zaległa cisza, jeśli nie

liczyć dudnienia kolumny pojazdów.

Zamknęła okno. Znowu pojawił się lęk. Próbowwała czytać, potem spać, ale leżała jedynie z otwartymi oczyma.

W końcu wstała, włożyła szlafrok i zrobiła sobie kawę. Zauważyła, że z jednego paznokcia odprysł lakier. Przyniosła z łazienki wszystkie potrzebne przybory i usiadła w salonie. Zegar wskazywał tuż po wpół do drugiej.

W mieście znowu panowała śmiertelna cisza. Zapach kawy i zmywacza do paznokci rozszedł się po pokoju. Stopniowo się uspokajała. Nałożyła warstwę świeżego lakieru. Ręce z rozstawionymi palcami trzymała przed sobą, dmuchając na paznokcie, żeby szybciej wysychały. Wtedy usłyszała głosy w przyległym mieszkaniu.

## 31.

Otworzyła drzwi i głosy umilkły, jak na komendę. Było tam trzech mężczyzn. W jaskrawym świetle zwisającej z sufitu żarówki wyglądali wszyscy tak samo: wychudłe, nie ogolone twarze z nienaturalnie wielkimi oczami. Teraz te oczy wpatrywały się w nią z przestraczem.

Jakiś jęk przerwał obezwładnienie: jeden z trzech mężczyzn siedział na krześle, jego ramię zwisało, a ręka była grubo obandażowana. Przez brudny opatrunek kapłała krew. Pozostali dwaj stali przy jego krześle.

Ranny podniósł prawą dłoń i wskazał na Marię. Opuścił rękę z jękiem bólu, ale równocześnie próbował się słabo uśmiechnąć.

– Do diabła, kim ona jest?

Maria zaledwie zarejestrowała, że powiedział to po angielsku. Nagle wszyscy się poruszyli. Jeden ze stojących, z krótko

ostrzyżonymi siwymi włosami, podszedł do okna, by sprawdzić zaciemnienie. Drugi – do uchylonych drzwi w tyle pokoju.

– Hej, Martelli! Chodź tu na chwilę!

Mężczyzna, którego zawołał, pojawił się z pudełkiem środków opatrunkowych w ręku. Maria miała wrażenie, że jej serce przestało bić. Martelli. Ostatnim razem przeczytała to nazwisko na jego ciężarówce. Ostatnim razem widziała go opalonego na czekoladę i wypoczętego. Teraz przypominał pozostałych; nie ogolony, o pustych oczach i poszarzałej twarzy.

– Mój Boże, Marco! – Nie zważała na nic nie rozumiejące spojrzenia trzech mężczyzn.

– Marco! – Żył! Nic mu się nie stało. Wszystko minęło, a on żył!

Wszedł do pokoju. Jego ruchy były powolne, jakby się namyślał. Postawił apteczkę na stole. Zwrócił się do mężczyzn.

– Wszystko w porządku. Zajmijcie się jego ręką. W apteczce znajdziecie wszystko, czego trzeba.

Wyszedł za Marią z pokoju, w ten sam powolny sposób, jak gdyby każdy krok wymagał uprzedniego namysłu. Objęła go w milczeniu. Długo trzymała w uścisku, dopóki się nie upewniła, że go na powrót odzyskała.

W końcu uwolnił się od niej. Z bliska jego twarz wyglądała mniej na zmęczoną, a raczej na skamieniałą. Nie wyrażała żadnych uczuć, żadnego ciepła, miłości. Po prostu głąz.

Nigdy nie był jej bardziej obcy – i nigdy bardziej go nie kochała.

Kochała człowieka, którego nie znała! Może nigdy go nie pozna naprawdę. Ale wiedziała także, że nigdy nie przestanie go kochać.

Przeszedł kilka kroków po pokoju, stanął przy stoliku koło kanapy, na którym stały jej przybory do manicure.

– Jak to się stało, że w ogóle tu jesteś? Dlaczego nie pojechałaś z Larssonem do Tre Torre?

– A po co miałabym jechać do Tre Torre? Wiedziałam, że jesteś w Rzymie, więc też chciałam tu być... – Nie potrafiła powstrzymać łez. Pojawiły się po prostu w oczach i spływały po twarzy. – W Tre Torre leżałabym teraz nie śpiąc z obawy o ciebie... – Spojrzała na niego, nagle przestraszona, że dopiero teraz odkryje jakąś jego ranę. – Czy z tobą wszystko w porządku?

– Naturalnie. Przecież ci mówiłem, że nic mi się nie stanie.

Bolał ją ten twardy głos. Znowu czuła, jak napływają łzy.

– Winter powiedział, że wszyscy zginiecie.

Mówiła tak cicho, że nie rozumiał jej słów. Za to ona nagle pojęła jego zachowanie. Musiał mieć za sobą straszną noc – a ona myślała tylko o sobie!

– Zrobić herbaty?

Skinął głową.

– Masz coś do jedzenia? Ze mną wszystko w porządku, tylko jestem strasznie głodny.

– Chodź... – poprowadziła go do kuchni, wskazała stół z dwoma nakryciami. – Rozumiesz teraz, dlaczego musiałam tu zostać?

Podczas gdy przygotowywała jedzenie, Marco wrócił do pozostałych mężczyzn. Przez otwarte drzwi słyszała ich głosy. Nie rozumiała, o czym rozmawiali, tyle tylko że mówili po angielsku i że głosy były spokojniejsze, już nie tak podniecone.

Marco wrócił i usiadł oboje przy małym kuchennym stole. Wziął dokładkę mięsa i jarzyn; ona wypijała tylko filiżankę kawy. Kiedy skończył, zapalił papierosa i zaciągnął się nim głęboko. Trzymał papierosa w lewej ręce, prawa zwisała swobodnie z krzesła, tam gdzie zwykle zajmował miejsce biały pies.

- Gdzie jest pies?
  - Na dole w samochodzie. – Wstał. – Zatrzaszczysz się o coś do jedzenia także dla tych trzech?
  - Naturalnie. Marco... co się wydarzyło dziś w nocy?
- Potrząsnął głową.
- Nie wiem. Dziś w nocy mieli tu lądować alianci. Coś musiało pójść nie tak... Zamiast nich byli Niemcy... a my znaleźliśmy się w pułapce. – Przez chwilę milczał. – Większość naszych ludzi zginęła. Daj im jeść, proszę, i zrób im herbaty.
  - Ty... nie wyjdiesz chyba znowu?
  - Przed świtem muszę ich wywieźć z miasta.
  - Znow znikasz?
  - Wkrótce wrócę. Muszę wiedzieć, co się dzieje w mieście. Czy dworce są jeszcze bezpieczne i które ulice. Mario, muszę wydostać tych ludzi. Nie mogą tu zostać! To drugie miejsce nie było już pewne, tylko dlatego ich tu przyprowadziłem...
  - Via XX Settembre sto osiemnaście ?
  - Wiesz?
  - Nawet tam byłam. Właśnie wtedy robili obławę.
  - Za godzinę wrócę. Proszę, zadbaj o tych trzech...
  - Kiedy to wszystko się wreszcie skończy, Marco?
  - Za godzinę – dwie już ich tu nie będzie. Wtedy porozmawiamy. Proszę, Mario!

Pragnęła go objąć, trzymać mocno, ale nie znalazła dość sił, by wyciągnąć ramiona.

Odczekała, aż poszedł, i przygotowała jedzenie dla pozostałych mężczyzn. Kiedy wchodziła do pokoju z tacą, przywitał ją zupełnie inny widok niż za pierwszym razem. Trzej mężczyźni siedzieli pałac przy stole, ale wydawało się, że to nie ci sami ludzie.

Zmienił ubrania; byli ogoleni, a świeżo zabandażowana ręka jednego z nich nie wyglądała ani w połowie tak źle, jak przedtem. W pokoju czuć było zapach jodyny.

Najstarszy, siwowłosa, zerwał się i wziął od niej tacę. Ranny wyciągnął ku niej skaleczoną rękę, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Ktoś musi mnie karmić. Może pani zechce?

Pozostali roześmiali się i śmiejąc się ciągle zabrali się do jedzenia. Dla Marii ich wesołość miała w sobie coś z wyzwania, nieomal coś frywolnego. Zmiana była zbyt rażąca. Najpierw trzech ludzi z wypisanym na twarzach śmiertelnym strachem. A teraz trzech mężczyzn robiących głupkowane dowcipy.

Chętnie by z nimi porozmawiała, dowiedziała się od nich, co się właściwie wydarzyło, ale czuła, że teraz nie chcą o tym pamiętać. Wymknęli się śmierci spod kosa. Dopiero zaczęli pojmować, że raz jeszcze podarowano im życie. Nie chcieli odczuwać nic innego poza tym, że żyją.

– Pani jedzenie jest po prostu wspaniałe!

– Jakież?

– Naprawdę wspaniałe.

– Zrobię coś do picia. Kawę czy herbatę?

– Słyszeliście? Kawę czy herbatę! Co za dom! – Znowu się roześmieli.

Maria poszła do kuchni i zaparzyła herbatę, pełny dzbanek, i drugi, którym napełniła termos. A przecież na Piazza Fiametta upolowała jeszcze *panettone*? Odkroiła połowę i zaniósła na tacy mężczyznom.

Sprzątnęli naczynia i rozłożyli na stole mapę. Dwóch z nich pochylało się nad nią, trzeciego nie było widać, ale jego głos dochodził z sąsiedniego pokoju, gdzie stała łóżka polowe.

– Spróbuję się przespać... Obudźcie mnie, kiedy przyjdzie Martelli. Nie zostawcie mnie tutaj. – Jego głos już był senny.

Maria zabrała tacę i zostawiła ich samych. Sprzątnęła kuchnię i ponownie nakryła dla dwóch osób, jak poprzednio.

Która to mogła być godzina? Dlaczego Marco jeszcze nie wracał? Straciła wszelkie poczucie czasu.

W łazience zauważyła, że lakier na paznokciach się rozmażał. W salonie stały jeszcze przybory, ale nie miała już siły, by zaczynać wszystko od początku. Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Dobrze wyglądasz, kiedy jesteś szczęśliwa, mimo zmęczenia.

Poszła do sypialni, położyła się do łóżka w szlafroku. Kiedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że go kocham? W naszym parku? W Saracinesco? Prawdopodobnie stało się to tam. Kiedy tańczyliśmy, miałam wrażenie, że ulatuję w powietrze, także jeszcze potem... Czy to ważne, by wiedzieć, kiedy to się zaczęło? Nie, nie o to chodzi. Ważne jest, że wiem: to na zawsze! Co za słowa: na zawsze!

Nie chcę spać. Nie chcę myśleć. Nie chcę się bać. Chcę czuć i czekać. To jedyny sposób, by go kochać, gdy go przy mnie nie ma... Nie spać... Nie śnić...

Na samochodzie napisano ELIGIO MARTELLI. Z trudem to odcyfrowywała, tak wielu ciekawskich zaślaniało jej widok. Ale to nie była Via XX Settembre. Ludzie nie byli zalęknieni. Cieszyli się głośno i krzyczeli, tańczyli i machali flagami. Wychodzili z domów, tysiące ich parło w kierunku placu – a więc był to plac, nie Via XX Settembre, nie obława – nadbiegali i usuwali się na stronę, śmiejąc się, krzycząc, radując się głośno.

Miała rower, a nie topolino. A więc to nie mogło być 25 lipca. Było lato, ale jakiś inny dzień. Pochód nadciągnął z Via Porta San Sebastiano, minął kościół San Cesareo, a placem była Piazzale Numa Pompilio. Ciężarówka jechała na czele, Marco Varelli siedział za kierownicą. Łaty miernicze wystawały z tyłu samochodu, a na nich furkotały angielska flaga i amerykański gwiazdzisty sztandar.

A potem szła armia! Anglicy i Amerykanie. Siedzieli na rowerach, oliwkowozielonych rowerach. Ich mundury były oliwkowozielone i całkiem nowe. Wszyscy byli oliwkowozieloni, cała armia! Teraz zrozumiała hałaśliwą radość i ludzkie masy pozdrawiające defilujących, tę oliwkowozieloną armię wjeżdżającą do Rzymu na rowerach.

Briga stała obok niej i z podniecenia zsunęło się jej ramiączko sukni. „Tam jest Gianni! Koło Marca!” I rzeczywiście w ciężarówce obok Marca siedział Gianni. Podniósł rękę i pomachał bukietem żółtych kwiatów. Były to mimozy.

Defilujący dotarli teraz do Term Karakalli i maszerowali przed trybuną, na której stał *conte* Varelli, we fraku z szeroką szarfą we włoskich barwach narodowych, i przyjmował paradę alianckich oddziałów rowerowych. W drugim rzędzie stała *contessa* i szeptała coś do Larssona.

Plac przed nią opustoszał. W końcu została całkiem sama na tym rozległym terenie, usianym rozdeptanymi mimozami i papierkami po gumie do żucia. Wsiadła na rower, żeby ruszyć w ślad za defiladą, ale ktoś trzymał ją mocno za ramię...

## 32.

Poczuła rękę na swoim ramieniu. Światło dnia boleśnie raziło jej oczy.

– Pobudka! Mario, obudź się! Przyniosłem ci kawę.

Uniosła się, mozolnie budziła się ze snu. Spod półprzykniętych powiek widziała na nocnym stoliku tacę z filiżanką kawy. Przez okno wpadało do środka światło dnia. Marco siedział w nogach łóżka, ubrany i świeżo ogolony.

Teraz wstał i ponownie zsunął lekko zasłony, aby światło jej nie raziło.



- Dziękuję. Która godzina?
- Jeszcze nie tak późno. Wpół do dziewiątej...

Maria wstała i poszła do łazienki. Pomieszczenie nie miało okien. Światło nad lustrem było bardzo ostre, może praktyczne dla mężczyzny przy goleniu, ale niekorzystne dla kobiety o poranku. Już kilkakrotnie postanawiała to zmienić. Pomyślała teraz: jutro umówię się z rzemieślnikiem.

Wróciła i wślizgnęła się do łóżka.

– Śniło mi się coś bardzo dziwnego, o angielskich i amerykańskich żołnierzach, którzy wkroczyli do Rzymu na rowach. Ty jechałeś na ich czele w swojej ciężarówce, a ludzie rzucali się sobie w ramiona i witali tę armię okrzykami radości. – Dopiero teraz zauważyła białego psa u jego stóp. Położył łeb na łapach i spał. – Nie ma ich?

Marco nalał kawy do filiżanki i postawił tacę na łóżku.

- Przypuszczalnie są już w Terracinie.
- Ciężarówką?
- Tak.

– Nic nie słyszałam. Ani trochę. – Spojrzała na niego. Miał na sobie inne ubranie – brązowe spodnie i beżową koszulę. Dwa górne guziki nie były zapięte i zauważyła łańcuszek z medalikiem Marii z Aracoeli. Jego twarz była poważna, ale już nie tak bezwzględna jak w nocy. – Gdzie spałeś?

Wskazał palcem na drzwi do salonu.

Potrząsnęła głową.

- Czemu?
- Spałeś tak mocno. A poza tym mogę spać wszędzie.

Wypiła kawę i zjadła kawałek *panettone*. W pokoju, mimo zasłon, było tak jasno, że na dworze musiało świecić słońce.

- Jaka jest pogoda?

– Bezchmurne niebo. Lekki zachodni wiatr. W nocy kilka razy krótko padało, ale nie jest zimno.

– Możesz zabrać ode mnie tacę? – Zapadła głębiej w pościel. – Dzisiaj jest niedziela, prawda?

– Tak.

Miała ochotę zostać cały dzień w łóżku. Dopiero wieczorem mogliby wstać. Może zjedliby u Carla na Via Ludovisi. A gdyby dzisiaj nie było otwarte, to jutro albo pojutrze... Carlo mógł poczekać... Mieli przed sobą całe wieki.

Wyciągnęła ramiona i przytuliła go do siebie. Poddał się, ale czuła, że w ramionach trzyma tylko jego ciało – myślami i uczuciami wciąż jeszcze był przy tym, co wydarzyło się ostatniej nocy.

– Może porozmawiamy o tym?

Skinął głową bez słowa. Wyniósł tacę. Wstała i przeszła do salonu. Obserwowała go, gdy wchodził. Jego ruchy były spokojne, powolne. Kochała to w nim. Jego sposób chodzenia, jakby ziemi, po której stapał, wyświadczał łaskę; jego sposób brania do ręki przedmiotów. Już pierwszego wieczora na Via dei Soldati rzuciło się jej to w oczy, kiedy brał ze stolika żółty tomik Shelleya. Może to był ten moment, kiedy zaczęła go kochać.

Usiadł naprzeciw niej. Pragnienie dotknięcia go przepętniało ją także teraz, tak silne, że aż bolesne.

Towarzyszący pies usadowił się obok fotela. Głos Marca był cichy, lekko schrypnięty:

– Tak wielkie... nadzieje wiązaliśmy z tym dniem. Miał się stać naszym dniem, naszym wielkim dniem. – Jego prawa ręka spoczywała na głowie białego psa. – *Swift as a spirit hastening to his task* – takie było hasło na ten dzień, zmieniony szyfr. Musiał być znowu Shelley...

Maria nagle odniosła wrażenie, że jest lepiej poinformowana o wydarzeniach ubiegłej nocy niż on.

– Aresztowano Gottfrieda von Boldta... wiesz o tym?  
– Kiedy? – Patrzył na nią oczami, które były wyłącznie nastawione na obserwację.

Musiała się najpierw zastanowić.

- Trzy dni temu, dziewiątego września.
- Co to ma wspólnego z ubiegłą nocą?
- Zawieźli von Boldta na Via Tasso i tam przesłuchiwali.
- Nie mógł im nic powiedzieć o ubiegłej nocy.

Zaległo milczenie. Teraz była pewna, że nie znał prawdy.

– Ten desant pod Anzio, ta dywizja spadochronowa... wasz wielki dzień. Nigdy nie planowali, że desant faktycznie nastąpi! Rozumiesz... To była tylko pułapka na Niemców. Blef. Oszustwo. Anglicy sami postarali się o to, by Niemcy znali szyfr. Wszystko po to, żeby na sto procent uwierzyli w desant pod Anzio. Wasza organizacja miała tylko uwiarygodnić oszustwo. Byliście przynętą... Ale Niemcy wiedzieli o tym planie. To znaczy – wiedzieli wszystko! Zostałeś tylko ty i twoi ludzie... i bezsensowne poświęcenie.

– Skąd to wiesz?

– Od Wintera. Rozmawiałam z nim. Można było temu zapobiec, gdybym wiedziała, gdzie cię znaleźć. Dlatego zostałam w Rzymie. Szukałam cię cały wczorajszy dzień. Najpierw u Tullia, potem na Via XX Settembre...

Wbił wzrok w ziemię.

– Niemożliwe.

– Winter mi to przepowiedział. On wiedział, że w to nie uwierzysz. Ale to było przedtem. Zanim się to wydarzyło. To już nie teoria, to fakt. Zostaliście poświęceni... bez sensu poświęceni... Nie możesz dłużej zamykać oczu na fakty.

– Muszę sam do tego dojść.

– Jest tak, jak ci powiedziałam. Do czego tu jeszcze dochodzić.

– Nie rozumiesz – alianci mieli lądować. Coś im się popsuło w planie, to się zdarza.

– Marco! Nic się nie popsuło, poza tym że Niemcy nie wpadli w pułapkę. Ilu ludzi zginęło dziś w nocy? Ilu? Żaden z nich nie miał szansy. Mała ofiara dla wielkiej sprawy – tym mieliście być. Anglicy od początku to zaplanowali.

Wpatrywał się w swoje dłonie.

– Jeśli naprawdę tak było... dowiem się tego.

Co miała jeszcze powiedzieć? Co jeszcze mogła powiedzieć? Rozumiała go, on jej nie. To wszystko było reakcją na minioną noc. Musiał zyskać dystans. Musiała dać mu czas. Tak podpowiadał jej rozsądek. Uczucie zaś mówiło: od kiedy wrócił, od kiedy się obudziłam i zobaczyłam go siedzącego na moim łóżku, czekam tylko na to jedno słowo: koniec... Lęku o niego, czekania. Koniec.

Wzięła do ręki pozytywkę, nakręciła. Marco podniósł się, odebrał jej pozytywkę i odstawił na stół. Stał przed nią, ujął jej ręce. Wyraz jego twarzy zmienił się, stał się łagodniejszy.

– Kocham cię. Kiedy myślę o przyszłości, myślę o nas obojgu, o tobie i o mnie. Ale przedtem muszę to doprowadzić do końca. – Usiadł obok niej.

– Powiedziałeś, że to już koniec. Dziś w nocy, zanim poszedłeś, tak powiedziałeś. Musi się skończyć. Dość zrobiłeś.

– To nie może być koniec – nie tak, nie dla mnie.

– Co zamierzasz?

– Pójdę w ślady innych.

– Dokąd?

– Przedostanę się na południe.

– A potem?

Choć czekanie i rozstania były straszne, pewność, że Marco ją kocha, nigdy jej nie opuściła. Teraz zaczęła wątpić

także i w to. Gdyby ją naprawdę kochał – tak jak ona jego – czy nie byłaby dla niego ważniejsza niż wszystko inne?

Tre Torre, Saracinesco, trzy dni nad morzem. Wspominała etapy swojej miłości. Krótkie, a mimo to dały jej więcej szczęścia niż całe poprzednie życie. A jak było z nim? Może ją i kochał, ale inne rzeczy były ważniejsze. Miłość była tylko marginesem jego życia. Świat był pełen takich mężczyzn. Zawsze tak było i chyba zawsze tak będzie. Jej ojciec też był taki jak Gianni. Być może w ogóle istnieli tylko tacy mężczyźni, albo może to ona tylko takich napotykała. Jak oni mogli? Jak mogli zostawiać ukochaną kobietę samą?

To niesprawiedliwe! Myśl była ogólna, nie skierowana przeciw Marcowi, a nie wypowiedziała jej, bo to nie miało sensu, bo mężczyzna by jej nie zrozumiał. Tak jak ona go nie rozumiała. Co nie zmieniało faktu, że go kocha, że nie będzie już nigdy mogła wyrwać z serca tej miłości. To tylko pogarszało sprawę.

– Ale dlaczego? Podaj mi choć jeden dla mnie zrozumiały powód.

– Próbowałem o tym mówić nad morzem. Przyjrzyj mi się, mam teraz czterdzieści cztery lata. I do czego doszedłem? Moje życie składa się wyłącznie z rozpoczętych spraw. Raz chcę coś doprowadzić do końca... – Pokiwał głową nad własnymi słowami. – Nie umiem tego inaczej wyrazić. Tak jest najbliżej prawdy. Wtedy, na początku, wszystko było proste... Teraz wiem tylko jedno, muszę kontynuować, muszę to doprowadzić do końca. To wszystko.

– Chcę, żebyś żył. To wszystko, czego ja chcę! Co jest więcej warte niż życie? Więcej niż twoje i moje życie? – Co zrobić, żeby go powstrzymać? Jeśli nie powstrzyma go miłość, to co? Nie miała nic poza swoją miłością.

– A jeśli cię poproszę? Co się stało, to się nie odstanie. Nie możesz tego już zmienić. Jeśli poproszę, żebyś został...

Proszę, Marco! – Odnosiła wrażenie, że był głuchy na jej słowa. Mogła jeszcze zacząć krzyczeć, może wtedy by ją usłyszał, ale czuła się pusta i bezsilna. Kto powiedział, że człowiek może sam decydować o swoim losie? Kto coś takiego powiedział? Nikt, kto poznał życie.

– Nie mógłbym zostać, nawet gdybym chciał. Nie jestem tu już bezpieczny. Musiałbym się ukrywać. Nie moglibyśmy się widywać.

Wiedziała, decyzja zapadła. Nic go nie powstrzyma przed zrobieniem tego, co uważa za właściwe.

– Byłeś dziś w nocy w mieście. Co się tam dzieje?

Wstał, zapalił papierosa; to był drugi, którego przy niej palił.

– Niemcy wrócili. Okupują koszary, kontrolują dworce. Aresztują każdego w mundurze. Król i rząd podobno uciekli z Rzymu.

– Czy nie jest wobec tego niebezpiecznie opuszczać Rzym?

– Mam papiery na nazwisko Martelli. Żadne fałszywki, prawdziwe papiery. Eligio Martelli, lat czterdzieści cztery, urzędnik geodezyjny z Terraciny.

– Nieomal się uśmiechnąłeś. – Rzeczywiście tak było, jego twarz rozluźniła się, z oczu ustąpiły posępne błyski. – Jak się wydostaniesz – bez samochodu?

– Pomyślałem, że może pożyczysz mi rower. Rower jest jeszcze lepszy, mniej wpada w oko niż samochód.

– Opony są do niczego.

– Wytrzymają do Fondi. Stamtąd pójdę pieszo, przez góry na południe.

– Masz już w głowie dokładny plan – drogi, miejscowości, wszystko.

– Mario!

– A pies?

– Jest przyzwyczajony do długiej drogi.

– Bagaż?

- Tylko chlebak.
- Zobaczą, jakie mam jeszcze zapasy.

Nie dał jej odejść. Wziął ją w ramiona i przytulił mocno. Czowała jego bliskość. Broniała się przed tym uczuciem. Zaraz mnie zacznie pocieszać, pomyślała. Zaraz powie, że rozstajemy się na krótko, że wszystko będzie dobrze, że w przyszłości będziemy razem. Obietnice. Iluzje. Zimno mi. A on okrywa mnie płaszczem iluzji...

- Jaka jesteś zimna.
- Nie mów o jutrze.
- Kto mówi o jutrze?

Jego głos był cichy. Czowała dotyk jego warg. Czowała, że jego ręce były cieplejsze niż jej skóra.

- Musisz iść. Nie musisz?
- Kto powiedział, że muszę iść?
- Czy nie ty sam?
- Nie mogę sobie przypomnieć.
- Mamy czas?
- Całe wieki.

### 33.

Ze słonecznego nieba spadł deszcz, prawie niewidoczny, jak iskry w powietrzu. Szeroka szosa wylotowa z czterema pasami lśniła mokrą nawierzchnią. Cztery szeroko rozwarłe łuki Porta Ardeatina, potężnej budowli, zdawały się unosić w powietrzu jak świetlny most.

- Szybciej. Całkiem zmokniesz.

Siedziała z tyłu, bokiem na bagażniku roweru, rękami obejmowała jego klatkę piersiową, głowę wciskała w jego plecy, chroniąc się przed deszczem.

Dotarł do zewnętrznego łuku po lewej stronie bramy. Maria zeskoczyła z roweru i potrząsnęła włosami. Roześmiała się.

– Niebo masz przeciw sobie.

Oparł rower o mur. Szerokie wgłębienie Muru Ardeatyńskiego chroniło ich przed deszczem. Przed nimi, na szerokim placu, niemiecki żołnierz w stalowym hełmie i szarozielonej pelerynie regulował ruch. Kolumna samochodów skręcała na szosę w kierunku Neapolu. W deszczu plac wydawał się jeszcze bardziej przestronny, jak arena w skrzącej jasności; nawet pojazdy wojskowe z czarno-białymi swastykami stawały się tu nierzeczywistymi rekwizytami z jakiegoś snu. Póki będzie padać, Marco zostanie przy niej.

Zdjął kurtkę, złożył ją i przytrzasnął klapką bagażnika. Ręką odgarnął czarne błyszczące włosy.

– Później, jak ruszysz, nie oglądaj się za siebie. Z każdą antyczną rzymską bramą związany jest przesąd. O Porta Ardeatina mówi się tak: jeśli chcesz wrócić do Rzymu, nie oglądaj się za siebie.

Deszcz był coraz drobniejszy, aż wreszcie całkiem ustał. Brzegami placu spływała woda. Niemiecki żołnierz pozbył się peleryny, rzucając ją do zaparkowanego w pobliżu łazika. W niektórych miejscach mokry bruk zaczynał parować w słońcu. Nagle pojawiło się kilku wyrostków. W rękach trzymali coś, co chcieli sprzedać niemieckim żołnierzom na wozach.

Maria oparła się o Marca.

– Nie patrz do tyłu! Przrzeknij mi to.

– Nie zaprzataj tym sobie głowy. I uważaj na siebie, Mario. – Pocałował ją. – Myśl o mnie. Myśl o tym, że cię kocham. O naszej przyszłości.

Przewiesiła mu przez ramię chlebak na długim pasku. Wziął rower. Białe pies się podniósł. Marco siadł na siodełku.



Rower był dla niego trochę za niski; nogi z prawej i z lewej opierały się o ziemię.

– *Ciao cara, ciao.*

– *Ciao, Marco.*

Kawałek szła obok niego. Odepchnął się stopami i poszukał pedałów. Gdy wyszła z cienia łuku, oślepiło ją słońce.

Patrzyła w ślad za nim. Pedalując minął żołnierza, pies biegł przy jego boku. Potem szosa lekko opadała. Podniósł się na siodełku, zdjął rękę z kierownicy. Wstrzymała oddech, kiedy się odwrócił i pomachał do niej.

Na ziemi coś zaszleściło. To jaszczurki, które wyszły w poszukiwaniu słońca z szarej, bujnie rosnącej przy murze trawy.

## 34.

Zapiski doktora Lennarta Larssona  
*Rzym, szpital Viktorii, 4 czerwca 1944*

*późno w nocy*

Nareszcie nadszedł ten dzień! Niemcy poddali miasto. Alianci weszli do Rzymu. Tym razem to nie plotka, nie przedwczesne nadzieje. To słyhać! Personel i pacjenci leżą na parapetach i krzyczą, gwizdzą, machają poszewkami. Na dole, na Corso, ludzie radują się hałaśliwie, tańczą i obcałują żołnierzy w oliwkowozielonych mundurach. Dzwonią dzwony kościołów.

Siedzę tutaj i piszę w świetle ogromnego księżycy. Prądu nie ma. Jestem szczęśliwy, ale boli mnie serce. Może to tylko wyczerpanie. Może to myśl o Marii, która jest tam gdzieś w tłumie na Corso...

Późnym popołudniem przyszedłem na niedzielny dyżur, by

zmienić Werlena, który znowu operował cały dzień, póki działał zapasowy agregat. Na korytarzach znajomy widok noszy z rannymi podczas ostatniej strzelaniny między włoskimi partyzantami i Niemcami. W klinice wiele przypadków gorączki przyrannej, gruźlicy, że nie wspomnę o niedożywieniu. I naturalnie bezdomni oraz uciekinierzy, koczujący na korytarzach, na klatkach schodowych, a nawet przed wejściem. Oczekują, że szwedzki szpital zapewni im bezpieczeństwo.

Kogo przyjąć, kogo odrzucić? Kto jest rzeczywiście w niebezpieczeństwie, a kto nie? Kto jest ofiarą wojny – ale czyż wszyscy nie stali się nimi w ciągu tych straszliwych dziewięciu miesięcy od września ubiegłego roku?

Przemoc, masowe aresztowania; całe kompleksy bloków odcięte. Zakaz wychodzenia z domów, represje; wiadomości od przyjaciół, którzy uciekli, od aresztowanych przyjaciół; kolejki przed sklepami spożywczymi; wycie syren.

To jedna część wspomnień. Druga to pamięć jesieni, która nigdy w tym mieście bardziej nie pyszniła się kolorami, zimy, która nigdy nie była tak długa i mroźna. Śnieg leżał jeszcze w lutym!

Kiedy to piszę, uświadamiam sobie, że jedno łączy te wspomnienia: ciężar czasu, który zatrzymał się dla Marii, czasu pełnego zwątpienia i nadziei.

Podjęła pracę w naszym szpitalu jako sanitariuszka, prawie jednocześnie ze mną. Musiała pracować, żeby uniknąć obowiązku służby, żeby otrzymać kartki żywnościowe. Przypadek albo zrządzenie losu. Praca w szpitalu dała jej później możliwość poszukiwania Marca.

Na początku grudnia okazało się, że mieszkania na Via dei Soldati nie da się już ogrzać i przeprowadziła się do mnie, do Villa Kristina. Szczęście, że w większości pokoi mamy otwarte kominki i mogliśmy się obficie zaopatrywać w drewno opałowe. Wprowadziła się do pokoju gościnnego i kłitki obok, która do tej pory służyła jedynie do przechowywania

roczników starych czasopism medycznych. Jakikolwiek propozycje zmian w tych dwóch pomieszczeniach zawsze odrzucała. „Może później”.

Na wiosnę przygotowałem się na to, że wróci na Via dei Soldati, ale została... Czy jedynie z praktycznych powodów? Bo mamy tę samą drogę do szpitala? A może Villa Kristina jest dla niej czymś więcej niż przytuliskiem?

Do niedawna nic nie wiedziałem o tamtej sobocie i niedzieli na Via dei Soldati; o ostatniej nocy, o nieudanym planie, o trzech angielskich agentach, o wyprawie Marca na południe, o ich pożegnaniu przy Porta Ardeatina. Kompletnie milczenie o tych wszystkich sprawach, a z drugiej strony nienasycona ciekawość w kwestii Marca: odwiedza jego rodziców, każe sobie pokazywać zdjęcia, opowiadać o wydarzeniach z jego młodości.

Próbuję sobie od tamtego czasu wyobrazić owo pożegnanie przy Porta Ardeatina. A raczej staram się odpowiedzieć na pytanie, co rzeczywiście przeżywał Marco. Jego wyprawa na południe i powody, jakie podawał... Czy sam w to wierzył? Jakiej prawdy chciał dociekać? A może wiedział, że szuka jednego – śmierci.

Maria nie może przeczytać tych słów. Nie znosi żadnych wątpliwości. Nie miała od tamtego czasu najmniejszej wiadomości o nim, najdrobniejszego śladu. Mimo to jest przekonana, że Marco jeszcze żyje, chociaż wszystkie próby uzyskania jakichś informacji spaliły na panewce.

Takie było także ostatnie dziewięć miesięcy: Maria codziennie obdzwaniająca wszystkie szpitale, włączająca do poszukiwań każdy możliwy urząd, każdą placówkę, sprawdzająca każdą, nawet najbardziej beznadziejną wskazówkę, tu w szpitalu codziennie oglądająca nowo przyjętych, pisząca listy do wszystkich burmistrzów wzdłuż trasy Rzym – Neapol, oczywiście bez odpowiedzi!

Dziewięć długich miesięcy. I każdego dnia z owych dziewięciu miesięcy przychodziła taka chwila, kiedy wracała z centrali Czerwonego Krzyża, patrzyła na mnie i potrząsała przecząco głową: nic!

Czy rzeczywiście wierzy, że on jeszcze żyje? Czy naprawdę ma nadzieję? Jak długo będzie działać ta pigułka nadziei?

Moja praca polega na tym, by dzień w dzień bronić życia przed śmiercią. Maria zdaje się działać przeciwnie; broni umarłego przed nami żywymi! Czasami myślę, że ona za jego wrogów uważa nas, żyjących.

Naprawdę ma nadzieję! Dziś rano podano do wiadomości, że w Neapolu znajduje się przesyłka penicyliny – mój Boże, ilu ludzi moglibyśmy tym uratować! – i innych antybiotyków, adresowana na nasz szpital. Udało się jej przekonać szefa, że wejdziemy w jej posiadanie tylko wtedy, gdy wyślemy własny samochód i że ona musi też pojechać. Przed godziną prosiła mnie, żebym z nią pojechał do Terraciny. Ma pewne nadzieje związane z nazwiskiem Martelli.

Jak mógłbym jej czegokolwiek odmówić?

Przed godziną tu w korytarzach i na salach po raz pierwszy wybuchła wielka radość. W dole, na ulicy, świętują dalej. Słychać okrzyki: *Viva la pace!*

Muszę przerwać. Przywieziono mężczyznę; powiadają, że biegł z okrzykiem radości ku wkraczającym aliantom przy Tor di Nona, upadł i dostał się pod gąsienice shermana...

*Tre Torre, 10 września 1944*

Przyjechaliśmy w tym roku późno, dopiero w drugiej połowie sierpnia. Za to jeden dzień był piękniejszy od drugiego. Na dworze jest lekki wiaterek. Maria ścina w ogrodzie żółte róże na bukiet. Potem usłyszę startujący silnik topolina i pojedzie do Saracinesco. Czy grób na cmentarzu poniżej miejscowości – raczej kamień, który tam położono przed dwoma dniami, oznacza nowy początek?

Czy te trzy miesiące, które upłynęły od uwolnienia Rzymu, przekonały ją, że już nie ma nadziei?

Nasza podróż do Terraciny jest strasznym wspomnieniem: milczące, opuszczone miasto. Gorzej: nic poza zwęglonymi, zakurzonymi ruinami; wypełnione wodą – padało – doły po wybuchach granatów. Żywego ducha na ulicach, które ulic nie przypominały. Rynek z ratuszem, cel naszej jazdy, wyglądał jak sterta gruzów. Żadnych akt, żadnych kartotek. Na koniec informacja proboszcza, że niejaki Eligio Martelli, geometra, rok urodzenia 1900, zginął już w 1941 w Afryce...

Łało strumieniami, kiedy jechała dalej do Neapolu, a ja wracałem do Rzymu. Co rusz ciężarówka z zabitymi żołnierzami amerykańskimi, pozaszywanymi w grube płótno, których transportowano na wojskowe cmentarze wzdłuż Via Appia.

Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy towarzyszyłem Marii. Tymczasem ustalono, że Marco nigdy nie dotarł do Neapolu. Osoby odpowiedzialne w S.O.E., organizacji, dla której Marco pracował, najpierw wszystkiemu zaprzeczały. Człowiek nazwiskiem Marco Varelli alias Eligio Martelli, alias Shelley nigdy podobno nie działał na rzecz brytyjskich służb szpiegowskich i sabotażowych. Kiedy wywalczone zwycięstwo, nikt nie chciał pamiętać o ludziach, którzy wykonywali czarną robotę. Dopiero gdy *conte* Varelli – wtedy jeszcze żyjący – osobiście interweniował u najwyższych czynników, zniżono się do potwierdzenia i obiecano rozpocząć poszukiwania. Jak było do przewidzenia, nie przyniosły rezultatów.

Trzej pozostali agenci dotarli do Neapolu. Marco Varelli opuścił Rzym i nigdzie nie dotarł. Nie potwierdzono, że był martwy. Nie miał grobu na cmentarzach przy Via Appia. Czy Maria się z tym pogodziła? Czy zrezygnowała? Czy będzie próbowała jeszcze raz? Czy ponownie będzie objeżdżała wszystkie możliwe drogi, jeździć od miasta do miasta, przepytować ludzi? Szukać mężczyzny z rowerem i białym psem?

Czasami, kiedy wracała z tych podróży, odczuwałem pragnienie, żeby przyjechała z wiadomością o znalezieniu jego grobu. Kiedy zdawała sprawozdanie, czułem zazdrość, zazdrościłem umarłemu, który dla niej wciąż jeszcze żył... Daj mu umrzeć, myślałem, daj mu umrzeć, daj umrzeć swej nadziei; bowiem jak długo on żyje, nie ma nadziei dla mnie.

Czy grób na cmentarzu w Saracinesco oznacza koniec?

*wieczorem*

Jutro wracamy do Rzymu. Dawniej myślałem, że dni są zbyt piękne, by wracać do miasta. Teraz ciągnie mnie do Rzymu, do pracy. Jak w młodości, kiedy nie znałem niczego poza pracą, pracą, pracą.

Teresa, która została w Rzymie, także nalega. Nie można zostawić domu bez opieki, nie ryzykując, że następnego dnia odkryje się w nim jakiegoś amerykańskiego pułkownika rekwirującego dom jako mieszkanie dla siebie. Na prośbę Marii od jakiegoś czasu mamy tu w Tre Torre telefon, więc kiedy Teresa dzwoni, opowiada o wszystkich ludziach wracających do Rzymu, otwierających domy i rozsyłających zaproszenia. Dla Teresy, która zawsze była i pozostała wieśniaczką, nie ulega wątpliwości, że po wszystkich tych okropnościach życie, jak przedtem, potoczy się swoim trybem.

Czyżby?

Nie dla wszystkich.

Od Brigi Molinari nadszedł gruby list ze zdjęciami. Wyszła za pułkownika Jacka Hamiltona z Południowej Karoliny i spędza miodowy miesiąc na Capri w hotelu Quisisana, który zarekwirowali Amerykanie. – O Winterze radcy niemieckiej ambasady, nadeszła trochę tajemnicza informacja od zakonnika z Watykanu. Do ostatniej chwili pozostał w Rzymie i osiadł potem niedaleko za granicą. – Los attaché Luftwaffe von Boldta nie jest pewny. Wywieziono go z Rzymu, ale nawet Winter nie zdołał się dowiedzieć więcej. Villa Wolkonsky

została natychmiast zajęta jako mienie wroga, a teraz wprowadził się tam Czerwony Krzyż. *Conte* Varelli zmarł, jak wspominałem, przed czterema tygodniami; zupełnie nieoczekiwanie. Nagły atak serca. Na krótko przedtem Brytyjczycy zaproponowali mu funkcję ambasadora przy Dworze Świętego Jakuba. Jeden z ostatnich listów, jakie napisał, to była rezygnacja z tego stanowiska.

*Contessa* Varelli poszukuje kupca na Villa Tusculo. Sklep na Via del Babuino będzie prowadzić dalej. Zaproponowała Marii pracę u siebie, i myślę, że ta się zgodzi. Na dłuższą metę szpital nie jest dla niej właściwym miejscem. Sklep *contessy* byłby idealny – i oddalony tylko o kilka minut od Villa Kristina...

Wiatr ustał. Zapada zmrok. Przedtem widziałem Marię na tarasie, w chustce na ramionach. Stała tam i patrzyła na południe. W pogodne dni dalekie morze wygląda jak niebo, a niebo – jak morze. Dziś był pogodny dzień.

Kiedy znalazłem Tre Torre, pokochałem jego przeszłość. Teraz kocham terażniejszość.

Czy Maria także pokocha ją na nowo?